

# OPOWIEŚCI CELTYCKIE

DROGA DO WŁADZY

KAROLINA  
JANOWSKA



Na cykl OPOWIEŚCI CELTYCKIE składają się tomy:

Opowieści celtyckie. Początek  
Opowieści celtyckie. Droga do władzy  
Opowieści celtyckie. Cena przywództwa

KAROLINA JANOWSKA

# OPOWIEŚCI CELTYCKIE

---

DROGA DO WŁADZY



*Ze szczególnymi wyrazami wdzięczności dla  
dr Bogdana Burligi, mojego Mentora i gwiazdy  
przewodniej po świecie antyku, za krytykę,  
ironię i drogocenną wiedzę.  
I za wyjątkową przyjaźń.*

## Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

DODATEK - SPIS POSTACI

# I

Julia siedziała w perystylu wypełnionym kwiatami i zielenią, spoglądając smętnie na swoje odbicie w basenie. Miała dwadzieścia dwa lata i według słów jej ojca niebawem miała wyjść za mąż. Tyle że nie za tego, za kogo chciała.

Kilka dni temu ojciec zakończył swoje urzędowanie w Hiszpanii i zaczął ubiegać się o konsulat na przyszły rok. W związku z tym robił tajemnicze miny i często zacierał ręce, mówił coś o porozumieniu, ale nie zdradzał żadnych szczegółów; Julia mogła się tylko domyślać, o co mu chodzi. Tak czy inaczej zrozumiała, że to ona ma być gwarancją wierności przyszłych paktów. Powiedziała jej o tym babka Aurelia, która żyła jeszcze, miała przeszło sześćdziesiąt lat i jak dawniej energicznie zarządzała domem ojca po jego rozwodzie z Pompeją. To jednak był już zamknięty rozdział. Julia do dziś wspominała ten okres z niesmakiem, a kiedy natykała się na dawną macochę, najchętniej przechodziła na drugą stronę ulicy.

Czarne włosy dziewczyny opadały luźno na plecy, bo wymknęła się ze swojego pokoju, zanim przyszła niewolnica, by ją uczesać. Komu zresztą miałyby się podobać? Przecież nie narzeczonemu, z którym ojciec, jak słyszała, zerwał umowę listownie jakiś czas temu.

Momentami Julia czuła, że dławi ją złość. Kochała swego ojca ponad wszystko w świecie, porównywała z nim każdego ewentualnego kandydata na męża, po czym za każdym razem stwierdzała, że żaden młody człowiek nie może się równać z Cezarem. Z drugiej jednak strony pragnęła wyjść za mąż i mieć dzieci. Z żalem spoglądała na małego synka swej kuzynki

Attii, Gajusza Oktawiusza, który urodził się za konsulatu Cyncerona wczesną jesienią. W głębi serca zazdrościła jej udanego synka, tym bardziej że ludzie gadali dziwne rzeczy w związku z tym dzieciakiem. Ojciec Julii, Cezar, śmiał się zawsze do ciotecznego wnuka pełną gębą. Wówczas miała wrażenie, że ktoś wbija jej nóż w serce. Wiedziała, jak bardzo ojciec pragnął syna albo wnuka. Dziwiła się więc, że do tej pory nie wydał jej za męża. Sam też mógł mieć jeszcze dzieci. Nie był stary, ledwo co skończył czterdzieści lat. Ale Pompeja nie chciała dać mu potomka. Zresztą ona nie nadawała się na matkę.

Julia westchnęła i powróciła do wspomnień o macosze. Pompeja, kuzynka Wielkiego Pompejusza, była kobietą kapryśną, zmienną i nade wszystko rozpieszczoną. Swej młodej pasierbicy zdawała się nie dostrzegać albo traktowała ją z góry. Narzekała ogromnie na surowe obyczaje panujące w domu Cezara, który pomimo dość znacznej ekstrawagancji w ubiorze i fryzurach wierny był obyczajom przodków, jeśli chodzi o tradycje rodzinne. Poza tym pod nieobecność męża w domu rządziła jego matka, teściowa Pompei, której serdecznie nienawidziła. Zresztą ona nikogo nie darzyła sympatią. Chyba tylko siebie i swoją przyjaciółkę Klodię, do której nieszczęsny poeta Katullus pisał wiersze.

Julia często słyszała, jak ojciec i Pompeja kłócą się ze sobą. Powodem była, oczywiście, ciąża, a może raczej jej brak. Cezar chciał mieć syna. Pompeja wprost przeciwnie – żadnych dzieci, oby jak najdłużej.

- Oboje wiemy, Cezarze, że to małżeństwo polityczne – mawiała ostro. - Nie jest też tajemnicą, że chodzisz sypiać do Serwilli. Niech ona da ci syna.

- Ona jest mężatką – ucinał Cezar gniewnie. - A poza tym co ci do tego, z kim spędzam noce? Nie jest to sprawą żony.

- No pewnie – warczała Pompeja. - Sypiasz z połową miasta. Nie ma w Rzymie chyba takiej kobiety, która nie cieszyłaby się twoimi wątpliwymi wdziękami.

Cezar był drażliwy na tym punkcie, odkąd przed laty został posądzony o romans z Nikomedesem.

- Zeszłej nocy byłaś chyba zadowolona, co? Jęczałaś z rozkoszy i prosiłaś o jeszcze.

- Każdej kobiecie nieobce są sztuczki - odparowała Pompeja.

Cezar w takich momentach zaciskał zęby i powstrzymywał się, żeby jej nie uderzyć.

Julia z goryczą stwierdziła, że między ojcem i jego nową żoną nie ma zażyłości, nie łączyła ich nawet przyjaźń. Byli wrogami, a jeśli spędzali razem noce, on czynił to, by mieć dzieci, ona - z obowiązku. A że sprawiało im to przyjemność, to już inna sprawa.

- Daj mi syna, Pompejo - powtarzał Cezar za każdym razem, kiedy jego żona miała menstruację. - Co miesiąc krwawisz, nie zachodzisz w ciążę. Czy mogłabyś mi to wytłumaczyć?

- Może zbyt wiele nocy spędzasz w objęciach kochanek? Niech twoja najdroższa Serwilla się rozwiedzie. Ona z pewnością jest płodna.

Wreszcie Aurelia rozstrzygnęła tę kwestię. Pewnego pięknego dnia podpatrzyła, jak synowa zażywa zioła. Kiedy ją przycisnęła, okazało się, że Pompeja pije wywar zapobiegający zapłodnieniu. Dostała przepis na miksturę od jakiegoś greckiego lekarza, który wyjechał już jakiś czas temu na Kos. Cezar pienieł się i wściekał, groził Pompei rozwodem. Oboje jednak wiedzieli, że do tego nie dojdzie. Ojciec Julii był zbyt zaangażowany w pozyskiwanie wpływów u Pompejusza, obecnie najpotężniejszego człowieka w Rzymie, by odsyłać bez powodu jego kuzynkę. Co prawda niepłodność mogła być uzasadnieniem rozwodu, jednak wszyscy dookoła wiedzieli o romansie Cezara z Serwillą oraz o jego skłonności do odwiedzania łóżek co zaciejszych matron.

Działo się tak od śmierci Kornelii. Dla Cezara kobiety stanowiły swego rodzaju lekarstwo na nieutuloną tęsknotę za zmarłą. Ponadto w alkowach dam dowiadywał się różnych ciekawych rzeczy na temat swoich wrogów politycznych. Jednak o tym, naturalnie, Julia nie miała pojęcia.

Mimo wszystko wreszcie doszło do rozwodu z Pompeją.



Tym razem Cezar był naprawdę wściekły i nie liczył się z konsekwencjami. Było to dwa lata temu, niedługo po tym, jak w Rzymie zakotłowało się po wykryciu spisku Katyliny i doszło do zamieszek podczas głosowania nad ustawą Metellusa Neposa.

Julia pamiętała i tamte wydarzenia, kiedy jej ojciec omal nie utracił życia w zamieszkach i spędził kilka dni w dobrowolnym areszcie domowym, aż lud zaczął się domagać jego wypuszczenia. Przeciwnicy, a zwłaszcza Katon Młodszy, potępiali go i krzyczeli ile sił w płucach, że Cezar to wichrzyciel i tyran. Ale do tych wydarzeń Julia nie chciała wracać. Wtedy bowiem po raz pierwszy ujrzała ojca w innym świetle. Zrozumiała, że Cezar jest politykiem dążącym uparcie do celu, którym nie jest konsulat, jak powszechnie twierdził, lecz coś znacznie poważniejszego. Julia zastanawiała się wtedy nad słowami Katona i nad pojęciem tyranii.

Szybko jednak przestała o tym myśleć, bowiem nadeszły święta Dobrej Bogini, a wraz z nimi nowa afera, której centrum stał się dom już i tak otoczonego nie najlepszą sławą Cezara. Był on bowiem najwyższym kapłanem. W związku z tym uroczystości należało przygotowywać w jego domu.

Święto Dobrej Bogini było imprezą kobiecą. Żaden mężczyzna nie miał prawa w tym czasie przebywać pod dachem uświęconego domu, w którym zebrały się matrony. Było to uważane za świętokradztwo. Noc z trzeciego na czwartego grudnia była chłodna i ciemna. Wymarzony czas na potajemną schadzkę.

I właśnie wtedy do niej doszło. Pompeja bowiem, która wciąż wypominała Cezarowi prawdziwe i rzekome romanse, sama także od nich nie stroniła i nawiązała bliższe stosunki z bratem swej najlepszej przyjaciółki Klodii. Jakkolwiek uważała, że małżeństwo z kimś takim jak Cezar ma swoje dobre strony, to jednak miała go za kompletnego idiotę, w dodatku dość już starego. Nie to co Klodiusz, awanturnik znany w całym mieście, młody, przystojny i otoczony chmurką tajemnicy.

Powstało niemałe zamieszanie, gdy kochanek Pompei we własnej osobie, a w przebraniu kobiety, wszedł do domu

Cezara na Forum, w którym tego dnia mogły przebywać jedynie niewiasty. Zresztą Klodiusz okazał się kompletnym durniem, kiedy już przyszło co do czego. Aurelia odkryła jego obecność i zapytała, co to za dziewczyna błąka się po korytarzach sama. Klodiusz zaś zamiast siedzieć cicho, odezwał się. W efekcie, naturalnie, zdradził go ton głosu.

Tej nocy nie odbyły się żadne ceremonie związane ze świętem, za to po całym Forum rozlegały się wrzaski przerażonych i oburzonych kobiet.

Julia pomimo przygnębienia musiała się uśmiechnąć. Rzecz jasna, powstało niemałe zamieszanie. Tamtego wieczoru wszystkie kobiety rozbiegły się do swoich domów, by zdać relację żadnym plotek i sensacji mężom. Cezar zaś wrócił pod własny dach, o dziwo, chłodny i opanowany.

Wtedy po raz pierwszy Julia, zaczajona w kącie atrium, gdzie nikt jej nie widział, miała okazję ujrzeć nieznanie wcześniej oblicze swego ojca. To był opanowany, zimny i wyrachowany człowiek, polityk do szpiku kości, chłodny na zewnątrz, podczas gdy jego czarne oczy wprost pałały wściekłością. Musiał czuć się skompromitowany w oczach całego Rzymu, ale o tym, rzecz jasna, nie powiedział córce. W zasadzie nikomu nie wyjawiał, co o tym wszystkim myśli. Nawet matce.

Aurelia pilnowała czujnie przerażonej Pompei. Ta ostatnia dopiero teraz pojęła, na co się odważyła. Jakkolwiek nie miała dla Cezara żadnego szacunku, przypomniała sobie ponieważ, że mąż ma prawo zabić niewierną żonę i nie zostanie za to osądzony. Dygotała w swojej pięknej sukni, którą ojciec Julii zamawiał u wschodnich kupców, bowiem niczego nie żałował żonie. Bała się chyba po raz pierwszy w życiu. Nie miała pojęcia, co jej mąż uczyni, a nieraz widziała Cezara wprowadzonego z równowagi.

On jednak usiadł spokojnie przy stole, nalał sobie wina ze srebrnego dzbana, na który właściwie nie było go stać, jednak uwielbiał otaczać się zbytkiem, i spojrzał na żonę obojętnym, jak mogło się wydawać, wzrokiem. Jego bystre czarne oczy świdrowały ją na wylot, tak się przynajmniej

Pompei zdawało. Nagle, w jednym ułamku sekundy, przemknęło jej przez myśl, że to szalenie pociągający człowiek, a niechęć do niego ma swoje źródło w fakcie, że on jej nie kocha. Sama wiele dałaby za to, żeby ujrzeć go rozkochanego w sobie, jakiego musiała go widzieć Kornelia.

Do licha, czy on pogrzebał resztki serca z tą cholerną babą?

Nie, kochał jeszcze Julię, to wstrętne dziewczuszyko. Pompeja nie cierpiała pasierbicy głównie z tego powodu, że Cezar ją kochał i okazywał to na każdym kroku. Julia była jego ulubienicą, oczkiem w głowie, a kiedy był na prowincji, pierwsze słowa w liście kierował do córki. Tego Pompeja nie mogła znieść.

Cezar sączył wino powoli i z wyraźną satysfakcją. Pompeja spoglądała na jego dłonie. Chociaż skóra na nich była wypielęgnowana, były to dłonie męża silnego i zaprawionego w boju. Ale kiedy Cezar bywał w domu, nie szczędził balsamów i wschodnich olejków.

- No i co mi powiesz, żono? - zapytał wreszcie cicho, obracając kielich w dłoni. - Tak źle ci było ze mną?

Pompeja doszła do wniosku, że najlepszą metodą obrony jest atak.

- To wszystko przez ciebie - warknęła. - Nie okazujesz mi szacunku należnego żonie!

- Czyżby? - zapytał Cezar kwaśno. - Jakoś tego nie zauważyłem, moja droga Pompejo. To nie o szacunek ci chodzi.

- I lafiryndy, z którymi sypiasz. Cały Rzym o tym wie. Myślisz, że to nie dotarło do moich uszu?

- Nie dbam o to, co dotarło, a co nie - odparł Cezar, stawiając puchar na stole. - To moja sprawa, z kim i kiedy sypiam, nie twoja. Większość nocy spędzam z tobą.

- To dlaczego chodzisz do Serwilli? I do Mucji? I do innych?

- One dają mi to, czego ty nie umiesz. Dla ciebie miłość jest tylko obowiązkiem spełnianym dla wygod i bogactwa.

- Tylko mi nie mów, że jesteś zakochany w tej bezwstydney kobiecie!

- Jeśli chcesz już wiedzieć, to nie jestem. Ale nie mówimy o mnie, tylko o tobie. Trzeba było powiedzieć, że kto inny jest

ci drogi. Zwróciłbym ci wolność.

- Nie rozwiedziesz się ze mną, Cezarze - oświadczyła z przekonaniem Pompeja. - Boisz się mojego kuzyna.

- Nikogo się nie boję. Zawarłem małżeństwo z tobą z dwóch powodów. Chciałem się zbliżyć do Pompejusza, to prawda. A poza tym obiecałem mojej żonie, że znajdę kobietę, która zajmie się mną, moim domem i córką. Ale ty, Pompejo, się do tego nie nadajesz. Dawno to zauważyłem. Poza tym mogłem cię oddalić już wcześniej, podając za przyczynę twoją niepłodność, jakkolwiek wiem o twoich ziólkach z Kos.

- Skąd wiesz?

- A jak myślisz? - odezwała się Aurelia, która do tej pory siedziała cicho.

Pompeja poczuła falę wściekłości.

- I co? Myślisz, że masz teraz powód, żeby się na mnie złościć? Może mnie uderzysz albo zabijesz wedle prawa? To wolno było mi zdradzać, kiedy ci się podobało, a ja nie mogę przyprawić ci rogów, bo to rani twoją męską dumę, czyż nie, Cezarze?

Patrzył na nią chłodno. Była piękną kobietą i być może częściowo miała rację. Z drugiej jednak strony Cezar czuł do niej żal i urazę za potajemne zażywanie mikstur, odmowę wydania na świat potomka i nieskrywaną niechęć do jego córki. Teraz zaś czara się przelała.

Cezar żył w społeczeństwie, w którym na zdrady mężczyzn patrzono przez palce i uważano je za coś normalnego. Niewierność kobiety uchodziła natomiast za najwyższe przestępstwo. Było ono zresztą również powszechne.

- Uspokój się, Pompejo - odezwał się znużony. - Nie mam zamiaru cię bić ani krzyżeć. Nie chcę cię też zabić. Mam zamiar dać ci to, czego pragniesz. Klodiusza.

Pompeja przez dłuższą chwilę spoglądała na niego z przerażeniem.

- Jak to? - wybąkała wreszcie.

- Zwyczajnie. Jutro rano stąd odejdziesz. Pójdę do trybuna i unieważnię nasze małżeństwo.

- Ale dlaczego?

- A czyż nie tego chcesz? Daj spokój, Pompejo, nie ciągnijmy tej farsy...

- A jak cię pytają, czemu to zrobiłeś?

- Powiem im, że żona Cezara musi pozostać poza podejrzeniem.

Cezar wstał i odszedł do swojego cubiculum. Nazajutrz zaś faktycznie powtórzył te słowa, kiedy urzędnik zapytał go o przyczynę rozwodu. Jego odpowiedź była sprytna i wymijająca.

Potem wyjechał na prowincję, skąd wrócił dopiero co, mając na uwadze wybory na przyszły rok. Z tego powodu zrezygnował z triumfu, który mu się należał po walkach w Hiszpanii i po obwołaniu go przez żołnierzy imperatorem. Zerwał też wcześniejsze zaręczyny Julii, nie pytając jej o nic. Dopiero dzisiaj chciał z nią pomówić. Poprosił, by zaczekała w perystylu, aż skończy spotkanie z klientem.

Julia domyślała się, o czym ojciec chce rozmawiać. Bała się. Siedząc w perystylu, miała wrażenie, że czeka na wyrok śmierci. Po raz pierwszy w życiu drżała z obawy przed swoim ojcem.

Cezar wszedł do perystylu rażnym krokiem. Dopiero co odbył rozmowę z jednym ze swoich klientów. Wiedział już wszystko, co chciał odnośnie do planów Pompejusza i Krassusa na najbliższy tydzień. Znakomicie. O to mu właśnie chodziło.

Cezar bowiem snuł własne plany. Widział, co się dzieje dookoła. Denerwowała go ospałość urzędników, bezradność konsulów i nieudolność całej tej zdegenerowanej bandy półgłówków. Dwie partie znowu zaczęły się spierać, kłóciły się w sprawach banalnych, takich jak ostateczny projekt ustawy agrarnej, którą należało przeprowadzić dawno temu. Teraz zaś odmówiono żołnierzom Pompejusza - bądź co bądź weteranom wojennym - prawa do ziemi, co stanowiło pogwałcenie praw.

Co innego, że Cezarowi dawało to świetną okazję do nawiązania stosunków z Pompejuszem. Był to jedyny moment, kiedy ten zapalony optymata pokłócił się z senatem i mógł przejść na stronę popularów. Na to właśnie Cezar czekał od długiego czasu. Wcześniej usiłował - bezskutecznie -

związać się z wpływowym politykiem poprzez zaaranżowanie zupełnie nieudanego małżeństwa z Pompeją. No ale dostał nauczkę. Teraz chciał zobowiązać sobie Pompejusza w inny sposób. Postanowił, że da mu to, co miał najcenniejszego: Julię. Bo Cezar od dawna już rozumiał, że Rzym potrzebuje rządów silnych i zdecydowanych mężów, nie jakichś tam Cynceronów czy Katonów, którzy mówią głośno i wszędzie, ale bez większych rezultatów. Uśmiechnął się kwaśno na wspomnienie spisku Katyliny. Gdyby „ktoś” wtedy Cyncerona nie uprzedził, to kto wie, jak by teraz Republika Rzymska wyglądała. Ktoś, dobre sobie. A Cynceron dalej powtarzał, że Cezar jest mącicielem.

Uznał, że to będzie wspaniały związek polityczny. Musiał jedynie pogodzić Pompejusza z Krassusem, bo inaczej cały plan mógł nie wypalić. Krassus był najbogatszym człowiekiem w Rzymie, a kto wie, czy nie w całej Italii. Pompejusz miał wpływy. Cezara zaś przebiegłość i doświadczenie wojskowe niemal dorównywały tamtym dwóm. Miał jednak coś jeszcze – dar zjednywania sobie ludzi. Postanowił to wykorzystać.

Wszedł do perystylu i serce mu się ścisnęło na myśl, że ma wydać swoją najdroższą córkę za Pompejusza. Ale nie było wyjścia. Cezar nie miał innych dzieci, choć bardzo tego pragnął. Sądził, że dostatecznie zmiękczy serce Pompejusza, kiedy da mu wszystko to, co ma najcenniejszego.

Julia odwróciła się na dźwięk jego kroków. Cezar zauważył, że się zmieniła. To nie była już ta sama żywiołowa dziewczynka, która hasała po całym domu, swawolna nastolatka, potrafiąca rządzić nim równie skutecznie jak ongiś Sulla Republiką. Jego córka stała się dorosłą, poważną i smutną kobietą.

Gęste czarne włosy opadały jej luźno na plecy, oliwkowa cera zdawała się lśnić, a ciemne oczy tchnęły melancholią. Była podobna do Kornelii. Chociaż ciemną karnację odziedziczyła niewątpliwie po nim, rysy twarzy i budowę ciała miała swej matki. Cezar przymknął oczy. Kornelia, miłość jego życia, jedyna kobieta, z którą czuł się związany. Te inne, chwilowe, przypadkowe, nie miały żadnego znaczenia.

Przywołał na usta uśmiech, ale czuł się niezręcznie.

- Witaj, Julio - odezwał się pogodnie. - Jak ci minął dzień?

- Jak zwykle - odparła córka. - Kiedy byłeś w senacie, przyjmowałam twoich klientów, wydawałam im mąkę i wykonywałam swoje obowiązki.

- Czyli nudziłaś się okropnie - zauważył Cezar. - Czy nie chciałabyś może pojechać z babką na wieś?

Julia spojrzała na ojca podejrzliwie. Czyżby chciał zostać sam na sam ze swoją nową kochanką? Doskonale wiedziała, że ojciec miewa nałożnice, ale nie przykładała do tego wagi.

- Chcesz mnie przekupić, ojczy? - uśmiechnęła się.

Cezar nagle spoważniał. Patrzył na nią uważnie, jakby widział Julię po raz pierwszy. Dziewczyna zadrżała. Zawsze słyszała, że Cezar ma przenikliwy wzrok, ale dopiero teraz poczuła to na własnej skórze.

- Nie zamierzam cię przekupywać. Chciałbym z tobą porozmawiać. Widzisz, Julio, postanowiłem wydać cię za mąż.

- Czas już ku temu - stwierdziła Julia. - Od dawna powinnam być zamężna, czyż nie?

- Niekoniecznie. Nie mam zamiaru wydawać cię za mąż tylko po to, żebyś się rozwiodła po jakimś czasie.

- A czy ty rozwiodłabyś się z matką, gdyby żyła?

- Nie - odparł Cezar zwięźle. - Nigdy bym się z nią nie rozwiodł. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Julio, to będzie małżeństwo polityczne. Jest mi okropnie przykro ze względu na ciebie, ale nie mam innego wyjścia.

Julia patrzyła na niego uważnie. Cezar się zmienił. Nie był już młodzieniaszkiem, jakim go pierwszy raz ujrzała, kiedy była dzieckiem. Miał czterdzieści lat i stał się dojrzałym mężczyzną. Niektórzy twierdzili, że czterdziestka stanowiła preludium starości, ale wedle greckiej miary Cezar był teraz u szczytu swoich możliwości. Na twarzy miał zmarszczki, głównie wokół ust i między brwiami, a gęsta czupryna nad czołem nieco się przerzedziła, ale włosy nadal miał czarne, bez jednego siwego pasemka, a ciało silne, zahartowane na prowincjach.

Julia jakoś nigdy nie pomyślała o tym, że czas nie oszczędza także jej ojca. Zawsze miała wrażenie, że ten bezlitosny sędzia omija go, nie ma na niego wpływu.

- Za kogo chcesz mnie wydać? - zapytała, choć doskonale

znała odpowiedź.

- Za Pompejusza. Ale nie zrobię tego, jeśli się nie zgodzisz.

Julia spuściła głowę. Czuła na sobie brzemię odpowiedzialności. Ojciec nie powiedział jej wprawdzie, dlaczego chce ją wydać za Pompejusza, ale domyślała się, że chodzi o jakieś układy polityczne. To musiało być dla niego ważne. Ogromnie ważne.

- Zgadzam się - szepnęła.

W głębi ducha wzdragająca się, ale ostatecznie stwierdziła, że taki już jest los rzymskich dziewcząt. W Grecji też były one wydawane za mąż za mężczyzn dwukrotnie od nich starszych, tak jak w tym przypadku, a najczęściej miały wtedy po piętnaście lat. Julia i tak była wdzięczna ojcu, że nie oddał jej w tak młodym wieku mężowi. Na szczęście Cezar miał dość rozumu, by uważać swoją piętnastoletnią córkę za dziecko.

- Julio, nie myśl, że to dla mnie łatwe - odezwał się stłumionym głosem. - Ty i twoja matka byłyście dla mnie największym skarbem na ziemi. Jej już nie ma, a ciebie muszę oddać. I tak bym tego nie uniknął, a teraz wiem przynajmniej, że oddaję cię w dobre ręce. Pompejusz jest odpowiednio bogaty, by zapewnić ci dostatnie życie, dość potężny, by w razie potrzeby cię obronić, a także na tyle doświadczony, by samemu cię nie skrzywdzić.

- „Na tyle doświadczony” oznacza zapewne, że jest odpowiednio stary?

- Nie tak znowu stary, by nie móc dać ci dziecka - skomentował Cezar.

Julia westchnęła i nagle w spontanicznym geście zarzuciła ojcu ręce na szyję, jak to robiła kiedyś. Cezar objął jej drobne plecy i przytulił twarz do gęstych włosów córki, wdychając ich delikatny zapach. W tej jednej chwili czuł, że oddałby wszystko, by cofnąć czas i na zawsze zatrzymać tamte dni, kiedy Kornelia żyła, a Julia była małym dzieckiem. Jednak czas płynął, a on, jakkolwiek rósł w siłę, nie potrafił cofnąć czasu. Wobec tej jednej rzeczy Cezar był całkowicie bezsilny.

\*



Aurelia siedziała w atrium i szyła. Jej samej wydawało się czasami, że Rzymianie nie potrafili wyobrazić sobie bardziej kobiecego zajęcia niż przędzenie wełny i szycie, co nie było znowu taką interesującą czynnością. Tego dnia bolały ją jednak nogi, więc zajmowała się szyciem. Zazwyczaj bywała bardziej obrotna i chętnie mieszała się do spraw, którymi powinien się zajmować jej syn – a ściślej rzecz biorąc, synowa, ale takowej na razie nie miała.

Czuła, że się starzeje. Dobiegała sześćdziesiątki, a był to wiek zaawansowany, ale ona jakoś nigdy nie przyjmowała do wiadomości faktu, że czas jej nie omija. Po śmierci męża wszystkie siły włożyła w opiekę nad córkami i synem, a stosując się do niepisanego prawa (aczkolwiek dobrze widzianego), pozostała wdową. Nie chciała więcej wychodzić za mąż. Być może dlatego, że była przywiązana do małżonka, jakkolwiek nie pałała do niego ogromną miłością. Ta ostatnia zarezerwowana była dla syna Gajusza i córki Julii. No i, rzecz jasna, dla wnuków. Attię i Julię wprost uwielbiała. Od kiedy zaś została prababcią, świata nie widziała poza swoim prawnuczkiem Gajuszem Oktawiuszem. To był dopiero wspaniały dzieciak... Być może dlatego miała taką wielką nadzieję, że jej syn wyda wreszcie Julię za mąż, a wtedy że ona, Aurelia, doczeka się drugiego prawnuka.

Niemal w tej samej chwili, w której o tym pomyślała, do atrium weszła Julia. Nie wyglądała jednak na zachwyconą. Wydawała się zmęczona, a wokół ciemnych oczu widać było wyraźne cienie. Szła wolnym krokiem, jakby zamyślona, co było do niej bardzo niepodobne.

– Co się stało, Julio? – odezwała się Aurelia, chcąc wy badać sprawę. – Czy mój syn coś ci powiedział?

Julia zatrzymała się. Ubrana była w jasnoniebieską suknię, która podkreślała śniadość jej cery i czarne włosy. Aurelia pomyślała, że jej wnuczka jak na swoje dwadzieścia dwa lata wygląda tego dnia bardzo poważnie. Zwykle zdawało się wszystkim, że mają do czynienia z rozbrykaną dziewczynką.

– O tak, babciu, powiedział – mruknęła niechętnie. – Oznajmił, że czas mi iść za mąż i że jutro zaoferuje moją rękę

Pompejuszowi.

- Pompejuszowi? - powtórzyła babka, blednąc. - Ale to...

Julia czekała na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił. Zaintrygowana spoglądała na Aurelię, ale ta pogrążyła się we wspomnieniach. Wróciła pamięcią do wiosennego dnia sprzed czterdziestu ponad lat, kiedy jej ojciec, Aureliusz Kotta, oznajmił, że ma zamiar wydać ją za mąż za niejakiego Gajusza Juliusza Cezara. Ona sama miała wtedy szesnaście lat i skrycie kochała się w pewnym kliencie swego ojca, jednak wiedziała doskonale, że nigdy nie dostanie go za męża. Pamiętała swoją bezsilność, rozczarowanie i strach. Usiłowała szukać pocieszenia i zrozumienia u matki. Daremnie. Matka została wydana za mąż mniej więcej w tym samym wieku za człowieka, którego ledwie знаła. Jedyne, co mogła poradzić córce, to by była posłuszna ojcu, a potem mężowi, i by nie wyzwała się spod władzy ojcowskiej, dopóki nie urodzi dziecka. Dlatego też Aurelia przed upływem roku spędziła trzy kolejne noce w domu ojca.

Pamiętała też doskonale poruszenie na widok swego przyszłego męża. Gajusz Juliusz Cezar okazał się mężczyzną przystojnym, dość ambitnym, by starać się o urzędy, odpowiednio majątnym, by zapewnić jej życie na odpowiednim poziomie, a do tego dobrym strategiem wojskowym i człowiekiem inteligentnym, obeznanym z różnymi naukami. Był od niej, naturalnie, starszy, ale to nie przeszkadzało wcale ojcu zaaprobować ten związek.

Aurelia straciła poczucie czasu. Wydawało jej się, że znowu jest w domu swego ojca i że w obecności kapłanów zawiera małżeństwo z Cezarem. W prostej białej szacie, w welonie na zaplecionych w sześć warkoczy włosach podawała mu drżącą rękę, a potem kapłan owinął ich ręce i związał razem. Noc poślubna... Aurelia nie miała wcześniej pojęcia, jak wygląda mężczyzna, toteż przeraziła się we wspólnej sypialni. Cezar miał niejedną kobietę przed nią, ale był delikatny i czuły, pełen zrozumienia dla jej niewiedzy.

A potem zaczęła przywiązywać się do niego i wreszcie pokochała go, nie tak mocno jednak i nie z taką namiętnością,

o jakiej marzyła jako młoda dziewczyna. On miewał kochanki, o czym doskonale wiedziała, ale na pierwszym miejscu stawiał zawsze dom i rodzinę. I kochał swoje dzieci, wszystkie uznał bez zastrzeżeń, zajmował się nimi i sam je pielęgnował, przeżywał ogromnie wszystkie ich choroby i wprost nie mógł się doczekać dnia, w którym wprowadzi Gajusza na Forum, gdzie chłopiec otrzyma togę męską i zostanie przyjęty w poczet obywateli. Niestety, nie było mu to dane.

Aurelia ocknęła się. Znajdowała się w domu swojego syna, który zajmował z racji swego stanowiska, czterdzieści dwa lata po tamtych wydarzeniach, a przed nią stała wnuczka Julia, z przerażeniem w oczach informująca o mającym się odbyć ślubie.

- Pompejusz - powtórzyła babka jeszcze raz. - Cóż, to nie jest zły wybór, moje dziecko.

- Ale, babciu, on jest starszy od mojego ojca! - wykrzyknęła Julia z rozpaczą. - Ma niemal tyle lat co ty!

- No, nie przesadzaj - obruszyła się babka. - Jest w wieku Cyncerona. Nie można nazwać go starcem.

„Jest ode mnie starszy o dwadzieścia cztery lata” - pomyślała Julia, czując, jakby wbijano jej sztylet w serce. „W dodatku rozwodnik obarczony dziećmi, brzydki, gruby i wstrętny. Wygląda tak, jakby zaraz miał dostać ataku serca”. Julia omal nie zachichotała ze swego porównania, ale tak naprawdę nie było jej do śmiechu. Pomyślała, że ojciec wygląda bardzo młodo przy Pompejuszu. Wydawał się starszy nawet od Cyncerona. Każdy wyglądał młodo przy Wielkim Pompejuszu!

- Babciu, ty mi w ogóle nie współczujesz - stwierdziła Julia z oburzeniem.

- Bo prawdę powiedziawszy, nie mam czego - odparła Aurelia szczerze. - Mało która dziewczyna wychodzi za mąż z miłości. Chwalebny wyjątkiem była twoja matka. Zostałam wydana za twojego dziadka, bo tak sobie zażyczył mój ojciec. Tak było dla niego wygodnie i widział korzyści w tym związku. A Gajusz niewątpliwie ma interes w tym małżeństwie.

- O tak - prychnęła Julia, która nigdy nie mogła przejść do porządku dziennego nad faktem, że babka zwraca się

do ojca jego pierwszym imieniem.

- Z logicznego punktu widzenia, Julio, to małżeństwo jest ze wszech miar korzystne również dla ciebie. Człowiek z pozycją i majątkiem Pompejusza to doskonała partia. Na twoim miejscu zamiast się zamartwiać, cieszyłabym się, że Gajusz nie chce cię wydać na przykład za Krassusa.

- Nie! - wzdrygnęła się Julia. - Ten jest jeszcze gorszy.

- Albo za Lepidusa - ciągnęła babka bezlitośnie. - Albo za jakiegoś młodego fircyka, któremu musiałby nieustannie pomagać w karierze, żebyś ty na tym nie straciła. Prawda jest taka, moje dziecko, że kiedy mężczyźnie rodzi się syn, nie musi on przeznaczać majątku godnego królów perskich na posag, ale gdy na świat przychodzi córka, daje mu to obiecujące perspektywy na przyszłe sojusze.

Julia skrzywiła się. Nie cierpiała, kiedy babka zaczynała gadać w ten sposób. A ostatnimi czasy Aurelia miewała do tego skłonności. Julia wiedziała, że jej kuzynka Attia została wydana za męża za Oktawiusza właśnie ze względów politycznych.

- Jesteś córką Cezara, Julio - odezwała się babka poważnie. - Z tego powodu cieszysz się szacunkiem ludu rzymskiego, pomimo młodego wieku i faktu, że nie jesteś matroną. A teraz zostaniesz na dodatek żoną Pompejusza. Z drugich szeregów przejdziesz do pierwszych.

- Ojciec mógł mnie wydać za Antoniusza - mamrotała Julia pod nosem, zasiadając do przedzenia wełny.

- Za tego pijaka i rozpustnika! - oburzyła się Aurelia. - I co z tego, że jest przystojny, skoro zmienia kobiety raz na tydzień, a ze swoją żoną żyje jak pies z kotem? Daj spokój, Julio, mogłaś trafić znacznie gorzej. A Gajusz z pewnością kierował się twoim dobrem.

Dziewczyna milczała. Zanim Cezar wyszedł z perystylu, dostrzegła wyraz jego oczu. Chociaż minę miał jak zwykle pewną siebie, z jego spojrzenia wyczytała wielką niepewność i świadomość ryzyka. I nie chodziło mu tylko o siebie, lecz również i o nią. Doszła do wniosku, że w głębi duszy Cezar podejrzewał, iż jego przemyślenia i obliczenia mogą być mylne, a jej wcale nie czeka tak wspaniałe małżeństwo, jak starał się

jej wmówić.

To bynajmniej nie podnosiło jej na duchu.

Julia westchnęła głęboko i zajęła się pracą. Ostatecznie nie było jeszcze pewne, czy jej podejrzenia okażą się zasadne. Uznała, że nie warto martwić się na zapas. Jednak pomimo całego wysiłku i dobrej woli, by się nie przejmować, jakiś cichy głos szeptał jej do ucha, że sprawa z Pompejuszem nie skończy się dobrze. Może to było przeczucie, a może po prostu dziecinny strach... Na szczęście Julia nawet nie podejrzewała, jaki za kilka lat cała ta sprawa będzie miała finał...

\*

Cezar stał oparty o kolumnę w pięknym ogrodzie swej wiejskiej willi i spoglądał przed siebie niewidzącym wzrokiem. Tam, w tablinum, Krassus i Pompejusz usiłowali się ze sobą porozumieć. Prosili, by na chwilę zostawił ich samych, więc udał się na taras, gdzie znajdował się wiszący ogród. Trzymał w dłoni puchar rozwodnionego wina z lodem. Po ten lód niewolnicy biegali wysoko w góry. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie, ale Cezar cenił sobie zbytek i miał odpowiednio wyszkolonych niewolników tylko do tej jednej posługi.

Krajobraz się nie zmienił. Wszystko tu było po dawnemu. Nie rozlegały się tylko radosne okrzyki i śmiechy, brakowało wesołości. Służba krzątała się po pustych pokojach, zarządca przyjeżdżał tu dwa razy w miesiącu, a on, Cezar, nie mógł znieść spokoju domu, w którym kiedyś tętniło życie.

Ileż to razy przechadzał się tymi alejkami z Kornelią, a Julia biegała dookoła, dokazywała z psami, które Cezar sprowadzał specjalnie z zamorskich krajów, piszczała z uciechy, baraszkuje z kociętami. Wszędzie jej było pełno. Cezar obejmował żonę w talii, czuł jej wąską kibić. Ogarniały go wtedy żar, czułość i pragnienie, a nade wszystko uczucie szczęścia i spokoju.

Ścieżki zarosłyby, gdyby nie niewolnicy, którzy regularnie strzygli trawniki. Kiedy Cezar ostatnio tu był, obejmował inną

kobietę, Serwille, ale jej usta nie miały tego różanego posmaku, co wargi Kornelii. Jej talia nie była tak wąska, ręce nie tak delikatne. Pożądanie też nie było już tak wielkie.

Od śmierci Kornelii minęło prawie dziesięć lat, a on wciąż za nią tęsknił, śnił o niej nocami, ciągle w myślach wołał jej imię, nie mogąc zapomnieć, uwolnić się, czego też wcale nie pragnął. Dzieląc rozkosz z jakąkolwiek kobietą, widział przed oczami twarz żony. Kiedy uniesienie opadało, dostrzegał jakąś inną, młodą, obcą, której wcale nie kochał. Co chciał sobie udowodnić? Że go któraś pokocha? Że on pokocha inną?

Tak naprawdę wcale tego nie chciał.

Żądza sławy? Swoje nieposkromione pragnienia musiał gdzieś skierować, nie potrafił ich stłumić. Był stworzony do działania, nie chciał do końca życia uzalać się nad sobą. Pragnął coś osiągnąć. Dobrze wiedział, co to takiego. Nie chodziło o konsulat. To był jedynie szczebel na niekończącej się drabinie. Cezar pragnął teraz świetlanej sławy. Gotów był podzielić się po cichu władzą, rządzić Rzymem ze swego miejsca, obstawiać kandydatów, wyznaczać ludzi do spółki z Pompejuszem i Krassusem, byle tylko osiągnąć swoje. Apetyt rósł w miarę jedzenia. Chciał, żeby jego imię zapisano na kartach historii, żeby Kornelia tam wśród nieśmiertelnych mogła być z niego dumna.

Ale czy chodziło tylko o Kornelię? Czy nie miał bardziej na względzie własnych ambicji? Przecież gotów był poświęcić Julię w imię swoich interesów. Targały nim wyrzuty sumienia i poczucie winy, ale mimo wszystko chciał dobić targu. Dążył do tego od kilku lat, a kiedy nadarzyła się okazja, postanowił bezlitośnie ją wykorzystać. Nie chciał zmarnować takiej szansy.

Postawił Pompejuszowi i Krassusowi warunki sojuszu, ale wcześniej każdemu z osobna i obu razem nakreślił wspaniałe perspektywy. Krassus wyruszy na Wschód, jak tego chciał, zaraz po konsulacie, który obejmie z Pompejuszem za dwa lata. Ten ostatni otrzyma to, czego pragnął, a więc ziemię dla swoich weteranów. Jego ustawy zostaną wprowadzone w życie. A Cezar obejmie urząd konsula i w ramach namiestnictwa otrzyma Galie Zaalpejską oraz Ilirię. Pompejusz zaś dostanie jego córkę

za żonę.

Konsulat... Najwyższy urząd w państwie. Marzeniem każdego urzędnika, każdego kwestora, trybuna, pretora było przez rok być konsulem, mieć najwyższą władzę, sprawować rządy.

Cezar mógłby rozprawić się wreszcie z wrogami, z tymi, którzy mu przeszkadzali, nazywali go bawidamkiem, modnisiem, materacem króla Bitynii i tak dalej. Miałby szansę dobrać się do skóry Katonowi, temu arcyidiocie, wprowadzić swoje reformy, które obmyślał i udoskonalał przez ostatnie pięć lat, a kiedy ten bałwan zechce się sprzeciwić, będzie można wtrącić go do więzienia.

Cezar uśmiechnął się ponuro pod nosem. Nikt w Rzymie nie drażnił go tak bardzo jak Katon Młodszy. Wydawało mu się, że mądrością dorównuje swemu pradziadowi, sławnemu Katonowi Starszemu, ale mylił się ogromnie w tym względzie. Tak naprawdę był napuszonym osłem, który obnosi się ze swoją poważną miną i grzmi z mównicy, potępiając wroga partię i jej plany polityczne. Odznaczał się krótkowzrocznością i nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co Cezar widział już od dawna. Ba, nawet Cynceron dostrzegał pewne oznaki rozkładu Republiki i prywatnie przyznawał, że ten ustrój nie ma wielkich szans na przetrwanie. Jednak Katon uparcie powtarzał swoje. Poza tym Cezar żywił do niego osobistą awersję, między innymi za powtarzanie owych beczelnych plotek o bityńskim królu. Nie mógł tego znieść. Nie potrafił pojąć, dlaczego stara plotka, pochodząca sprzed ponad dwudziestu lat, wciąż rozgrzewa tych idiotów z senatu.

Miał nadzieję, że Pompejusz i Krassus dojdą do porozumienia. Pokłócili się oni mniej więcej po słynnym powstaniu Spartakusa, po wspólnym konsulacie, a poszło, jak zwykle, o jakiś drobiazg. Pewnie sami już nie pamiętali, co było kością niezgody, ale uparcie trzymali się swoich racji i jeden na drugiego był śmiertelnie obrażony. Cezar starał się nie żywić urazy do nikogo (z niechlubnym wyjątkiem Katona), toteż nie pojmował, jak dwaj dorośli, rozsądni mężczyźni, którzy mieli ambicje być czołowymi postaciami w państwie, mogą się

zachowywać w taki sposób.

Bo gdyby się nie pogodzili... Cezar musiałby wszystko zaczynać od nowa, a do tego drzeć o własną skórę. Ci dwaj mieli pieniądze i wpływy, a więc znacznie więcej niż on. Bo jakkolwiek Cezar wyszedł z długów po swoich kampaniach w Hiszpanii, to jednak nie miał pieniędzy na armię ani na podboje zaalpejskich krain, o których mu się śniło.

Minęło sporo czasu, zanim tamci dwaj wyszli do ogrodu. Cezar zaczął już tracić cierpliwość i miał wielką ochotę sam wejść do tablinum, kiedy wreszcie zjawili się. Pompejusz ubrany był w żołnierski strój, chociaż właściwie powinien być odziany w togę, skoro przebywa w mieście, a nie paradować w czerwonym płaszczu imperatora i w wyszywanej złotem tunice. Za to Krassus miał na sobie togę. Cezar nigdy chyba nie widział niczego bardziej strojnego. Jako senatorowi i prokonsulowi przysługiwał mu purpurowy szlak na obramowaniu, ale Krassus musiał sprawić sobie ów szlak tak szeroki, jakiego nikt nie nosił, a do tego jeszcze przyozdobiony złotym i srebrnym haftem. Klamra spinająca jego płaszcz na ramieniu była szczerozłota, spinki u sandałów błyszcząły srebrem, a na każdym palcu nosił pierścień z drogimi kamieniami. Cezar, zobaczywszy go rano, omal nie parsknął śmiechem, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Sam przywiązywał wagę do stroju, ale nie uważał, że musi koniecznie opływać złotem i srebrem. Jakkolwiek swojej kochance podarował perłę o wartości przekraczającej dziesięciokrotnie cały jego majątek, jak powiadali złośliwi. Sam ubrany był w prostą i skromną togę, na palcu miał jedynie sygnet, za to włosy starannie ułożył, aby zaczątki jego łysiny nie były widoczne. Rzednące włosy przy skroniach były jego zmorą i udręką. Miał nadzieję, że skończy się na zakolach i nie wyłysieje. To by było naprawdę okropne.

Pompejusz stanął w swobodnej pozie, na ile pozwalała mu ciasno opięta tunika, i jakby od niechcienia przewiesił rękę przez balustradę.

- Ile lat ma twoja córka, Cezarze? - zapytał, przechodząc od razu do rzeczy.



„A co ci do tego, stary rozpustniku?” – pomyślał Cezar ze złością, ale się opanował. Jednak na myśl o Julii w łóżku z tym wielorybem ogarnęła go jeszcze większa złość.

- Dwadzieścia dwa. Po co pytasz, Pompejuszu? Wiesz o tym dobrze – odparł.

- Jest piękna. Musiała urodę odziedziczyć po matce.

- Bez wątpienia – mruknął Cezar.

- Chciałeś kiedyś poślubić córkę Cynny, Pompejuszu – wtrącił się Krassus. – Słyszę z urody na cały Rzym. Niestety, pewien fircyk cię ubiegł.

Cezar miał ochotę zdzielić ich obu, ale milczał. Mogli sobie oszczędzić drwin, nie po to ich tu zaprosił, by wypominali mu małżeństwo z Kornelią, lecz by się podzielili władzą nad Rzymem. Poza tym nie życzył sobie żadnych insynuacji pod adresem zmarłej żony, a tym bardziej Julii.

- No dobrze, przejdźmy do rzeczy – odezwał się wreszcie Pompejusz.

„Czas najwyższy” – pomyślał Cezar.

- Muszę przyznać, Cezarze, że masz śmiałe koncepcje – powiedział Krassus. – Znam cię od wielu lat, ale nigdy nie sądziłem, że coś takiego może ci przyjść do głowy.

- Och, Krassusie, jesteś mistrzem obłudy – uśmiechnął się Cezar. – Doskonale wiedziałeś, czego chciałem, za każdym razem, gdy pożyczaleś mi pieniądze. I jakoś nigdy nie wątpieś w to, że ci je oddam, chociaż czasami miałem z tym olbrzymie kłopoty.

- Jak na przykład wtedy, gdyś się zadłużył na hipotekę domu, by zostać najwyższym kapłanem – stwierdził Krassus.

- Do rzeczy – przynaglił Pompejusz. – To, co nam proponujesz, brzmi rozsądnie. Wszyscy trzej upieczemy pieczeń przy tym samym ogniu, a senatowi wyjdzie na dobre, jeśli wreszcie zostaną wprowadzone rozsądne ustawy agrarne i wojskowe.

„Teraz twierdzisz, że są rozsądne, kiedy uwzględniłem w nich twoich weteranów” – pomyślał Cezar z pogardą.

- Każ niewolnikom przynieść wino. Wypijemy za nasz genialny układ, którego pomysłodawcą jesteś ty, Cezarze! –

zawołał Pompejusz. - Nie tylko potrafię nakłonić nas, byśmy przyłączyli się do ciebie, lecz także, byśmy złożyli oręż przeciwko sobie nawzajem.

„O, matko” - pomyślał Cezar. „Że też ten wiecznie musi udawać, że przemawia w senacie!”.

Niewolnik przyniósł trzy puchary schłodzonego śniegiem wina i mężczyźni wzniesli toast za swój układ i jego nienaruszalność. Potem zaś przeszli do rozmowy o konkretach. Obaj mieli przekupić swoich klientów, by głosowali na Cezara w wyborach na urząd konsula na rok następny, a potem wspierać go w razie potrzeby siłą zbrojną i pieniędzmi. Do niego zaś należało wniesienie ustawy o nadaniu ziemi weteranom Pompejusza i zapewnienie im obu konsulatu na kolejny rok.

- Zdajesz sobie sprawę, że ja, twój zięć, będę starszy od ciebie? - zapytał Pompejusz po chwili.

Cezar miał wrażenie, że wnętrzności się w nim skręcają. Tak, świetnie zdawał sobie z tego sprawę, myślał o tym intensywnie całe noce, nie mogąc spać, zadręczając się pytaniami o przyszłość i dobro Julii, o ryzyko rozpadu sojuszu z zięciem, obmyślając, knując, przewidując i zaciskając zęby.

- Chcesz więc moją córkę za żonę? - zapytał słabym głosem.

- A któż odmówiłby takiej propozycji? - zarechotał Krassus.

- Podobno moja żona zdradzała mnie z tobą - zaczął Pompejusz powoli.

- Plotki - skomentował Cezar. - Nie mogła cię ze mną zdradzać, bo nie było mnie w mieście przez dłuższy czas.

- A twój rozwód z Pompeją kilka lat temu?

- Chcesz mi powiedzieć, że ubodło cię to, Pompejuszu? Nic ci na ten temat nie powiem, to sprawa między mną a moją byłą żoną.

Pompejusz się roześmiał.

- Twoja córka jest młoda, piękna i inteligentna. Liczę na to, że da mi wspaniałe dzieci i będzie umilać moje noce i życie.

Cezar zacisnął szczęki, aż kości uwydatniły się na jego policzkach. Od zarania dziejów układy polityczne zawierano

przez sypialnię. Doskonale o tym wiedział. Nie mógł się już wycofać. Rozumiał, że zdoła związać ze sobą Pompejusza tylko wtedy, gdy Julia urodzi grubasowi dziecko, które będzie zarazem jego, Cezara, wnukiem. Będą ich łączyć więzy krwi, najsilniejsze ze wszystkich, niezrywalne, święte.

- Myślę, że ślub odbędzie się w przyszłym miesiącu. Co ty na to, Cezarze? - zapytał.

- Muszę pomówić z Julią - odparł Cezar. - Jeśli nie będzie miała nic przeciwko temu, może być w przyszłym miesiącu. Moja matka zajmie się wszystkim.

- Doskonale - zaśmiał się Krassus. - Widzę, że się dogadaliście. To teraz pomówmy o twoim namiestnictwie, Cezarze. Dlaczego Galia?

- Bo nie jest podbita - odparł Cezar zwięźle.

- To ci się nie uda bez pretekstu - stwierdził Pompejusz.

Cezar utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie swoich czarnych oczu. Wyglądał niesamowicie, jakby w tej chwili zajrzał w przyszłość i miał gotowy plan, który tylko czeka na realizację.

- To znajdę sobie pretekst, Pompejuszu - powiedział wolno. - Galowie nie potrafią żyć ze sobą w zgodzie. Okazja zawsze może się nadarzyć. A jak nie, to sam ją stworzę. Ani się obejrzysz, a Galia będzie moja.

- Ani ty się obejrzysz, a moja będzie twoja córka - zachichotał Pompejusz, zadowolony ze swego godnego Plauta dowcipu.

Cezar westchnął ciężko.

- Tak, w to nie wątpię - odparł. - A teraz, przyjaciele, chodźmy na kolację, którą specjalnie dla was przygotowałem.

Z obłudnie szerokim uśmiechem poprosił ich do triclinum. Wlokąc się za nimi, rozmyślał o konsulacie i prokonsulacie. Chciał sprawować władzę co najmniej pięć lat, żeby móc faktycznie zdobyć ziemie na północ od Alp.

Jednak i on, podobnie jak Julia, nie wiedział, jak ogromną cenę przyjdzie mu za to zapłacić.

- Galia - szepnął. - Tak, ona przyniesie mi nieśmiertelną chwałę.

## II

Gwynn leżała na trawie i spoglądała w niebo. Było idealnie niebieskie, upstrzone gąbczastymi chmurkami, które leniwie przesuwały się z zachodu na wschód, gnane delikatnym wiatrem. Był schyłek lata, dni pozostawały ciepłe, ale w powietrzu czuć już było charakterystyczny zapach nadchodzącej jesieni. Gwynn lubiła tę porę roku. Srebrne nitki pajęczyn tańczące na wietrze, pachnąca trawa i chłodne wieczory. Wtedy odczuwała tęsknotę, której natury nie знаła, ale która była słodka i przyjemna, chociaż czasami także bolesna.

Gwynn miała szesnaście lat. Właściwie niebawem miała skończyć siedemnaście, a to oznaczało, że rodzice niedługo wydadzą ją za mąż. Nie spieszyło jej się, wcale tego nie chciała i na razie cieszyła się wolnością i swobodą. Cechowała ją właściwa dla jej wieku naiwność. Gwynn wyobrażała sobie, że rodzice nie każą jej od siebie iść, jeśli ona tego prędkiej nie zechce. Zupełnie nie przyjmowała do wiadomości faktu, że to nastąpi prędkiej czy później.

Imię Gwynn oznaczało jasność. Świetnie charakteryzowało urodę i osobowość tej dziewczyny. Jej matka, Evar, nadała dziecku imię po swojej babce. Nie spodziewała się, że będzie ono aż tak pasowało do córki. Gwynn była blondynką, a jej gęste kręcone włosy mieniły się różnymi odcieniami złota, latem zaś słońce rozjaśniało kosmyki wokół twarzy na kształt aureoli, co w dzieciństwie upodabniało ją do jakiegoś bóstwa. Oczy miała niebieskie, ale ich barwa zmieniała się w zależności od nastroju; przechodziła od ciemnego granatu w przejrzysty lazurowy kolor. Głębię tego koloru podkreślał fakt, że Gwynn

miała oczy duże, okolone długimi, ciemnymi rzęsami. Całości jej twarzy dopełniały regularne, delikatne rysy, pięknie skrojone usta i równe białe zęby, które niemal oślepiały, gdy prezentowała je w uśmiechu.

A śmiała się często. Była pogodnym dzieckiem, które wyrosło na wesołą młodą dziewczynę. Dlatego też Gwynn była lubiana zarówno w rodzinnej wsi, jak i w Gergowii, gdzie miała krewnych. Zresztą nie sposób było nie darzyć jej sympatią. Była życzliwą osobą, skora do pomocy i dla każdego miała zawsze dobre słowo.

Poza tym Gwynn była dziewczyną inteligentną i jej ojciec, Ruten, posyłał ją na nauki, ale nie zdecydował się oddać dziewczyny do zakonu wojowniczek. Wiedział, że tam jego córka posiadałaby wiedzę, ale zostałaby skazana na samotny żywot z dala od siedzib ludzkich i na obcowanie z mężczyznami, z którymi nie mogłaby się związać. Tak więc dziewczyna poznała podstawowe elementy walki, liznęła co nieco nauk przeznaczonych dla kobiet, które chciały kontynuować edukację, ale na tym się skończyło. Ruten uważał bowiem, że szkoda tak piękną dziewczynę oddawać wiedźmom na Sein, skoro dzięki wydaniu jej za mąż w odpowiednim czasie mógłby zawrzeć korzystny sojusz. A zdawał sobie sprawę, że wielu chętnych młodych mężczyzn tylko czekało, aż on podejmie decyzję.

Jednak ona nie miała pojęcia o ojcowskich planach. Świat małżeństw i układów był dla niej wciąż jeszcze niedostępny, nie śniła jej się nawet o tym, chociaż musiała nieraz słyszeć, jak Ruten rozmawiał z krewnymi i przyjaciółmi. Z pewnością była świadkiem, jak powtarzał, że chętnie zawarłby sojusz z rodziną któregoś z chłopców przebywających u niego w ramach tymczasowej adopcji. Bo chociaż już się związał z tymi rodami, biorąc ich synów na wychowanie, to więzy zawarte poprzez zaślubiny i ewentualne wspólne wnuki byłyby nienaruszalne, nawet gdyby małżeństwo się rozpadło.

W domu Gwynn zaś niemal co roku pojawiał się jakiś mały chłopiec, z kolei bracia dziewczyny przebywali gdzie indziej, w innych rodzinach albo posyłano ich na nauki do wojowniczek.

Ona i jej siostry wzrastały w atmosferze zawieranych sojuszków, dokonywanych umów i paktów. Nie było to dla nich niczym nowym. Pierwszym punktem zwrotnym w życiu Gwynn było zamążpójście jej najstarszej siostry, ale jednocześnie wydawała się nie brać pod uwagę, że ją samą też to wkrótce czeka. Wydarzenie to dało jej tylko do zrozumienia, że dorasta.

Jednak tego dnia, kiedy wylegiwała się na trawie, chociaż matka posłała ją po zioła na łąkę, Gwynn nie przejmowała się takimi sprawami jak małżeństwa i sojusze. Zapomniała o całym świecie, kiedy w przerwie między zbieraniem ziół położyła się na chwilę i spojrzała w niebo. Było idealnie błękitne, jasne, aż oczy bolały, kiedy w nie spoglądała. Było jej tak cudownie błogo, słońce grzało, więc podwinęła długą suknię nad kolana, by skóra wchłonęła trochę ciepła. Zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca, jakby zapominając, że od tego zrobią jej się piegi. Uśmiechała się błogo, rozkoszując ostatnimi ciepłymi dniami tego lata.

Nie wiedziała, w którym momencie zasnęła. A sen miała osobliwy. Kiedy później go analizowała, doszła do wniosku, że czuje się, jakby ktoś przesyłał do niej wizje. Nie potrafiła jednak powiedzieć, kto i dlaczego miałyby to zrobić. Nie rozumiała tego snu. Ani ona, ani jej najbliżsi.

Stała w blasku słońca i miała świadomość, że jest bliska śmierci. Nie przewróciła się właściwie tylko dlatego, że jakaś silna ręka trzymała ją za ramię. Była wycieńczona, wiedziała, że od wielu dni nic nie jadła, a piła jedynie krople deszczu spadające na ziemię. Czuła się nędzna i umęczona. Kiedy spojrzała na swoje ręce, zauważyła, że są brudne, podrapane i zniszczone, jakby grzebała nimi w ziemi.

Przed nią ktoś stał. Nie potrafiła rozpoznać twarzy tego człowieka, bo słońce świeciło jej prosto w oczy, oślepiając. Widziała tylko jego ręce wyciągające się do niej, silne, mocne dłonie; lewa była ozdobiona pierścieniem, jakiego nie nosił żaden z Celtów. Skóra tych rąk była śniada, szorstka, wyrobiona od broni. Gwynn wiedziała, że ma przed sobą żołnierza.

Słyszała głos, który tonął jednak w szumie lamentów

i skarg, wśród szczeru broni i jakichś okrzyków. Chwiała się na nogach, usiłując spojrzeć w oczy temu człowiekowi. We śnie miała świadomość, że go zna, że zrobiła kiedyś coś dla niego, ale jej otępiały umysł nie był w stanie sobie przypomnieć, co to było. Ten człowiek kojarzył jej się w owej wizji z wyrzutami sumienia i poświęceniem, ale jednocześnie poruszał w jej duszy jakieś tajemnicze struny, o których nie miała pojęcia.

Jednocześnie przechodząc w ramiona tego człowieka o mocnym, a jednocześnie w jakiś sposób łagodnym głosie, wiedziała, że tam, za nią, są jej najbliżsi, że z jedną osobą jest silnie związana. Nie potrafiła jednak określić, jakiego rodzaju są to więzy.

Wizja się zmieniła. Gwynn trzymała na rękach dziecko i spoglądała na nie z przerażeniem i narastającą miłością. Czuła, że ma za sobą długą walkę między nienawiścią, strachem i czułością, między poczuciem obowiązku i obawą przed wyrokiem, między pogardą i budzącą się nadzieją. Miała przedziwne uczucie, że nie może wracać do domu, że ktoś jest na nią zły, że nie chcą jej tam widzieć, a jednocześnie, że osoba, z którą czuła więź w poprzedniej wizji, jest gdzieś daleko, poza jej zasięgiem.

Gwynn jęczała przez sen, ale nie mogła uciec od wizji, które były jasne, krystalicznie czyste, a zarazem niejasne i zagmatwane.

Obraz się ulotnił. Gwynn klęczała na marmurowej posadzce i ścisnęła w dłoniach tamte ręce, które wcześniej się do niej wyciągały. Ale teraz były starsze, bardziej zniszczone czasem, wyrobione od miecza, mimo to wciąż silne i mocne. Były mokre od jej łez, bo całowała je i prosiła o łaskę.

Ale dla kogo?

Kiedy uniosła głowę, ujrzała kobietę siedzącą na czymś, co mogło przypominać tron. Była młoda, młodsza od Gwynn w tej chwili, pełna dumy i szlachetności. Miała rysy twarzy, jakich dziewczyna nigdy nie widziała. Kobieta była odziana w kosztowne szaty, a czarne lśniące włosy opadały jej luźno na ramiona.

Gwynn przez łzy nie widziała twarzy mężczyzny, przed

którym klęczała. Kiedy spojrzała na niego, dostrzegła jedynie zarys sylwetki i lśniące ciemne oczy. I znowu naszło ją przekonanie, że wcześniej już go widziała, że go zna, ale teraz łączy ją z nim znacznie więcej.

„Życie” – krążyło jej po głowie.

Była w jakimś ciemnym miejscu, stała przed drzwiami, które ktoś otwierał. Smuga światła wpadała do środka, na kamienną ławę, na której ktoś leżał. Gwynn weszła do pomieszczenia i dotknęła leżącego, ale kiedy się odwrócił, dostrzegła tylko migotliwe niebieskie oczy. Ich barwa była tak intensywna jak kolor nieba, które widziała przed chwilą.

Obudziła się.

Intensywnie niebieskie oczy nie znikają. Dziewczyna zamrugnęła, przekonana, że nadal śpi, ale ku jej zdumieniu okazało się, że to nie wizja, lecz jawa. Leżała na ławie, obok niej stał wiklinowy kosz, a nad nią pochylał się jakiś młody człowiek, któremu jasne włosy opadały na ramiona prześwietlone promieniami słońca niczym nimb, a niebieskie oczy połyskiwały w półcieniu twarzy.

- Czy ty mi się śnisz? - wymamrotała Gwynn, usiłując wstać.

Uprzytomniła sobie, że ma podciągniętą suknię, więc szybkim ruchem doprowadziła na sobie ubranie do porządku.

Nie była do końca przekonana, czy to, co widzi, nie jest kolejnym wytworem jej wyobraźni. Wciąż pozostawała pod wpływem wizji, których nie rozumiała, nie potrafiła rozróżnić rzeczywistości od snu.

Ale ten, który się nad nią pochylał, zdecydowanie należał do świata ludzi. Był to młody mężczyzna, wysoki i smukły, ale znać po nim było, że albo jest wojownikiem, albo czymś uczniem, ciało miał bowiem zwinne, wyćwiczone i sprężyste. Wspaniałe mięśnie rysowały się na jego ramionach i udach, kiedy się nad nią pochylał. Uśmiechał się, ukazując piękne białe zęby, silne i mocne. Dla Gwynn nieznamy był jak zjawisko.

- Zapewniam cię, że nie jestem marą senną - odparł pogodnie.

Gwynn wychwyciła w jego głosie nutkę żalu, jakby przeżył



niedawno coś smutnego.

- Nie to miałam na myśli - wymamrotała ponownie, zła na siebie, że nie potrafi powiedzieć nic rozsądnego. - Jedziesz z Gergowii?

„Co za głupie pytanie” - zganiła samą siebie w duchu. „A skąd niby ma jechać, skoro stoi tutaj, niemal na gościńcu! Pewnie nie chce mu się jechać normalną drogą i postanowił iść na skróty”.

- Pośrednio - odparł nieznajomy. - Wracam z gór. Jednak dopiero teraz widzę, jak mi brakowało tych starych kątów. A czemu śpisz na łące w biały dzień? Gdyby znalazł cię ktoś mniej porządny ode mnie, skończyłoby się zapewne czym innym niż pogawędką.

Gwynn spuściła oczy, bo doskonale wiedziała, co obcy ma na myśli. Tego rodzaju sprawy nie były jej nieznane, jakkolwiek wiedziała o nich tylko ze słyszenia i z opowieści innych kobiet. On zaś mówił o tym swobodnie. Gwynn wywnioskowała, że poznał kobietę i wie, z czego żartuje.

Wstała i otrzepała suknię.

- Chyba idziemy w tę samą stronę - zauważył przybysz. - Może cię podwieźć?

Dopiero teraz zauważyła konia stojącego nieco dalej i pasącego się spokojnie na łące.

- Nie trzeba - mruknęła Gwynn, nie rozumiejąc kompletnie, dlaczego tak jej głupio przed tym człowiekiem. - Mogę się przejść. I tak miałam iść do domu.

- To ja też się przejdę - zdecydował. - Masz jakieś imię?

- Gwynn - przedstawiła się. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że postąpiła okropnie niegrzecznie, nie zrobiwszy tego wcześniej.

- Gwynn? - nieznajomy zatrzymał się. - Córka Evar i Rutena?

- Tak. Znasz ich może?

Nieznajomy roześmiał się głośno.

- Ależ ja jestem ich przybranym synem! - oznajmił. - Nazywam się Galvan. Zanim wyruszyłem na naukę, mieszkałem w twoim domu. Czy raczej w domu twego ojca, bo nie wiem, czy

nadal tam mieszkasz.

Gwynn kiwnęła głową, wpatrując się w nieznanego jak w ducha. Pamiętała Galvana jak przez mgłę, bo kiedy udał się do Gergowii, miała ledwie trzy lata i nie potrafiła jeszcze zapamiętywać wielu rzeczy. Imię Galvan kojarzyło jej się z jasnymi włosami i zamętem na podwórzu ojca. W ostatnim czasie Gwynn zapomniała w ogóle, że ktoś taki istniał.

Spojrzała na niego uważnie. Był piękny, innego słowa nie potrafiła znaleźć. Wspaniała sylwetka, proporcjonalnie zbudowane ciało, wprost tryskające zdrowiem, energią i młodzieńczą siłą, gęste blond włosy o odcieniu pszenicy, twarz o regularnych rysach, no i te intensywnie niebieskie oczy, rozciągnięte w szerokim uśmiechu usta i ton goryczy w głębokim głosie... To był ten mały Galvan, z którym nie potrafiły sobie poradzić służące i niewolnice matki?

Gwynn zachichotała pod nosem.

- No cóż, urosłeś nieco - przyznała, odzyskawszy humor. - Chociaż muszę przyznać, że ledwo cię pamiętam.

Galvan nic nie mówił. Pamiętał, jak któregoś dnia podpatrzył odbywające się narodziny. To była Gwynn, ta wrzeszcząca, pokryta śluzem i innym paskudztwem istota, która wyszła z brzucha Evar. Potem nie zwracał na nią uwagi, była dla niego jednym z wielu dzieciaków biegających po podwórzu i snujących się po domu. W dodatku była dziewczynką, a Galvan uważał je wówczas za istoty niższego rzędu, coś w rodzaju psa albo kota, tyle że na dwóch nogach.

Ta Gwynn, starsza o szesnaście lat, była piękną dziewczyną. W niczym nie przypominała tamtego ohydneho noworodka.

- Właściwie nie nazywam się Galvan, ale możesz tak do mnie mówić - odezwał się po chwili. Jednocześnie przypomniał sobie swoje ostatnie postanowienie i stwierdził, że chyba powziął je pochopnie, ale Gwynn była przecież jego przybraną siostrą...

- A jak się nazywasz? - zapytała dziewczyna idąca obok niego.

- Wercyngetoryks. Takie imię nadała mi Scatah.

Na dźwięk imienia wojowniczkę Gwynn przebiegł dreszcz.

Zrozumiała, że Galvan wracał z tajemniczej nauki u wiedźmy i jest świeżo wtajemniczonym wojownikiem. Tyle że jej bracia byli w domu rok temu. Czuła jednak, że nie należy pytać tego człowieka o przyczyny jego dłuższego pobytu. To była jego sprawa.

Wercyngetoryks...

Gwynn poczuła delikatny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, zupełnie jakby ktoś położył jej tam coś mokrego.

- Czy wejdiesz ze mną do domu mego ojca? - zapytała po chwili, ze zdumieniem zdając sobie sprawę, że obawia się jego odmowy.

Ale Galvan uśmiechnął się pod nosem.

- Tak by wypadało - powiedział. - Bo choć nie są już moimi rodzicami, a ja muszę wracać do domu i przejąć dziedzictwo po ojcu, wypada, bym złożył podziękowania Rutenowi za opiekę, jaką nade mną roztaczał.

Gwynn spojrzała na niego i nagle przypomniała sobie, z jakiego rodu pochodził Galvan. Był ślubnym, jedynym legalnym synem Celyllusa. Wywodził się z rodu naczelników. Gdyby komuś należał się tytuł królewski, miałyby do niego prawo. Ta nagła świadomość sprawiła, że Gwynn zakreśliło się w głowie. Pojęła bowiem, że idzie ramię w ramię z potomkiem starożytnych królów Galii, z dziedzicem pradawnych władców, którzy rządzą Celtami, kiedy ci kontynuowali swą podróż ze Wschodu. Gdy sobie to uświadomiła, poczuła zamęt. Sojusz z kimś tak wysoko postawionym oznaczałby podniesienie pozycji i prestiżu rodu... Ale dla niej to słowo wciąż pozostawało niezrozumiałe, a na wpół dziecinny umysł zaczynał się dopiero budzić. Wszelako owo przebudzenie, skoro już się zaczęło, miało następować bardzo szybko i gwałtownie, czyniąc z młodej, naiwnej dziewczyny dorosłą kobietę.

Jednak ona sama nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

\*

Gdy Galvan nadszedł od strony domu Evar, Geillis zajęta była wyplataniem koszy z wikliny. Robota całkowicie ją pochłaniała.

Na podwórzu kręciły się służące i dzieci, a sama pani domu skupiona pochylała się nad wyplatany koszykiem, co i raz odgarniając z czoła kosmyki włosów, które wysypywały się jej z warkocza.

Galvan przystanął i przez chwilę w milczeniu patrzył na matkę. Nie widział jej przez szereg lat, pominąwszy spotkanie na rynku w Gergowii, kiedy pierwszy raz w życiu rozmawiała z nim poważnie. Stojąc tak, Galvan zastanawiał się, co właściwie do niej czuje. Była jego matką, urodziła go, ale to nie ona zajmowała się jego wychowaniem. Była z nim przez trzy lata, jak nakazywał obyczaj, ale rozumiał, że nie mogła postąpić inaczej.

Pomyślał o widocznym związku między Scatah i Uatah, matką i córką. Poczuł, że on tak naprawdę z nikim nie jest związany prawdziwymi więzami. Jego ojciec zmarł czternaście lat temu, a on sam niemal tyle samo czasu spędził poza domem. Teraz zaś wracał, by przejąć domostwo, którego był prawnym panem.

Ale czy tak naprawdę na tym mu zależało? Galvan znał odpowiedź: pragnął jedynie być z Uatah i Aife. Niestety, tego właśnie nie było mu wolno.

Przymknął oczy. Geillis wydała mu się kimś obcym. Siedziała przed nim piękna kobieta ze śladami zmęczenia na twarzy, ale nie czuł, by łączyła ich jakaś więź. Przez chwilę miał wrażenie, że ona nic dla niego nie znaczy.

W tym momencie Geillis uniosła głowę i ich oczy spotkały się. Przez nieskończenie długą chwilę patrzyła na niego, jakby nie poznając i nie pojmując, kto przed nią stoi, po czym bez słowa zerwała się z miejsca i padła młodzieńcowi w ramiona. Galvan zauważył, że jest od niej sporo wyższy, a przecież zawsze to ona spoglądała na niego z góry i schylała się do niego. Objął ją właściwie odruchowo, ale kiedy poczuł ramiona zaciskające się wokół jego szyi, chwyciło go wzruszenie i nagle uświadomił sobie dobrze znany fakt – że ta kobieta jest jego matką. Krew z krwi, kość z kości. Był jej synem, którego przez dziesięć miesięcy<sup>1</sup> żywiła w swoim łonie, którego urodziła w mękach i którego oddała w milczącym

cierpieniu na wychowanie obcej kobiecie.

Wreszcie Geillis odsunęła się na tyle, by spojrzeć mu w twarz. Galvan zauważył, że się zmieniła. To już nie była tamta piękna młoda dziewczyna, którą pamiętał u Maerina. Stała przed nim dojrzała kobieta, której smutki wyryły zmarszczki wokół ust, a chwile szczęścia – w kącikach oczu. Galvan pomyślał, że musiało jej być ciężko po śmierci Celtyllusa. Odbiło się to na jej twarzy, choć nie mogła mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

Ale nadal była piękna. Tyle że teraz w inny sposób.

– Wracasz od Scatah? – zapytała Geillis po chwili. – Spodziewałam się ciebie później.

– Dlaczego później?

– Brennus wraca dopiero na święto Samain. Myślałam, że przyjedziecie razem – wyjaśniła. – Ale to lepiej, że jesteś teraz. Słyszałam, że zostałeś wybrany przez jej córkę.

Galvan zacisnął zęby. Nie chciał, by ktokolwiek mu o tym przypominał, jednak musiał się liczyć z faktem, że takie wieści prędzej czy później dotrą do jego domu.

– Tak czy inaczej zaskoczyłeś mnie – kontynuowała Geillis, która mówiła głównie po to, by zamaskować wzruszenie. – Będę musiała wydać ucztę na cześć twojego powrotu.

– Nie spieszy się – odparł Galvan. – Wcale mi do tego nie pilno.

Wyraz twarzy Geillis zmienił się. Galvanowi wydawało się, że w jej oczach pojawił się strach.

– Musimy pomówić, synu – powiedziała cicho. – Ale nie tutaj i nie teraz. Są sprawy do załatwienia, a im szybciej to zrobisz, tym lepiej.

Galvan popatrzył na nią pytającym wzrokiem. Kobieta rozejrzała się dyskretnie.

– Mój mąż, a twój stryj jest z mężczyznami na radzie, więc chwilowo się tu nie zjawi – mruknęła. – On wcale nie jest rad z twojego powrotu, Galvanie, i nie ukrywa tego przede mną.

– Co ci mówi? – zapytał cicho.

– Nic konkretnego, ale z jego półsłówek zrozumiałam, że nie jest ci przychylny. Zresztą raz powiedział mi wprost, że nie

cieszy się z twojego rychłego powrotu. Rozumiesz?

Galvan pokiwał smętnie głową. Chciał zapytać matkę o wiele spraw, ale Geillis położyła mu palec na ustach.

- Nie teraz - mruknęła. - Nie tutaj. Powiedz mi tylko jedno, Galvanie. Czy Uatah urodziła ci syna?

Galvan drgnął. Przez ostatnie dni starał się nie myśleć o Uatah i swoim dziecku, toteż pytanie zadane przez matkę ugodziło go w samo serce.

- Nie - szepnął. - Córkę. Aife.

- To dobrze - odetchnęła Geillis.

- Dlaczego dobrze? - chciał wiedzieć.

Geillis spojrzała mu głęboko w oczy.

- Bo twojej córki nie zabiją. W końcu nie przedłuży ona rodu Celyllusa - odparła poważnie.

W tym momencie Galvan zrozumiał, o czym Geillis chce z nim porozmawiać. Ona jednak odwróciła się już od niego i weszła do domu, by wydać odpowiednie polecenia. W głębi duszy modliła się do wszystkich znanych jej bogów, by Cynnus, jej mąż, nie nabrał jakichkolwiek podejrzeń, kiedy ona i Galvan ułożą plan działania. Inaczej mogłoby się skończyć źle.

Cały problem polegał na tym, że Cynnus, młodszy brat Celyllusa, nie miał ochoty przekazywać domostwa swemu bratankowi. Był tutaj panem i władcą, miał możnych klientów, którzy przyczyniali się do wzrostu jego potęgi, a majątek Celyllusa przez ostatnich czternaście lat powiększył niemal o połowę. Złość go chwytala na myśl, że będzie musiał to wszystko oddać temu szczeniakowi tylko dlatego, że jest on prawnym następcą Celyllusa.

Cynnus nie obawiał się za to wcale Celyllognatosa, starszego syna swego brata. Był on nielegalnym dzieckiem zrodzonym z niewolnicy, w dodatku druidem. Dlatego też mógł żyć w błogiej nieświadomości, podobnie jak Brennus, młodszy brat, i dwie siostry Galvana. Ale on sam od jakiegoś czasu był solą w oku Cynnusa.

Geillis widziała to wszystko i obawiała się najgorszego, toteż uważała teraz, że należy szybko powziąć jakieś kroki, by zapobiec ewentualnym knowaniom Cynnusa. Czasu zaś było

coraz mniej. Geillis widziała tylko jedno wyjście z sytuacji, które nie prowadziłyby do rozlewu krwi.

Istniała jedynie obawa, czy Galvan na to przystanie.

\*

- Jesteś dziś okropnie roztargniona - zganiła córkę Evar. - Nie rozumiem, co się z tobą dzieje.

Gwynn pochyliła głowę z poczuciem winy. Nie potrafiła skupić się na pracy, a za cokolwiek się wzięła, przerywała zajęcia w połowie i zatapiała się w myślach z dziwnym wyrazem rozmarzenia na twarzy. Sama nie pojmowała, co się z nią dzieje tego dnia.

- Jak będziesz się tak guzdrać, to do jutra nie skończymy z tą wełną - odezwała się młodsza siostra Gwynn, Maral. - Ktoś cię uderzył pałką w głowę, że się tak głupawo uśmiechasz?

Gwynn cisnęła w siostrę motkiem wełny, który usiłowała zwinąć.

- Nie dokuczaj mi. Zajmij się lepiej swoimi sprawami.

Evar tego dnia zagoniła córki i służące do zwijania ufarbowanych motków wełny, z których miała zamiar utkać suknie na zimę. Trzeba było się za to zabrać, jako że ostatnia pieśń lata przebrzmiewała i nadchodziła jesień. Do tej pory Evar pochłaniała pracę, toteż nie zwróciła uwagi na dziwne zachowanie starszej córki.

- Może jesteś chora, Gwynn? - zapytała. - Prawie nic nie jesz, chodzisz jak we śnie. Nie pojmuję, co się stało.

- Nic, matko - odparła Gwynn wymijająco. - Po prostu się zamyśliłam.

Evar miała na końcu języka, że od kilku dni Gwynn ciągle chodzi zamyślona, ale przezornie milczała. Tego wieczora Geillis i Cynnus organizowali ucztę z okazji powrotu Galvana do domu po czternastoletniej nauce. Wszyscy krewni i przyjaciele byli zaproszeni, podobnie jak sojusznicy plemienni. Evar nie miała ochoty na ucztę, ale wiedziała, że wypada iść, skoro została zaproszona jako jedna z pierwszych. W końcu przez cztery lata miała Galvana u siebie, zastępowała

mu matkę.

- Podobno Galvan ma dziecko z tą wiedźmą z gór - odezwała się Arna, konkubina Rutena, którą sprowadził do domu kilka lat temu, kiedy powiększyła się zagroda i przybyło dzieci. - Ponoć wybrała go spośród pięciu najlepszych.

Evar zerknęła spod oka na córkę. Dostrzegła, że Gwynn jest blada i ściska w dłoniach motek wełny. „A więc o to chodzi...” - pomyślała. „Syn Celyllusa, można było się tego domyślić”.

- Nie musisz rozsiewać dodatkowo plotek - zganiała nałożnicę Evar. - To nie jest pewne.

- Ależ jest. Geillis to potwierdziła.

Gwynn spuściła głowę i skupiła uwagę na zwijaniu wełny. Miała wrażenie, że ktoś przebił jej serce mieczem. „Ma dziecko, ma dziecko” - te słowa wibrowały jej w głowie. Oczywiście, Galvan zauroczył ją od pierwszej chwili. Gwynn widywała masę pięknych chłopców i przystojnych mężczyzn, nie żyła wszak na odludziu. Jednak do tej pory żaden jej nie zainteresował, co nieraz wytykała jej starsza siostra, kiedy się sprzeczały. Być może Gwynn była jeszcze zbyt dziecinna, żeby zwracać uwagę na mężczyzn. Niemniej jednak widok Galvana pochylającego się nad nią na łące i potem, kiedy szli razem do osady, był poruszający. Tamtego dnia Gwynn nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, co i raz wychodziła na podwórze, udając, że ma jakiś interes, i spoglądała w stronę domu Geillis, jakby liczyła na to, że zobaczy młodzieńca na drodze. Ale Galvan, rzecz jasna, nie przyszedł. Chociaż Gwynn wiedziała, że to nie nastąpi, czuła się rozczarowana.

Nazajutrz Geillis przyszła osobiście zawiadomić Rutena i Evar o uczcie. Zaprosiła też Gwynn z racji jej pełnoletności, ale mówiono o niej raczej jak o młodszej siostrze Galvana. Dziwnie się z tym czuła, zwłaszcza że przecież przez te wszystkie lata ledwo go pamiętała i nie śniło jej się, że kiedyś będzie dla niej coś znaczył.

Ujrzała go dopiero dwa dni później nad rzeką, gdzie udała się wraz z Maral, żeby zrobić pranie. Najwidoczniej akurat skończył się kąpać, bo stał mokry, przepasany jedynie



na biodrach, z długimi blond włosami ociekającymi wodą. Gwynn na widok jego wyćwiczonego ciała przebiegł dreszcz, poczuła ucisk w gardle i nieznanne dotąd ciepło, nieznośne i bolesne, kiedy krew odpłynęła jej na dół brzucha, jakby miała się tam zatrzymać na zawsze.

Galvan bez żenady wykręcił sobie włosy i podszedł do nich. Przywitawszy się z Gwynn jak z siostrą, zamienił z nią kilka słów, po czym zabrał swoje ubranie i oddalił się, zapewne by się w spokoju ubrać. Oczywiście, dziewczyna nie potrafiła skupić się na praniu, z czego naśmiewała się Maral. Na szczęście ta ostatnia nie odkryła jeszcze zafascynowania starszej siostry młodzieńcem. I dobrze, bo Gwynn nie potrafiłaby się z tego wytłumaczyć.

Od tamtego dnia nie umiała skupić się w zasadzie na niczym. We dnie i w nocy Galvan stawał jej przed oczami jak żywy, nie dawał spokoju, a ona starała się udawać, że wszystko jest po dawnemu, choć w głębi duszy czuła, że coś się zaczęło, jakby porwał ją wartki strumień i gnał na oślep przed siebie.

Wiadomość, że Galvan ma dziecko z inną kobietą, była dla niej jak cios pięścią. Zdawała sobie sprawę, że jest od niej pięć lat starszy, ale mimo to siedziała jak ogłuszona, kiedy matka i nałożnica ojca o tym rozmawiały. W zasadzie nie powinno ją to obchodzić ani tym bardziej dziwić. Nie było nic nienormalnego w tym, że młody człowiek związał się na rok małżeństwem z jakąś dziewczyną. A już zwłaszcza z wojowniczką, która go szkolila, by dał jej dziecko wedle przyjętego u nich zwyczaju. Ale Gwynn wyczuwała, że Galvana i tamtą dziewczynę łączyło coś specyficznego. Poznała to po spojrzeniu młodzieńca wtedy na łące. W tamtym momencie odniosła wrażenie, że z kimś ją porównywał.

No i miała odpowiedź. Ale czy to zmieniałoby stan jej ducha? Ani trochę, jak skonstatowała ze zgrozą. To nie miało żadnego znaczenia.

Jakiś głos rozsądku podszeptywał jej, że może się jeszcze wycofać, że nie jest za późno i wystarczy po prostu przestać o myśleć o Galvanie. Jednak wola nie chciała się temu podporządkować. Gwynn targały sprzeczne emocje. Z jednej

strony miała ochotę tańczyć z radości, która przepełniała jej serce, z drugiej myśl, że Galvan nie zwraca na nią uwagi, sprawiała, że chciała utopić się w rzece. Pragnęła, żeby się nią zainteresował, a zarazem bała się tego do szaleństwa.

Nie potrafiła poradzić sobie z nową rzeczywistością, w której nagle się znalazła. To było dla niej coś niesamowitego, jakby ktoś otworzył drzwi i wepchnął ją gwałtownie z ciemności w ostre światło. Nie rozumiała samej siebie. Jej oczy pragnęły widoku Galvana, uszy chciały słuchać jego głosu, ale jednocześnie ogarniał ją strach na myśl o czymś więcej.

Mimo starań nie potrafiła przestać myśleć o chłopcu. Nawet usłyszane wiadomości nie zdołały zmienić jej nastawienia i tej nieznaney dotąd siły, która zdawała się obudzić w Gwynn. Gdzieś w najdalszych zakamarkach swojej świadomości dziewczyna pojmowała, co to za siła i co to za strumień, który ją porywał i unosił gdzieś w nieznanne, ale bała się przyznać do tego sama przed sobą. Odruchowo obawiała się cierpienia, które mogło nadejść. Jedynie słyszała o nim we fragmentach wypowiedzi nałożnic i służących, mówiących czasami o chłopcach, których nie mogły dostać, gdyż wola rodziców była inna.

W umyśle Gwynn zaczynała narastać świadomość uzależnienia od woli ojca i matki oraz faktu, że ona sama się zmienia. To coś nowego, co pojawiło się na horyzoncie, było kuszące, a jednocześnie straszne. Gwynn, wypchnięta na światło, stała w progu, bojąc się ruszyć na drugą stronę ciemności. Jednak musiała to wszystko przeżywać, ponieważ pierwsze dziewczęce zauroczenie zawsze wiąże się z tęsknotą i słodczą przesyconą nutą goryczy. W przypadku Gwynn nie mogło być inaczej.

\*

Galvan z braku innego zajęcia przed ucztą, która miała się odbyć tego wieczoru, stał na podwórzu i czyścił konia zgrzebłem, chociaż ta czynność należała w zasadzie do niewolników. Potrzebował coś zrobić. Musiał odgonić

od siebie myśli, które nie dawały mu spokoju. Chciał przestać wspominać Uatah, a to nie było łatwe, dlatego angażował się w każde zajęcie domowe, a jeśli nie miał nic do roboty, ćwiczył się w walce.

Jego wuj, Gobannicjon, zastał go właśnie czyszczącego konia na podwórzu. Przyszedł na prośbę Geillis, by pomówić z siostrzeńcem w cztery oczy. Mieli przedyskutować poważne sprawy, o których matka nie chciała z synem rozmawiać.

Zdumiał go widok Galvana. Kiedy widzieli się ostatni raz, siostrzeniec Gobannicjona był kilkunastoletnim dzieciakiem, z którym nie wypadało pokazywać się publicznie. Teraz zaś, zaraz po uczcie, na której Galvan zostanie ostatecznie włączony w poczet dorosłych mężczyzn, miało się to zmienić.

Gobannicjon podszedł do siostrzeńca i bez żadnej zapowiedzi uściskał go. Galvan był zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Uśmiechnął się tylko, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Bądź co bądź nie widział wuja od wielu lat, a i przedtem nie miał z nim częstych kontaktów.

- A więc wróciłeś do domu, Galvanie - zagadnął Gobannicjon, który też nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę z obcym sobie człowiekiem, jakim był w tej chwili Galvan.

- Czas był ku temu - odparł młodzieniec zwięźle.

- A tak. Czas najwyższy - przyznał wuj. - Przyszedłem zaproponować ci wspólną przechadzkę, chyba że jesteś bardzo zajęty.

Galvan spojrzał na swojego konia, którego właśnie cesał. Robotę mógł dokończyć za niego sługa, toteż nie wahał się długo.

Było piękne popołudnie, wciąż ciepłe, przesycone zapachem trawy i ostatnich letnich kwiatów. Galvan pomyślał, że jeszcze niedawno przechadzał się tak z Uatah, kiedy jej stan nie pozwalał już na żadne szaleństwa.

Odpędził od siebie tę myśl.

- Chciałeś ze mną pomówić, jak sądzę? - dopytywał się Galvan.

- Otóż to - Gobannicjon postanowił nie owijać w bawełnę. - Musimy porozmawiać, Galvanie, gdyż sytuacja w twoim klanie

jest niepewna.

- Jak to?

Chłopcu przypomniały się zagadkowe słowa matki sprzed kilku dni. Poczłł nieprzyjemny skurcz w okolicach żołądka. Nie podobało mu się to, co słyszał od Gobannicjona.

- Problem polega na tym, że twój ojciec zmarł, kiedy byłeś dzieckiem - zaczął Gobannicjon. - Nie mogłeś przejąć po nim schedy, bo miałeś siedem lat i nie liczyłeś się w świecie mężczyzn. A twoja matka sama nie mogła rozporządzać dobrami, bo zaraz by uznano, że go otruła, i zostałaby spalona na stosie.

- Dlaczego?

- Czy nie uczyłeś się prawa u druidów? Zapomniałeś? Na dobrą sprawę twoja matka powinna była umrzeć razem z Celtyllusem, ale postąpiła słusznie, wychodząc za jego brata. Dzięki temu cały majątek pozostał w rodzinie. Jednak Cynnus przywłaszczył sobie tytuł naczelnika i wodza klanu, który należy się synowi jego brata.

- Czyli Celtillognatosowi.

- Czyli tobie. Twój brat jest druidem, a poza tym synem niewolnicy. Nic mu do twojego majątku. Ani Celtillognatos, ani Brennus nie mogą niczego odziedziczyć po Celtyllusie. Tylko ty masz to prawo. I to jest właśnie solą w oku twego wuja.

- Ale to bez sensu - mruknął Galvan. - Przecież on ma swój dom i swoich klientów. Myślałem, że to zostało jasno ustalone.

- Tak jak jasno ustalony był fakt, że twój ojciec rośnie w siłę i pewnego dnia zechce sięgnąć po jeszcze większą władzę. Wiesz, dlaczego Celtyllus chciał porozumieć się z Ariowistem?

- Z Ariowistem? - zdumiał się Galvan. Świtało mu w głowie, że kiedyś już odbył podobną rozmowę. Słyszał w niej o przywódcy Swebów zza Renu, Ariowiscie, młodym i prężnym wodzu, który rozgramiał w kolejnych bitwach Germanów zza Renu.

- Szukał przymierza, by osłabić sojuszników i zdobyć władzę, Galvanie. Twój ojciec chciał być królem, podbijając po kolei wszystkie plemiona celtyckie i panować nad nimi wszystkimi w zjednoczonej Galii. Dlatego go zabili.

Galvan stał nieruchomo przed swoim wujem. Oczywiście, wiedział, że zabito mu ojca, ale nigdy nie poznał do końca prawdy o jego zamiarach. Przypomniawszy sobie tamten dzień na rynku w Gergowii. Geillis informowała go wówczas o zamiarach Celyllusa, ale mówiła w sposób zakamuflowany, by nie podjął pochopnej decyzji.

Teraz zaczynał rozumieć, czego matka się boi.

- Myślisz, że Cynnus chce mnie zabić? - zapytał wprost.

Gobannicjon drapał się po głowie i skubał potężne wąsy, które opadały mu w dół twarzy. Nie spodziewał się, że chłopak zada to pytanie.

- Powiedzmy, że jesteś dla niego niewygodny - odparł. - Zrozum sytuację, w jakiej się znalazł. Po śmierci brata urósł w siłę, przejął majątek, żonę i klientów Celyllusa, a wszystko na mocy prawa rodzinnego. Żyje sobie jak król, nikt nie ośmielił się mu sprzeciwić. I nagle pojawiaasz się ty, prawowity spadkobierca, któremu to wszystko się należy na mocy prawa dziedziczenia. Dla niego oddanie ci ojcowizny będzie ciężkim ciosem, skoro nie wykazałeś się w walce, nie pokonałeś go w potyczce, nie udowodniłeś swego męstwa, a twój prestiż jak na razie bierze się stąd, że byłeś najlepszy u Scatah i masz dziecko z jej córką. Cynnus może być niebezpieczny także dlatego, że nie zna twoich zamiarów.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie masz syna i on może to wykorzystać. Nie wie, co zamierzasz. Czy chcesz udać się na wyprawę wojenną, podczas której łatwo możesz zginąć, a on będzie dalej przywódcą rodu i możliwym naczelnikiem? Czy chcesz najpierw się ożenić i zapewnić ciągłość rodu, odsuwając go natychmiast od piastowanego stanowiska? Czy każesz mu się wynosić i oddać całą schedę, czy też może zapragniesz, by ci pomagał i kierował twoim majątkiem, dopóki nie nabierzesz ogłady w tych sprawach?

- A ty co radzisz?

Gobannicjon zatrzymał się na skraju łąki i wskazał Galvanowi zakole rzeki, gdzie młode kobiety prały odzienie.

- Ożeń się - powiedział. - Jak najszybciej się ożeń i spłodź

syna. Będziesz miał wtedy gwarancję rodu. To jest jednak druga rzecz, jaką powinienes uczynić.

- A pierwsza?

- Oddal Cynnusa. Każ mu wracać na swoje dziedziny. Zawrzyj z nim sojusz, który łatwo będzie potem zerwać, wymieńcie zakładników, ale zażądaj najwierniejszego lub najbardziej umiłowanego, a sam daj mało znaczącego. Potem się ożeń.

- A potem?

- Idź na wojnę i odnieś zwycięstwo.

- Łatwo ci mówić.

- Wyprawa wojenna, Galvanie, dodaje prestiżu. Jeśli wykazesz się męstwem na polu bitwy, Cynnus będzie się bał cię zaczepić.

- A jeśli mimo wszystko zechce?

Gobannicjon spojrział mu głęboko w oczy. Galvan poczuł grozę, jakby tchnienie śmierci owiało go na krótką chwilę. Aż za dobrze rozumiał, co wuj chce mu przez to powiedzieć. Spojrział na dziewczęta śmiejące się przy pracy i poczuł ukłucie w sercu. Jak mógł zastosować się do rady Gobannicjona, skoro serce biło w nim dla jednej?

Wuj podążył za jego wzrokiem i uśmiechnął się.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Ja też uczyłem się kiedyś u wojowniczkii. To była Aife, matka Scatah. Sama była wtedy młodą dziewczyną, młodszą ode mnie. Uczyła się z nami, ale pod względem umiejętności przewyższała każdego z nas dziesięciokrotnie.

- Spałeś z nią? - przerwał Galvan.

- Nie. Ona nie była jeszcze gotowa, by poznać męża. Nie podołałem wszystkim próbom, a różniły się z pewnością od twoich - z wyjątkiem ostrza miecza. Każda mistrzyni ustala swoje próby, ostatnia jest jednak prastara. Mnie wtajemniczyła Aife, jej matka, a potem przez siedem dni zajmowały się tym adeptki. Kiedy przyjechałem do domu, ciężko mi było znaleźć kobietę, która wedle mnie odpowiadałaby tamtym. Ty niemniej nie zapominaj, że one są wyjątkowe, piękne i straszne, namiętne i zimne, bezlitosne, okrutne, a nade wszystko wierne

swoim prawom. Córka Scatah nigdy, przenigdy się z tobą nie zwiąże i nigdy do ciebie nie wróci. Nawet jeśli się spotkacie, nie pozwoli ci już zbliżyć się do siebie.

Galvan nie chciał pytać o powody. Znał je aż za dobrze, bo Scatah wyjaśniła mu wszystko.

- Biorąc żonę, nie musisz jej kochać - dodał Gobannicjon. - Ta kobieta ma dać ci syna. Po roku możesz ją zostawić, ale dziecko będzie legalne. Dziecko, Galvanie. Prawowity potomek. Tylko to się liczy.

Młodzieniec chciał protestować, ale głos uwiązł mu w gardle i nie mógł wydusić z siebie słowa. Wiedział, że Gobannicjon ma rację, jednak nie potrafił przyjąć jej do siebie. Poznał cierpki smak miłości i nie wyobrażał sobie, by mógł kłaść się do łóżka z kobietą, która będzie mu całkowicie obca.

- Jest jeszcze jedna sprawa - sprowadził go na ziemię Gobannicjon. - Zabójcy twego ojca.

- Co z nimi?

- Pamiętasz, jak zabrałem cię szybko do druidów?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Chyba rozumiesz, dlaczego tak mi się spieszyło. Gdybym zwlekał, ciebie prawdopodobnie też by zabili.

- Ale dlaczego? Przecież byłem dzieckiem.

- To jest właśnie powód. Nie chcieli, żebyś dorósł i dokonał zemsty, którą jesteś ojcu winien.

Galvan patrzył na wuja z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że mam ich pozabijać? Ale ja nawet nie wiem, kto to zrobił.

- Ja wiem. I kiedy przyjdzie czas, powiem ci. Jeżeli ich nie zabijesz, oni mogą zabić ciebie. Niebawem wszyscy, w Gergowii też, będą wiedzieli, że wróciłeś do domu. Wolę cię na to przygotować.

Galvan westchnął ciężko.

- Jeszcze jedno - dodał wuj. - Małżeństwo to sojusz. Szukaj najsilniejszych, którzy w razie potrzeby mogą cię obronić. To ważne, Galvanie.

Chłopak pokiwał smętnie głową. Tak naprawdę nie miał ochoty na wiązanie się z kimkolwiek, jednak milczał i nie

sprzeciwiał się. Kiedy opuszczał dolinę Scatah, sądził, że jest gotowy podjąć wszelkie wyzwania, jakie przyniesie mu życie. Teraz uważał, że nie potrafi sprostać najmniejszej przeciwności. Problem polegał na tym, że jemu najprostsze zadanie wydawało się absolutnie nie do wykonania.

\*

Tak naprawdę Galvan nigdy jeszcze nie brał udziału w uczcie i nie wiedział, czego ma się spodziewać. Jak przez mgłę pamiętał biesiady w domu Rutena, ale tam mali chłopcy mogli co najwyżej służyć przy stole, a potem zniknąć z pola widzenia. Jednak tego wieczoru uczta odbywała się na jego cześć, chociaż nie zasłużył się w bitwie ani nie dokonał niczego godnego upamiętnienia.

Poza tym rozmowa z Gobannicjonem nastroiła go niezbyt optymistycznie. Prawdę powiedziawszy, Galvan wcale nie miał ochoty na ucztę, zwłaszcza w towarzystwie Cynnusa i jego popleczników. Wiedział, że klientela jego ojca była bardzo liczna, tyle zdążył dowiedzieć się od matki. Na swoim dworze Celyllus gromadził szlachetnie urodzonych zakładników, zawierając przymierza z różnymi plemionami.

To wszystko należało do niego. Poza tym w skrzyniach miał mnóstwo złota i srebra, zarówno w postaci ozdób, jak i monet. Posiadał żyzne pastwiska, które przynosiły mu zyski, uprawne pola, hodowle koni, a nawet pasieki, w których jego niewolnicy wytwarzali miód. Miał również hodowlę ptactwa, a jego posiadłości rozproszone były w różnych miejscach i nadzorowane przez zarządców, a oddane pod opiekę klientom, którzy otrzymywali dwudziestą część zysków, resztę zaś z odsetkami oddawali Celyllusowi.

To także należało do niego. Jakby tego było mało, Celyllus posiadał własną drużynę, wojowników związanych sojuszem. Spiskowcy z pewnością nie pokonaliby go w otwartej walce, dlatego posłużyli się trucizną, tak utrzymywał Gobannicjon.

Zwierzęta, pola i grunty, pastwiska i lasy, domostwa zbudowane często na kształt prawdziwej fortecy, klientela



i niewolnicy, wśród nich bardowie, kucharze, kobiety, broń, klejnoty, szlachetny kruszec... Młodzieniec nie znał nawet setnej części ojcowskich dóbr.

Nic dziwnego, że Cynnus pragnął się tego trzymać i że on, Galvan, był stryjowi cierniem w oku. Dopiero po dłuższej rozmowie z Gobannicjonem chłopak zaczął rozumieć, że może mu grozić niebezpieczeństwo, a strach w oczach matki nie jest tylko wyolbrzymianiem problemu. Galvan uzmysłowił sobie, że prędzej czy później będzie musiał stanąć z Cynnusem w szranki. W najlepszym wypadku skończy się to jego wygnaniem. Być może Cynnus nie będzie miał odwagi zabić swego bratanka.

Młodzieniec zdawał sobie sprawę, że powinien mieć się na baczności.

- Podczas dzisiejszej uczyty musisz pokazać, że się go nie boisz - powtarzał mu Gobannicjon. - Majątek nie należał przez te wszystkie lata do Cynnusa, lecz do Geillis, z racji zawartego małżeństwa. Jemu należą się co najwyżej odsetki za prowadzenie gospodarstwa przez czternaście lat, ale nic poza tym, jeśli twoja matka zechce zerwać związek.

Galvan stwierdził, że w ustach wuja to wszystko brzmi prosto i naturalnie, choć rzeczywistość jest zupełnie inna. Za Cynnusem, który był wodzem swego rodu i jednym z naczelników plemiennych, stała masa ludzi. A kto stał za Galvanem? Geillis? To kobieta. Obowiązkiem Galvana po ewentualnym rozwodzie będzie znalezienie jej kolejnego męża, o ile ona tego zechce. Do tego czasu musiałby roztaczać nad nią opiekę, jednak w taki sposób, by nie krępować jej niezależności. Jakkolwiek pozycja Geillis była wysoka, nie należała ona do wojowniczek. Była wprawdzie arystokratką, jednak pozostawała tylko kobietą, w dodatku wdową po Celtyllusie.

Stojąc nad skrzynią z ubraniami po ojcu, Galvan zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła dorównać Gobannicjonowi sławą i potęgą. Niemal z nabożnym skupieniem wyciągnął ze skrzyni złoty torques, który kiedyś nosił Celtyllus. Był wykonany ze szczerzego złota, a jego zakończenia ozdobiono

głowami byków. Obok leżał złoty naramiennik i pas ze złotymi ozdobami. Świadek bogactw Celtyllusa. Galvanowi przemknęło przez myśl, że jeśli naprawdę chce sprowokować Cynnusa, powinien paradować w tych ozdobach podczas uczy. Czyż jako prawowity syn nie miał prawa do pamiątek po ojcu? O ile Galvan się orientował, ten torques należał do rodu od ponad dwustu lat. Służył jednemu z przodków Celtyllusa, który szedł na Rzym razem z Hannibalem.

Galvan uśmiechnął się ponuro na myśl, że Cynnus należy do tego samego rodu. Jednak torques przechodził z ojca na syna, a dopiero potem ewentualnie na brata. Gdyby Celtyllus nie miał synów, z pewnością torques przeszedłby w posiadanie jego brata, tymczasem był własnością Galvana.

Trzymając w ręku ozdobę, chłopak starał się przypomnieć sobie ojca. Było to trudne. Jak przez mgłę widział w pamięci potężną postać, jednak rysy twarzy Celtyllusa całkowicie zamazały się w jego umyśle. Mimo wszystko był jego synem i miał prawo do całego ogromnego dziedzictwa, jakie zostawił po sobie ojciec.

Snop światła przesłonił na chwilę cień i do izby weszła kobieta, niosąc jakiś przedmiot. Galvan szybko zatrzasnął wieko skrzyni, bojąc się, że to nałożnica Cynnusa albo jego córka z wcześniejszego małżeństwa. Nie chciał zostać przyłapany na grzebaniu w rzeczach, które wciąż formalnie pozostawały pod opieką tego człowieka.

Po chwili jednak okazało się, że w wejściu stoi młoda dziewczyna o jasnych rozpuszczonych włosach. Trzymała w rękach starannie złożoną szatę. Galvan przez chwilę spoglądał na dziewczynę, bo wydawało mu się, że skądś ją zna. Faktycznie, to była Gwynn, córka Evar. Chłopak odetchnął z ulgą. Gwynn stała nieśmiało w progu, nie bardzo wiedząc, czy wypada jej wejść do środka. Galvan przywołał ją gestem dłoni.

- Wejź! - zawołał. - Nie wypada, by gość stał w progu i nie mógł wejść do domu.

Gwynn podeszła do niego, wciąż tak samo spłoszona.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał Galvan, chcąc ułatwić jej rozpoczęcie rozmowy, chociaż prawdę mówiąc, domyślał się,

z czym przychodzi.

- Moja matka przysłała mnie do ciebie, panie, z tym darem - wyjaśniła Gwynn, wyciągając ręce. - Utknęła tę szatę jako ostatni podarunek dla ciebie, ponieważ byłś jej oddany w adopcję - głos jej się załamywał, jakby bała się mówić do niego otwarcie.

- Nie jestem dla ciebie panem - odezwał się. - Przecież wychowywaliś się w tym samym domu. Naprawdę Evar zrobiła to dla mnie?

- Na ucztę - sprecyzowała Gwynn.

Galvan poczuł, że wzruszenie ścisnęło go za gardło. Odebrał tkaninę z rąk Gwynn, a kiedy ich dłonie mimowolnie się zetknęły, poczuł, że ręce dziewczyny są ciepłe i delikatne. Przeszył go nagły dreszcz.

- Muszę to przymierzyć - zdecydował. - Powiedz mi, jak w tym wyglądam.

I zanim Gwynn zdołała cokolwiek powiedzieć, Galvan zdjął tunikę przez głowę i wciągnął tę otrzymaną właśnie od Evar. Nowa szata miała kolor ciemnego wina, a obramowania rękawów i pod szyją wykończone były ciemnozielonym szlakiem. Sznurki na ramionach służyły do wiązania rękawów. Galvan poprosił Gwynn o pomoc.

- No i jak? - zapytał. - Mogę się w tym pokazać ludziom na uczcie?

Gwynn kiwnęła głową.

- Pasuje idealnie - powiedziała, nie chcąc przyznać przed samą sobą, jakie wrażenie zrobił na niej ponowny widok ciała Galvana. - Evar musiała dobrze ci się przyjrzeć, kiedy po powrocie wstąpiłeś do naszego domu.

Zastanawiała się, skąd u niej taka elokwencja, skoro przed chwilą nie mogła wydusić z siebie słowa. Może to była obrona przed własnymi myślami i odczuciami?

- Skoro zrobiłam już to, z czym przysłała mnie matka, pójdę do domu - oznajmiła.

Galvan spojrzał na nią uważnie. W półmroku panującym w pomieszczeniu wydała mu się dziwnie krucha i eteryczna. Zastanawiał się, czy nie widział jej już wcześniej. Ta twarz

wyglądała znajomo. Oczywiście, spotykali się jako dzieci, jednak Galvanowi Gwynn kojarzyła się z jakąś dorosłą osobą. Wydawało mu się, że już gdzieś widział to oblicze obramowane złocistoblond włosami. Może mignęła mu kiedyś na rynku w Gergowii? Zresztą w Galii było wiele pięknych kobiet i dziewcząt, ale on nie zwracał na żadną uwagi. Chociaż był w domu od siedmiu dni, a czternaście minęło od pożegnania z Uatah, Galvan pielęgnował w sercu ból i tęsknotę. Za nic nie chciał się wyrzec uczucia, które płonęło w nim przez ostatnie sześć lat.

- Przekaż Evar moje najgorętsze podziękowania - poprosił.  
- I mam nadzieję, że zobaczymy się wieczorem. Tunika jest piękna.

Gwynn uśmiechnęła się i wyszła czym prędzej, obawiając się, że jeszcze chwila, a rzuci mu się na szyję. Galvan zaś powoli zdjął z siebie ubranie i nałożył poprzednie, gdyż przed biesiadą planował jeszcze wykąpać się w strumieniu.

Spojrzał na tkaninę trzymaną w rękach i przytknął oczy. Nie miał ochoty iść na ucztę i udowodniać Cynnusowi, kto tu jest panem domu. Wiedział jednak, że zblądni się, jeśli tego nie uczyni. A poza tym nie mógł dopuścić, by Evar poczuła się dotknięta, kiedy nie zobaczy go w szacie, którą mu podarowała. Jeszcze raz pogładził tunikę i przytknął ją do twarzy. Wciągnął głęboko zapach farbowanej tkaniny. Stwierdził, że pachnie ona tak samo jak Gwynn, gdy przed chwilą stała w jego domu.

Uśmiechnął się do siebie. Evar zapewne nic o tym nie wie. Uznał jednak, że to, iż młoda dziewczyna przyciskała mocno do piersi dar od matki dla przybranego syna, powinno pozostać tajemnicą.

---

<sup>1</sup> Starożytni liczyli okres ciąży wedle swoich kalendarzy, co dawało w sumie około dziesięciu miesięcy.

### III

Dziwne to było uczucie siedzieć na ławie pokrytej skórami wśród tych wszystkich ludzi, którzy nagle stali się zupełnie obcy. Obok Galvana siedział Gobannicjon – jako reprezentant rodziny matki, z drugiej strony Cynnus, brat ojca. Gdzieś w oddali majaczyła twarz Geillis, ale jakby zamazana. To nie ona była teraz wielką panią podczas uczy, to nie jej małżonek siedział na honorowym miejscu, lecz syn. Matce nie godziło się siedzieć obok dorosłego syna.

Galvan czuł się źle. Jego serce przepelnione było tęsknotą za Uatah, ale umysł musiał się koncentrować na rozmowie i logicznym wyciąganiu wniosków. Gdyby mógł, zerwałby się stąd i uciekł do doliny Scatah, zamiast siedzieć i przyjmować toasty, które co i raz podnosili podpici mężczyźni za jego zdrowie. Kiedy jednak tak siedział i opijał się coraz bardziej miodem, zaczynał rozumieć, że Gobannicjon może mieć rację co do Cynnusa. Najwyraźniej stryj nie miał do końca czystych zamiarów wobec niego, skoro unikał wzroku bratanka, nie mówił jasno i wykręcał się półsłówkami, kiedy Galvan usiłował o cokolwiek zapytać.

Raz Cynnus zadał bardzo osobliwe pytanie. Chciał wiedzieć, jakiej płci jest dziecko, jakie Galvan spłodził z Uatah. Kiedy usłyszał, że urodziła się córka, chłopcu zdało się, że stryj odetchnął z ulgą. No tak, córka nie jest zagrożeniem, bo nie przedłuży rodu. Poza tym synowie wojowniczek z Sein byli edukowani na druidów, a córki na kapłanki. Tak czy inaczej syn Galvana, a wnuk Celyllusa w przyszłości mógłby stanowić niebezpieczeństwo dla Cynnusa.

Wspomnienie córki na nowo napełniło duszę Galvana

nostalgia. Ileż by dał, żeby siedzieć teraz ze swoją kobietą i z maleństwem, które było takie cudowne i rozkoszne, że Galvan tracił resztki rozumu! Tak, doskonale wiedział, że mężczyźni myślą inaczej. Dzieci należało w miarę możliwości unikać, nie pokazywać się z nimi publicznie. Z synem to jeszcze uchodziło, ale z córką! A potem oddawano dzieci w adopcję i wydawano na świat nowe, by mieć gwarancję, że ród nie wygaśnie.

Tak więc Cynnus zachowywał się dość dziwnie. W dodatku Galvan zauważył, że Geillis co chwilę się im przygląda, a na jej pięknej twarzy widać oznaki niepokoju. Bez wątplenia była mądrą kobietą. Galvan coraz lepiej rozumiał, że musi postąpić tak, jak ona mu kiedyś napomknęła i jak radził Gobannicjon.

Upił spory łyk miodu, by dodać sobie odwagi. Kiedy był małym chłopcem, rzadko miał okazję widywać Cynnusa. Brat ojca pojawiał się czasem na jego drodze. Wtedy Galvan pozdrawiał stryja i ustępował mu miejsca, nie zamieniwszy z nim ani jednego zbędnego słowa. I teraz nagle miał z nim rozmawiać! W dodatku o poważnych sprawach. Wiedział jednak, że musi to zrobić, jeśli chce zyskać na pewien czas spokój i swobodę działania. Wątpił, by Cynnus zamierzał mu zagrozić, a tym bardziej zabić go, ale z drugiej strony Gobannicjon dał mu wyraźnie do zrozumienia, że przeszkadza Cynnusowi i że jego powrót krzyżuje plany stryja.

- Powiedz mi - zaczął z wolna Galvan - co chcesz zrobić teraz, kiedy wróciłem do domu?

Cynnus wzdrygnął się. Nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać na to pytanie. Szkopuł w tym, że miał bardzo osobliwe plany i uważał, iż siostrzeniec nie może się o nich dowiedzieć.

- To zależy od ciebie - odparł przebiegle. - Wróciłeś na swoje dziedziny, więc chyba będę musiał się usunąć.

„Aha” - pomyślał Galvan. „Tu cię mam. Jeżeli otwarcie wyznam, że chcę przejąć moją własność, a ciebie wyrzucić, dam ci znak do otwartej wojny, jaka niebawem wybuchnie. A jeśli powiem, że chcę, byś został, nigdy nie dasz się wykurzyć z mojej własności”.

W oddali mignęła mu twarz Gwynn. Dziewczyna wyglądała

tak młodo i świeżo wśród dorosłych kobiet, które ją otaczały. Ile mogła mieć lat? Uznał, że nie więcej niż siedemnaście.

„Ożeń się” – zahuczały mu w głowie napomnienia Gobannicjona. Tak, niewątpliwie brat matki wiedział, co mówi. Sam kiedyś wrócił z doliny Scatah, a może raczej jej matki, Aife (och, znów ten skurcz w sercu!) i pielęgnował w duszy słodko-gorzka miłość do swej nauczycielki.

- Uważam, że moglibyśmy dojść do kompromisu – odezwał się wreszcie młodzieniec, nie spuszczać wzroku z Gwynn. – Ponieważ nie mam doświadczenia w zarządzaniu takim majątkiem, chciałbym, żebyś pomógł mi go nadzorować. Zamieszkałbym co prawda w głównym domu, który należy mi się po ojcu, ale ty byłbyś dalej rządcą, jak za mojej nieobecności, dopóki nie nabiorę umiejętności i doświadczenia w tej dziedzinie.

Miał nadzieję, że jego mowa wypadła przekonująco. Zdawał sobie sprawę, że gdyby powiedział co innego i na przykład oświadczył, że nie życzy sobie nadzoru stryja, mogłoby to oznaczać kłopoty w całkiem niedalekiej przyszłości. Galvan wiedział, że Cynnus i Geillis nie mieli dzieci.

- Myślę, że to nie jest najgorszy pomysł – odparł Cynnus. Starał się nie okazać, że bratanek jest dla niego istnym cierniem w oku. Do stu czortów, dobrze mu się żyło na włościach brata, gdy zarządzał jego majątkiem i żoną. Prawdę powiedziawszy, przywykł do tego i przez ostatnie lata nie brał pod uwagę możliwości, że Galvan kiedyś powróci. Na szczęście chłopak miał ledwie dwadzieścia jeden lat i żadnego doświadczenia w prowadzeniu majątku. Musiał zdać się na niego, na Cynnusa. Przecież nie mógł powierzyć swoich dóbr Gobannicjonowi. Ten ostatni był bratem matki młodzieńca, Geillis z kolei wyszła za Cynnusa, więc na jedno wychodziło. Jeżeli udałoby mu się dyskretnie przejąć kontrolę nad posiadłością bratanka, miałby zapewnioną przyszłość na kilka następnych lat. Wmówiłby Galvanowi, że nie warto od razu się żenić, że powinien jeszcze się podszkolić w walce, może wyruszyć do Rzymu z Gobannicjonem w sprawach handlowych i tak dalej. Aż wreszcie owinąłby sobie chłopaka wokół palca

i tak zamotał, że Galvan uwierzyłby, iż stryj jest mu niezbędny.

- Sądzę, że powinniśmy wymienić zakładników - oświadczył Galvan niewinnym tonem - żeby przypieczętować naszą umowę i podkreślić rodzinne więzy.

Cynnus uśmiechnął się i kiwnął głową. Nawet nie podejrzewał, co planuje młodzieniec siedzący przy jego boku. Galvan zaś podśmiewał się chytrze pod nosem. Pomysł Gobannicjona z wymianą zakładników był dobry. W dodatku wuj sprytnie dodał, jak to powinno się odbyć. Jednak i Galvan dowiedział się niejednego w tej kwestii, kiedy był na nauce u druidów, a później u Scatah. Usłyszał mianowicie, w jaki sposób perska królowa Parysatyda przechytrzyła dawno temu swego syna, króla Artakserksesa. Tego rodzaju opowieści krążyły po całej Europie, docierały do siedzib Celtów za pośrednictwem kupców z Hellady i Rzymu, a także z azjatyckich królestw. Galvan siedział wtedy zasłuchany i podziwiał bystry umysł oraz przebiegłość perskiej królowej. Wiedział, że teraz musi zażądać od stryja najważniejszych dla niego i najcenniejszych ludzi, samemu zaś oddać najmniej znaczących.

- Niech będzie - zgodził się niczego niepodejrzewający Cynnus. - Jutro z rana wymienimy zakładników w imię przyjaźni i dla podtrzymania rodzinnych więzów.

Galvan uśmiechnął się do siebie. Znakomicie. Tak więc ta część planu się powiodła.

Tego wieczoru pił z Cynnusem, jakby byli w najlepszej komitywie. Galvan czuł, jak powoli zaczyna mu szumieć w głowie i wirować przed oczami. W oddali migąła twarz młodej dziewczyny, powodując, że czuł w sercu coraz większą tęsknotę. „Uatah” - powtarzał w myślach. „Uatah, wróć do mnie”.

Nazajutrz rano, o ile południową porę można było określić tym mianem, kiedy mężczyźni zdołali już jakoś dojść do siebie, Galvan i Cynnus na podwórzu wymienili zakładników. Podczas gdy Cynnus faktycznie oddał w zastaw najwierniejszego sługę i najmożniejszego klienta, uważając, że i tak za jakiś czas ich odzyska, Galvan posłał do stryja najmniej związanego z domem



Celtyllusa człowieka, wiedząc, że w razie konieczności może go poświęcić.

Potem jednak młodzieniec przeszedł do innej sprawy.

- Jest coś, co mnie dręczy, stryju - powiedział ostrożnie. - Wiem doskonale, że mój ojciec nie umarł śmiercią naturalną.

Cynnus spojrzał badawczo na swego bratanka. Aż za dobrze rozumiał, co Galvan chce mu zasugerować.

- Ale to było czternaście lat temu, chłopcze - zaczął. - Nie sądzisz chyba, że ktokolwiek będzie o tym pamiętać...

Galvan posłał mu gniewne spojrzenie.

- Ja pamiętam - warknął. - Gdyby tamto się nie wydarzyło, miałbym ojca, temu chyba nie zaprzeczysz? Gobannicjon zaś twierdzi, że poznałby tych ludzi i że dobrze zna ich imiona. Mógłby mi ich wskazać.

- Chyba nie chcesz ich pozabijać? - przeraził się Cynnus.

Galvan tylko się uśmiechnął. Był tak młody, ale jednocześnie dorosły, wyglądał jak jeden z rzymskich bogów, których podobizny Cynnus oglądał kiedyś w Rzymie. Gęste blond włosy opadały mu na muskularne ramiona, ciało miał umięśnione, sprężyste i gibkie, a twarz o wyrazistych, regularnych rysach, była piękna i bez skazy. Był tak bardzo podobny do Geillis, jakby stanowił jej męski odpowiednik. A jego matka była piękną kobietą.

- Pozabijać? Nie... - odparł Galvan z wolna. - Dokonać zemsty.

- Ale po co?

- Żeby dać im do zrozumienia, że pamiętam, że doskonale wiem, dlaczego mój ojciec został zamordowany. Wtedy nikt nie odważy się mnie zaczepić.

„I w tym celu powinienem jak najszybciej spłodzić potomka” - pomyślał zrezygnowany. „Aife się nie liczy w świetle prawa. Pójdzie do zakonu na Sein, będzie jedną z nich i być może już nigdy jej nie zobaczę”.

Na myśl o małej córce serce Galvana przeszył ból. Nigdy... Przez resztę życia... Przez całą wieczność...

Jak miał teraz żyć? Skoro poznał Uatah i wiedział, że ona żyje tam, daleko od niego, kocha być może następnego

mężczyznę - albo pokocha z czasem - że będzie miała inne dzieci, przyjmując w siebie nasienie jakichś obcych... Nie, nie mógł o tym myśleć. To było zbyt bolesne.

Uatah... Pięć długich lat! Kochał ją, odkąd stał się mężczyzną, śnił o niej niespokojne, namiętne sny, pragnął jej i miał ją, należeli do siebie, a przyszłość jawiła mu się jako piękna baśń.

I co?

Nigdy... To straszne, okropne słowo. Ale najgorsza była świadomość, że ona tam jest. W dolinie, zaledwie kilka dni drogi od niego. I że może ją spotkać przy byle okazji, ujrzeć, znowu zapragnąć. Tyle że ona już nie będzie dla niego.

Czy życie musi być tak gorzkie? Galvan miał wrażenie, że już nigdy nie będzie się cieszyć i radować. Wiedział, że nie pokocha żadnej innej kobiety. Nigdy.

- Zemścić się? - głos stryja przywrócił go do rzeczywistości.  
- A z kim wejdiesz w sojusz? Nie masz tu nikogo.

- Ty jesteś moim sojusznikiem - przypomniał Galvan. - Wymieniliśmy zakładników. A poza tym sądzę, że będziesz chciał pomścić brata. Mogę zresztą zwrócić się do innych. Na przykład do Ariowista. Albo do Sekwanów.

- Co? - Cynnus podskoczył na swoim miejscu. - Czy ty nie pojmujesz, że twój ojciec został zgładzony właśnie za to?

- Wiem aż za dobrze - mruknął Galvan. - Ale to nie zdoła mnie przerazić, stryju. Jeżeli nie poprzysz mnie w tej sprawie i nie pomożesz mi umocnić się na czele naszego klanu jako twój następca, będę musiał udać się gdzie indziej.

Galvan celowo podał się za następcę Cynnusa, by ten dał się łatwiej zwieść. Gdyby stryj wiedział, jakie są prawdziwe zamiary młodzieńca, nigdy nie dałby się namówić na udział w zemście na zabójcach brata. Tak naprawdę Cynnus bał się okropnie o swoje życie po tamtych wydarzeniach.

- Daj mi się nad tym zastanowić - poprosił, mrużąc coś niewyraźnie pod nosem.

Galvan pokiwał głową, uśmiechając się do siebie. Wiedział doskonale, że stryj się boi, ale miał własne plany, o których, jak uważał, Cynnus niekoniecznie musiał wiedzieć. Uznał, że

powinien uczynić według rad Gobannicjona, by zabezpieczyć się na wszelkie możliwe sposoby. Przede wszystkim należało pomścić ojca, by pokazać wszystkim siłę i dać im do zrozumienia, że muszą brać pod uwagę sojuszników Galvana i tych, którzy mogą się nimi stać. Po drugie, trzeba było faktycznie wejść w sojusze z silnymi naczelnikami, by nikt nie odważył się go tknąć.

No i najgorsze. Ożenić się. Tego akurat Galvan nie chciał. No bo jak miał wstępować w łóżko jakiejkolwiek kobiety, skoro w jego sercu nadal była Uatah? Ta, za którą tak rozpaczliwie tęsknił, o której marzył bezrozumnie podczas nieprzespanych nocy, którą pragnął mieć w ramionach i co do której wciąż łudził się jak idiota, doskonale wiedząc, że jego pobożne życzenia nigdy się nie spełnią...

Cynnus zaś zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie wejdzie w sojusz z Galvanem i nie pomści brata, zostanie uznany za tchórza przez innych możliwych sojuszników, niegdysiejszych stronników Celtyllusa, a także przez druidów, wśród których znajdowali się przecież Celtillognatos i Brennus. Tyle że ten ostatni był zwolniony ze ślubów czystości i mógł mieć dzieci, wnuki Celtyllusa, ewentualnych potomków i mścicieli krzywdy dziada. Do pioruna, zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. Lepiej chyba byłoby faktycznie pomścić Celtyllusa i uniknąć niepokoju przez resztę życia. Galvan nigdy nie ośmieliłby przeciwstawić się stryjowi! Jest na to za głupi i dziecinny. No i nie ma ojca, więc trzeba mu go zastąpić.

Cynnus uważał, że tak właśnie powinien postąpić. I całe szczęście, że nie znał wszystkich planów, które rodziły się powoli w myślach Galvana, bo wcale nie byłby nimi zachwycony.

\*

Gwynn siedziała nad rzeką i wpatrywała się w słońce, które krwawo zachodziło po drugiej stronie łąki. Czerwone promienie padały na twarz dziewczyny, barwiąc ją na krwisty kolor. Gwynn to przerażało i fascynowało jednocześnie. Woda w rzece

była czerwona jak krew i gdyby siedział obok niej jakiś druid, z pewnością wysnułyby z tego faktu okropne wnioski. Jednak dziewczyna nie znała się na znakach, nie potrafiła interpretować zachodu słońca. Dla niej woda w rzece była po prostu czerwona i koniec.

Gwynn była głęboko nieszczęśliwa. Słodki stan zakochania przerodził się w smutne, pełne gorzkości uczucie, które przepełniało ją całą i zmieniało jej życie w koszmar. Naturalnie, gdy matka tłumaczyła jej, że każda młoda dziewczyna przeżywa coś takiego, Gwynn z całą wiedzą siedemnastolatki, na którą się powoływała, odpowiadała, że to bzdura i że nikt nie cierpi bardziej niż ona.

- Tak, tak - odpowiadała Evar, usiłując ukryć rozbawienie. - Wy, młodzi, sądźcie, że już wszystko wiecie. Poczekaj, aż będziesz starsza. Wtedy dopiero zrozumiesz, jak mało w zasadzie wiesz i jak wiele musisz się jeszcze nauczyć.

Tak naprawdę Evar głęboko współczuła córce. Widziała, jak dziewczyna się męczy. Wspominała własną młodość. Pamiętała, jak była kiedyś zakochana w pewnym człowieku i snuli dalekosiężne plany na przyszłość. Jednak pewnego dnia zjawił się Ruten i ona, kierując się chłodnym rozsądkiem, uznała, że ten człowiek będzie bardziej odpowiedni od dotychczasowego narzeczonego. Tamtego kochała dalej, ale dla dobra swojego i przyszłych dzieci, dla sojuszków i paktów wybrała męczyznę silniejszego, lepszego i możniejszego.

Evar wiedziała, że Gwynn jest beznadziejnie zakochana w Galvanie. Nie mogła nic na to poradzić. Syn Geillis i Celtyllusa bez wątpienia stanowił znakomitą partię, a układ z nim gwarantowałby obu stronom bardzo wysoką pozycję wśród Arwernów. W ten sposób połączyłyby się dwa najsilniejsze rody. Klan, do którego należała Geillis, też był niczego sobie, jej przodkowie to dawni królowie Celtów albo przywódcy druidów. Potomek Gwynn i Galvana miałyby zapewnioną znakomitą przyszłość.

Jednak doprowadzenie do tego małżeństwa nie leżało w zakresie możliwości Gwynn. Ona tak naprawdę najmniej w tym wszystkim znaczyła. Gdyby, teoretyzowała, Galvan

zechciał spojrzeć na ich córkę, to przede wszystkim Ruten decydowałby o ewentualnym związku. Chociaż pewnie zostawiłby decyzję swojej córce.

Evar wiele razy zastanawiała się nad swoją decyzją. Mogła w każdej chwili zerwać małżeństwo z Rutenem i iść do tamtego, którego przed laty zostawiła i za którym potem tęskniła, ale duma nie pozwalała jej poczołgać się do niego i prosić o wybaczenie.

Gdyby Gwynn uniosła się dumą lub zdecydowała na mężczyznę z innego plemienia, na jednego z sojuszników, i zawarła małżeństwo w obrębie obcego klanu, jej pozycja byłaby jeszcze lepsza. Tymczasem dziewczyna ciężko przeżywała swoją nieszczęśliwą miłość i Evar słyszała często płacz rozlegający się w jej sypialni.

Gwynn spoglądała na słońce i miała wrażenie, że wypala ono dziury w jej duszy. To, co czuła, bolało i dręczyło, pomimo całej słodyczy było okropne i męczące, ale nie potrafiła z tego zrezygnować ani się tego wyrzec. To było jak wartki strumień, który niósł ją ze sobą, a ona pozwalała spienionym nurtom prowadzić się dalej w nieznaną. Wiedziała, że może się poobijać i zranić, ale płynęła z prądem, raz po raz zanurzając w rwącym potoku.

Wierzyła, że nikt nie zna jej cierpienia, bo i któż byłby w stanie je pojąć? Była o tym święcie przekonana. To uczucie płynące z jej siedemnastoletniego serca rozrywało ją na kawałki, dręczyło, uprzykrzało jej życie i czyniło je nieznośnym. Każdy dzień Gwynn był tęsknotą i oczekiwaniem na niego, pragnieniem, by go ujrzeć. Czasami wychodziła na łąkę za osadę, niby z jakimś interesem, by popatrzeć, jak Galvan ćwiczy wraz z innymi młodzieńcami. Matka, starając się jej ulżyć, wysyłała ją czasem po coś do Geillis, ale to też było rozwiązanie tylko na krótką metę. Obie doskonale o tym wiedziały.

Najgorsze zaś było to, że Galvan nie zwracał na nią uwagi bardziej niż brat na siostrę. W jego oczach widziała bezbrzeżną tęsknotę i wiedziała, że to nie do niej skierowane było owo uczucie. Serce Galvana biło dla innej, wrażliwa Gwynn

wyczuwała to każdym zmysłem i wcale nie poprawiało jej to nastroju. Wiedziała, że nie ma prawa się skarżyć, nie może też o niczym mu powiedzieć. Ta świadomość dodatkowo ją przygnębiała.

Gdyby tak mogła przestać żyć! To uczucie jej nie przejdzie, była tego pewna. Nigdy nie zdoła o nim zapomnieć. Z drugiej zaś strony Galvan był nieosiągalny. Doskonale o tym wiedziała.

Ten stan był tak straszny, że Gwynn wielokrotnie pragnęła śmierci. Jednocześnie każdego dnia chciała ujrzeć Galvana jeszcze raz i jeszcze, miała więc bardzo istotny powód, by żyć. Tyle że to życie wydawało się jej nieskończonym pasmem cierpienia i beznadziei, ciągłym wyglądaniami ukochanego i uświadamianiem sobie, że nie jest dla niej przeznaczony. Czy może być coś gorszego na świecie?

Ze zdumieniem oglądała się za siebie i wspominała szczęśliwe, beztroskie lata bez tego okropnego brzemienia w sercu. Niedawno wydawało jej się, że jest bezgranicznie szczęśliwa, a teraz cierpiała tak okropnie, że to aż niemożliwe. Dlaczego tak musiało być? Czy będzie musiała już zawsze żyć z tym bólem w duszy? Rozdarta, tęskniąca za nieosiągalnym mężczyzną?

Słońce zaszło, woda zmieniła barwę. Teraz miała odcień ciemnej purpury. Jakiś wróżbita z pewnością byłby zaniepokojony, zobaczywszy to, ale Gwynn, zapatrzona w niebo, nie zwracała najmniejszej uwagi na kolor rzeki. Pogrążona była w swoich marzeniach, o których wiedziała, że nie mogą się spełnić. Rozmyślała o słodko-gorzkim cierpieniu, od którego nie potrafiła i nie chciała się uwolnić.

Najbardziej ze wszystkiego chciała przestać istnieć. Ale tego właśnie nie mogła uczynić, bo pragnęła żyć, by sycić oczy tym, którego, jak sądziła, mieć nie może.

Życie młodej Gwynn było pasmem beznadziejnej udręki.

\*

- Do Rzymu? - w głosie Evar brzmiało bezbrzeżne zdumienie. Spoglądała na swego męża Rutena, który właśnie wrócił

do domu i zasiadł do obiadu.

- Tak, uważam, że to dobry pomysł - powiedział spokojnie. - Ty też powinnaś pojechać. W końcu to nie tak daleko, a Rzymianie nie są pozbawionymi zasad potworami.

Evar była innego zdania, ale przezornie milczała. Niecałe dwieście lat wcześniej jej przodkowie cudem umknęli hordom Scypiona plądrującego Hiszpanię i osiedlili się tutaj, w kraju Arwernów. Jej pradziad walczył w wojnie punickiej po stronie Hannibala, ale potem jej rodzina musiała czym prędzej uciec z kraju, by nie wpaść w ręce rzymskich siepaczy. A wojsko rzymskie podczas plądrowania miasta gwałciło, paliło i rabowało, na co wódz zezwalał, ponieważ miało to tylko podkreślić i uświetnić jego triumf.

Nie tak dawno w Hiszpanii znowu się gotowało. Germańskie plemiona zaś, które przed pięćdziesięciu laty odważyły się podnieść miecz na Rzym, zostały poskromione przez jednego tylko człowieka, Mariusza.

Nie, Evar zdecydowanie nie pałała do Rzymian miłością i dziwiła się wielce pomysłowi swego męża, który po powrocie od Gobannicjona z ożywieniem przedstawił pomysł tego ostatniego. Otóż Gobannicjon wybierał się do Rzymu w sprawach handlowych, jak każdej jesieni przed świętem Samain. Razem z nim miała pojechać jego siostra Geillis, więc Ruten pomyślał sobie, że może by tak Gwynn skorzystała z okazji i też udała się do Rzymu. Raz w życiu może ujrzyć to osławione miasto w Italii.

Evar bynajmniej nie uważała, że to dobry pomysł. Nie chciała puszczać córki do gniazda rozpusty i zepsucia, za jakie uważała Rzym. Słyszała tego rodzaju opinie od różnych wędrownych kupców, którzy zachodzili do Gergowii. Sama nigdy tego miasta nie widziała, ale też wcale za tym nie tęskniła.

- Ale dlaczego tak nagle chcesz wysłać naszą córkę do Rzymu? - dopytywała się. - I dlaczego akurat Gwynn?

Ruten udawał, że jest bardzo zajęty dzieleniem mięsa. Nie chciał patrzeć żonie w oczy, gdyż był przekonany, że natychmiast domyśli się, o co tak naprawdę chodzi. Nie

zamierzał mieszać jej w sprawy mężczyzn. Nie powinna się nimi interesować. W rzeczywistości nic nie mógł poradzić na to, że Evar mieszała się w męskie sprawy. Z drugiej jednak strony nie należała do głupich kobiet, wprost przeciwnie, i często doradzała mu mądrze w sytuacjach, kiedy jego umysł tak daleko nie sięgał. Jednak nie tym razem. Teraz chodziło o coś zupełnie innego. Otóż Ruten nie na darmo udał się do Gobannicjona. Chodziło o sprawy sojuszu z jego młodym siostrzeńcem, Galvanem. Ruten poszedł tam, jako że był związany sojuszem z Celtyllusem, odkąd przyjął w adopcję jego prawowitego syna. Los chciał, że Celtyllus miał tylko jednego syna z prawego łoża, córki nie liczyły się tak bardzo. Nałożnice urodziły mu również dwóch synów, nie mogli oni jednak podźwignąć po nim rodu.

Tak więc Ruten udał się do Gobannicjona. Spotkanie odbyło się w domu kowala głównie po to, by nikt nie nabrał żadnych podejrzeń. Mówiąc „nikt”, Ruten miał na myśli ugrupowanie sprzyjające Eduom, do którego należeli niegdysiejsi zabójcy Celtyllusa.

Do rozległego domostwa Gobannicjona przybyli obaj bracia Galvana, Celtillognatos i Brennus, jak również jego towarzysze z doliny Scatah i dawni sojusznicy ojca. Nie zabrakło również Cynnusa, choć sprawiał wrażenie, jakby chciał uciec jak najdalej ze zgromadzenia.

Ruten, siedząc przy stole, musiał uśmiechnąć się pod nosem. To oczywiste, że Galvan chciał pomścić ojca. Tak naprawdę jego starszy brat powinien był dawno to uczynić, nie wspominając o Cynnusie. Najwyraźniej jednak żadnemu z nich nie było źle po śmierci naczelnika, który zbyt jawnie pragnął sięgnąć po królewską władzę. Galvan zaś uważał, że tylko zemsta pozwoli mu uzyskać mocną pozycję wśród Arwernów. Dzięki temu ewentualni wrogowie będą widzieli, że nie są silni.

Ale nie to najbardziej poruszyło Rutena. Jako dawny sojusznik Celtyllusa i człowiek związany z jego domem musiał i chciał uczestniczyć w zemście. Zdziwiło go natomiast coś innego. Otóż zaraz po rozmowie, w której Galvan i Cynnus bez ogródek wyjawili swój zamiar i prosili wszystkich sojuszników



o przystąpienie do spisku, młodzieniec chciał rozmawiać z Rutenem w cztery oczy. Ten sądził, że chodzi o jego wpływ na pozostałych, którzy otrzymali trzy dni do namysłu. Uzgodniono, że Gobannicjon, który w najbliższym czasie ma się udać do Rzymu, nie będzie uczestniczył w całej sprawie. Jednym z powodów była potrzeba ochrony Geillis. Nie chciał, by coś się jej stało w przypadku porażki. Poza tym warto było oszczędzić kogoś, kto mógłby w przyszłości podjąć jeszcze raz podobną akcję.

Tak więc Gobannicjon i Geillis mieli udać się do Rzymu wcześniej, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Gdy zostało to ustalone, Galvan i Ruten oddalili się na podwórze, by porozmawiać. Mężczyzna za nic nie mógł odgadnąć, o co chodzi młodzieńcowi, chociaż tak naprawdę powinien był się domyślić.

Patrząc na syna Celtyllusa, Ruten doznawał dziwnego uczucia. Pamiętał Galvana jako małego, niesfornego chłopca, który miał czelność zakraść się do jednego z bogatszych ludzi we wsi. Było z niego nadzwyczajnie piękne dziecko, podobne do Geillis, która słynęła z urody i przyciągnęła do siebie samego Celtyllusa. Ale teraz Ruten miał przed sobą niebywale pociągającego młodego człowieka, który wyjątkowo dobrze się zapowiadał.

Delikatny wietrzyk igrał z jasnymi włosami, zwiewając je na twarz chłopaka. Oczy Galvana były intensywnie niebieskie jak niebo jesienią, kiedy odbijają się od niego czerwone i złote drzewa. Rutena na ten widok coś dławiło w gardle, ale nie potrafił jasno określić swoich uczuć. Może w głębi duszy chciałby, żeby ten młody człowiek był jego synem...

- Właściwie mój ojciec powinien o tym z tobą rozmawiać - zaczął niepewnie Galvan - albo jeden z krewnych, ale nie chcę ich w to mieszać. Gobannicjon nie jest już moim opiekunem, a Cynnus nigdy nim nie był i nie będzie. Poza tym jestem dorosły i mogę mówić w swoim imieniu.

Ruten spoglądał na chłopaka z rozbawieniem. Och, jak dobrze pamiętał swoją młodość i gorliwą chęć przemawiania we własnym imieniu, kiedy wreszcie został zaliczony w poczet

mężczyzn. Przypomniał sobie, jak podczas uczty sprzed kilku tygodni Galvan bił się zaciekle o najlepszy kęsek na stole. I wygrał.

- Jest więc jakaś osobista sprawa, o której chciałeś ze mną pomówić? - zapytał, wciąż nie domyślając się celu młodzieńca.

- Tak - uśmiechnął się Galvan. - Stwierdziłem, że czas iść za radą Gobannicjona i rozejrzeć się za kobietą.

Usiłował być spokojny i opanowany, ale w duchu dygotał z podniecenia, przerażenia i buntu, który wprost w nim kipiał. Nie chciał żadnej kobiety, tylko Uatah, a tej właśnie mieć nie mógł z wiadomych przyczyn. Jednak w ciągu ostatnich tygodni, kiedy lato powoli przechodziło w jesień, Galvan myślał intensywnie nad tym, co powiedział Gobannicjon. Potrzebna mu była kobieta, w dodatku legalna żona, która urodziłaby prawowite dziecko. Tak naprawdę wcale go to nie interesowało. Nie rozumiał, dlaczego świat jest tak okrutny i wymaga od człowieka, który utracił wszelką radość życia i był rozdartą raną, by wstępował w nowy związek i płodził kolejne dzieci, podczas gdy jego serce rwało się do tamtego, zostawionego gdzieś daleko.

Jednak musiał myśleć trzeźwo i chłodno. Po odbyciu rozmowy z matką doszedł do wniosku, że należy się ożenić albo przynajmniej zaręczyć, by ślub odbył się po Samain. Uznał, że to odpowiednie wyjście.

To Geillis zwróciła jego uwagę na Gwynn.

- To piękna dziewczyna - przekonywała syna. - Dobrze wychowana i czuła. Będzie dbała o dom, a sądząc z jej budowy, nada się do rodzenia synów.

Galvan zastanawiał się, skąd matka może wiedzieć takie rzeczy, ale przezornie nie pytał. W ogóle nic nie powiedział, ale zaczął przy każdej okazji przyglądać się Gwynn. I po jakimś czasie stwierdził, że w istocie mógłby się z nią ożenić, bo ją lubił.

- A poza tym żeniąc się z nią, nawiążesz bardzo korzystny sojusz z rodziną Rutena - dodała matka. - Miej to na uwadze, synu.

Tak więc Galvan stał teraz przed Rutenem i zastanawiał się,

jak najprościej i najlepiej się oświadczyć.

- Dlatego pomyślałem o twojej córce, Gwynn - powiedział wreszcie. - Chciałbym pojąć ją za żonę, o ile, oczywiście, ty się na to zgodzisz. Wszak wychowywaliśmy się jak rodzeństwo w twoim domu.

Ruten w jednej chwili ocenił sytuację. Taki więc jak Galvan był partią nie do pogardzenia. Ojciec młodzieńca był najmożniejszym człowiekiem we wsi, posiadał dużo ziemi, niewolników, stada bydła, klientów, posiadłości miejskie w Gergowii i pochodził ze znamienitego rodu królów. Starszy brat Galvana był druidem, jego młodsze siostry wydano za możnych ludzi... No i sam chłopak zapowiadał się dobrze. Całkiem niezła okazja.

Gdy wspominał tę rozmowę, siedząc w domu i unikając wzroku Evar, uśmiechnął się. Tam jednak, przed Galvanem, musiał opanować zdumienie.

- Ale dlaczego akurat Gwynn? - zapytał.

Galvan odpowiedział uśmiechem. Nie chciał powtarzać słów swojej matki ani Gobannicjona. Ostatecznie miał swój rozum i potrafił ocenić, czy dziewczyna nadaje się na żonę, czy też nie. A Gwynn jego zdaniem była odpowiednia, jakkolwiek wolałby, rzecz jasna, wracać do Uatah i być z nią.

„A gdyby porwać Uatah i uciec z Galii?” - szaleńcza myśl przebiegła mu przez głowę. Czy to zupełnie niemożliwe? Złamałoby zasady, to prawda, ale byłiby razem. Już na zawsze. Mogliby uciec na Albion. Nie, tam by ich złapali. Już prędzej do Rzymu, a stamtąd statkiem do Afryki. Mogliby ukryć się w Egipcie, w Azji, och, gdziekolwiek!

Nie. Galvan wiedział, że to niemożliwe. Za duże ryzyko. Gdyby złapano ich po drodze, a na pewno tak by się stało, oboje przypłaciliby swój wybryk życiem. Prawa kapłanek z Sein były twarde. Nikomu nie wolno było ich łamać.

- Bo mi się podoba - odparł, siląc się na naturalną barwę głosu. - No i żeniąc się z nią, zbliżyłbym się do twego rodu, a na tym też mi zależy.

Ruten rozmyślał. Wnuk jego i Celtyllusa... Takie dziecko bez wątplenia mogłoby w przyszłości... Myśli Rutena były w tej

chwili bezwstydnie, ale nie potrafił oprzeć się pokusie. Mogłoby zostać... Królem...

Młoda, piękna twarz Galvana wydawała się szczerą. Co prawda w błękitnych jak niebo oczach krył się jakiś dziwny smutek, ale Ruten nie zwracał na to większej uwagi. Małżeństwo nie było zawierane z miłości, każdy o tym wiedział. Decydowały względy polityczne, układy i więzy rodzinne. Właściwie Ruten zdziwiłby się bardzo, gdyby Galvan oświadczył, że jest nieprzytomnie zakochany w jego córce.

- Muszę to przemyśleć - odparł, choć w głębi ducha już wiedział, jaką da odpowiedź.

Galvan kiwnął głową na znak, że rozumie.

Trzy dni później mężczyźni znowu spotkali się u Gobannicjona. Wyglądało to na zwykłe sąsiedzkie spotkanie, jednak mieli do omówienia ważne sprawy. Wszyscy musieli zdecydować, czy przystąpią do sojuszu przeciwko mordercom Celtyllusa. Ruten miał zaś podjąć jeszcze jedną ważną decyzję. W zasadzie już ją podjął. Toteż po zakończonych rozmowach podszedł do Galvana, by oznajmić mu swoją wolę.

- Dam ci Gwynn za żonę - powiedział wprost. - Ufam, że będziesz dla niej dobrym mężem.

Galvan odetchnął z ulgą.

- Wobec tego mam jeszcze dwie prośby - zaczął. - Nie mów jej na razie o niczym, bo sprawa między mną a mordercami mego ojca nie jest rozstrzygnięta. Nie chcę, żeby dziewczyna gotowała się na ślub, podczas gdy może się zdarzyć pogrzeb.

- To chyba zrozumiałe - mruknął Ruten, zastanawiając się, jak zdoła przez następne tygodnie utrzymać wszystko w tajemnicy. - A druga sprawa?

- Chcę, żeby na razie stąd wyjechała - oświadczył Galvan. - Gobannicjon udaje się do Rzymu za siedem nocy. Weźmie ze sobą moją matkę. Pomyślałem, że mógłby przy okazji zabrać także Gwynn.

- Do Rzymu? - zdumiał się Ruten.

- A dlaczego nie? Byłem tam i nie uważam, by była to jaskinia rozpusty i wszelkiego zepsucia. Miasto jak każde inne, tyle że dużo większe - uśmiechnął się Galvan.

Ruten przyznał, że pomysł jest niegłupi. Gobannicjon brał ze sobą niewolników dla ochrony na czas podróży. Kobiety miałyby jechać na krytym wozie, by mieć osłonę przed deszczem i śniegiem w Alpach. W tak dużym orszaku kupca z Gergowii jego córce chyba nic nie groziło...

Tak więc Ruten siedział teraz w domu i usiłował wytłumaczyć żonie, dlaczego chce tak nagle wysłać córkę do Rzymu. Oczywiście, nie mógł jej powiedzieć o planach matrymonialnych, bo to nie było jeszcze pewne. A wiedział, że Gwynn robiłaby sobie wielką nadzieję, gdyby powiedział jej już teraz o wszystkim.

Evar, rzecz jasna, też nic nie mógł mówić. Kobiety nie potrafią dochować tajemnicy. Jasne było, że Evar od razu by się wygadała. Powtarzanie jej jakiegokolwiek sekretu było pozbawione sensu. Dlatego Ruten milczał tajemniczo i wykręcał się jak mógł.

- Ale chyba rozumiesz, że musisz mi powiedzieć, dlaczego tak nagle chcesz wysłać naszą córkę na koniec świata - nie ustępowała Evar. - I dlaczego akurat Gwynn?

- Przestań się wreszcie dopytywać - zniecierpliwił się Ruten. - Tak postanowiłem i tak będzie. Ostatecznie to moja córka.

Evar patrzyła na męża podejrzliwie. W jej głowie zakiełkowała okropna myśl.

- Chyba nie zamierzasz jej wydać za jakiegoś Rzymianina? - zaniepokoiła się.

Ruten parsknął śmiechem. Wiedział, że Rzymianie, zwłaszcza ci z Galii Przedalpejskiej, biorą sobie celtyckie kobiety za żony, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by mógł wysłać swoje dzieci na gody do Italii.

- To ostatnia rzecz, o jaką powinnaś mnie podejrzewać - orzekł zdecydowanie. - Chyba niespełna rozumu jesteś, Evar, że cię takie myśli nachodzą.

Kobieta odetchnęła z ulgą. Mimo to nadal uważała, że pomysł Rutena jest w najwyższym stopniu dziwny i niepokojący.

Jednak więcej o tym nie mówili, a Gwynn, choć nadal zatroskana, ucieszyła się z możliwości odbycia interesującej

podróży. Po raz pierwszy od dawna Evar ujrzała na twarzy córki prawdziwie radosny uśmiech, dlatego też zaniechała wszelkich protestów.

\*

Galvan jechał konno, eskortując orszak, o ile można tak było nazwać grupę ludzi towarzyszącą Gobannicjonowi, możliwie jak najdalej. Chciał się upewnić, że nikt nieproszony nie pojedzie za jego matką i nieoficjalną narzeczoną. Po prawdzie nie wiedział sam, o czyje bezpieczeństwo bardziej się troszczy. Kalkulując na chłodno, stwierdził jednak, że bardziej ma na względzie matkę.

Geillis cieszyła się niezmiernie z tej podróży. Kiedyś jako żona Celtyllusa odbyła daleką podróż, jednak nie do Rzymu. Jej celem była wyspa Sein. Złożyła tam ofiary dziękczynne za wydanie na świat Galvana, prawowitego potomka Celtyllusa. Było to niedługo po tym, jak oddała syna w adopcję. Obowiązkiem każdej kobiety było złożenie bogom ofiary, ale tylko naprawdę majątne niewiasty mogły sobie pozwolić na odwiedzenie Sein.

Teraz Geillis udawała się w najdłuższą chyba podróż w życiu. Przynajmniej jej samej tak się wydawało.

Tego ranka, kiedy wyszła z domu, uświadomiła sobie, jak smętne i okropne było jej życie od śmierci Celtyllusa. Żyła jako druga żona jego brata, była związana z Cynnusem i musiała znosić jego obecność na swoich włościach. Tak naprawdę majątek należał prawnie do Galvana, ale Cynnus był zbyt silny, by z miejsca się go pozbyć. Geillis sama przed sobą ukrywała, jak bardzo pragnie, by jej małżonek opuścił dom Celtyllusa i wyniósł się do własnego domostwa.

W dodatku musiała znosić jego żonę, tę pierwszą, którą wziął sobie dawno temu. Cynnus był od niej starszy, liczył przeszło czterdzieści pięć lat, miał dorosłe córki, ale nie spłodził syna, co bardzo go denerwowało. Pragnął, by Geillis urodziła mu legalnych następców, dziedziców nie swojego majątku, ta jednak była przebiegła. Stosowała zioła, o których

istnieniu Cynnus nie miał pojęcia. Nie chciała mieć dzieci z małżonkiem, którego sama sobie nie wybrała, a tylko siłą ją poślubił.

Tak naprawdę Geillis wyszła za niego, by chronić Galvana. Wiedziała, że w razie odmowy Cynnus może jej wytoczyć proces o zabójstwo Celtyllusa, a stamtąd prosta droga wiodła na stos. W ten oto sposób kończyły żony morderczynie. A gdyby nie zginęła, bo wstawiłby się za nią możny ród Gobannicjona, Galvanowi, wtedy jeszcze dziecku, groziłoby niebezpieczeństwo.

Jej sytuacja przed czternastu laty naprawdę była niewesoła.

Jednak teraz Galvan był dorosły. I matka wiedziała, w jakim celu jechała do Rzymu.

Dużo rozmawiała z synem, kiedy Cynnusa nie było w pobliżu. Oboje pragnęli pozbyć się brata Celtyllusa ze swojej ziemi. To Geillis ostatecznie wpłynęła na syna, by jak najszybciej się ożenił.

- A kiedy ona urodzi ci syna, odeślesz ją razem z dzieckiem na Sein - radziła. - Udasz, że jest chora po porodzie i należy ją leczyć.

Sein, magiczna wyspa, na której w tajemniczym zakonie kobiety uczyły się sztuki leczenia, wojny i magii. Tam przebywała Uatah z Aife. Serce Galvana tłuło w piersi, kiedy matka rozmawiała z nim na ten temat, ale przezornie milczał, nie chcąc się zdradzić ze swoimi uczuciami.

- A co potem, matko? - pytał, choć właściwie znał odpowiedź.

Siedzieli w izbie wypełnionej zapachem grzybów suszących się nad paleniskiem. Był początek jesieni, ostatnia pieśń lata przebrzmiała i ludzie szykowali się do nadejścia zimy.

Geillis tkła płaszcz. Galvan czyścił tarczę. Cynnusa nie było, pojechał w jakichś sprawach do Gergowii i miał wrócić dopiero za kilka dni. Galvan w blasku płomieni przypatrywał się matce i musiał stwierdzić, że jest piękną kobietą. Nigdy wcześniej o tym nie myślał. Nie zajmowała go w ten sposób. Poza tym nie miał w życiu zbyt wielu okazji, by patrzeć na nią jak na kobietę. Dla niego była matką, ale też kompletnie obcą

osobą. Był z nią przez pierwsze trzy lata życia, a potem widywał ją od czasu do czasu.

Świadomość, że jego matka jest piękną, dumną kobietą, pojawiła się nagle, zupełnie nieoczekiwanie.

- Potem? - odezwała się. - Chyba nie muszę ci mówić, co powinieneś potem uczynić.

Tak, doskonale wiedział. Wcześniej już powiedział, że chce umocnić swoją pozycję, dobierając się do skóry mordercom ojca. Geillis, pałająca żądzą zemsty od czternastu lat, uważała, że tak należy postąpić. Chwaliła decyzję syna, nawet jeśli mogło to skończyć się dla niego tragicznie. Trzeba było podjąć ryzyko.

- Myślisz, że powinienem to uczynić? - dopytywał się natarczywie.

- Owszem.

- Ale to brat mego ojca - mruzczał Galvan pod nosem.

- Tak, brat ojca, który siedzi na twoim dziedzictwie i nie zamierza ustąpić - prychnęła nagle Geillis i odłożyła robotę. - To ja żyję z nim czternaście lat i wiem, co krąży mu po głowie. Jeżeli ty go nie zabijesz, prędzej czy później on zabije ciebie, Galvanie. Bardzo dobrze o tym wiesz.

Tamtego popołudnia Galvan uzmysłowił sobie, że matka ma rację. Gobannicjon też się nie mylił. Chociaż Cynnus nie przyłożył ręki do zabójstwa Celyllusa - był na to zbyt tchórzliwy - było ono dla niego korzystne. Z pewnością niezmiernie martwił się faktem, że jego bratanek wrócił od Scatah. O tym zresztą Galvan doskonale wiedział.

Jednak Geillis siedząca przy krosnach wydała mu się tamtego dnia jakby otoczona majestatycznym nimbem. I wtedy chyba po raz pierwszy w życiu Galvan zdał sobie sprawę, że jego matka pochodziła z królewskiego rodu. Wywodziła się z dawnej królewskiej linii, tak samo jak ojciec, Celyllus. I on, łącząc w sobie krew potomków królów, był idealnym pretendentem do tronu, o ile takowy istniałby w społeczności Celtów.

Siedziała wyprostowana i dumna, a złocistoblond włosy opadały jej na ramiona niczym płaszcz. Wyglądała jak królowa z pradawnych czasów, władczyni Celtów z czasów, kiedy



ci jeszcze wędrowali przez równiny Europy, by osiedlić się tutaj, gdzie teraz żyją. Jej oczy błyszczały w blasku ognia, a wzrok był zimny i pełen pogardy.

- Cynnus! - niemal wypluła to imię. - Upokarzał mnie ponad wszelkie granice. Żyję tu, we własnym domu, jak jego nałożnica, a ty się zastanawiasz, czy należy w niego uderzyć! Na razie jest ci potrzebny do rozprawy z tamtymi, ale potem musisz się mieć na baczności. I radziłabym ci szybko się żenić i płodzić dziedzica, żeby ród Celtyllusa nie zginął, a jego majątek nie dostał się w ręce zachłannego brata.

Galvan patrzył na matkę w niemym zdumieniu. Nigdy nie spodziewał się takich słów po Geillis. Nie po niej. Wydawała mu się uosobieniem łagodności i dobroci.

I nagle usłyszał dźwięki dochodzące w nocy z sypialni Cynnusa, kiedy matka tam spała. Zobaczył jej pełen nienawiści wzrok nazajutrz rano, gdy wychodziła z jego łóżka. Uchwycił współczujące spojrzenia Aman, która odwiedzała ich bardzo często, niemal codziennie. Zrozumiał, że dla matki życie z Cynnusem było niezwykle upokarzające.

- Byłam kiedyś pierwszą wśród kobiet - mówiła cicho Geillis. - A teraz traktuje się mnie gorzej niż psa na podwórzu. On kładzie się na mnie jak na dziewczkę, nie przejmując się bardziej, niż gdyby spał ze sprzedaną dziewczyną. Gdy kończy, odwraca się i zasypia, nie troszcząc zgoła o mnie. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, jak nisko upadłam w oczach ludzi.

Tak, Galvan wiedział, co szeptano wokół. Bezrozumnie powtarzano plotki, jakoby to Geillis wespół z Cynnusem uknuła plan zabicia Celtyllusa, chociaż powszechnie było wiadomo, że zgładzili go ludzie z przeciwnego ugrupowania politycznego. Galvan wiedział też, że matka niebawem udusi się w domu, będąc dzień w dzień do dyspozycji stryja. Z tych powodów, a także dla jej bezpieczeństwa zdecydował, że Geillis pojedzie do Rzymu razem ze swoim bratem. Gobannicjon nie miał nic przeciwko temu.

Co innego, że chciał, by Gwynn także pojechała. Wolał nie ryzykować, że ktokolwiek piśnie Cynnusowi o jego zamiarach. Nie kierował się w tym przypadku miłością, podziwem czy

nawet sympatią. Chciał za wszelką cenę ochronić swoją przyszłą własność, bo w takich kategoriach myślał o Gwynn. Poza tym, że ją lubił, rzecz jasna, obecnie była dla niego przede wszystkim gwarancją przedłużenia rodu i nadzieją jego matki, że dziedzictwo Celtyllusa nie zostanie zaprzepaszczone.

Patrząc na młodą dziewczynę siedzącą na wozie obok Geillis, Galvan nie odczuwał nic. Podobała mu się, to prawda, ale nie myślał o niej w taki sposób, jak ongiś o Uatah. Małżeństwo nie wiązało się z miłością. Nie czuł niczego takiego do Gwynn i nie sądził, by kiedykolwiek mógł poczuć. A ponieważ miał wstąpić w związek z nią z konieczności, zabarwiało to jego stosunek do dziewczyny, która na razie o niczym nie wiedziała i dziwiła się raczej swojej nieoczekiwanej podróży do Rzymu. Tak naprawdę wcześniej do głowy by jej nie przyszło, że coś takiego może się jej przytrafić.

Jadąc konno przy wozie, Galvan myślami był cały czas przy Uatah. Chociaż opuścił ją latem, a teraz jesień stała w pełni, nie potrafił o niej zapomnieć. Nie było dnia, by nie myślał o ukochanej. Widział przed oczami jej postać, kiedy kładł się spać, o niej pierwszej myślał, wstając rano. Przymusowa rozłąka sprawiała, że młody człowiek gorzkniał i zamykał się w sobie. Wiedział, że musi mieć potomka, ale ta świadomość rozniecała w nim jedynie uczucia do dziecka, które już posiadał.

Odwieźć żonę na Sein? Tak radziła mu matka kilka tygodni temu. Sein... Starał się o tym nie myśleć. Nie chciał się zastanawiać, nie chciał wiedzieć, że tam przebywa Uatah i będzie w tym miejscu jeszcze przez jakiś czas, zanim kapłanki z wyspy nie oznajmią, że może już wracać do doliny, gotowa na przyjęcie innego mężczyzny.

Dotarli do gościńca. Tutaj droga skręcała na południe. Wiodła prosto w Alpy. Podróż Gobannicjona, Geillis i Gwynn prowadzić miała wąskim górskim szlakiem tuż przy wybrzeżu morskim. Docierali do południowych granic Galii, dalej znajdowała się Prowincja rzymska, później zaś już Galia Przedalpejska, przez którą musieli przejechać do Lacjum. Galvan nie chciał wędrować dalej. Musiał wracać do domu.

Czekała go kilkudniowa podróż do Gergowii. Jego bliscy kierowali się na ubity rzymski trakt, na solidną kamienną drogę. Sam miał wracać marnymi szlakami galijskimi.

- Bądź ostrożny, mój synu - powiedziała na pożegnanie Geillis. - Pomyśl, zanim swój zamiar obrócisz w czyn.

Galvan uśmiechnął się do niej. Nie mogli mówić głośno, chociaż Ruten, ojciec Gwynn, i Gobannicjon byli wtajemniczeni.

- Gdy wrócicie, sprawa będzie załatwiona - oznajmił. - O mnie się nie martw, matko. Nic mi się nie stanie.

Po chwili postoju i sprawdzeniu wszystkich wozów, które Gobannicjon prowadził na handel, karawana ruszyła w stronę poszarpanych alpejskich wierzchołków wynurzających się z mgły na południu. Galvan stał i spoglądał za nimi przez chwilę, po czym skierował konia na północny zachód, by czym prędzej wracać do domu.

\*

Dla tak młodej dziewczyny jak Gwynn podróż do Rzymu była nie lada gratką, toteż cieszyła się niezmiernie z tej możliwości. Niemal zapomniała o swoich sercowych rozterkach, kiedy ojciec zapowiedział, że pojedzie do tego miasta razem z Gobannicjonem i Geillis. Spędzi tam kilka dni, po czym wróci do domu. Kilka dni? W Rzymie?

Nie każdego było stać na taką podróż. Rzecz jasna, można było wybierać się w pojedynkę przez Alpy, ale wiązało się to z ogromnym ryzykiem. Górskie przełęcze po stronie galijskiej pełne były rabusiów; wszyscy o tym wiedzieli. Po stronie rzymskiej było inaczej, bowiem Rzymianie wystawiali straż graniczne w górach. Kohorty stacjonowały na straży Prowincji, więc przejścia przez góry były dobrze strzeżone.

Dla Gwynn to wszystko było jak sen. Nie mogła uwierzyć w ten wyjazd, dopóki nie ujrzała, jak ojciec sposobi dla niej pożywienie na kilka tygodni podróży. Ona i Geillis miały podróżować wozem, mężczyźni zaś konno. Przy okazji ojciec wystawił produkty na sprzedaż w Rzymie. Wiedział, że galijskie tkaniny i ozdoby, a także dzbany i amfory cieszyły się

powodzeniem wśród tamtejszych mieszkańców. Obowiązkiem Gwynn było dogłębne oglądanie towarów w czasie podróży.

Całą noc przed wyjazdem nie zmrużyła oka z podniecenia i przejęcia. Miała podróżować niczym prawdziwa celtycka arystokratka, którą po prawdzie była. To, że pani Geillis, wdowa po Celtyllusie, a obecnie żona jednego z możniejszych panów w Gergowii, mogła sobie pozwolić na taką wycieczkę, było dla Gwynn oczywiste. Ale ona? No tak, była przecież córką jednego z naczelników. Możliwych w Galii było stać na znaczne wygody i luksusy.

Uważała siebie za najszcześliwszą dziewczynę na świecie. Aż do chwili, kiedy rano ujrzała Galvana na koniu. Na jego widok poczuła bolesny skurcz serca, a cała radość życia zgasła jak zdławiony płomień świecy. Gdzieś między żołądkiem i żebrami poczuła znowu dobrze znany ciężar, zupełnie jakby coś tam zalegało. Opanowały ją trudna do zniesienia tęsknota i lęk, by nie zdradzić się z uczuciami.

Zdziwiła się, kiedy napotkała zdumione spojrzenie Geillis. Matka Galvana patrzyła na młodą dziewczynę uważnie, ale Gwynn nie zauważyła, że tamta ją przejrzała. Geillis było okropnie smutno i przykro, bo rozumiała aż za dobrze dziewczęce zadurzenie Gwynn i wiedziała, że Galvan nie odwzajemnia jej uczucia. Siedząc na wozie, cofnęła się nagle dwadzieścia lat wstecz. Widziała siebie, jak zafascynowana pewnym młodym człowiekiem wzdychała tęsknie nad rzeką, nie mogła skupić się przy krosnach i płakała z żalu nocami. Tamten mężczyzna jej nie dostrzegał. Nie widział uczucia w oczach Geillis, kiedy na niego patrzyła. Ta miłość była gorzka i przykra, nieodwzajemniona i nigdy niespełniona. Wkrótce potem przyszedł Celtyllus i prosił ją o rękę. Geillis zgodziła się, bo doskonale wiedziała, że tamtego nie dostanie, Celtyllus zaś zapewni jej i potomstwu zrodzonego z tego związku dobrą przyszłość.

Dlatego patrząc na młodą dziewczynę, odczuwała smutek. Wiedziała, że Galvan o nią prosił, ale знаła też jego powody, które dalekie były od romantyzmu i płomiennych uczuć. Geillis uważała, że jej syn powinien się opamiętać. Wszak świat nie

kończy się na jednej Utah z zakonu Sein. Galvan dobrze wiedział, co robi, kiedy wiązał się z tamtą dziewczyną. Umowa była jasna. Rok i na tym koniec. Czy nie rozsądniej byłoby z jego strony przeciąć wszystko, zanim zaczęło boleć? Ale Galvan zakochał się i nic nie mógł na to poradzić. Tylko że teraz mógłby się chociaż starać zapomnieć o byłej żonie. A raczej nie miał innego wyjścia.

Geillis, obserwując syna, zwróciła uwagę, że on nie dostrzega oznak podziwu w zachowaniu Gwynn ani uczucia emanującego z oczu dziewczyny. Gdyby tylko zechciał spojrzeć uważniej, z pewnością by to wszystko zobaczył. Ale on nie chciał patrzeć, pochłonięty marzeniami i rozmyślaniami nad nieistniejącą przyszłością z Utah i na rojeniu bzdurnych fantazji.

Galvan towarzyszył im przez dwa dni podróży, kiedy to dotarli do płaskowyżu przed Alpami. Góry wznosiły się majestatycznie daleko przed nimi, niemal zahaczając ostrymi szczytami o chmury. Ciemne i groźne wychylały się zza oparów jesiennej mgły, wyłaniały nagle, stercząc nad zielonymi jeszcze pastwiskami i górując nad rwącymi potokami spływającymi w doliny. Wielkie, posępne kolosy, które sprawiały, że ludzie czuli się mali i nic nieznaczący.

Gwynn na widok gór ogarnęła niewypowiedziana tęsknota. Alpy wzbudzały w niej poczucie samotności, a także w dziwny sposób przypominały jej własną śmiertelność. Fakt, że będą istniały, kiedy ona już dawno zakończy swą ziemską wędrówkę, przygnębiał dziewczynę i jednocześnie dziwił. Bo tak naprawdę jej myśli nie wybiegały w przyszłość dalej niż kilka lat. Gdy pomyślała, że te góry wznosiły się tak samo, kiedy Hannibal wędrował tędy ze swoim wojskiem i kiedy wiele setek lat wcześniej Celtowie schodzili w te żyzne doliny, poczuła zawrót głowy. Tak, kiedyś jej już nie będzie, ale te góry dalej będą szarpały niebo swoimi wierzchołkami.

W stęsknionym sercu Gwynn coś kłuło i bolało. „Galvan” – myślała smutna. „Tak bym chciała być z tobą tutaj, czuć twoje obejmujące mnie ramiona i wiedzieć, że należymy do siebie. Może w obliczu szczęśliwej miłości potęga gór nie

przygnębiałaby mnie tak bardzo?”. Tymczasem ona czuła się taka samotna, tak strasznie sama wśród tych wszystkich towarzyszących jej ludzi!

Oczywiście, podczas wyprawy do Rzymu rozmawiała beztrudnie z Geillis, Gobannicjonem i sługami. Śmiała się i żartowała, dziwiąc się sama sobie, że tak łatwo jej to przychodzi. Ogromny smutek drążył szerokie korytarze w jej duszy, zupełnie jak górskie potoki złościły doliny między szczytami.

W miarę jak posuwali się na południe, szli coraz wyżej, a powietrze stawało się rzadkie i zimne. Geillis i Gwynn siedziały w wozie okrytym skórą i spoglądały na płatki śniegu wirujące wolno w górskim powietrzu. Pogoda zmieniała się tam szybko. Słońce świeciło przez chwilę, by zaraz ustąpić miejsca szarym kłębiastym chmurom.

Po kilku dniach zeszli w dolinę między dwoma masywami górskimi – Alpami i Apeninami. Musieli przeprowić się mostem przez Pad, który po gorącym lecie był spokojny, a jego wody niskie. Apeniny tworzyły widoczny łuk, oddalając się z północnego zachodu na południowy wschód i ginąc gdzieś daleko. Orszak Gobannicjona kierował się wprost na wybrzeże Ligurii, by tamtędy jak najszybciej przedostać się na teren Lacjum.

Jadąc wąskim rzymskim traktem niemal nad samym morzem, Gwynn odczuwała strach i szacunek dla sił natury. Miejscami było bardzo niebezpiecznie. Wybrzeże Morza Tyrreńskiego było poszarpane i wysokie, w dole mnóstwo skał nie zachęcało do upadku. Gwynn po raz pierwszy w życiu widziała morze i nadziwić się nie mogła, jak bardzo jest błękitne i kuszące.

Wreszcie po ośmiu dniach jazdy znaleźli się w Lacjum. Wcześniej musieli przedostać się przez górzystą Etrurię, gdzie na wysokich wzgórzach rozlokowane były osady i miasta. Przedostali się przez rzekę Arnus, minęli miasto Volterrae, niegdyś jedno z najpotężniejszych etruskich miast w Italii, po czym zboczyli z nadmorskiego traktu i skierowali się w stronę lądu. Podążali do Rzymu.

- Nigdy w życiu nie sądziłam, że Italia jest tak zróżnicowana pod względem terenu - wysapała Gwynn, kiedy dojeżdżali już do miasta otoczonego solidnymi murami.

Jazda na wozie dała jej się we znaki.

Gwynn nigdy nie była w Rzymie, toteż teraz stała na brukowanej ulicy z szeroko otwartymi ustami i gapiła się na wielkomięjski przepych. Nie mogła pojąć, że istnieje miasto tak wielkie i tak gęsto zaludnione jak Rzym właśnie. Nigdy nie widziała bruku na ulicach, gdyż w Gergowii istniały jedynie gliniane trakty. Nie miała też okazji oglądać domów z cegieł wypalanych na modłę rzymską. Stały one jeden przy drugim, ulice były ciasne i wąskie, a wokół panowało niezmiernie zamieszanie. Dla młodej dziewczyny był to wspaniały widok. Gwynn napawała się przepychem Rzymu, wdychała jego zapach, niekoniecznie piękny, gdyż od Tybru wciąż czuć było zgnilizną, chociaż nastąpiła już jesień, i chłonięła całą sobą atmosferę wielkiego włoskiego miasta.

Ojciec mówił jej kiedyś, że Rzym jest największym i najwspanialszym miastem Europy. Musiała mu teraz przyznać rację.

Znajdowali się w drodze na rynek towarowy nad Tybrem. Od strony rzeki dochodził ich nieprzyjemny zapach. Wody Tybru były niskie, zielonkawobrunatne i spokojne. Gwynn widziała już wiele rzek w swoim życiu, ale idąc teraz w kierunku wyspy na Tybrze, na Forum Boarium, gdzie kupcy sprzedawali swoje towary, czuła się tak szczęśliwa jak nigdy w życiu.

Nie mogła wiedzieć, że sześćset lat wcześniej w tym miejscu znajdowały się cmentarze, a teren był bagienny i niezdrowy. W tym samym czasie, gdy państwa greckie przeżywały okres największego rozkwitu, Rzym budził się powoli do życia. Osady na wzgórzach powoli się rozrastały, ludzie schodzili w dolinę, w której potem powstał rynek. Mądrzy Etruskowie, posiadający prastarą wiedzę, uczyli Latynów budować ulice, osuszać bagna i wznosić domy.

Tego Gwynn nie wiedziała. Dla niej Rzym jawił się już jako olbrzymie miasto, a nie kilka wiosek na szczytach wzgórz, nie

tak bardzo znowu od siebie oddalonych. Ona ze swego miejsca doskonale widziała Kapitol i Palatyn, jako że znajdowała się dokładnie między nimi. Za plecami miała wejście na Forum Romanum, które w ciągu wieków ulegało przebudowom i modyfikacjom. Nieco dalej, za Doliną Murcia wznosił się Awentyn, zaś w dolinie królował olbrzymi cyrk, największy, jaki Gwynn kiedykolwiek miała zobaczyć. Z miejsca, w którym stała, nie widziała Circus Maximus, gdyż Dolinę Murcia zasłaniał jej Palatyn.

Stojąc niemal na nadbrzeżu Tybru i patrząc, jak Gobannicjon kieruje swe wozy na Velabrum, Gwynn znowu ścisnęło się serce. Ta rzeka płynęła tu setki lat wcześniej, kiedy jeszcze Rzym nie istniał. Już sama myśl, że tego miasta kiedyś nie było, przerażała ją i napawała dziwnym lękiem. A gdy pomyślała, że za kilkadziesiąt lat umrze, podczas gdy to miasto będzie się dalej rozrastać i trwać, jeszcze wspanialsze i potężniejsze niż obecnie, czuła dławienie w gardle.

Wieczne miasto... Niepokonany Rzym... Doprawdy, Rzymianie mieli powody do dumy.

Odwróciła się gwałtownie, bo ze wzgórza nagle zaczęła schodzić procesja. Kierowała się na Świętą Drogę, o czym Gwynn nie miała, naturalnie, pojęcia. Zaciekawilo ją to, ponieważ od orszaku dobiegały śpiewy w dziwnym języku, melodyjnym i kompletnie różnym od tego, którym się posługiwała. Gwynn pierwszy raz słyszała łacinę. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z tym językiem, chociaż kilka razy w życiu słyszała mowę Hellady.

Zaciekawiona oddaliła się od Gobannicjona i wozów. Chciała przypatrzeć się temu widowisku. Niemal od razu zorientowała się, że to orszak ślubny. Ujrzała pannę młodą w ognistoczerwonym welonie na głowie. Włosy dziewczyna miała splecione w sześć warkoczy, a ubrana była w prostą białą szatę przewiazaną w pasie sznurkiem.

Gwynn stała tuż przy wejściu na Forum, w miejscu, gdzie Święta Droga kończyła się na Kapitolu i łączyła z ulicą Vicus Iugarius. Po prawej stronie znajdowała się potężna Bazylika Sempronia, a dalej na Forum wznosiła się Świątynia Saturna.



Ze swego miejsca Gwynn widziała, że na wzgórzu stoi jeszcze jeden gmach, wielki i monumentalny, ale nie miała pojęcia, że to Świątynia Jowisza Najlepszego Największego, zbudowana przez Etrusków za króla Tarkwiniusza Pysznego.

Orszak weselny zszedł na dół i zatrzymał się na chwilę. Gwynn, stojąc, wsłuchiwała się w śpiew, który ani na moment nie milknął. Przedziwne były dla niej te słowa, których nie rozumiała.

*Collis o Heliconii  
cultor, Uraniae genus,  
qui rapis teneram ad virum  
virginem, o Hymenaeae Hymen,  
o Hymen Hymenaeae,  
cinge tempora floribus  
suave olentis amaraci,  
flammeum cape, laetus huc,  
huc veni, niveo gerens  
luteum pede soccum;  
excitusque hilari die,  
nuptialia concinens  
voce carmina tinnula,  
pelle humum pedibus, manu  
pineam quate taedam<sup>1</sup>.*

Domyślała się jednak, że jest to pieśń weselna. Wszyscy śmiali się i żartowali, idąc w stronę Forum.

Na chwilę oczy Gwynn spotkały spojrzenie panny młodej. Rzymianka, niewiele od niej starsza, miała intensywnie czarne oczy, a jej spojrzenie było tak przepełnione bólem i smutkiem, że dziewczynie serce się ścisnęło. Ta panna młoda nie chciała męża, którego jej wybrano. Gwynn ogarnęło głębokie współczucie. „Wszędzie jest tak samo” – pomyślała przygnębiona, kiedy panna młoda w czerwonym welonie przeszła obok niej.

Podniosła głowę i napotkała wzrok mężczyzny w białej todzie ozdobionej purpurowym szlakiem. To musiał być ojciec, podobieństwo było uderzające. Czarne oczy w przystojnej, ale surowej twarzy przyglądały się Gwynn przez chwilę, po czym mężczyzna poszedł dalej, nie oglądając się już za siebie.

- Gwynn! - rozległo się wołanie. - Wracaj tutaj! Gdzie ty się podziewasz?

To Gobannicjon ją wołał. Dziewczyna czym prędzej pobiegła z powrotem na Velabrum.

- To nie czas na zwiedzanie miasta - zganiał ją wuj Galvana. - Teraz musimy wyładować towary, a potem ulokować się gdzieś na noc, a ty biegasz na Forum Romanum. Zdążymy i tam dojsć - powiedział już łagodniej.

Gwynn posłusznie powlokła się do wozów. W sercu czuła dziwny smutek, kiedy myślała o dziewczynie mającej wstąpić w ślubne łóżce z niechcianym mężczyzną. Tyber migotał zielonkawo w promieniach jesiennego słońca. Rzeka płynęła spokojnie, jednostajnym rytmem, tak jak setki lat wcześniej i jak miała płynąć następne tysiąclecia.

Ale myśli Gwynn były już gdzie indziej.

---

<sup>1</sup> *Caius Valerius Catullus I 61 fr.*

## IV

Julia wcale nie uważała, że jej ślub będzie radosną uroczystością. Milion razy bardziej wolałaby ujrzeć siebie na stosie pogrzebowym. Kiedy nieopatrznie wyznała to babce Aurelii, ta zganiła ją, wołając, że dziewczyna nie powinna mówić takich rzeczy.

- Oby to nie był zły znak! - mruzczała pod nosem, tłumiąc w sobie gniew i strach. - Obyś tego nie wymówiła w złą godzinę!

Julia uważała, że jest jej wszystko jedno.

Przygotowania do ślubu z Pompejuszem szły pełną parą, kiedy decyzja zapadła. Ojciec Julii wrócił z willi Kornelii niezwykle zadowolony, chociaż ilekroć na nią spojrzał, w jego oczach pojawiał się smutek i coś na kształt wyrzutów sumienia. Unikał wzroku córki i nie chciał przebywać z nią sam na sam.

Aurelia widziała natomiast, że wnuczka jest nieszczęśliwa, ale nie mogła na to nic poradzić. To Gajusz, jej syn, był panem rodziny i znajdowała się pod jego absolutną władzą. Jeżeli postanowił o małżeństwie córki, to żadna siła, żadna ustawa ani żadne prawo boskie czy ludzkie nie mogły zmienić jego decyzji.

Wiedziała o tym, jednak żal ścisnął ją za serce, kiedy widziała, jak Julia się męczy. Pompejusz przyszedł kilka razy niby z wizytą do Cezara. Tak naprawdę chciał obejrzeć z bliska dziewczynę, o której urodzie dosłownie krążyły plotki. Julia, córka Cezara, była jedną z najpiękniejszych kobiet w Rzymie.

Prawdę mówiąc, Aurelię drażniły te wizyty Pompejusza, ale na to też nie mogła nic poradzić. Aby uniknąć widoku przyszłego męża swej wnuczki, udawała się do córki i jej rodziny. Tam w spokoju przeczekiwała najgorsze. Usiłowała

ukryć fakt, że nie lubi Pompejusza, chociaż z drugiej strony imponował jej swoją pozycją, majątkiem i potęgą.

Ślub miał się odbyć wczesną jesienią, zaraz po wyborach na rok następny. Cezar chciał się w ten sposób zabezpieczyć, mieć pewność, że nie oddaje córki w zastaw za darmo. Tak więc Julia była tylko koniem przetargowym. Ojciec posłużył się nią, by zdobyć upragniony urząd konsula.

Sama Julia nie myślała o tym w ten sposób. O wiele bardziej martwił ją fakt, że wejdzie w związek małżeński bez miłości, o której tak marzyła jako młoda dziewczyna. Wyobrażała sobie małżeństwo jako więź dwojga kochających się gorąco ludzi, nie zaś zwykły polityczny układ. Jakże miała iść do łóżka z obcym człowiekiem, w dodatku starszym od niej o dwadzieścia lat? Pompejusz był w wieku Cyncerona, sześć lat starszy od jej ojca! Doprawdy, niewiele obchodził ją fakt, że kobiety w Rzymie uważały go za przystojnego i pociągającego. Mógł nosić zaszczytny przydomek Wielkiego, a Cynceron w swoim czasie mógł przemawiać w senacie za przyznaniem mu naczelnego dowództwa w wojnie z piratami. Julię nic to nie obchodziło. Widziała w Pompejuszu czterdziestosześcioletniego opasłego wieprza, z którym miała dzielić łożę, by potem rodzić mu dzieci. Na myśl o tym dziewczyna wpadała w czarną rozpacz. Miała wrażenie, że wie, co czuła Prozepina, kiedy Pluton porwał ją do Hadesu. Ale bohaterka mitu wcześniej nie była zakochana, Julia natomiast – owszem. Obiektem jej uczuć był narzeczony, którego ojciec jej wybrał. Tamten mężczyzna zawsze się jej podobał i wiązała z nim spore nadzieje. Teraz zaś...

Zastanawiała się, czy babka Aurelia czuła podobnie. Z opowieści bowiem wiedziała, że jej matka, Kornelia, kochała Cezara, kiedy za niego wychodziła. Było to zjawisko dosyć rzadkie w tych czasach, kiedy rodzice decydowali bezwzględnie o małżeństwie swoich dzieci. Zresztą Kornelia wiele razy powtarzała, jak bardzo kocha swego męża, a i on również powtarzał jej wielokrotnie, że jest mu bliska i że pała do niej uczuciem.

Do licha! Dni lata mijały zatrważająco szybko. Za szybko zdaniem Julii.

Któregoś dnia, krótko przed ślubem, zdecydowała się porozmawiać z babką. Weszła do atrium, w którym Aurelia w towarzystwie niewolnic kończyła właśnie tkąć jej suknię ślubną - prostą wełnianą stolę, która miała być przewiązana sznurem w pasie. Welon, płomienistoczerwony jak ogień, co miało symbolizować ognisko domowe, czekał już na pannę młodą w sypialni babki. Aurelia dzieliła obowiązki między swego syna Cezara i córkę Julię, która sama już była babcią. Często bywała w odwiedzinach u swej wnuczki Attii i prawnuczka Gajusza Oktawiusza. Nie wiedzieć czemu Aurelia uwielbiała malca ponad wszelkie granice zdrowego rozsądku. Ponoć przy jego narodzinach pojawiały się na niebie dziwne znaki. Aurelia wiedziała, co symbolizują, ale sama przed sobą bała się powiedzieć to na głos.

Zaskoczona uniosła wzrok znad stoli i spojrzała na swą wnuczkę. Julia miała skończyć dwadzieścia dwa lata późną jesienią, kiedy drzewa stracą wszystkie liście, tuż przed Kalendami grudniowymi. Była piękna, smukła i gibka, tej samej budowy, co jej nieszczęsna matka Kornelia. Również z twarzy była do niej podobna, ale kruczoczarne włosy, przewiązane dziś niebieską przepaską, i lśniące czarne oczy upodabniały ją do ojca. Aurelię zaskoczył wyraz tych oczu, jako że wcześniej były one roześmiane i figlarne. Teraz gościł w nich jedynie smutek.

Aurelia wiedziała, że lud kocha jej wnuczkę, potomkinię rodu Juliuszy. Nie trzeba było dodawać, że Julia była jak na razie ostatnią z rodu z linii Cezara. Dotychczas Cezar nie spłodził żadnych innych dzieci, zresztą nawet gdyby, to nieuznane przez niego oficjalnie po prostu się nie liczyły. Taka była smutna prawda.

Julia ostrożnie przysiadła na ozdobnym krześle.

- Nie przeszkadzam? - zapytała, jak to miała w zwyczaju.

- Ależ skąd! - uśmiechnęła się Aurelia.

Matka Cezara nadal młodo wyglądała, pomimo całkowicie siwych włosów.

- A czy mogłabym z tobą porozmawiać na osobności?

Aurelia była cokolwiek zdumiona.

- Wyjdź, Syro - zwróciła się do syryjskiej niewolnicy. - I ty też, Akte. I powiedz Pamfili, żeby przygotowała wodę do płukania wełny.

Obie niewolnice skłoniły się i wyszły. Atmosfera w domu Cezara była surowa, ale nie pozbawiona pewnej życzliwości. Było też zwyczajem, że pani domu wykonywała kobiece zajęcia w towarzystwie swych niewolnic. Julia wiedziała, że jej matka też tak postępowała, Pompeja zaś, druga żona Cezara, buntowała się niemożliwie przeciwko tej tradycji.

- No, o co chodzi, Julio? - zapytała babka, chociaż doskonale wiedziała, co gryzie wnuczkę.

Młoda kobieta pochyliła głowę, tak że jej czarne włosy opadły na oliwkowe ramiona.

- Babciu, chciałam cię zapytać - zaczęła niepewnie - jak to jest w małżeństwie.

Aurelia spodziewała się wielu pytań, ale z pewnością nie takiego. Patrzyła na wnuczkę zaskoczona.

- Ależ wydaje mi się, że już kiedyś rozmawialiśmy na ten temat - powiedziała.

- Tak, ale chciałabym wiedzieć więcej - poprosiła Julia. - Wiesz przecież, że mój ślub bliski.

- Wiem - westchnęła Aurelia, po raz pierwszy dając Julii do zrozumienia, że wcale się nie cieszy z tego powodu. - Wszystko już przygotowane.

Julia rozejrzała się po domu, jakby bała się, że nigdy już do niego nie wróci. Owszem, wróci. Nim minie rok od jej ślubu, spędzi tu trzy kolejne noce, dając do zrozumienia, że nie chce przejść pod władzę męża. Tyle przynajmniej mogła uczynić. A Julia chciała pozostawać pod ojcowską władzą tak długo, jak tylko się dało.

- Babciu, czy to naprawdę konieczne? - zapytała proszącym tonem. - Czy ja muszę za niego wychodzić? Przecież go nie kocham. Nawet go nie lubię. Widziałam go w tym domu kilka razy, poza tym parę razy spotkałam na Forum. To wszystko. I on ma być moim mężem? Na Jowisza, czy to jakiś podły żart ze strony mego ojca?

Aurelia siedziała wstrząśnięta. Do głowy by jej nie przyszło,

że Julia może do tego stopnia nie chcieć ślubu.

- Żeby on był przynajmniej młody - ciągnęła wnuczka jednym tchem. - Młody, przystojny i niezużyty! Zresztą mógłby nawet i być szkaradny, niech mi tam! Ale nie taki stary! Dlaczego ojciec nie chce mnie wydać za Kwintusa Cyncerona albo za Marka Antoniusza, tylko za tego starucha!

Aurelia śmiała się, gdyby to nie było takie tragiczne. Sama została wydana za mąż przez swego ojca, Aureliusza Kottę, i nikt nie pytał jej o zdanie. Córka Aurelii, Julia, wyszła za Attiusza bez protestów. Cezar wydał ją za mąż, nie pytając o nic.

- Ostatecznie czterdziestosześcioletek to jeszcze nie zgrzybiały starzec - mruknęła - tylko mężczyzna w sile wieku.

- Ale on jest dziadkiem! - wrzasnęła Julia, nie panując już nad sobą. - Jego dorośli synowie są starsi ode mnie! Babciu, to jest nieprzyzwoite! Dlaczego ojciec przystał na ten koszmar? Bo chce być konsulem? To jest dla niego ważniejsze niż ja?

Aurelia przymknęła oczy. Tego akurat się spodziewała. Wiedziała, że Julia prędzej czy później poruszy ten temat.

- Posłuchaj, Julio - odezwała się cicho. - Wiem, że jest ci przykro i że nie kochasz Pompejusza. Ale takie jest życie, niestety, i naprawdę mało która dziewczyna wychodzi za mąż z miłości. Twój ojciec, patrząc ze swego punktu widzenia, chciał ci zapewnić dobrą przyszłość. Z Pompejuszem nie zaznasz biedy. Ten człowiek będzie dbał o ciebie i szanował jako córkę Cezara, jedną ze szlachetnego rodu Juliuszy.

- I zrobił to tylko dlatego? - zapytała Julia smętnym tonem. - Co mnie obchodzi ród Juliuszów? Co mnie obchodzą szacunek i bieda? Ja chcę mężczyznę, który będzie mnie kochał i którego ja będę kochała.

Aurelia siedziała zamyślona. Kiedyś, dawno temu, też kochała mężczyznę boleśnie i gorzko. I też sądziła, że jej życie się skończy, kiedy wyjdzie za Cezara. No bo jak żyć z kimś, do kogo absolutnie nic się nie czuje? Z wiekiem jednak zrozumiała, że początkowa namiętność jest niczym w porównaniu z późniejszym uczuciem. Tym, które rodzi się w szarej codzienności i wiąże dwoje ludzi bardziej niż fizyczna

bliskość. To poczucie wspólnoty, bezpieczeństwo, zaufanie i przyjaźń było cenniejsze wedle Aurelii od jakiegokolwiek intensywnego uczucia w jej młodości. Bez pasji, emocji i gwałtowności. Tylko spokojne oddanie, świadomość, że druga osoba jest obok, wspólna troska o dom, o dzieci, o przyszłość... Nie miało to żadnego związku z młodzieńczą gorączką we krwi.

Gdy rozmyślała o swoim krótkim małżeństwie z Cezarem, czuła, że tamta miłość do innego człowieka rozwiązała się dawno temu, budowana na marzeniach, pragnieniu zespolenia i jeszcze czymś, czego Aurelia nigdy nie nazwała po imieniu.

- Miłość wcale nie jest najważniejsza w życiu - powiedziała do wnuczki powoli. - Są istotniejsze rzeczy. Miłość jest ulotna, niestała i potrafi nagle wygasnąć. Istnieją więzy silniejsze od tych zesłanych nam przez Wenus i Amora. Nauczysz się kochać i szanować Pompejusza, kiedy spędzisz z nim kilka lat, Julio. To samo przyjdzie.

- A jeżeli nie? - zapytała Julia ze strachem w oczach.

- To się rozwiedziesz i poszukasz innego mężczyzny.

Aurelia wiedziała, że łatwo mówić, zwłaszcza do młodej, niedoświadczonej dziewczyny. Życzyła Julii udanego małżeństwa, a nie uczuciowej szamotaniny i niepewności.

Dziewczyna była rozczarowana odpowiedzią babki. Chciała pocieszenia i zrozumienia, a nie stwierdzenia, że miłość nie jest najważniejsza. Co za bzdura! Przecież bez niej człowiek jest nieszczęśliwy, Julia wiedziała o tym bardzo dobrze. Widziała, jak jej ojciec męczył się po śmierci matki. Jakim więc prawem babka wypowiadała tego rodzaju bluźnierstwa?

Julia westchnęła i zrezygnowana wyszła do ogrodu za domem, by pobyć przez chwilę sama. Rozmowa z babką nie przyniosła jej ukojenia, którego tak potrzebowała. Pozostała smutna i apatyczna. Stroniła od ludzi i oczekiwała z niechęcią dnia ślubu, który zbliżał się szybciej, niżby sobie tego życzyła. Tak naprawdę pragnęła, by ten przeklęty dzień nigdy nie nadszedł, ale na to akurat nie miała żadnego wpływu.

\*



Zdziwienie Julii nie miało sobie równych, gdy kilka dni przed ślubem przyszedł do niej Pompejusz. Spodziewała się dosłownie wszystkiego, łącznie z tym, że jej matka Kornelia będzie ją przestrzegać z za grobu, ale odwiedziny narzeczonego były dla niej szokiem.

Zrazu nie mogła pojąć, kto do niej przyszedł. Usłyszała w atrium męski głos, ale sądziła, że to jakiś klient ojca. Prawdę mówiąc, i tak była zdziwiona, gdyż Cezar tego dnia siedział w senacie, potem zaś miał się udać do świątyni Westy, aby jak co miesiąc wysłuchać sprawozdań westalek.

Julia uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Wiedziała, jak Cezar nie znosi tych wizyt. Rozumiała doskonale, że kandydował na stanowisko najwyższego kapłana tylko dla zwiększenia swego prestiżu. Z wolna Julia zaczynała rozumieć, co kierowało jej ojcem. Pojęła, że wcale nie chodzi mu o nędzny urząd konsula. Nie, Cezar mierzył znacznie wyżej, chociaż oficjalnie nie wolno mu było tego powiedzieć. Był na tyle dalekowzroczny, by wiedzieć, że Republika powoli chyli się ku upadkowi. To znaczy działo się tak od czasu zakończenia wojen z Kartagimą. Teraz zaś, po wojnie domowej między Sullą i Mariuszem, po nieudanym zamachu Katyliny przed trzema laty, wreszcie – przy ogólnym rozprężeniu dawnych zwyczajów chyli się ku owemu upadkowi znacznie szybciej. Raz nawet powiedział o tym w domu przy babce Aurelii. Jednak przy Pompejuszu nigdy by się nie ośmielił. Zresztą Julia udawała, że wcale jej nie obchodzą plany polityczne ojca.

Dlatego też zdrętwiała na widok Pompejusza wchodzącego do perystylu, gdzie siedziała, rozkoszując się ostatnimi ciepłymi dniami jesieni. Jej przyszły mąż odziany był w togę z purpurowym szlakiem, tak więc jedno ramię miał wolne; drugie owinięte było w materiał. Julia wiedziała, że ludzie śmieją się z jej ojca, ponieważ nosił togę luźno, by nie mieć skrepowanej lewej ręki. Ale Pompejusz, chcąc uchodzić za ucieleśnienie rzymskich cnót, trzymał mocno połą togi.

Tunika wystająca spod spodu miała kolor siarki i ostro kontrastowała z purpurowym senatorskim szlakiem na dole togi. Ponieważ przychodził jako człowiek prywatny, a nie

prokonsul, obywatel się bez asysty liktorów.

Julia na widok Pompejusza wstała, wiedzona szacunkiem, sądząc, że przybywa on do Cezara.

- Nie, usiądź - odezwał się głębokim głosem. - Przychodzę do ciebie, Julio.

Dziewczyna skrępowana usiadła. Przywołała niewolnicę, która towarzyszyła jej w perystylu, gotowa do usług, i poleciła przynieść wino dla gościa. Kiedy czekali, Julia mimowolnie wspominała swoje zaręczyny. W towarzystwie czterech świadków Pompejusz zobowiązywał się zaślubić córkę Cezara jeszcze w tym samym roku. W innym przypadku musiałby zapłacić sumę równą jej posagowi jako zadośćuczynienie. Gdyby Cezar złamał umowę, posag Julii przepadłby na korzyść Pompejusza.

Nosiła na palcu złoty pierścień, który jej wtedy podarował. Ale podczas zaręczyn była sztywna i niechętna. Nie chciała patrzeć na swego przyszłego męża i odwracała głowę, kiedy chciał się do niej zbliżyć. Cezar śmiał się, obracając to wszystko w żart, i powtarzał, że dziewczynie żal opuszczać dom ojcowski. Ale potem nagadał jej, że kompromituje jego i samą siebie, chociaż tak naprawdę nie był zły.

Ale Julia zapamiętała słowa ojca, który rzadko się na nią złościł, i teraz patrzyła cierpliwie Pompejuszowi w oczy. Właściwie nie był taki szkaradny i odpychający, jak sobie wmawiała. Oczywiście, dzieliły ich dwadzieścia cztery lata, temu zaprzeczyć nie mogła. Ale w zasadzie Pompejusz był eleganckim mężczyzną, zadbanym i wcale jeszcze nie starym. Trzymał się prosto, dostojnie, miał silne, umięśnione ramiona i łydki, szeroką pierś i plecy, no i w ogóle był masywny. Twarz miał poorly zmarszczkami, zwłaszcza na czole i policzkach. Oczy raczej małe, usta dość wąskie, ale zęby miał duże i równe, oddech świeży, a ciemne włosy gęste i kręcone. Dłonie też miał silne, obeznane z mieczem.

Służąca wniosła wino dla Pompejusza. Julia odesłała ją ręką.

- Zdumiewa mnie, że przychodzisz do mnie - odezwała się wreszcie, chcąc przerwać milczenie, które stało się kłopotliwe.

- Masz może jakiś interes?

Pompejusz uważnie przyglądał się jej swoimi piwnymi oczami. Julia była piękną dziewczyną, pociągającą i zmysłową, ale także smutną!

- Doszły mnie słuchy, że jesteś niechętna temu małżeństwu - odezwał się, chcąc od razu przejść do tematu. Pompejusz Wielki nie strzepił sobie języka na darmo. Inni robili to za niego. - Czy to prawda?

Julia się stropiła.

- Kto tak mówi? - zapytała. - Wiesz przecież, że nie uczynię niczego wbrew woli mojego ojca.

- Nie o tym mówię. - Pompejusz wolną ręką zrobił gest, jakby odganiał natrętną muchę. - Cezar powiedział mi dziś w senacie, że nie ma serca do niczego cię przymuszać. Ale ja chcę usłyszeć to od ciebie. Jeśli jestem ci niemiły, to możemy od razu zerwać umowę.

Julia spoglądała na tego silnego, doświadczonego mężczyznę i naraz uświadomiła sobie, że jego głos drży, a ręka trzymająca puchar z winem trzęsie się nieznacznie. Obawiał się czegoś. Pompejusz Wielki się bał! Ale czego? Że ona go rzuci czy też że jego układ z Cezarem się nie powiedzie?

- Skoro tak, to mam chyba prawo zadać ci pytanie - odezwała się powoli. - Czy nie tak?

- Pytaj - zgodził się Pompejusz.

- Chcesz mnie dla układu z Cezarem czy dlatego, że mnie pragniesz? Mnie, Julii, a nie korzyści wynikających z waszego porozumienia...

Przez chwilę Pompejusz sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Skąd wiesz, że zawarliśmy jakiś układ? - zapytał naiwnie.

- Nie jestem głupia - roześmiała się Julia. - Małżeństwa zazwyczaj są zawierane dla jakiejś korzyści. A skoro mój ojciec nie mógł cię przekupić w inny sposób...

- Sama więc sobie odpowiedziałas na pytanie, Julio - powiedział Pompejusz poważnie. - Chcę ciebie, bo mi się podobasz. Twoja uroda nie ma sobie równej w całej Italii. Śnię o tobie nocami, pragnę cię i tak czy inaczej prosiłbym Cezara

o ciebie. A teraz, skoro wiesz już, jak się sprawy mają ze mną, czy odpowiesz na moje wcześniejsze pytanie?

Julia odwróciła wzrok i patrzyła na oczko wodne otoczone kamieniami. Słyszała, że niektórzy bogacze każą przekuwać skały i sprowadzać do sadzawek ogrodowych wodę z morza, by hodować tam morskie ryby. Cieszyła się, że Cezar tak nie uczynił. Zresztą trudno byłoby doprowadzić morską wodę akweduktem na Forum Romanum.

Gdyby teraz powiedziała szczerze Pompejuszowi, że go nie chce, z pewnością źle by się to skończyło. Cezar byłby stracony w wyborach. Zemsta Pompejusza mogłaby być straszliwa. Przepadłby jej posąg. A Cezar ze złości mógłby oddać ją do zakonu westalek, czego nie chciała za żadne skarby.

Julia miała taką samą gorącą krew jak Cezar. Nie dla niej było wieczne dziewictwo. A przynajmniej do pięćdziesiątki. Ona chciała mieć dzieci. Z Pompejuszem? Ostatecznie nie był najgorszy, jak usiłowała przekonać samą siebie. Był z nią szczerzy. Powiedział jej bez ogródek, jak sprawy się mają. Najwyraźniej był w niej zakochany, ale wedle rzymskiego obyczaju, którego surowym orędownikiem był Kato Starszy, nie wypadało składać dowodów miłości młodej dziewczycy. To nie uchodziło w Rzymie.

Zerknęła na niego ukradkiem. Czekał cierpliwie, w milczeniu, ale ręka na kielichu z winem nadal drżała.

Julia podjęła decyzję. Tylko ona wiedziała, ile będzie ją to kosztować, choć i tak nie знаła wszystkich szczegółów.

- Nie jestem ci niechętna, Pompejuszu - powiedziała, usiłując zapanować nad swoim głosem, by nie zauważył, że kłamie. - Tylko żal mi opuszczać dom rodzinny, ojca i babcię. Ale tak chyba jest ze wszystkimi kobietami - uśmiechnęła się smutno.

Ta odpowiedź wyraźnie go uspokoiła. Dopił pospiesznie wino, wstał i przez chwilę patrzył na nią, po czym niepewnie wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

- Cóż, zatem żegnaj, Julio. Do zobaczenia za kilka dni - powiedział.

- Żegnaj, Pompejuszu - odparła cicho. - Będę tego dnia

wyczekiwać.

Gdy wyszedł żołnierskim krokiem, Julia opadła bezsilnie na krzesło, strącając na ziemię zwój z utworami Safony, które czytała. Lubiła poezję miłosną, ale teraz nie była w stanie chwycić papyrusu w ręce. Ciężkie, słone łzy spływały jej po twarzy. Dokonała wyboru, nie było już odwrotu. Mogła tylko modlić się do wszystkich możliwych bogów, by uczynili jej małżeństwo naprawdę udanym. Ale Julia szczerze w to wątpiła.

\*

Dzień ślubu wstawał pochmurny i szary. Ciężkie deszczowe chmury kłębiły się nad Rzymem, spowijając miasto w nieprzyjemnym mroku, zupełnie jakby lato nagle zdecydowało się odejść. Wprawdzie nastąpiła już jesień, ale w Italii nie rozpoczynała się ona nigdy precyzyjnie w tym samym miesiącu i w zasadzie powinno być jeszcze ciepło.

Aurelia, która wyszła przed dom, by sprawdzić stan pogody, wzdrygnęła się i czym prędzej weszła z powrotem do atrium.

- Oby to nie był zły znak! - mruknęła pod nosem, kiedy odźwierny zamykał za nią drzwi.

Cezar, który akurat wyszedł ze swej sypialni, wzruszył ramionami. Nie był przesądny i nie przejmował się czymś tak nieistotnym jak pogoda, nawet jeśli chodziło o ślub jego córki.

- Przesadzasz jak zwykle, matko - stwierdził. - Zły znak, też coś! Ale ty zawsze miałaś skłonność do przesady.

Aurelia spojrzała na syna karcącym wzrokiem.

- No wiesz co, Gajuszu! - ofuknęła go. - Jak możesz lekceważyć boskie wyroki i...

- Odkąd to jesienne chmury są odpowiednikiem woli boskiej? - zapytał Cezar cierpko. - Po prostu popsuła się pogoda, to wszystko. Julia jeszcze śpi? Tak nie można, zaraz przyjdzie Attia, żeby pomóc jej się ubrać.

- Julia nie śpi - odparła Aurelia cicho. - Nie mogła zasnąć przez całą noc.

Cezar wymamrotał coś pod nosem. On też nie zaznał zbyt wiele snu tej nocy. Zamiast spać, myślał intensywnie o Kornelii

i o swojej córce. Zastanawiał się, czy podjął słuszną decyzję. Pompejusz był mężem, o jakim Rzymianki mogły jedynie marzyć. Ale Cezar widział wyraźnie, że jego córka bynajmniej nie tonęła w marzeniach o Pompejuszu Wielkim. Czyżby kochała swego pierwszego narzeczonego? Tego, z którym zaręczyny Cezar zerwał dla znacznie korzystniejszego układu z Pompejuszem? Dlaczego nic nie mówiła?

W głębi duszy Cezar wiedział, dlaczego Julia milczy. Była dumna i uparta, nigdy w życiu nie przyznałaby się do cierpienia, a już w żadnym wypadku nie sprzeciwiłaby się ojcu. Wyglądało na to, że narzeczony jej odpowiada, nigdy się nie skarżyła, nie płakała, a smutna chodziła od jakiegoś już czasu i Cezar sądził, że to cały czas z tęsknoty za matką i z powodu konieczności opuszczenia domu rodzinnego.

Gdyby tylko szczerze z nim porozmawiała! Ale nie, Julia na wszelkie jego pytania odpowiadała zawsze tak samo. Że szanuje jego decyzję, że nie śmie podważać jego autorytetu i że on jest jej ojcem, któremu winna jest posłuszeństwo i szacunek. Skoro ojciec wybrał jej męża, to nie będzie się przeciwstawiać.

Dlatego też Cezar założył sobie klapki na oczy i udawał, że nie dostrzega żałośnie smutnego spojrzenia córki. Wyraźnie była nieszczęśliwa. Początkowo Cezar sądził, że to z powodu swego panieństwa. Miała wszak dwadzieścia dwa lata, czas już najwyższy, by ją wydać za mąż. Cezar w jej wieku był już dawno żonaty, chociaż w zasadzie od mężczyzn tego nie wymagano.

Teraz jednak widział wyraźnie, że nie chodzi o stan cywilny ani o opuszczanie domu. Julia nie kochała Pompejusza i pokochać go nie mogła z bliżej nieznanymi Cezarowi powodów. On sam kochał w swoim życiu tylko jedną kobietę. Z Pompeją ożenił się ze względów politycznych i z chęci posiadania męskiego potomka, którego konsekwentnie mu odmawiała. No, jeśli miał być szczerzy, to sam początkowo nie chciał dziecka. Ale potem ona celowo i z rozmysłem stosowała greckie zioła, by nie zajść w ciążę.

To jednak było nieistotne. Teraz Cezar musiał wydać za mąż córkę. Potem zamierzał ożenić się ponownie i miał nawet kandydatkę na oku. Problem polegał na tym, że ta dziewczyna

była od niego mniej więcej dwadzieścia lat młodsza, o ile dobrze się orientował. Była w wieku Julii!

Udając, że słucha gniewnego mamrotania matki, Cezar udał się do tablinum pod pozorem załatwienia swoich codziennych czynności związanych z klientami. Tak naprawdę chciał uniknąć rozżalonego spojrzenia Aurelii i czarnych oczu swej córki, w których kryła się rozpacz.

Tej nocy rozmyślał o swojej żonie i zastanawiał się, co takiego uczynił, że los pozbawił go kobiety, którą tak bardzo kochał. Gdyby Kornelia żyła, z pewnością potrafiłaby mu doradzić wybór męża dla Julii. Z pewnością sama by to zrobiła. Być może zdążyłaby mu dać syna, gdyby nie ta straszna choroba, na którą nikt nie znał lekarstwa.

W tablinum usiadł za stołem, ale nie potrafił na niczym się skoncentrować. Przed oczami stanął mu dzień, w którym po raz pierwszy ujrzał swoją córkę. Była wtedy małą dziewczynką, a on wracał ze swego nieoficjalnego wygnania. Los chciał, że Cezar nie był obecny przy jej narodzinach, za to wcześniej Kornelia poinformowała go, że spodziewa się dziecka. O przyjściu na świat Julii dowiedział się z listu, który zastał go w podróży. Nadal pamiętał ogromne rozczarowanie, jakie go ogarnęło w pierwszej chwili na wieść, że urodziła się dziewczynka. A potem ujrzał ją na nadbrzeżu w Ostii. Małą, niesforną istotę z roztańczonymi czarnymi lokami. Wyglądała niczym księżniczka z Homerowych eposów. W jego sercu zrodziła się w jednej chwili miłość tak silna, że Cezar nie był w stanie pojąć, że takie uczucie istnieje. Mała dziewczynka rozbudziła w jego sercu taką czułość, jakiej nie umiała wywołać żadna kobieta. Nawet Kornelia. Dla Julii gotów był na wszystko. Okręciła go sobie wokół palca, rządziła nim całkowicie i on doskonale o tym wiedział. Każde rozstanie było dla niego osobistą tragedią. Uwielbiał swoją córkę, a że była jego jedynym dzieckiem, rozpieszczał ją ponad wszelkie granice zdrowego rozsądku. Na szczęście babcia Aurelia czuwała, by jej nie rozpieścił jeszcze bardziej. Ale Julia była mądrym dzieckiem. Nie sposób było jej rozpieścić.

Cezar nadal był dla niej gotów na wszystko. Nawet teraz,

kiedy z niesfornego dziecka przeobraziła się w poważną, odpowiedzialną i jakże smutną młodą kobietę, uwielbiał ją i kochał wprost szaleńczo. Gdyby tylko powiedziała, że nie chce Pompejusza, że za niego nie wyjdzie i koniec, Cezar w jednej chwili zerwałby zaręczyny, nie licząc się z konsekwencjami. Dla jej kaprysu zaprzepaściłby karierę polityczną i w ostatniej chwili wycofał się z sojuszu. Jednak Julia była na tyle mądra, by wiedzieć, czego się od niej oczekuje. Zdawała sobie sprawę, że ojciec zrobiłby dla niej wszystko, dlatego gotowa była się poświęcić dla jego kariery.

Tyle tylko, że oboje znali swoje słabe strony. Cezar wiedział, że Julia się dla niego poświęca, ona - że ojciec ma tego świadomość. Dlatego żeby uniknąć niepotrzebnego cierpienia, unikali siebie nawzajem. Oboje łudzili się, że po ślubie wszystko wróci do normy.

Cezar oparł łokcie na stole i schował twarz w dłoniach. Słyszał, że przyszły kobiety, by ubrać jego córkę w odświętą stolę. Niebawem on też miał się odziać w togę przy pomocy niewolnika, by w świątyni dokonać symbolicznej sprzedaży córki swemu zięciowi. Jednak w tej chwili czuł, że nie jest w stanie tego uczynić. Ta jedna rzecz, ta jedna jedyna sprawa zdawała się go przerastać.

\*

Okolo godziny piątej<sup>I</sup> chmury nieoczekiwanie się rozrzedziły i w końcu ustąpiły, odsłaniając intensywnie błękitne rzymskie niebo.

- Czy teraz jesteś zadowolona? - nie omieszkał zapytać Cezar dość zjadliwym tonem.

Ton jego głosu miał ukryć zdenerwowanie. Cezar był bardziej przejęty niż w dniu własnego ślubu przed dwudziestoma trzema laty.

Aurelia smętnie pokiwała głową. Tak, pogoda była piękna. W rzeczy samej babka cieszyła się, że wnuczka będzie szła do świątyni na Kapitolu w promieniach jesiennego słońca, ale smucił ją wyraz twarzy Julii. Dziewczyna za wszelką cenę



usiłowała sprawiać wrażenie pogodnej, jednak wyraz oczu ją zdradzał.

Teraz jej twarz ukryta była za płomienistoczerwonym welonem. Włosy Julii zostały zaplecione w sześć warkoczy, na wzór fryzur westalek, którym tego dnia była równa rangą. Miała na sobie prostą białą stolę, szatę z niefarbowanej wełny, bez żadnych ozdób, przewiazaną jedynie w pasie zwykłym sznurem. W sakiewce uwiązanej do pasa miała trzy asy. Pobrękiwały one przy jej każdym ruchu.

Wkrótce wielka procesja ruszyła na Kapitol, by złożyć bogom należyte ofiary i dokonać zawarcia małżeństwa. Na przodzie szli chłopcy i dziewczęta prowadzący zwierzęta ofiarne, dalej zaś goście weselni i państwo młodzi. Dwaj dorośli synowie Pompejusza nie ukrywali niezadowolenia z wyboru ojca. Siostra Cezara kroczyła dumnie wraz ze swoją córką Attią, która na rękach niosła małego Gajusza Oktawiusza.

Julia usiłowała nie myśleć o tym, co właśnie czyni. Ojciec posyłał jej uspokajające spojrzenia, ale ona była zbyt zdenerwowana, by na nie reagować. Wspinała się w swej długiej sukni na Kapitol, podtrzymywana dyskretnie przez Pompejusza, ale myślami błędziła gdzieś daleko. Wspominała matkę, za którą rozpaczliwie tęskniła. I myślała, że oto idzie na spotkanie swego losu, gdyż była zbyt dumna, by sprzeciwić się woli ojca.

Matka i ojciec pobrali się z miłości. Julia pamiętała ich spojrzenia wymieniane przy stole w triclinum albo pospieszne czułe gesty, jakimi ojciec obdarowywał matkę przed wyjściem do senatu. I jego rozpacz, kiedy Kornelia nie wstawała z łóżka oraz potem, gdy wiadomo było, że już nigdy z niego nie wstanie...

Cezar cierpiał ogromnie po śmierci żony, ale Julia mimo wszystko zazdrościła mu. Zaznał miłości, nawet jeśli trwało to za krótko i skończyło się tak tragicznie. Ona za mąż wychodziła ze względów politycznych, nie kochała Pompejusza i nie potrafiła sobie wyobrazić całego życia przy nim.

- Możesz się z nim rozwieść - powiedziała babcia dzień wcześniej, kiedy Julia zgodnie z obyczajem paliła swoje

dziecięce zabawki. - Nie musisz przy nim trwać do końca. Wystarczy, że nie przejdiesz pod jego władzę, a potem udasz się do trybuna i podasz powód. Ani Pompejusz, ani Gajusz nie zmuszą cię do pozostania w tym związku.

Ale Julia wiedziała, że nie odważy się wystąpić o rozwód. Nigdy! Prędzej zniesie upokorzenie, jakim byłoby odesłanie jej przez męża do domu ojca. Byłaby wtedy wolna. Jednak sama nie śmiałaby nigdy wystąpić o rozwód do trybuna ani nawet do samego dyktatora, gdyby zaszła taka potrzeba.

Co innego natomiast, że nie zamierzała przechodzić pod władzę męża. Była córką Cezara i tylko jego władzę nad sobą mogła znieść. Julia była niesłychanie dumną kobietą.

Jak w transie weszła do świątyni, w której unosił się zapach kadzidła. Wydawało jej się, że to nie ona stoi w tym ogromnym etruskim budynku i wymawia słowa przysięgi małżeńskiej. Wdychała ostry zapach krwi, gdy złożono ofiarę, aż zakręciło jej się w głowie. Drobną dłoń dziewczyny gineła niemal w silnej ręce Pompejusza, kiedy Cezar jako najwyższy kapłan owijał je stulą. Potem wypowiadał znamienne słowa, że on Gajusz Juliusz Cezar daje swą córkę Julię za żonę Gnejuszowi Pompejuszowi. Później dodał, że pannie młodej przysługuje prawo trzech nocy, jeżeli nie chce przejść pod władzę męża. Potem oboje, Pompejusz i Julia, powtórzyli słowa małżeńskiej przysięgi.

Chwilę potem było już po wszystkim. Dokonało się. Julia była żoną Pompejusza.

Radosna procesja mogła zejść z Kapitolu na Forum, do domu Cezara, gdzie czekała ich uczta weselna, mająca trwać aż do wieczora. Zaczęło się schodzenie w dół przy akompaniamencie śpiewów i radosnych okrzyków. Przechodnie, którzy wiedzieli, że dziś jest dzień ślubu córki Cezara, zatrzymywali się i obdarzali młodą parę oklaskami. Julia uśmiechała się spod welonu, ale był to blady uśmiech, który nie docierał do jej oczu. A oczy te były wielkie, czarne i przerażone tym, co ją czekało. Noc z Pompejuszem. Wcale nie pomagała świadomość, że on miał do czynienia z wieloma kobietami, nie tylko ze swoimi dwiema żonami. Niewolnice, zacne Rzymianki,

Greczynki, Partyjki na Wschodzie... Branki, nałożnice, ulicznice, przypadkowe dziewczęta... Był człowiekiem ponad czterdziestoletnim. I Julia wiedziała, że musiał odwiedzać niejedną kobietę. Poza tym nieraz słyszała, że chadzał do znanego wszystkim domu publicznego, gdzie jej ojciec nigdy się nie pokazał. A ona była dziewicą. Nigdy nie tknął jej żaden mężczyzna. Nawet jej prawowity narzeczony nie posunął się dalej niż do delikatnego pocałunku złożonego na jej ustach.

Schodziła z Kapitolu wśród tłumu otaczających ją ludzi i czuła się straszliwie, niewiarygodnie samotna. W pewnej chwili spojrzała w bok, gdzie, jak jej się zdawało, ktoś stał. Ujrzała młodą dziewczynę, która wielkimi błękitnymi oczami przypatrywała się scenie. Julia na moment przystanęła, bo wydawało jej się, że we wzroku tamtej dostrzega taką samą samotność, jaka towarzyszyła jej ostatnimi czasy. Długie jasne włosy opadały na ramiona i plecy dziewczyny, wiły się w lokach przy twarzy. Nieznajoma miała na sobie obcy strój, zapewne była cudzoziemką.

„Galijka” – pomyślała Julia. „Pewnie przybyła w orszaku celtyckich kupców, którzy przyjeżdżają do Rzymu, by handlować”.

W oczach nieznajomej lśniło coś, co córka Cezara doskonale знаła. Przez ułamek sekundy miała ochotę podejść do obcej dziewczyny, bo przepełniła ją myśl, że jest tak samo nieszczęśliwa jak ona. Miała wrażenie, jakby przeniosła się na jakieś dzikie pustkowia.

Przez moment wydawało jej się, że zamiast blondynki stoi tam rudowłosa kobieta odziana w niespotykaną w Italii szatę, mająca władcą posturę i lśniące mądrością oczy. Poczowała przemożne pragnienie, by do niej podejść. Jednak w następnej sekundzie śpiew weselników przywołał ją do rzeczywistości. Obca jasnowłosa kobieta nadal stała na skraju Świętej Drogi, ona zaś szła w pochodzie weselnym na ucztę po zaślubinach z niechcianym mężczyzną.

Julia odwróciła się, po czym wśród śpiewu i śmiechu skręciła na Forum, gotowa pogodzić się ze swoim losem. Nie mogła jednak powiedzieć, by sprawiało jej to radość.

\*

Julia podczas uczyty była nieobecna duchem. Jak przez mgłę docierały do niej słowa i okrzyki weselników. Uroczystość odbywała się w domu jej ojca na Forum i miała trwać do wieczora. Dziewczyna trzęsa się ze strachu na samą myśl o tym. Kuzynka Julii, Attia, ukradkiem ścisnęła jej rękę. Obie wymieniły spojrzenia. Był dzień ślubu i Attia nie mogła wypowiadać przykrych słów ani pocieszać panny młodej, to nie uchodziło. Jednak wcześniej, kiedy pomagała ubierać i czesać Julię, opowiedziała jej o swoim weselu (na którym Julia zresztą była) i nocy poślubnej. Nie wydawała się zbyt zachwycona, wspominając tamte wydarzenia.

Julia widziała, że jej ojciec siedział po przeciwnej stronie stołu. Właściwie Cezar na wpół leżał przy stole, opierając się jednym łokciem o ławę. Śmiał się i żartował, wymieniał uwagi ze świeżo upieczonym zięciem, ale kątem oka wciąż spoglądał na córkę.

Coś się zmieniło. Coś między nimi było inaczej niż kiedyś, w latach jej dzieciństwa. Nie potrafiła tego określić, ale czuła, że na stosunkach jej i Cezara położył się w pewnym momencie jakiś cień, którego nic nie usunie.

Mężczyźni pili wino zmieszane z wodą, kobiety samą wodę. Wkrótce nastroje stały się jeszcze wyborniejsze, a biesiadnicy śmiali się i pokrzykiwali coraz głośniej. W tle muzykanci wciąż wygrywali radosne tony, a młodzież czekała z niecierpliwością na swój występ pod drzwiami młodej pary, a także wcześniej, podczas prowadzenia panny młodej do domu małżonka. Julia stwierdziła w pewnej chwili, że wcale nie jest jej spieszo do tego momentu.

- Uśmiechnij się, na Jowisza - usłyszała tuż nad uchem głos babci. - Wyglądasz, jakbyś miała się zaraz rozplakać.

W rzeczy samej, Julia miała na to ogromną ochotę, ale siedziała z uśmiechem przyklepionym do ust i odpowiadała pogodnie na wszystkie zaczepki. Sama się sobie dziwiła i nie mogła pojąć, skąd u niej ten radosny ton, skoro miała wrażenie, że jej serce zaraz pęknie. Najwyraźniej była lepszą aktorką, niż

mogłaby przypuszczać.

Raz po raz jej wzrok przesuwiał się na postać męża. Wtedy wzdrygała się ze wstrętem. Nie o to chodziło, że Pompejusz nie był przystojnym mężczyzną, gdyż pod tym względem nie można mu było nic zarzucić. Masywny, muskularny, owszem, ale nie odpychający. Julia jednak go nie kochała i wydawał jej się paskudny, zwłaszcza w perspektywie nocy z nim spędzonej. Niejednej zresztą.

Spoglądała na jego włosy ozdobione dzisiaj wieńcem laurowym, naznaczoną już czasem twarz, potężny kark i muskularne ramiona. Jego ramię było wielkości jej uda, mogłaby przysiąc. Przecież on ją zmiażdży! Jakim cudem zdoła go na sobie udźwignąć?

Pomyślała o tym nieznanym, co kryło się pod fałdami togi, i zadrżała ze strachu. Wiedziała, co mężczyzna ma między nogami. Widywała wszak rzeźby i obrazy, nie było to więc dla niej żadnym tabu. W ogrodzie w willi jej matki stała potężna figura Priapa przyozdobiona wielkim fallusem, pomalowanym w dodatku na czerwono, więc Julia miała okazję przyswoić sobie wiedzę z anatomii męskiej. Jednak teraz musiała to skojarzyć z Pompejuszem. Obraz, jaki powstał w jej wyobraźni, nie wydawał jej się zbytnio zachwycający.

Raz po raz Pompejusz spoglądał na nią i uśmiechał się uspokajająco, ale ona była zmieszana i zdenerwowana. Nerwowo skubała w palcach materiał swojej sukni, odwracając wzrok za każdym razem, kiedy mąż patrzył w jej stronę. Czowała się zdradzona, wykorzystana i sprzedana. Jednak sama na to pozwoliła. Cezar pytał ją parokrotnie, czy zgadza się wyjść za mężczyznę, którego jej wyznaczył. A ona za każdym razem odpowiadała twierdząco, mogła więc mieć teraz pretensje tylko do siebie. I miała. Ogromne.

Uczta przeciągała się w nieskończoność. Niewolnicy wnosili coraz to nowe dania, niekiedy zaskakujące w swej wyrafinowanej formie. Julia wiedziała, że Cezar osobiście dopilnował wszystkiego. Zaglądał do kuchni i nadzorował pieczenie, gotowanie, smażenie... Sam zatroszczył się o ryby podawane teraz na stole. Wybierał sztuki ze stada

przeznaczone na pieczeń. Osobiście pilnował, by kury otrzymywały jak najlepsze pożywienie, aby dać dorodne jajka. Wszystko musiało być na właściwym miejscu i we właściwych proporcjach. Także tutaj przejawiała się precyzyjność Cezara. Jego córka musiała zostać wydana za mąż z całym należnym jej przepychem. Już Cezar się o to postarał!

Zdawało się jej, że uczta nigdy się nie skończy. „Niech to już będzie za mną” – myślała. „To najgorsze, straszne, nieubłagane. Potem jakoś do tego przywyknę, ale ten pierwszy raz będzie okropny, jestem tego pewna”. Gdyby Pompejusz był młody, jeszcze by to zniosła. Ale on był stary, starszy od jej ojca! Julię na myśl o tym ogarniały mdłości.

Wreszcie jednak za oknem zapadł zmierzch. Chociaż Julia czekała na ten moment, gdy nastał, poczuła, jak przerażenie ściska jej gardło. Cezar dał znak, że czas na przeprowadzenie oblubienicy do domu małżonka. Zauważył, że Julia pod czerwonym welonem zrobiła się biała jak marmur. Miał ochotę podejść do niej i zamknąć ją w ramionach, tak jak kiedyś, gdy była dzieckiem. Wiedział jednak, że w żadnym wypadku nie wolno mu tak uczynić. Ośmieszylby ją i siebie.

Pan młody wstał i ruszył przodem do swego domu. Julia odczekała chwilę i zgodnie z tradycją zaczęła się opierać, odmawiała wyjścia z domu ojca. Prawdę mówiąc, wcale nie miała ochoty z niego wychodzić. W jej przypadku ten tradycyjny gest nie był jedynie farsą.

Rozpoczęto śpiewy. Młodzieńcy śpiewali pieśń weselną, którą nie tak dawno ułożył Katullus. Do Julii docierały jedynie strzępki utworu. Słyszała, rzecz jasna, strofkę o tym, że powinna już wychodzić, bo palą się pochodnie i chłopiec czeka, by ją poprowadzić. Ale miała wrażenie, że to nie ona stoi na progu domu w czerwonym welonie, oświetlona blaskiem pochodni i waha się, jak przystało pannie młodej. Zupełnie jakby to nie jej dotyczyło. Jednak musiała iść. Nie było odwołania od wyroku, jaki zapadł w świątyni na Kapitolu. I znowu idąc przez Forum prowadzona przez roześmianych i śpiewających weselników, Julia odniosła wrażenie, że to jej nie dotyczy. Jakby to nie ona podążała Świętą Drogą do swej

przyszłej siedziby.

W progu wręczyła małżonkowi asa. Weselnicy obrzucili ich orzechami i srebrnymi monetami, które następnie Julia i Pompejusz skrupulatnie zebrali. Następnie zaśpiewano pieśń o radościach małżeńskich, przy której Julia mimowolnie się rumieniła. Pompejusz powitał młodą małżonkę ogniem i wodą. Julia umyła ręce w srebrnej misie, po czym wzięła do ręki pochodnię i roznieciła za jej pomocą ogień na palenisku na znak, że bierze na siebie obowiązki żony i będzie dbać o ognisko domowe niczym Westalka pilnująca świętego ognia.

Chłopiec, który prowadził Julię, wcześniej przeniósł ją przez próg, by panna młoda nie potknęła się przypadkiem przy wejściu; było to niepomyślnym znakiem. Goście odprowadzili nowożeńców do atrium, gdzie stało przybrane odświętne łóże, jednak jeszcze nie to, w którym mieli spocząć małżonkowie. Julia usiadła na łóżu obok Pompejusza i zmuszona była wysłuchać jeszcze jednej pieśni, tym razem o niezaprzeczeniu erotycznym charakterze. Szczerze mówiąc, miała dosyć tych przyśpiewek i zapowiedzi nocy poślubnej.

Na moment uniosła oczy i napotkała pełen niepokoju wzrok Cezara. Nagle ojciec wydał jej się stary i znużony, chociaż miał dopiero czterdzieści lat. Jego czarne oczy były podejrzenie zaczerwienione, zapewne od pochodni, ale Julia miała wrażenie, że na dodatek lśnią nienaturalnie w blasku ognia. Raz jeden widziała, jak Cezar płakał. Nigdy wcześniej ani później mu się to nie zdarzyło. Stał oparty o framugę drzwi w swej zbyt luźno zawiązanej todze, jak zwykle gładko ogolony i starannie uczesany, ale tego wieczoru nie był rzymskim urzędnikiem ani najwyższym kapłanem. Nie był nawet kandydatem na konsula, żeby nie wspominać o samej randze Rzymianina. Tego wieczoru Cezar był po prostu zatroskanym ojcem, który widzi, że jego córka pomimo wszelkich jego starań jest nieszczęśliwa, jakkolwiek usiłuje to ukryć. Wiedział. On jeden.

W tym momencie Julia poczuła, że tamta dawna więź na nowo się między nimi odradza. To uczucie bezgranicznego porozumienia, które kiedyś między nimi istniało, powróciło

w tej jednej sekundzie, gdy córka napotkała pełen obawy wzrok ojca. Ta jedna jedyna chwila połączyła ich na zawsze. Ilekroć później Cezarowi zdarzało się myśleć o Julii, w jego wspomnieniach zawsze jako pierwszy pojawiał się obraz sprzed jej nocy poślubnej, gdy siedziała na skraju łoża obok uśmiechniętego i zadowolonego Pompejusza, krucha, bezbronna i nieszczęśliwa. I zawsze wtedy ostry ból przenikał jego serce, a łzy same napływały do oczu.

Sekunda minęła. Czar prysł. Weselnicy domagali się głośno, by Pompejusz pocałował swą oblubienicę i zdjął jej z głowy czerwony welon. Cezar odwrócił wzrok. Nie chciał na to patrzeć. Nie mógł.

Julia przyjęła pocałunek małżonka sztywna jak kij. Nie potrafiła odwzajemnić jego namiętności, a zapach wina przyprawiał ją o mdłości. Wciąż miała przed oczami postać ojca niechętnie odwracającego głowę. I ten obraz wrył się na zawsze w jej pamięć.

Wreszcie śpiewy ucichły i goście wycofali się do swoich domów. Mieli wrócić na ucztę do Cezara, by tam do północy bawić się i cieszyć zaślubinami młodej pary. Odśpiewano jeszcze jedną pieśń, tym razem po grecku. Było to epithalamium Safony. Potem rozległ się odgłos wielu kroków oddalających się w stronę Forum.

Julia zadrzała. Została z Pompejuszem sama.

\*

W domu Pompejusza panował działający na nerwy spokój. Julia zastanawiała się, czy nie ma tu żadnych niewolników, ale zaraz się przekonała, że owszem, są. Pompejusz klasnął w dłonie i z niewielkiego pomieszczenia wyłoniła się Afrykanka.

- To Niobe - przedstawił kobietę. - Mój pierwszy dar dla ciebie, żono.

Julia przełknęła ślinę. Nie miała ochoty dostawać od niego niewolnicy w prezencie. Prawdę mówiąc, nie pragnęła żadnych prezentów od niego. Ale zamiast się skrzywić, po prostu podziękowała.



- Niobe pomoże ci się rozebrać i namaścić, zanim pójdziemy do łoża - dodał Pompejusz. - Przyjdę do ciebie, kiedy będziesz gotowa.

Julia zrozumiała, że powinna udać się wraz z czarnoskórą niewolnicą do cubiculum, gdzie miało się dokonać skonsumowanie małżeństwa. Zdawała sobie sprawę, jak drogi prezent Pompejusz jej ofiarował. Afrykańskie niewolnice osiągały cenę dwukrotnie wyższą niż Azjatki czy Greczynki.

Niobe była wysoka i szczupła, ale znać było, że nawykła do pracy. Jej ciało było sprężyste i twarde, ruchy zdecydowane, a skóra miała odcień ciepłego brązu, nie hebanu, jak mogłoby się wydawać. Jej zęby wyglądały jak wykonane z kości słoniowej, oczy były czarne i lśniące, a włosy miała splecione i schowane pod półprzezroczystą przepaską.

- Mówisz po łacinie? - zapytała Julia cicho.

Niewolnica potrząsnęła głową. Okazało się, że zna jedynie grekę. Julia doskonale władała tym językiem, więc nie stanowiło to dla niej żadnego problemu.

- Właściwie mogę rozebrać się sama - stwierdziła. - Ale rozumiem, że on się obrazi, jeśli nie będziesz mi asystować.

Niobe spojrzała ze zdumieniem na swoją nową panią. Nie nawykła do poufałości między służbą a państwem, toteż milczała skrupowana. W milczeniu pomogła Julii zdjąć suknię, po czym umyła ją i namaściła balsamem, rozpuściła też i wyszczotkowała jej włosy. Na koniec posłała jej pełne zrozumienia spojrzenie.

- Nie bój się, pani - ośmieliła się powiedzieć. - To nie jest takie okropne, jak myślisz.

Julia na moment straciła mowę, ale w następnej chwili uśmiechnęła się do niewolnicy z wdzięcznością, czując, że od tej pory są parą sprzysiężonych. Właściwie sługom nie przystało spoufalać się z właścicielami, ale z drugiej strony często bywali oni najwierniejszymi powiernikami swych państwa. Julia pamiętała Chloe, grecką niewolnicę swojej matki.

Gdy wszedł Pompejusz, jego młoda żona siedziała na brzegu łoża odziana jedynie w zwiewną tunikę. On miał

na sobie również tunikę, która luźno opadała mu z ramion na ciało. Julia mogła się przekonać, że jest słusznej postury i ma ciało zaprawionego w boju żołnierza. Mięśnie, wszędzie mięśnie, z wyjątkiem brzucha, na którym nie były już tak wyraźne. Pompejusz był masywny, a muskulatura dodawała mu jeszcze objętości.

- Boisz się? - zapytał, siadając na brzegu łoża.

Julia kiwnęła głową.

- To tego się obawiałaś przez cały wieczór? - brnął w temat Pompejusz. - Nocy ze mną? Nie przyszło ci do głowy, że czeka nas ich jeszcze wiele?

- Pod warunkiem, że będziesz mnie chciał - szepnęła Julia.

Pompejusz się roześmiał. Nagle przestał być straszny i poważny. Gdy się śmiał, w kącikach jego oczu pojawiały się wyraźne zmarszczki. Wtedy jego twarz łagodniała. Miał mocne, duże zęby, które czyniły go dziwnie pociągającym.

- To chyba oczywiste, że ciebie chcę, Julio - powiedział. - Piękniejszej istoty od ciebie nigdy nie widziałem.

Julia uśmiechnęła się, zdumiona przemianą, jaka dokonała się w tym człowieku. Spoglądała na jego ciemne włosy, siwiejące już na skroniach, na osmaganą wiatrem i słońcem twarz, na ciemne oczy i nagle stwierdziła, że go zna.

Znała go dobrze. Bywał częstym gościem Cezara w ostatnim czasie. Widywała go niemal codziennie na Forum albo na którejś z ulic. Rozmawiała wiele razy z jego synami, a wcześniej z jego byłą żoną.

Gdyby tylko był młody...

Julia uczepiła się tej jednej myśli niemal rozpaczliwie.

- Jeżeli chcesz, tej nocy zostawię cię w spokoju - zaproponował Pompejusz.

Julia przez moment rozważała tę propozycję, ale stwierdziła, że to nie ma większego sensu. Niech to już będzie za nią. Pokręciła głową. Pompejusz, widząc to, przysunął się do niej i podał jej puchar z winem.

- Ale mi nie wolno - zaprotestowała Julia.

- Dzisiaj wolno - odparł cicho. - To pomoże ci się rozluźnić. Rozumiem, że dla ciebie nie będzie to ani łatwe, ani przyjemne.

Skąd mógł wiedzieć? Przecież jej nie znał. Posłusznie wypila wino. Zakrztusiła się, nienawykła do tego rodzaju trunków. Wino mogli pić tylko mężczyźni, chociaż zauważyła, że w ostatnich latach zaczęto od tego odchodzić. Kornelia pijała wino za zgodą Cezara, chociaż rzadko jej się to zdarzało.

Pompejusz nieskończenie delikatnie gładził włosy i twarz Julii. Przytulił ją i pozwolił jej spocząć na swoim ramieniu. Miał czas i potrafił trzymać w ryzach swą żądzę. A pragnął Julii ogromnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Tyle że miał doświadczenie z kobietami i wiedział, że nie należy rzucać się na dziewicę niczym dziki zwierz. Musiał okazać jej czułość i dobroć, by następnym razem przyszła do niego z własnej woli. A on tego pragnął.

Julia zaś, leżąc na jego ramieniu, czuła, jak powoli ogarnia ją przyjemna błogość. Pompejusz dawał jej poczucie bezpieczeństwa, o jakie nigdy by go nie podejrzewała. Gładził jej twarz, muskał opuszkami palców skórę żony, oddalając od niej lęk i niechęć.

Nigdy nie sądziła, że to będzie tak wyglądało!

Wreszcie pochylił się nad nią i długo, badawczo spoglądał jej w oczy, zanim wreszcie ją pocałował. Tym razem nie był to odpychający pocałunek. Kiedy Julia poczuła jego usta, a zaraz potem język, ogarnęło ją dziwne, nieznane dotąd uczucie. Wiedziona jakimś pierwotnym instynktem, objęła go za szyję i zaczęła odpowiadać na jego pocałunki. Sprawiało jej to nieznaną wcześniej przyjemność.

Było całkowicie inaczej, niż się spodziewała! Sądziła, że on zrobi to bez uczuć, bez zaangażowania, chłodno i z myślą o sobie, tymczasem Pompejusz rozpalał ją umiejętnie i powoli, pozwalając jej zapoznać się z nowymi wrażeniami i polubić je, zanim ostatecznie się z nią zespolił. Pozwalał jej poznawać własne reakcje, pieścił jej ciało, aż z jękiem przytuliła się do niego i otworzyła przed nim, czego nigdy wcześniej nie zechciałaby uczynić.

Julia była zdumiona i zaskoczona. Nadal miała wrażenie, że to nie ona leży w małżeńskim łóżu, ale teraz nie było jej już źle i obco. Kiedy zostali sami, poza kręgiem obcych ludzi, nagle

zbliżyli się do siebie. Julia miała świadomość, że to zasługa Pompejusza. Jednak nigdy nie sądziła, że to będzie tak właśnie się odbywać.

Oczywiście, poczuła ból, kiedy ją posiadł, jednak nie był on tak dotkliwy, jak się spodziewała. Być może nie czuła tej wszechogarniającej rozkoszy, o której co nieco słyszała, dla niej odczucia te były zbyt nowe, by potrafiła je rozumieć i odpowiednio interpretować. Była zbyt trzeźwa w ocenie i zbyt zdumiona, jej umysł był pobudzony, a ona sama nie umiała jeszcze reagować podnieceniem na bliskość mężczyzny, a tym bardziej na jego obecność w sobie. Ale to miało nadejść. Widziała za to jego reakcję, w pełni świadoma faktu, że uczyniła go niewypowiedzianie szczęśliwym. To zaś napełniło ją cudownym poczuciem własnej wartości, świadomością, że stała się prawdziwą kobietą.

Kiedy nastał świt, a noc poślubna Julii dobiegała końca, wszelkie obawy i wątpliwości odeszły w cień. Była przekonana, że jej ojciec wybrał właściwego człowieka i że ona sama pewnego dnia zdoła się do niego przywiązać i obdarzyć go zaufaniem. Kto wie, może nawet go pokocha...

Zasypiała pełna nadziei na pomyślną przyszłość, schowana w potężnych ramionach Pompejusza. I może dobrze się stało, że nie pamiętała w tej chwili starego powiedzenia swej babci, że bogowie bywają zazdrośni o ludzkie szczęście, więc nie należy się nim zbyt afiszować. Takich rzeczy tego ranka Julia pamiętać nie mogła.

---

<sup>1</sup> Godzina piąta, czyli około jedenastej rano.

## V

Szarosine morze było niespokojne. Fale raz po raz uderzały z hukiem o brzeg wyspy. Jesień z każdym mijającym dniem ustępowała miejsca nadchodzącej zimie. Tu, na północy, było to znacznie bardziej wyraźne i dotkliwe niż na południu, w dodatku na kontynencie.

Wyspa Sein leżała daleko, daleko na północ od Doliny Scatah. Aby do niej dotrzeć, trzeba było podróżować wiele dni wozem, a potem, rzecz jasna, łodzią. Można też było od razu płynąć rzeką Matroną<sup>I</sup>, tyle że wówczas nadkładało się znacznie drogi na pełnym morzu.

W oddali na horyzoncie w pogodne dni można było ujrzeć majaczące wybrzeża Albionu. Ale dzisiaj nie było widać wysokich białych wybrzeży, które czasami pojawiały się w zasięgu wzroku. Celtowie nazywali wyspę Albionem, Rzymianie mówili o niej Brytania. Tajemnicza, osłonięta mgiełką niesamowitości w tych trudnych czasach, o których kapłanki na Sein mówiły, że są latami schyłkowymi, stanowiła ostoję dawnych wierzeń i rytuałów.

Uatah stała na plaży i wpatrywała się w szary horyzont, jakby usiłowała dostrzec białe pasmo wybrzeży. Nic jednak nie widziała. Tego ponurego jesiennego dnia niebo zakryte było ciężkimi chmurami. Uatah musiała odziać się w skóry, by ochronić się przed wilgotnym zimnem.

Gdyby tak mogła zwalczyć tę nieustającą tęsknotę w sercu! Gdyby mogła zapomnieć, nie śnić, nie pamiętać rysów jego twarzy, jego zapachu, odurzającej bliskości... Gdyby mogła obojętnie myśleć o nocach z nim spędzonych, o płomiennym uczuciu, jakie ich łączyło. Żywy dowód tej zażyłości trzymała

właśnie w ramionach! Z goryczą wspominała mądre słowa matki: „Nie zakochuj się. Trzymaj na wodzy swoje uczucia”. Ale ona była młoda i porywcza. I dostała za to nauczkę na całe życie. Adeptka tajemnej wiedzy kapłanek z Sein nie ma prawa zakochiwać się w mężczyźnie. Powinna być jego przewodniczką i mistrzynią, nauczycielką i kochanką, on zaś ma zostać ojcem jej dzieci, przyszłych kapłanów i kapłanek – wojowniczek. I nic poza tym nie może się wydarzyć między nią a jakimkolwiek mężczyzną.

A ona kochała! Gorąco, namiętnie i rozpaczliwie zakochała się w młodym, pięknym Galvanie, chociaż tego właśnie nie było jej wolno. Wybrała go, aby przez rok był jej mężem, urodziła jego dziecko. Spało ono teraz w jej ramionach. Niebawem musiała je opuścić, by udać się w ramach nauki na rok do Albionu. W zasadzie było jej wszystko jedno. Wiedziała, że gdziekolwiek się znajdzie, nie uniknie cierpienia i tęsknoty za tym jednym jedynym, którego nie potrafiła przestać kochać.

Teraz oczekiwała na statek z Albionu, który miał ją przewieźć na wyspę. Jesień była w pełni, należało więc zdążyć przed sztormami i niepogodą. Wprawdzie z Sein na Albion nie było daleko, podróż trwała raptem jeden dzień przy sprzyjającym wietrze i pracy wiosłarzy, ale łatwo można było się roztrzaskać o postrzępione białe brzegi wyspy.

- Uatah - rozległ się cichy głos za jej plecami. - Twoja matka przyjechała, by się z tobą pożegnać.

Dziewczyna zdumiała się. Z tego, co wiedziała, Scatah miała pod swoim dachem nowych uczniów. Nie powinna była ich zostawiać. Tutaj, na Sein, żyła przyrodnia siostra matki Uatah, Laeniel. Była to kobieta dojrzała, znacznie starsza od Scatah. Pełniła na wyspie funkcję opiekunki Uatah.

- Moja matka? - splotła się dziewczyna. - To dziwne, nie spodziewałam się jej.

Podążyła jednak za kobietą do długiego domostwa, w którym mieszkały wszystkie kapłanki. Właściwie na Sein nie przebywały wyłącznie niewiasty. Żyli tu też druidzi, a także, naturalnie, niewolnicy kapłanek. Rzecz jasna, nie wszystkie kobiety ślubowały czystość, toteż wolno im było nawiązywać

kontakty z mężczyznami, a nawet było to wskazane. Ale Uatah ani w głowie było nawiązywać jakiegokolwiek stosunki. Wciąż żyła wspomnieniem o Galvanie.

Scatah siedziała przy wielkim palenisku i czekała na gorący wywar z ziół, który przygotowywała dla niej jakaś młoda adeptka. Najwyraźniej przy płynęła przed chwilą, bo unosił się wokół niej słony zapach morza i miała wilgotne włosy.

- Co tu robisz, matko? - zapytała zaniepokojona. - Chyba nic się nie stało?

Scatah, kobieta niewyglądająca bynajmniej na matkę dorosłej kobiety, uśmiechnęła się do córki uspokajająco.

- Przybyłam, by przekazać ci wieści, córko - odparła. - I żeby się z tobą pożegnać. Nie zobaczę cię przez długi czas.

Uatah nie podobało się spojrzenie matki. Chociaż Scatah się uśmiechała, jej oczy były poważne. Serce dziewczyny biło jak oszalałe w oczekiwaniu na najgorsze wieści. Ale Scatah nie chciała rozmawiać z córką przy wszystkich, toteż zaczęła chwalić wnuczkę, całą uwagę skupiając na niej i powtarzając, jaka jest już duża i silna.

Uatah odczuwała coraz większy niepokój.

- Powiedz mi wreszcie, o co chodzi - poprosiła.

Zielone oczy Scatah zdawały się płonąć w dziwnie bladej twarzy. Rude włosy zwijały się w loki po morskiej podróży. Scatah wydawała się jeszcze bardziej groźna i dostojna. Nagle Uatah pomyślała, że właściwie przez całe życie bała się matki, choć jednocześnie darzyła ją ogromną miłością i szacunkiem.

- O Galvana - powiedziała. - Ale nie tylko o to.

Uatah zbladła. Odruchowo usiadła na wiązce słomy. W jednej chwili znalazła się niżej niż matka. Scatah patrzyła na nią przez chwilę z góry, po czym także usiadła.

- Galvan pomścił śmierć swojego ojca - powiedziała Scatah cicho. - A to oznacza, że może się wywiązać wojna między plemionami. Podobno chce wejść w sojusz z Ariovistem i Swebami, by zyskać przewagę nad sojusznikami Rzymu. Ale to jeszcze nic.

Uatah słuchała w najwyższym napięciu.

- To chyba dobrze, że pomścił śmierć Celtyllusa? - zapytała.

- Z jego punktu widzenia... owszem... - mruknęła Scatah. - Umocni swoją pozycję wśród Arwernów. Boję się tylko, że wejdzie z nimi w szranki i sprowokuje Rzymian do działania.

Uatah zasłoniła usta ręką. „Rzymianie” - to słowo wywoływało u niej ciarki na plecach. Uatah nie bała się śmierci, nie drżała przed celtyckimi ani germańskimi wojskami, ale Rzymianie przyprawiali ją o drżenie serca i potworny strach. Może dlatego, że widziała, jak ten naród systematycznie zagarniał kolejne kraje, narzucając im swoją kulturę, język, prawo i władzę. Za nic nie chciała, by Rzymianie wtargnęli także do Galii.

- Ty chyba nie mówisz poważnie, matko? - przeraziła się.

- Otóż od jakiegoś czasu mam paskudne przeczucie - przyznała Scatah. - Dręczy mnie niepokój, że wkrótce wydarzy się coś, co może ściągnąć nam Rzymian na głowę.

Uatah wiedziała, że matka miewa wizje. Sama także miała sny i widziała różne rzeczy na jawie.

- Ale to nie wszystko, o czym chciałam ci powiedzieć - kontynuowała Scatah. - Wiem, że cierpisz z powodu tego chłopca, dlatego postanowiłam wyjawić ci, co usłyszałam. Galvan żeni się tuż po Samain.

Jeżeli Uatah mogła załamać się na jakąś wieść, to właśnie na taką. Upiornie blada wpatrywała się w matkę wielkimi, przerażonymi oczami.

- Żeni się? - powtórzyła zdruzgotana. - Z kim? Dlaczego?

- Z córką swego sojusznika - odparła Scatah spokojnie. - To małżeństwo polityczne, Uatah. On musi mieć legalne dzieci, skoro podjął się pomsty za zbrodnię na Celtyllusie. Tyle chyba rozumiesz?

Ale Uatah nie pojmowała tego. Docierał do niej jedynie fakt, że Galvan będzie miał nową kobietę, że będzie sypiał w jej ramionach i że ona pewnego dnia urodzi mu dziecko. Czy pokocha je tak samo jak małą Aife?

Wstała i zaczęła nerwowo krążyć po izbie.

- Ostrzegałam cię - przypomniała Scatah. - Mówiłam ci wiele razy, że za uczucie do tego człowieka będziesz musiała zapłacić ogromną cenę.



Uatah siedziała kompletnie załamana. Nie chciała wysłuchiwać tego rodzaju upomnień matki. Łatwo jej było mówić.

- Dlaczego musiałam się urodzić kapłanką z Sein? - zapytała wreszcie. - Czy nie mogłam być zwykłą dziewczyną, bez tego brzemienia?

Scatah spoglądała na nią w milczeniu. Och, doskonale pamiętała własne cierpienie, kiedy przeżywała wielką miłość. Mimo wszelkich wysiłków nigdy nie udało jej się uwolnić od tego uczucia.

- Powiedziałam o tym nie po to, by było ci trudniej - odezwała się w końcu. - Chcę, byś spokojna popłynęła na Albion. Galvan nie jest dla ciebie. I nigdy nie będzie. Musisz się z tym pogodzić, Uatah, inaczej oszalejesz. Nie możesz ciągle żyć przeszłością.

Uatah doskonale o tym wiedziała, ale w tej chwili słowa matki nie miały dla niej żadnego znaczenia ani sensu. Miała wrażenie, że jej życie właśnie się skończyło. Była zbyt młoda, by zrozumieć, że istnieje mnóstwo innych powodów do radości.

Kiedy uniosła głowę, napotkała twarde spojrzenie zielonych oczu matki.

- Rozczulanie się nad sobą w niczym nie pomoże - powiedziała Scatah. - Niepotrzebnie rozdrapujesz rany. Jedź na Albion i tam pobieraj potrzebne nauki. Coś mi mówi, że niebawem nastanie ten czas, do którego starałam się przygotować Galvana.

Uatah poczuła, jak jakaś lodowata ręka zaciska się wokół jej serca. Dobrze wiedziała, o czym mówi matka. Scatah uważała, że Galvan jest tym, na którego czekali kapłani z Albionu, tym, który zjednoczy rozproszone państwa celtyckie.

- Mam jeszcze jedną wieść i nie wiem, jak się do niej odnieść - dodała po chwili, jakby w zamyśleniu. - Pochodzi ona z Rzymu.

Uatah znowu poczuła lęk. Nigdy nie potrafiła myśleć bez lęku o Rzymianach. Raz tylko będąc w pobliżu rzymskiej Prowincji, miała okazję widzieć ich legiony. Czuła się wtedy tak, jakby zimna jaszczurka pełzała jej po kręgosłupie. Te legiony

kojarzyły się jej ze śmiercią.

- Co to za wieść? - zapytała.  
- W Rzymie odbyły się wybory - powiedziała Scatah.  
- Nie sądziłam, że cię to zainteresuje - przyznała córka.  
- Tym razem tak. Otóż wygrał człowiek z innego stronnictwa niż zazwyczaj. A to może oznaczać niepokoje i przewroty w Rzymie.

- Masz na myśli wojnę domową?  
- Mniej więcej. I obawiam się, że niektórzy mogą wykorzystać fakt, że Rzym będzie osłabiony. Ale znacznie bardziej boję się czegoś innego - nie dokończyła. Spoglądała zamyślona w ogień. - Musisz żyć, Uatah - powiedziała nagle. - Musisz pokonać ten smutek i ból. Będziesz potrzebna zarówno tu, jak i w Gergowii, gdy nadejdzie czas. On będzie cię potrzebował.

Na te słowa Uatah zarumieniła się gwałtownie, ale nic nie powiedziała.

Dwa dni później Scatah stała na plaży i patrzyła, jak łódź z jej córką odpływa w kierunku majaczących na horyzoncie białych nadbrzeży Albionu. Stała zamyślona, rozważając w samotności wszystkie sprawy, o których nie chciała powiedzieć córce.

- Mój czas się kończy - szeptała do siebie. - Musimy się spieszyć. Galię też czeka niebezpieczeństwo, jeśli on nie zacznie działać. Mamy niewiele czasu, trzeba się spieszyć.

Wiedziała jednak dobrze, że Uatah musi się przygotować do wypełnienia swej życiowej misji, podobnie jak Galvan. Jednak głos w duszy podpowiadał jej, że tego, czego oboje potrzebowali najbardziej - czasu - jest niewiele.

\*

Ciemne jesienne chmury wisiały nisko nad poszarpanymi szczytami Alp. Gobannicjon zarządził postój. Nie należało popędzać koni. Orszak zatrzymał się tuż przy granicy rzymskiej Prowincji, czyli, jak ją Rzymianie nazywali, Galii Zaalpejskiej. Tak naprawdę Alpy wcale nie kończyły się w tym miejscu.

Właśnie tu miał początek łuk wygięty ku południowemu zachodowi. W tym miejscu kończyły się szerokie, dobrze utrzymane rzymskie gościńce, a zaczynały nierówne, wyboiste galijskie drogi.

Gwynn siedziała skulona przy ognisku, które rozpalili. Tu, w górach, było przeraźliwie zimno. Lada chwila można się było spodziewać opadów śniegu, choć do Samain było jeszcze daleko. Ale Alpy to nie italska równina, nagrzana słońcem i przyjazna dla człowieka. Nawet jeśli znajdowali się teraz na przełęczy i mieli z góry doskonały widok na rzymskie obozy rozbite w dolinie, to chłód wionący od górskich lodowców dawał się podróżnym we znaki.

Spędzili w Rzymie dziesięć nocy, jeśli liczyć według galijskiego kalendarza<sup>II</sup>. Dla Gwynn był to najwspanialszy okres w życiu. Kiedy dzień targowy dobiegał końca, wraz z Geillis zwiedzała miasto. Obie napawały się zdobyczami tej wysoko rozwiniętej kultury. Oglądały wspaniałe świątynie, wznoszone z kamienia, w przeciwieństwie do budowli celtyckich, spacerowały po marmurowych krużgankach, podziwiałały rzeźby, które idealnie oddawały proporcje ludzkiego ciała, i nie mogły uwierzyć, że istnieje coś tak wspaniałego. Dla Gwynn wszystko to było egzotyczne, niesamowite i wspaniałe. Rynki, na których można było sprzedać i kupić absolutnie wszystko, począwszy od etruskich naczyń z terakoty, poprzez celtyckie amfory, wina, kość słoniową z Afryki, przyprawy i pachnidła z dalekich Indii, greckich niewolników, aż po rzadki i niespotykany klejnot zwany bursztynem, który wydobywany był gdzieś daleko na północy i zwożony do Rzymu niebezpiecznymi szlakami, na których roiło się od barbarzyńców.

Nawet Rzymianie wydawali jej się wspaniali i Gwynn na chwilę zapomniała, że są to ludzie niebezpieczni i kochający wojny. Kiedy chodziła po Forum położonym w dolinie, między wzgórzami Kapitolu, Palatynu i Eskwilinu, zapomniała, że ze strony Rzymu ciągle może im grozić niebezpieczeństwo, jeśli to potężne państwo zechce wyciągnąć ręce w stronę Galii.

Gobannicjon był dużo bardziej trzeźwy w swej ocenie. Podróżował do Rzymu nie pierwszy raz i w ciągu ostatnich

dwudziestu lat miał okazję obserwować, jak miasto podnosiło się z upadku po wojnie domowej między Mariuszem i Sullą. Uważał, że zachwyty obu kobiet jest co najmniej przesadzony.

- Nic nadzwyczajnego - skwitował zachwyty Gwynn. - Gdybyś pojechała kiedyś do Aten, tak jak ja, szybko byś zrozumiała, że to miasto także kiedyś popadnie w ruinę. Co prawda Ateny nie są jeszcze w stanie skrajnego upadku, ale mówi się, że lata świetności mają dawno za sobą. Przypadały one na czas wojen z Medami przed pięciuset laty.

Gwynn wielkimi oczami oglądała wspaniałe rzeźby na forum. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w mężczyzn odzianych w białe togi, którzy szli do kurii. Wcześniej słyszała tylko o nich, kiedy starzy ludzie snuli opowieści przy ogniu w jesienne wieczory. Rzym wydawał się dziewczynie czymś odległym, obcym, co istnieje gdzieś daleko, poza granicami jej spokojnej ojczyzny.

Życie w tym mieście dosłownie tętniło. Tłumy na ulicach, masy ludzi, wrzask, zgiełk, urzędnicy w lektykach, niewolnicy wychodzący na zakupy, ceglane domy, czynszowe kamienice, sklepy, szkoły... Wszystko to napawało Gwynn zachwytem i strachem. Zastanawiała się, dlaczego w Gergowii nie wybudowano domów z wypalanej cegły, tylko z drewna, i czemu w Rzymie chodzi się po brukowanych ulicach, podczas gdy w galijskich miastach trakty są budowane z gliny.

- Oni sami tego nie wymyślili - burczał Gobannicjon, który nie przepadał za Rzymianami. - Gdyby nie Etruskowie, te zakute pały nigdy nie wpadłyby na podobny pomysł. Mówię wam, to miasto przetrwa może następne pięćdziesiąt lat, ale potem padnie tak samo jak inne miasta. Tylko czekać, aż powstanie jakaś nowa potęga i zniszczy Rzym.

Gwynn rozglądała się po mieście, stojąc na wysokiej Skale Tarpejskiej, z której strącano przestępców, i miała zupełnie inne wrażenie. Jak równie wspaniałe miasto mogłoby upaść za pięćdziesiąt lat? Jakim cudem potęga narzucająca swoją władzę wszystkim państwom po kolei miałaby się nagle skończyć? Stojąc na kapitolinińskim wzgórzu, Gwynn myślała, że ludzie żyjący nad Tybrem są na znacznie wyższym poziomie

rozwoju niż mieszkańcy Galii. Na myśl o tym, że życie toczy się tutaj tak szybko, ogarnął ją smutek.

Dziewczyna przy ognisku skuliła się. Wspomniała ostatni dzień swego pobytu w Rzymie. Siedziała sobie wtedy na Forum przy niewielkiej fontannie, z której ludzie czerpali wodę. Gobannicjon sprzedał już wszystkie towary, ale dał klientom dzień na przygotowanie się do drogi, wobec czego Gwynn i Geillis miały czas dla siebie. Matka Galvana musiała udać się w wiadome miejsce, wobec czego zostawiła dziewczynę samą. Gwynn już raz była w tym miejscu i nadziwić się nie mogła, że Rzymianie wymyślili coś takiego jak publiczne ustępy i chadzają tam, zupełnie nie krępując się jeden drugiego. W każdym razie Geillis pobiegła tam czym prędzej, podczas gdy Gwynn siedziała sama przy fontannie. W pewnej chwili dziewczynę dobiegły głosy mężczyzn, więc odruchowo uniosła głowę. Gwynn nie znała łaciny, nie miała okazji się jej nauczyć. Jedyne słowo, które poznała, to „salve”, czyli „witaj”. Gobannicjon znał język Rzymian znacznie lepiej, ale też regularnie bywał w tym mieście.

Rynkiem w stronę Gwynn szło dwóch mężczyzn odzianych w togi. Obaj mogli mieć około czterdziestu lat. Jeden z nich był dość potężnej postury, nosił togę obramowaną purpurowym szlakiem. Musiał cieszyć się szacunkiem i poważaniem, bo za nim szło dwóch mężczyzn z dziwnymi różgami. Ale to nie on przyciągnął wzrok Gwynn. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle obleciał ją strach. Drugi mężczyzna nosił togę luźno i jakby niedbale przewiązaną, ale włosy miał starannie uczesane i sprawiał wrażenie zadbanego. Trzymał jakiś zwój, a drugą ręką podtrzymywał fałdy togi. Był słusznej postury, ale nie tak potężny jak jego towarzysz. W zasadzie nie było w nim nic strasznego ani osobliwego, ot zwyczajny rzymski polityk. Jednak Gwynn na jego widok zadrzała. Przypomniała sobie osobliwy sen sprzed kilku tygodni.

Rzymianin spojrzał jej nagle prosto w oczy. Gwynn zadrzała. Siedziała przerażona jak ptak, który patrzy w ślepią węża. Oczy mężczyzn były niemal czarne, bystre. Z jego spojrzenia można było wyczytać ogromną inteligencję i przenikliwość umysłu.

Mężczyzna był przystojny, choć jego twarz nosiła ślady cierpienia i smutku, a także pewnej surowości.

„On jest żołnierzem” – przemknęło Gwynn przez myśl. Jednak nie o tym myślała. Skupiła uwagę na jego dłoni, silnej i zapewne wyćwiczonej w boju. W jej pamięci majaczyła jakaś wizja, w której klęczała przed kimś, kto wyciągał do niej rękę. Miał na palcu pierścień z pieczęcią... Gwynn nie widziała z daleka, ale dałaby głowę, że to była dłoń z jej wizji.

Ogarnął ją paniczny strach. Miała ochotę zerwać się i uciec jak najdalej, ale to by było kompletnym głupstwem. Ten człowiek jej nie zna ani ona jego, nie miała więc żadnych podstaw, by zachowywać się tak idiotycznie.

Rzymianin patrzył na nią przez chwilę, po czym obojętnie odwrócił głowę i poszedł w swoją stronę. Gwynn skuliła się, jakby ktoś ją uderzył. Zachowała się głupio, ale nic nie mogła poradzić na to, że na widok tego człowieka obleciał ją strach.

Teraz siedząc przy ogniu na alpejskiej przełęczy, nadal nie mogła zrozumieć swojej reakcji tamtego dnia. We śnie tej nocy widziała rudowłosą kobietę, którą po otwartej równinie gonilo stado wilków. Jednak nie miało to przecież żadnego związku z tym, co ona przeżyła w Rzymie.

Ponownie zaczęła rozmyślać o Galvanie. Kątem oka spoglądała na Geillis, która siedziała przy swoim bracie i rozmawiała z nim. Podczas tej podróży zaprzyjaźniły się ze sobą. Geillis próbowała wyciągnąć z Gwynn informacje na temat jej stanu uczuć do Galvana. Dziewczyna milczała jak zaklęta, chociaż widać po niej było, że jest zakochana. Geillis dała spokój, nie chciała naciskać.

Ogień trzasnął w górę. Gwynn poczuła, że oczy ją pieką, nie wiedziała jednak, czy od ognia, czy może od łez, które czuła pod powiekami. Z każdym dniem coraz mocniej tęskniła za Galvanem, a uczucie, jakie ją trawiło, z wolna zmieniało charakter. Nie było to już zakochanie ani zauroczenie. Gwynn zaczynała kochać Galvana mocno i w zupełnie inny sposób, chociaż sama nie do końca zdawała sobie z tego sprawę.

Spojrzała w stronę południa, skąd przyjechali. Dziwny, niezrozumiały lęk znowu ogarnął jej serce. Gdyby tylko

wiedziała, co to oznacza! Musiało jednak minąć jeszcze dużo czasu, zanim Gwynn przypomniała sobie o swojej wizji i o człowieku spotkanym na Forum w Rzymie pewnego jesiennego dnia.

\*

Noc nie przyniosła Gwynn ukojenia. Wpatrywała się w ciemność i wsłuchiwała w odgłosy dochodzące z zewnątrz. Leżała na krytym wozie obok Geillis i czuła na twarzy jej ciepły oddech. Nie to jednak sprawiało, że Gwynn nie mogła zasnąć. Powodem bezsenności była coraz dotkliwsza tęsknota. Gdyby tylko mogła go mieć...

Gwynn była zbyt młoda i niedoświadczona, by wiedzieć, że nie wystarczy posiadać ukochaną osobę. Zaczynała jednak powoli rozumieć, że jej własna miłość nie wystarcza. To, że sama była coraz bardziej zakochana, nie zmieniało faktu, że Galvan nie odwzajemniał uczucia. Owszem, lubił ją, ale była dla niego bardziej młodszą siostrą niż kobietą.

Gwynn nie wiedziała nic o planach Galvana. Jednak nawet gdyby było inaczej, i tak nie była daleka od prawdy w kwestii uczuć ukochanego.

Blask jego oczu... Ten intensywny błękit, czysty, nieskazitelny jak jesiennie niebo nad płonącymi czerwienią drzewami... Jego piękna twarz, rysy wyrzeźbione po mistrzowsku przez naturę! Gwynn znała je na pamięć, a kiedy spoglądała na matkę Galvana, widziała uderzające podobieństwo. Geillis miała takie same piękne błękitne oczy, te same wrażliwe usta z nieco uniesionymi kącikami, taki sam prosty, kształtny nos i gładkie czoło. Matka i syn mieli identyczne, nieco pociągłe twarze z dość mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, takie same długie czarne rzęsy i ten sam uśmiech. Nawet kolor włosów odziedziczył Galvan po swojej pięknej matce.

Tak, Gwynn potrafiła oddać każdy szczegół jego twarzy. Na pamięć znała gesty, uśmiechy. Potrafiłaby w środku nocy zareagować na głos Galvana, znała nawet jego sposób

chodzenia. Tak, była ciężko chora na miłość. Uważała, że Galvan jest istotą doskonałą, człowiekiem idealnym, o nieskazitelnej urodzie. Na razie bowiem jej miłość ograniczała się do podziwu nad wyglądem młodzieńca. Jednak z każdym dniem uczucie Gwynn zmieniało charakter. W ostatnim czasie dziewczyna zaczęła tęsknić za bliskością Galvana. I to w sposób, którego istnienia wcześniej nie była świadoma. W niespokojnych snach widziała, jak młodzieniec zbliża się do niej, czuła jego zapach, niemal wyczuwała jego oddech. Jednak zwykle się budziła, zanim zdążyła zapragnąć czegoś więcej. Nie wiedziała przecież, co mogłoby się stać.

Galvan wydawał się jej nieosiągalny, co gorsza, wiedziała o jego zakończonym małżeństwie i kilkumiesięcznym dziecku. Ta świadomość była dla Gwynn niczym uderzenie w twarz, które powtarzało się każdego dnia. Wiedziała, że Galvan był związany z Utah, wiedźmą z doliny, córką potężnej Scatah. Kimże ona była w porównaniu z tą kobietą!

„On nie jest dla ciebie” – powtarzała sobie w duchu. „Przestań się nim interesować!”. Wiedziała jednak, że te głuche nawoływania w duszy są bezskuteczne. Galvan poruszył jej zmysły tamtego dnia, kiedy pochylił się nad nią na łące. Wcześniej Gwynn słyszała, że można się zakochać od pierwszego wejrzenia, ale nie wierzyła w takie brednie. Teraz wiedziała, że to prawda, że takie rzeczy niestety się zdarzają. I wcale jej to nie uszczęśliwiało.

Tyle razy widziała, jak Galvan się uśmiecha. Pragnęła ujrzeć jego uśmiech skierowany do niej. Tylko do niej. Oczywiście, uśmiechał się do niej, to jasne, ilekroć ją widział, ale był to uśmiech przyjacielski, a nie taki, o jakim Gwynn marzyła. Pragnęła czegoś innego. Przyjaźń? To było dla niej za mało.

Uważała Galvana za bohatera. Był ucieleśnieniem jej dziewczęcych marzeń. Wielokrotnie słyszała podania o dawnych królach i wojownikach. Według niej Galvan spełniał wszystkie możliwe kryteria, by dołączyć do tego grona. W dodatku ta jego uroda! Był tak piękny, że patrzenie na czyste rysy i wspaniałą sylwetkę wywoływało dojmujący ból. Gwynn



w swoim młodym życiu miała okazję oglądać przystojnych mężczyzn, pięknych chłopców, jednak żaden z nich nie zawrócił jej w głowie. Tymczasem Galvan – z tą cudowną twarzą, z wyćwiczonym ciałem... Gwynn zagryzała wargi do krwi, by nie wydać z siebie jęku tęsknoty. Nie mogła przecież obudzić Geillis!

Ta jednak nie spała. Obudziła się przerażona nocną wizją. Zdarzało się, że widziała we śnie przerażające rzeczy. Kiedyś śniła jej się Scatah, innym razem – śmierć Celtyllusa. Teraz miała inną wizję. Śniło jej się coś, co rzeczywiście mogło się wydarzyć. Ten sen był dziesięć razy okropniejszy od wszystkich koszmarów, jakie kiedykolwiek ją nawiedzały.

Ujrzała krew. Izba ociekała krwią, a Geillis miała świadomość, że to ściany jej domu są czerwone od posoki mężczyzn. Nie miała pojęcia, skąd wie, że to mężczyźni. Jak się okazało, miała rację, gdyż w następnym momencie ujrzała trupy przed domem. Wizja się zmieniła. Geillis stała na swoim podwórzu i spoglądała na cztery głowy nadziane na żerdzie ogrodzenia. Należały do morderców Celtyllusa. Wiedziała to, dziwna świadomość przenikała ją do szpiku kości. Martwe oczy spoglądały na nią bez wyrazu, ale na twarzach znać było wciąż ślady przerażenia i przedśmiertnej męki.

Otoczenie zmieniło się gwałtownie. Geillis widziała dwóch mężczyzn walczących ze sobą na śmierć i życie. Jednym z nich był Galvan, drugim Cynnus, jej obecny mąż. Bili się z wściekłością, obaj zdecydowani zabić przeciwnika.

Geillis zadrżała. Nie zdążyła ujrzeć wyniku bitwy, bo wizja znowu się zmieniła. Stała teraz na wzgórzu i spoglądała w dół. Widziała palisady, dwa rzędy szańców oddalonych od siebie, a między nimi stłoczonych ludzi, jęczących, wołających, błagających o zmiłowanie. Była pewna, że są wśród nich jej krewni, choć nie potrafiła powiedzieć, skąd to przekonanie. Ujrzała ubranych w dziwne stroje żołnierzy przechadzających się po obwarowaniach. Wiedziała, że to wojna.

Wizja się zmieniła. Geillis zobaczyła bitwę. Raz po raz wśród walczących migał jej Galvan, zmieniony, bardziej dojrzały, mężczyzna.

Gwynn nosiła dziecko w łonie. Geillis stała tuż przed nią. Widziała swoje ręce zniszczone pracą, musiała być więc starsza niż obecnie. Gwynn stała przed nią z pochyloną głową.

- Musiałam - szeptała. - Musiałam to zrobić. Nie miałam wyboru. Uwierz mi, nie pragnęłam, by tak się stało.

Ujrzała sznur mężczyzn i kobiet idących do domu. I znowu miała świadomość, że to zakładnicy wypuszczani przez wroga. Gwynn trzymała ręce na brzuchu. Kręciła smutno głową.

Nagle Geillis zamarła. Ujrzała Galvana jadącego konno, ozdobionego złotym torquesem, odzianego w najlepsze szaty. Zmierzał w stronę wodza, który siedział na palisadzie i najwyraźniej oczekiwał go. Widziała, jak Galvan zeskakuje z konia i klęka przed wrogiem, wyciągając ręce w geście poddania.

Wizja zniknęła. Geillis obudziła się z jękiem i spojrzała prosto w lśniące od łez oczy Gwynn. Dziewczyna leżała, zagryzając wargi, jakby starała się powstrzymać jęk. Nie musiała nic mówić. Geillis doskonale wiedziała, skąd łzy w oczach Gwynn.

Nieoczekiwanie w jej myśli wdarł się głos, który Geillis skądinąd znała: „Od tej dziewczyny nadejdzie ratunek, kiedy będzie się wydawało, że wszystko stracone. Bo jeśli Galvanowi uda się wypełnić swe powołanie, cenę za to poniesie ogromną”.

Tak, Geillis w ułamku sekundy zerknęła w przyszłość. I wiedziała, że to, co nieuniknione, będzie musiało nadejść.

W spontanicznym geście wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Gwynn.

- Ty jesteś jedyną właściwą osobą dla niego - szepnęła. - Tylko ty.

Gwynn spojrzała na nią w ciemności, ale nic nie zrozumiała. Nie znała mrocznej wizji Geillis ani nie poznała jej nagłego strachu. W sercu dziewczyny gościł jedynie wielki smutek i żal z powodu niespełnionej miłości, która trawiła ją wolno i nieubłaganie, jak ogień trawi drewno paląc je na popiół.

\*

Jadąc do domu, Geillis miała wciąż w pamięci sen sprzed kilku dni. Przez Alpy przejechała jak w transie, nie wiedząc do końca, gdzie jest i co się wokół niej dzieje. W jej pamięci pojawiały się wcześniejsze obrazy, pamiętała też doskonale pewien dzień, kiedy Scatah długo przyglądała się Galvanowi i mruzczała pod nosem słowo „wybrany”. Wcale jej się to wtedy nie podobało, ale Celtyllus stwierdził, że to brednie i nie powinna się przejmować. Teraz jednak nie była tego taka pewna. Wiedziała doskonale, co Galvan zamierzał uczynić pod jej nieobecność. Chciał pomścić śmierć Celtyllusa sprzed wielu lat, a następnie rozprawić się z Cynnusem. Musiał tylko poczekać na dogodny moment. Jednak po dziwnym śnie sprzed kilku dni Geillis wiedziała, że Galvan będzie się starał dopiąć swego. Ta świadomość napełniała ją strachem.

Jadąc na wozie, rozmyślała o synu. Tak naprawdę go nie znała. Zniknął z jej życia jako trzylatek, gdyż zgodnie z twardymi prawami Celtów musiała oddać chłopca w adopcję. Potem udał się na naukę do druidów. Następnie jego przewodniczkami były Scatah i jej córka. Do domu wrócił jako dorosły mężczyzna, który chciał przywrócić rodowi ojca dawną świetność i jednocześnie umocnić swoją pozycję w klanie. Ale jakim był człowiekiem... Tego Geillis nie potrafiła powiedzieć.

Czasami spoglądała na Gwynn jadącą obok na wozie. Rzecz jasna, rozmawiały ze sobą, znały się przecież nie od dziś. Jednak Geillis nadal nie mogła pojąć, jaką rolę ta dziewczyna miała odegrać w wydarzeniach widzianych we śnie. Widziała jedynie, że Gwynn była brzemienna. Geillis miała niejasną świadomość, że dziewczyna nie nosi w łonie dziecka Galvana.

Może się rozwiodą... Geillis była, naturalnie, wtajemniczona w plany syna i wiedziała, że Galvan postanowił pojąć Gwynn za żonę. Zdawała też sobie sprawę, że nie robi on tego z podszeptu serca, lecz za namową Gobannicjona. Kieruje się rozsądkiem i zimną kalkulacją. Geillis musiała uśmiechnąć się pod nosem. Przypomniała sobie, jak kiedyś, wydawało jej się, że całe wieki temu, wybierała Celtyllusa. Kierowała się wtedy innymi względami niż miłość. Kochała jeden jedyny raz, kiedyś w młodości. Celtyllusa szanowała i była do niego szczerze

przywiązana, ale to nie była już miłość... Tak, wtedy myślała o potędze rodu, o dobrobycie, o pozycji przyszłych potomków, a nie o swoich uczuciach. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej miłość nie ma nic do rzeczy, liczy się tylko zabezpieczenie przyszłości dzieci.

Piętnastoletnia Geillis była osobą nad wyraz inteligentną... Teraz matka Galvana miała lat trzydzieści siedem. Wiedziała, że niebawem nadejdzie starość. Ale przedtem pragnęła pozbyć się Cynnusa i mieć pewność, że Galvan odzyska spadek po ojcu. Nie chciała, by jej dzieci musiały służyć własnym krewnym. Nie po to rezygnowała z młodzieńczych marzeń i wstępowała w związek z mężczyzną, którego nie kochała.

A teraz widziała, że Gwynn otrzyma od losu coś jeszcze gorszego. Rozumiała, że nie ma nic smutniejszego dla kobiety od kochania mężczyzny bez wzajemności. Doskonale wiedziała, że Gwynn ofiaruje jej synowi całą swoją miłość, ale może nie dostać nic w zamian. Galvan wciąż kochał Uatah, nie musiała go o to pytać – było to widać w jego oczach. Dlatego współczuła Gwynn i najchętniej odradziłaby jej to małżeństwo. Pamiętała jednak, że dziewczyna o niczym nie wie. Postanowiła milczeć.

Dla Geillis jasne było, że Gwynn jest bezgranicznie zakochana w Galvanie. Dziewczyna uwielbiała go z całą intensywnością uczuć siedemnastolatki. Ale Geillis, która miała za sobą jedno małżeństwo, a teraz była wpłątana w drugie, doskonale rozumiała, że uczucie nie ogranicza się do wielbienia powierzchowności. Żadna to miłość, która nie jest wystawiona na próbę. Dopiero za wiele lat Gwynn będzie mogła powiedzieć, że rzeczywiście kocha Galvana. Gdyby nie dostała go za męża, jej miłość prawdopodobnie umarłaby śmiercią naturalną. Tak bywa w takich przypadkach, Geillis doświadczyła kiedyś czegoś podobnego. Żal jej było tej młodej dziewczyny, która w Rzymie promieniała niczym niezmaconą radością, natomiast smutniała, w miarę jak zbliżali się do domu. W Alpach Gwynn była milcząca i skupiona, natomiast gdy zjechali w doliny, między lasy udekorowane barwami jesieni, stawała się wyraźnie smutna i przygnębiona.

Oczywiście, widziała, że dziewczyna nie śpi po nocach.

Jednak wtedy też milczała. Nie wolno wtrącać się do spraw związanych z miłością. Zastanawiała się, czy nie udać się do Scatah, by poprosić o magiczny specyfik, który zapewniłby Gwynn przychylność Galvana. Prawdę mówiąc, długo nad tym myślała. Doszła jednak do wniosku, że nie warto tego robić. Nie należy nikomu narzucać uczucia do drugiej osoby, takie sprawy powinny dojrzewać same z siebie. Jeżeli Galvan nie chce kochać tej pięknej dziewczyny, żadna siła go do tego nie zmusi. Poza tym Geillis miała wątpliwości, czy Scatah zechce kierować uczucia młodego człowieka w stronę innej kobiety niż jej córka. Mogła mieć interes w tym, by Galvan nadal kochał Uatah. Geillis nie знаła Scatah i bała się jej. Ta kobieta, niemal jej rówieśnica, wzbudzała we wdowie po Celtyllusie niewytłumaczalny strach.

Ostatniego dnia podróży obie jechały skupione i milczące, każda ze swoich cichych powodów. Gwynn z lękiem myślała o spotkaniu z Galvanem, choć z drugiej strony bezgranicznie tego pragnęła. Geillis natomiast obawiała się wyniku starcia między synem i mordercami Celtyllusa. Sama przed sobą ukrywała, jak bardzo lęka się rezultatu pomysłów Galvana. I tylko Gobannicjon jadący na przodzie na swoim koniu gadał jak najęty, podniecony i zadowolony z jesiennej wyprawy do Rzymu, ponieważ udało mu się sprzedać więcej towaru niż zazwyczaj. Teraz zaś cieszył się, że wraca do domu, do swoich żon i nałożnic, do dzieci i posiadłości. Nie zwracał uwagi na niezwykle milczenie obu kobiet. Nawet gdyby wydało mu się to dziwne, to w duchu pewnie dziękował bogom, że nie musi wysłuchiwać nieustającego paplania, jak w drodze do Italii, kiedy chwilami zirytowany miał ochotę zatkać uszy rękami. Nie robił tego tylko z obawy przed utratą panowania nad koniem. Nie, Gobannicjon cieszył się, że Geillis, a już szczególnie Gwynn, siedzą cicho. Nigdy nie miał zbyt wielkiej cierpliwości do kobiet, chociaż nie uważał ich za gorsze lub głupsze. Wprost przeciwnie. Jednak słuchanie ich paplania... to było zbyt wiele nawet dla niego.

Tak naprawdę jednak Gobannicjon gadał jak najęty również z innego powodu. Sam był zaniepokojony. Poprzez gadatliwość

chciał odegnąć myśli od spraw, które być może miały miejsce w domu. W żadnym razie nie życzył sobie porażki siostrzeńca, a tym bardziej jego śmierci. Jednak obie te możliwości były całkiem prawdopodobne...

\*

Geillis stała przed swoim domem, a raczej domem Cynnusa, choć niechętnie sama przed sobą się do tego przyznawała, i spoglądała z obrzydzeniem na cztery głowy zatknięte na żerdzi.

- Co to za obrzydlistwo! - wydusił z siebie Gobannicjon, który odprowadził siostrę na jej podwórze. - Na Teutatesa, co to za okropieństwo!

I on, i jego siostra byli bladozieloni na twarzach. Geillis miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Jednak głównym źródłem jej mdłości był fakt, że widziała już tę makabryczną scenę w swym okropnym śnie.

Przed dom wyszedł Galvan. Geillis nie widziała syna ledwie przez trzydzieści nocy, ale miała wrażenie, że się zmienił, choć było to, oczywiście, niemożliwe. Miał na sobie swoje zwykłe ubranie, spodnie ze skóry i tkaną tunikę, a na jego szyi lśnił złoty torques, oznaka potęgi rodu. Piękne blond włosy opadały swobodnie na ramiona z wyjątkiem skroni, gdzie miał splecione warkocze, ale przecież zawsze tak wyglądał! Mimo to w jego wzroku było coś, czego Geillis wcześniej nie widziała.

- Witaj, matko - odezwał się jakimś nowym, silnym głosem, którego także przedtem nie słyszała. - Jak dobrze znowu cię widzieć.

Geillis wpatrywała się w swego syna osłupiała. Na ogrodzeniu jej domostwa tkwiły cztery ścięte głowy, a on tak po prostu oświadczał, że miło mu widzieć matkę. Dopiero teraz powoli docierał do niej fakt, że Galvan pokonał przeciwną frakcję i pomścił śmierć ojca. To dlatego był odmieniony. Zyskał pozycję, jaką przed nim posiadał Celyllus. Pokazał wszystkim, że nie boi się swoich wrogów, potrafi ich pokonać i nie waha się stanąć do walki.

- Czy Rzym bardzo ci się podobał? - dopytywał się Galvan, w pełni świadomy, w jakim matka jest stanie.

Geillis jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ohydne martwe oblicza.

- Może zamiast kpić ze mnie, powiedziałaś mi, co się tu działo... - zażądała.

- Wolałbym o tym nie mówić - odparł Galvan ponuro. - Efekty działań masz przed sobą.

Geillis spojrzała mu badawczo w oczy, ale wzrok syna był nieprzenikniony. Ten niczym niezmacony błękit wydawał jej się dziś lodowaty, odpychający, a sam Galvan - obcy i daleki. Miała ochotę podejść do niego, rzucić mu się na szyję i dziękować wszystkim dobrym mocom za to, że jej syn żyje, ale coś w jego postawie sprawiło, że nie ruszyła się z miejsca.

Gobannicjon był bardziej konkretny.

- To znaczy, że zdołałeś pomścić ojca - stwierdził.

- Tak - odparł Galvan krótko. - Ale oboje dobrze wiecie, że to nie koniec. Najważniejsza osoba czeka.

- Cynnus... - zaczęła Geillis, ale Galvan jej przerwał.

- Cicho, jest u siebie. Tak, o niego chodzi. Na razie nic nie mogę zrobić. Czy Gwynn wróciła z wami?

- Tak - odparła Geillis zaskoczona. - A dlaczego cię to interesuje?

- Dobrze wiecie dlaczego - mruknął Galvan. - Dzisiaj przyjdę do ciebie, wuju, i opowiem ci wszystko. Tobie też, matko, jeśli chcesz. Ale najpierw muszę udać się do Rutena.

Geillis z wrażenia zakręciło się w głowie. Spoglądała na syna oczami pociemniałymi z żalu.

- Nie mówisz chyba poważnie, synu - jęknęła.

- Owszem, jak najbardziej - potwierdził Galvan. - Czas już na to. Gobannicjone, sam powiedziałaś, że nie należy oglądać się za siebie, tylko iść do przodu. Potrzebuję potomka.

Geillis wpatrywała się w niego oniemiała. Miesiąc temu jej syn nie wyglądał na tak zdecydowanego i nie był tak chłodny. Co się stało, że nagle zaczął mówić w taki sposób?

- Galvanie, czy jesteś pewien, że chcesz to uczynić dzisiaj?

Ten spojrzał na nią trzeźwo.

- Oczywiście. Im szybciej, tym lepiej.

Geillis zerknęła na brata. Zdawał się w pełni popierać siostrzeńca.

- Galvan ma rację, Geillis - powiedział. - Trzeba jak najszybciej się zaręczyć, a wesele wyprawić zaraz po Samain. Wtedy istnieje możliwość, że dziecko urodzi się późnym latem, co otworzy Galvanowi możliwości pozbycia się...

- No, no - mruknął Galvan, unosząc rękę w ostrzegawczym geście.

- Pewnych osób - dokończył Gobannicjon.

- Ale wy nie rozumiecie...! - wykrzyknęła Geillis, ale w porę umilkła.

Wiedziała, że uczucia Galvana czy Gwynn nie mają nic do rzeczy, jeśli idzie o małżeństwo mające przynieść obu stronom korzyści. Jej syn niewątpliwie zyskałby wiele na tym związku. Ruten był jednym z najpotężniejszych ludzi w Gergowii i okolicach. Posiadał wpływy nawet za Renem, u Swebów, co nie zdarzało się każdemu. Popierali go mężowie wśród Belgów i Helwetów, prowadził interesy z mieszkańcami wybrzeży Atlantyku. Jednym słowem: dobrze było mieć w nim sojusznika. On zaś w wyniku małżeństwa Galvana i Gwynn związałyby się z królewskim rodem. Jego wnuk byłby predestynowany do piastowania najwyższych urzędów w kraju. Z biegiem czasu mógłby przejąć sieć klienteli Rutena. Poza tym jeśli Galvanowi udałoby się pokonać resztę przeciwników, stałby się niewątpliwie potężnym człowiekiem. Nie tylko wśród Arwernów. Po ojcu należało mu się stanowisko naczelnika, które ukradł Cynnus. Celtyllus posiadał włości w Gergowii i poza nią. Jego klientela przewyższała znacznie klientelę Rutena. Tyle tylko, że Galvan był młody i jak na razie dokonał jedynie słusznej zemsty na mordercach ojca, umacniając w ten sposób swoją pozycję.

Jednak Celtyllus był bogaty. Dwóch jego synów przeznaczono na druidów. Starszy, Celtillognatos, już zajmował wysokie stanowisko wśród kapłanów. Młodszy, Brennus, syn nałożnicy, wciąż się kształcił, ale i przed nim rysowała się świetlana przyszłość.



Nie bez znaczenia był również fakt, że Galvan miał dziecko z Uatah, został wybrany na ojca przez mistrzynię. Przeszedł zwycięsko wszystkie próby, nawet tę najtrudniejszą - próbę miecza. Płodzenie dziecka z kapłanką czarownicą było przywilejem, nie każdego spotykało to wyróżnienie. Ostatecznie wtajemniczyła go sama Scatah. To w jej łóżu Galvan spędził siedem nocy. To jej krew pił podczas obrzędu inicjacji. Dlatego też miał mocną pozycję wśród wojowników. Zyskał również prawo zgarniania największej ilości łupów na wojnie. No i wreszcie Gwynn miałyby zapewnioną dobrą przyszłość, gdyby Galvan co roku odnawiał małżeństwo z nią. A gdyby Ruten postawił swoje warunki...

Tak, Geillis wiedziała, że Galvan ma rację. Do tego Gwynn była młoda, piękna i silna. Budowa jej ciała wskazywała na płodność. Była bogata, zręczna i wykształcona. Mogła dać Galvanowi piękne i silne potomstwo. I wniosłaby duży posag.

Geillis zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę i pod tym względem przyznawała Galvanowi rację. Jednak wiedziała jeszcze coś, o czym Galvan nie miał pojęcia. Gwynn kochała go, była nim bezgranicznie oczarowana. Natomiast on podchodził do tego małżeństwa chłodno i z rozsądkiem. Nie kierował się uczuciami, bo te, jak twierdził, oddał Uatah. Nie przyjmował do wiadomości faktu, że związek z adeptką, przyszłą kapłanką z Sein, czarownicą, nie ma przyszłości. Nie chciał przyznać przed samym sobą, że była to po prostu młodzieńcza fascynacja, Uatah pociągała go, a on był w niej jedynie zakochany.

Tak myślała Geillis. Uważała bowiem, że Galvan nie ma pojęcia o miłości. I zaraz mu to wygarnęła.

- Posłuchaj, synu, chyba nie chcesz zawierać małżeństwa, będąc zakochanym w innej kobiecie? - zaczęła.

Jednak Galvan nie miał zamiaru dyskutować na ten temat.

- Nie jest to twoją sprawą, matko - odparł chłodno.

- Owszem, jest - oznajmiła Geillis. - Wyobraź sobie, że też byłam kiedyś młoda i kochałam gorąco człowieka, za którego nie wyszłam.

- Sądziłem, że kochałaś mego ojca - odpowiedział Galvan

z wyrzutem.

- Owszem, ale znacznie później - mruknęła Geillis. - Dlatego chciałam ci coś powiedzieć, zanim uczynisz ten krok.

- Przecież w każdej chwili mogę rozwiązać małżeństwo - przerwał jej znudzonym tonem.

- Nie radziłabym ci tego robić z Gwynn - ostrzegła Geillis. - Ona nie należy do osób, z którymi można zrywać małżeństwo. Jednak nie o tym chciałam mówić, tylko o twojej tak zwanej miłości do Uatah.

Galvan miał ochotę gwałtownie się odwrócić i odejść, ale silne ramię Gobannicjona zatrzymało go w miejscu.

- Posłuchaj, co twoja matka ma do powiedzenia - nakazał. - Potem możesz iść.

Galvan nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać porad sercowych matki, ale szacunek do niej był silniejszy. Okazał posłuszeństwo.

- Miłość, Galvanie, to nie jest tylko podziw dla pięknego ciała, czyichś umiejętności ani słodycz bycia razem - zaczęła Geillis. - To coś znacznie trudniejszego - umiejętność bycia ze sobą w dobrym i złym, nie tylko w dobrym. Sztuka kompromisu i wybaczenia, przyznawania się do błędów, akceptacja drugiego człowieka. Ty i Uatah spędziliście ze sobą wyłącznie piękne chwile. Nie widziałeś jej w chorobie, smutku, cierpieniu, ona nigdy nie zawiodła ciebie ani ty jej. Nie musiałeś jej wybaczać ani prosić o wybaczenie. Poza tym bardzo łatwo jest kogoś kochać płomiennym, namiętym uczuciem, z góry skazanym na niepowodzenie. Wtedy przeżywa się wszystko intensywniej. Jednak sztuką jest, mój synu, kochać kogoś codziennie, starzeć się razem z nim i zmieniać, patrzeć, jak się złości, jak wykonuje codzienne obowiązki, i nie znudzić się tym. Dlatego zastanów się, zanim pójdziesz do Rutena.

Galvan słuchał słów matki z obojętnym wyrazem twarzy.

- Na co ci ta przemowa, matko? - zapytał wreszcie. - Przecież ja nie kocham Gwynn.

„Ale ona ciebie kocha” - pomyślała Geillis ze smutkiem.

- Wiem o tym - szepnęła.

Galvan spoglądał na nią, niczego nie rozumiejąc.

- Daj jej przynajmniej odpocząć po podróży - poprosiła. - Tylko tyle.

- To chyba jasne, że nie pójdę tam teraz - odparł Galvan. - Mam inne zajęcia.

Geillis spojrzała raz jeszcze na ohydny ozdobę ogrodzenia i kręcąc głową, weszła do domu. Przedtem podziękowała jeszcze bratu za podróż i obiecała przyjść do niego wieczorem razem z synem.

Galvan zaś stał jakiś czas przed domem i rozmyślał o tym, co powiedziała matka. Co chciała zasugerować? Przecież nie chciał małżeństwa z Gwynn, mimo że ją lubił. Rozumiał jednak, że musi mieć potomstwo, w dodatku legalne, by w razie konieczności zabezpieczyć majątek. Nie mógł dopuścić do tego, by dobro Celyllusa dostało się w niepowołane ręce...

Zrezygowany westchnął i wszedł do domu za matką. Czekał go ciężki wieczór. Wszak nigdy wcześniej nie prosił o czyjąś rękę. A teraz musiał to uczynić, chociaż doprawdy nie miał na to najmniejszej ochoty.

\*

Gwynn wytarła włosy, które umyła po podróży, i zadowolona usiadła przy palenisku, by szybciej wyschły. W domu powitano ją z prawdziwą radością, zupełnie jakby odbyła pochód triumfalny albo wróciła co najmniej z Afryki. Tak więc miała doskonały humor i z zapalem opowiadała zaciekawionej rodzinie i domownikom o swojej podróży do Italii. Gwynn nie można nazwać ponurą osobą. Wprost przeciwnie, zazwyczaj była pogodna i tryskała humorem. To miłość do Galvana sprawiała, że dziewczyna popadała w zadumę i stawała się smutna, co martwiło, rzecz jasna, jej rodziców. Teraz zaś na chwilę zdołała zapomnieć o nieszczęśliwym uczuciu. Przejęta nie milkła ani na chwilę. Nawet gdy niewolnica myła jej włosy, usta dziewczyny się nie zamykały.

- Ach, ojczy, nie masz pojęcia, jakie to wspaniałe miasto! - wykrzykiwała zachwycona. - Jakie potężne budowle! Jakie ulice! A jacy wytworni ludzie!

Ruten uśmiechał się pod wąsem. On też w latach młodości był w Rzymie i także wrócił zachwycony i rozgorączkowany. Potem jednak udało mu się wybrać w podróż również do Aten i zdał sobie sprawę, że wszystkie miasta na południu są do siebie podobne, a do tego strasznie stare. Uznał, że Gergowia najbardziej mu się podoba – przede wszystkim dlatego, że była jego rodzinnym miastem. Jednak nie przerywał Gwynn w opowiadaniu, rozbawiony jej młodzieńczym entuzjazmem.

- Czy Geillis też podobało się w Rzymie? – zapytał.

- O, nie tak bardzo jak mi – odparła Gwynn przejęta. – Jednak ona tak wiele nie chodziła po mieście. Rzymianie posługują się całkiem niezrozumiałym językiem, ojcze. Zdawało mi się, że śpiewają.

- Tak, łacina jest śpiewna i melodyjna – przyznał Ruten. – Ale nie jest niezrozumiała. Po prostu inna.

Zachwycona Gwynn paplała dalej:

- Zastanawiam się, dlaczego u nas nie ma takich potężnych posągów ani takich wielkich budowli. A jakie tam są tłumy! Nie sposób było przejść spokojnie ulicą!

Ruten przypomniał sobie hałaśliwy tłum z rzymskich ulic i jakoś nie podzielał entuzjazmu Gwynn. Jednak on nie miał siedemnastu lat, tylko co najmniej jeszcze raz tyle, i widział niejedno w swoim życiu.

Gwynn za pomocą drewnianego grzebienia rozczesywała gęste blond włosy, ani na chwilę nie przestając opowiadać. Nagle jednak zamarła w pół słowa, bowiem w przedśionku stanął Galvan. Był odświętnie ubrany, przystrojony złotymi ozdobami, piękny jak nigdy dotąd. Ręce Gwynn zamarły w bezruchu nad głową. Dziewczyna swą postawą wyrażała bezgraniczne zdumienie, jakby nie była w stanie pojąć, że ktoś może po prostu wejść do ich domu. Jednak tym kimś był Galvan.

Ruten natychmiast zerwał się z miejsca i już sadzał gościa za stołem. Gwynn odzyskała w międzyczasie czucie w palcach i opuściła ręce, a Galvan ani jednym gestem nie dał po sobie poznać, jak bardzo wydała mu się pociągająca, gdy siedziała

zaskoczona z wilgotnymi długimi włosami. Przez ułamek sekundy pomyślał o Uatah, ale ta myśl szybko się rozviała. Prawdą jednak było, że Galvanem porządnie wstrząsnął widok rozluźnionej, roześmianej Gwynn. Znowu uderzyła go myśl, że ta dziewczyna jest piękna. Niesamowicie pociągająca, choć nie w tak oczywisty sposób jak Uatah. Uroda Gwynn była delikatna i łagodna, rysy Uatah odznaczały się dziką pięknnością. Każda z nich była zupełnie inna.

Ruten wyglądał na zaskoczonego wizytą Galvana o tej porze - na zewnątrz panowała ciemność, chociaż nie było jeszcze późno. Tak czy siak nie spodziewał się gości i nie był należycie przygotowany na wizytę sąsiada. Na widok przybranego syna zdumiał się ogromnie, a reakcja Gwynn zadziwiła go do reszty. Teraz córka siedziała odwrócona do nich plecami, wyciągając ręce do ognia, chociaż wiedziała, że za chwilę matka wyda jej polecenie, by pomogła przy stole. Tak też się stało. Evar wysłała dwie córki do spiżarni, by przyniosły stamtąd placki i piwo dla gościa. Nie wypadało, by siedział głodny, a służba była zajęta, bo nikt nie spodziewał się wizyty.

Gościnność wymagała, by gospodarz najpierw częstował gościa, a dopiero potem pytał o powód wizyty. Tak więc Galvan posilił się podpłomykami Evar i skosztował znakomitego piwa, zanim poproszono go o wyjawienie celu odwiedzin. Co prawda Ruten domyślał się, co skłoniło młodego człowieka do przyjscia w jego progi, ale milczał.

- Co cię do nas sprowadza, Galvanie? - zagadnął przyjaźnie.

Miał nadzieję, że nikt w izbie nie słyszy, jak mocno bije mu serce. W głębi duszy od dawna życzył sobie Galvana za zięcia, a kiedy chłopak w walce pokonał zabójców swego ojca i rozgromił w pył niemal całą frakcję sprzyjającą Eduom, Ruten nabrał jeszcze większego przekonania, że pragnie wydać córkę właśnie za tego młodzieńca.

- Przed wyjazdem mojej matki omawiałem z tobą pewną sprawę, Rutenie - zaczął Galvan trochę niepewnie. - Pamiętasz może?

- Oczywiście, że pamiętam - uśmiechnął się Ruten. - Takich rozmów się nie zapomina.

Evar siedziała przy pochodni i przędła. Udawała, że nie słucha rozmowy mężczyzn, ale oczywiście była zadowolona. Teraz się dowie, o czym to jej mąż nie chciał jej powiedzieć przed nagłym wyjazdem Gwynn do Rzymu.

- Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania - powiedział Galvan. - Gdyż ja mojej prośby nie cofam.

Ruten odetchnął z ulgą. Przez chwilę bał się, że Galvan zamierza wszystko odwołać, ponieważ pokonał wrogów i czuje się bezpieczny. Ruten chciał dobrze dla córki, ale nie krył sam przed sobą, że zależało mu na tym związku również z innych powodów.

- A co na to dziewczyna? - zapytał Galvan po chwili. - Czy mówiłeś z nią na ten temat?

Evar nastawiła uszu. Gwynn akurat nie było w izbie, została wyprawiona do spiżarni w drugim budynku po jeszcze jeden dzban piwa.

- Czy jej zdanie ma dla ciebie znaczenie? - zdziwił się Ruten.

- Oczywiście. Nie chcę jej przecież do niczego zmuszać.

Dzisiaj myślał intensywnie nad słowami matki i doszedł do wniosku, że nie ma prawa nakazywać niczego dziewczynie. Jeżeli ona kocha innego mężczyznę, Galvan powinien dać jej spokój. Postanowił nie przymuszać Gwynn do związku.

- To szlachetne z twojej strony - przyznał Ruten. - Wydaje mi się jednak, że Gwynn nie będzie miała nic przeciwko poślubieniu ciebie.

Rozległ się trzask rozbijanego dzbanka. Wszyscy odwrócili się gwałtownie i ujrzeli Gwynn, która instynktownie odskoczyła po tym, jak wypuściła z rąk gliniane naczynie. Stała jak wmurowana w próg domu, wpatrując się w ojca oczami wielkimi ze zdumienia. Zupełnie jakby jej mowę odjęło. Piwo sączyło się po klepisku.

- Gwynn, podejdź tu. - Ruten skinął ręką na córkę. - Nie, daj spokój z tym piwem, nic się nie stało.

Dziewczyna podeszła niepewnie. Nie wiedziała, czy przypadkiem się nie przesłyszała albo ta cała sytuacja jej się nie śni.

- Słucham, ojcze - wybełkotała drżącymi wargami.

Ruten spoglądał na nią przez chwilę badawczo. Czyżby się przestraszyła?

- Galvan pragnie się z tobą ożenić - oznajmił po chwili spokojnie. - I chciałby wiedzieć, czy ty go zechcesz.

Gwynn gapiła się oniemiała na ojca, po czym wolno, bardzo wolno przeniosła wzrok na Galvana. Był tak piękny, że poczuła bolesny skurcz w sercu. Siedział i uśmiechał się do niej przyjaźnie, ale też z wyczekiwaniem. W jego oczach i odsłoniętych zębach odbijał się blask ognia. Włosy wydawały się utkane ze złota. Torques i naramienniki błyszcząły, lśniły. Zauważyła, że Galvan ma na sobie tunikę, którą kiedyś mu przyniosła.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens słów wypowiedzianych przez ojca. Jak lunatyczka zwróciła się ponownie w jego stronę.

- Czy chcę...? - wyjąkała, bliska płaczu.

Evar odłożyła wrzeciono i podeszła do córki.

- Gwynn - powiedziała.

Nie musiała dodawać nic więcej. Z przerażonych oczu córki wyczytała wszystko.

Galvan wstał.

- Rutenie... mój przybrany ojcze i przyjacielu - zaczął. - Mam tedy niekłamanym zaszczyt prosić cię pokornie o rękę twojej córki Gwynn, mając nadzieję, że uznasz mnie za godnego tej prośby i że ona mnie zechce.

Ruten wstał także.

- Gwynn - zwrócił się do córki. - Pozostawiono ci wybór. Powiedz, czy chcesz tego mężczyznę za męża?

Dziewczyna była w stanie jedynie kiwnąć głową. Nie mogła wymówić słowa.

- Daję przeto moje przyzwolenie na ślub pod dwoma warunkami - powiedział Ruten.

Galvan kiwnął głową. Ustalanie warunków było powszechnym zwyczajem i młody człowiek wiedział, że to nastąpi. Sądził jednak, że chodzi o ustalenie okupu. Ruten zaś chciał upiec jeszcze jedną pieczeń na tym samym ogniu.

- Pierwszy warunek dotyczy uiszczenia odpowiedniego

okupu za moją córkę - oznajmił. - Omówimy tę sprawę później, po uczcie, na której oficjalnie potwierdzę zaręczyny. Mój drugi warunek jest taki, że nie rozwiążesz małżeństwa wcześniej jak za pięć lat.

Galvan wyglądał na zdumionego. Zwyczajem było przedłużanie małżeństw co roku.

- Pragnę zapewnić bezpieczną przyszłość mojej córce i jej potomstwu - wyjaśnił Ruten enigmatycznie.

Galvan uspokojony kiwnął głową. Wiedział już, do czego jego przyszły teść zmierza.

- Przyjmuję twoje warunki, Rutenie - oznajmił.

Ten wziął dłoń Gwynn w swoją rękę, po czym połączył dłonie obojga młodych.

- Wyrażam zgodę na wasze małżeństwo - powiedział dostojnym tonem. - Obiecuję dać ci moją córkę za żonę przed upływem sześćdziesięciu nocy.

Gwynn kręciło się w głowie. Jej dłoń spoczywająca między ręką Galvana i Rutena była mokra od potu i drżąca. Dziewczyna nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje.

Po chwili było po wszystkim. Służąca pozbierała skorupy z rozbitego dzbana i wytarła piwo z podłogi, a obaj mężczyźni pograżyli się w zwyczajnej rozmowie. Wkrótce Galvan i Ruten opuścili dom, mówiąc, że wybierają się do Gobannicjona. Chcieli omówić pewne sprawy.

Gwynn oszołomiona wyszła na podwórze, chcąc za nimi spojrzeć, gdy nieoczekiwanie na progu pojawił się Galvan. Niemal przytłoczył ciałem dziewczynę do framugi, zasłonił jej sobą cały widok. Gwynn sądziła, że zapomniał okrycia. Już chciała się cofnąć do środka, by przynieść jego własność, ale chwycił ją za nadgarstek i zatrzymał. W ciemności rozpraszanej tylko przez blask ognia dochodzący z domu Gwynn widziała jedynie kontury twarzy młodzieńca i błyszczące oczy. Galvan patrzył na nią przez długą chwilę. Gwynn złęczona odpowiadała mu spojrzeniem, ale nie wiedziała, o co mu chodzi. Jego oczy zdawały się być całkowicie czarne w mroku, nie został najmniejszy ślad z ich chłodnego, czystego błękitu. Oddychała szybko jak po biegu, zaskoczona i przerażona. Miała



ogromną ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć tej fascynującej twarzy. Zamiast tego stała z opuszczonymi rękami, jakby nie wiedziała, co z nimi począć. W następnej chwili poczuła ciepły oddech Galvana na policzku.

- Dziękuję, że mnie nie odrzuciłaś - szepnął.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, puścił jej dłoń i życząc dobrej nocy, oddalił się w ciemność. Widziała go, jak dołączał do Rutena i niewolnika z pochodnią, gdyż jesienny wieczór był ciemny. Stała oszołomiona i zaskoczona na progu, niezdolna do wykonania najmniejszego gestu. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, co to za dziwny słony smak czuje w ustach. Po policzkach spływały jej gorące łzy, ale nie podniosła ręki, by je wytrzeć. Nie była w stanie.

---

I Dzisiejsza Marna.

II Galowie liczyli czas według nocy.

## VI

Kalpurnia stała w progu atrium i starała się nie rzucać w oczy. Prawdę powiedziawszy, udawało jej się to wyśmienicie, jako że była niewielkiego wzrostu i drobnej postury. Pięknie rzeźbiona kolumna w domu ojca skutecznie maskowała obecność kobiety i jej zaufanej niewolnicy. Laucyda była najlepszą przyjaciółką swej pani, chociaż oficjalnie Kalpurnia nie mogła się do tego przyznać. W świetle prawa obie kobiety dzieliła olbrzymia przepaść.

Tego dnia czaiły się za kolumną w atrium i podsłuchiwały rozmowę ojca Kalpurni, Kalpurniusza Pizona, z Markiem Antoniuszem. To, że ten słynny mąż pofatygował się do domu Pizona, należało uznać za wielki zaszczyt. Antoniusz, należący do grona przyjaciół Cezara, cieszył się niezbyt dobrą sławą hulaki i rozpustnika, ale ponoć był dobrym żołnierzem i Cezar bardzo go cenił. Jednak nie on odgrywał tutaj główną rolę, tylko sam Pompejusz Wielki, który teraz, co prawda, siedział w milczeniu i przysłuchiwał się rozmowie tamtych dwóch. Pompejusz i Pizon nie przepadali za sobą. Różniły ich poglądy polityczne, majątek i pochodzenie. Jednak tym razem Pompejusz nie przychodził w sprawie prywatnej; został wydelegowany wraz z Antoniuszem w celu odbycia ważnej rozmowy z Pizonem.

Tak się składało, że Kalpurnia szła akurat do cubiculum matki, gdy przypadkiem usłyszała swoje imię. Zaciekawiona przystanęła i aż dech jej zapało ze zdumienia, kiedy ujrzała dwóch dostojnych gości w atrium ojca. Co prawda zdziwiła się, że ojciec nie poprosił ich do tablinum, ale pewnie miał ku temu powody.

Stała tak dobrą chwilę i podsłuchiwała, chociaż wiedziała doskonale, że mogą ją za to spotkać przykre konsekwencje. Jednak ciekawość była silniejsza od strachu przed ojcem. Dzięki temu dowiedziała się ciekawych rzeczy. Otóż Antoniusz i Pompejusz przyszedli do Pizona, aby wstępnie zapytać, czy Cezar miałby szansę starać się o rękę Kalpurni. Dziewczyna, usłyszawszy to, znieruchomiała niczym słup soli. Szukała w pamięci, ale jedyne, co pamiętała, to biała toga z senatorskim szlakiem i starannie uczesane czarne włosy, nieco już przerzedzone nad czołem. Twarzy Cezara jakoś nie była w stanie sobie przypomnieć, choć, naturalnie, wiedziała, kim on jest; niejednokrotnie widywała go na ulicach Rzymu.

Dopiero po dłuższej chwili dotarł do niej sens słów tamtych dwóch. Za mąż? Miałaby wyjść za mąż? Ona? Ale przecież... W dodatku za Cezara?

„Cezar, Cezar...” – myśli krążyły niespokojnie po jej głowie. Na Jowisza, przecież był od niej o dwadzieścia lat starszy! Tak, w tym roku skończył czterdzieści lat, ona zaś, jeśli dobrze policzyć, nie miała jeszcze dwudziestu. I tak dziwne, że ojciec nie wydał jej za mąż wcześniej. Teraz jednak nie miało to już znaczenia.

Cezar... Ale on miał dorosłą córkę! I jeśli Kalpurnia się nie myliła, owa kobieta była żoną Pompejusza i oczekiwała jego dziecka. Cały Rzym o tym plotkował, w zasadzie o niczym innym nie mówiono, tylko o ciąży Julii i o wyborach na konsulów, w których wygrali Cezar i Bibulus. Ludzie gadali, że ten pierwszy sownie opłacił swoich klientów, omal się przy tym nie rujnując, i że dał Pompejuszowi swą córkę za żonę, by ten zapewnił mu wygraną.

Tak więc Kalpurnia stała wzburzona i przerażona, trudno powiedzieć, czy bardziej z powodu wiadomości o ewentualnym małżeństwie, czy też o przyszłym małżonku. Rzecz jasna, powszechnym prawem ojca był wybór męża dla córki i w ogóle podjęcie decyzji o jej zamążpójściu. Od jakiegoś czasu już Kalpurnia słyszała, jak Pizon przebąkuje o oddaniu jej do kolegium westalek, czego dziewczyna za żadne skarby świata nie chciała. Pragnęła wyjść za mąż i mieć dzieci, a nie

trwać w dziewictwie przez trzydzieści lat, aż stanie się bezpłodna i nikt jej nie zechce. Teraz jednak zbladła i przeraziła się, aż Leucyda zdenerwowała się nie na żarty, czy jej pani nie zemdleje i nie runie na posadzkę.

Ostatecznie jednak nie zemdleła. Zanim tamci zdołali się zorientować, że stała za kolumną, Kalpurnia czym prędzej pobiegła do pokoju matki. Ta leżała na sofie i z braku innych zajęć oddawała się lekturze. Odziana w delikatne szaty, z kunsztownie ułożonymi włosami wyglądała jak prawdziwa patrycjuszka. Na widok córki uśmiechnęła się przyjaźnie, ale po chwili zareagowała niepokojem na widok pobladłego oblicza Kalpurni.

- Czy coś się stało, moje dziecko? - zapytała.

Dziewczyna usiadła na taborecie obok sofy. Splatała i rozplatała nerwowo palce.

- Przypadkiem znalazłam się dziś w atrium, matko - zaczęła, ale ta przerwała jej i ruchem ręki nakazała niewolnicom opuścić pokój.

- Nie lubię, jak one podsłuchują - mruknęła. - Zaraz potem pół Rzymu będzie wiedziało, o czym rozmawialiśmy.

Kalpurnia zdołała jedynie pokiwać głową. Myślami była zupełnie gdzie indziej.

- U ojca są Marek Antoniusz, Gnejusz Pompejusz i...

- Co ty mówisz! - wykrzyknęła matka, znowu przerywając Kalpurni. - No, tego bym się nigdy nie spodziewała. A cóż oni tu mają do roboty?

- Gdybyś była tak dobra i pozwoliła mi dokończyć, zaraz byś się dowiedziała - odparła Kalpurnia. - Rozmawiają z ojcem o wydaniu mnie za mąż.

- Co? - matka dziewczyny podskoczyła na sofie. - O czym? Beze mnie? - odłożyła papirusowy zwój na marmurowy stolik i przecząc swemu wiekowi, jednym susem znalazła się w pozycji stojącej. - O, dostanie się Kalpurniuszowi za to - mruzczała pod nosem. - Czyżby zapomniał, że to ja wniosłam do tego małżeństwa więcej majątku, dzięki czemu też mam coś do powiedzenia?

Zaaferowana zapomniała na chwilę o córce. Dopiero przy

wyjściu uświadomiła sobie, że nie może iść do atrium i zrobić sceny mężowi, bo to uwłaczałoby jego senatorskiej godności. Miejsce małżonki było w domu. Doskonale o tym wiedziała. Jednak teraz córka była ważniejsza.

- Kalpurnio, dlaczego jesteś taka przerażona? - zapytała, widząc, że córka jest blada jak ściana. - Chyba nie boisz się wyjść za mąż? Zawsze wiedziałas, że cię to czeka.

- Nie, matko, ale oni chcą, żebym wyszła za Cezara - załkała dziewczyna.

Na te słowa matka powoli opadła z powrotem na sofę. Jej błękitne oczy rozbliły.

- Kalpurnio, czy ty wiesz, o czym mówisz? - zapytała powoli. - Czy prawdą jest to, co słyszałaś?

- To chyba tylko oni wiedzą - pisnęła córka.

Jednak matka nie podzielała jej pesymistycznych nastrojów.

- Dziecko, czy ty wiesz, co oznacza wyjść za mąż za Cezara? Powinnaś iść do ojca i dziękować, jeśli wyrazi zgodę na to małżeństwo. Cezar jest powinowatym samego Pompejusza. Jego bogactwo jest ogromne, równie wielkie jak niegdyś jego długi. Zbił fortunę w Hiszpanii. Jest najwyższym kapłanem, pochodzi z boskiego rodu, a poza tym za trzy miesiące będzie konsulem.

- Tak, a do tego jest stary, brzydki i ma dorosłą córkę. Poza tym sypia z połową miasta - dodała urażona Kalpurnia.

- To, z kim on sypia, nie powinno cię interesować - ucięła matka. - Czy sądzisz, że twój ojciec dochowuje mi wierności? Nie bądź śmieszna, mężczyźni od wieków tak czynią, nie umiając zadowolić się jedną kobietą. Poczytaj sobie pisma Arystotelesa, to będziesz wiedziała. Ale ja nie o tym mówię, tylko o wejściu w ród Juliuszów. Czy ty nic nie rozumiesz? Cezar to potężny człowiek.

„I niebezpieczny” - dodała w myślach.

- Ale przecież ja nic nie znaczę - zdumiała się Kalpurnia dość naiwnie. - W dodatku jestem brzydka i...

- Nie jesteś brzydka - zaprotestowała matka.

Nie była to do końca prawda. Kalpurnia nie odznaczała się wybitną urodą. Była niewysoka, szczupła, wręcz drobna, budowę dziedziczyła po rodzinie matki. Miała brązowe kręcone

włosy i chyba one stanowiły jej największy atut, gdyż były gęste i grube, pięknie się układały i nie sprawiały kłopotu przy czesaniu. Rysy twarzy miała dość regularne, ale niezbyt pociągające, z prostym nosem, dużymi piwnymi oczami i ustami, które mogły być pełniejsze i mocniej zarysowane. Miała trójkątną twarz i dość mocno zarysowane kości policzkowe, co nie dodawało jej urody. Jednak nie można było nazwać jej brzydką.

Matka zaczęła się zastanawiać. Cezar znany był ze swoich romansów i z określonego gustu. Jego żona Kornelia była blondynką o dość obfitych kształtach, chociaż talię miała wąską, a nogi długie i smukłe. Pompeja była uważana za jedną z najpiękniejszych kobiet w mieście. Wszystkie kochanki Cezara, na czele z Serwillą, odznaczały się wybitną urodą. Jasne też było, że gustował w jasnowłosych kobietach. Skąd nagle zainteresowanie niezbyt urodziwą Kalpurnią? Odpowiedź nasuwała się sama: miał to być związek polityczny. Cezarowi nie zależało na dziewczynie, pragnął wsparcia Kalpurniusza Pizona, jednego z potężniejszych Rzymian.

Matka Kalpurni cofnęła się myślami w czasie. Sama została poślubiona Pizonowi ze względów politycznych. Pragnął zapewnić sobie poparcie w wyborach. „Nic nowego” – pomyślała. „Nigdy by mi do głowy nie przyszła inna ewentualność, bo to chyba niemożliwe, by Cezar nagle zadurzył się w mojej córce, skoro od lat żyje z Serwillą”.

Ani matka, ani córka nie musiały czekać długo na wyjaśnienie całej sytuacji. Niebawem do cubiculum wszedł sam pan domu, Kalpurniusz Pizon. Przez chwilę stał w wejściu i spoglądał zamyślony na swoją córkę.

- Mam zamiar wydać cię za mąż - oznajmił wreszcie chłodnym tonem, pod którym usiłował ukryć poruszenie. - Czas już ku temu najwyższy.

Kalpurnia pobladła. „A więc wyrok zapadł” – pomyślała. „To gorsze niż ukrzyżowanie”.

- Za kogo chcesz ją wydać? - zapytała go żona. - Nie uzgodniłeś tego ze mną. Co ty sobie wyobrażasz? Nie zamierzasz informować mnie o swoich decyzjach?

Kalpurniusz skrzywił się i mimowolnie pomyślał o komediach Plauta, które niedawno wystawiano w teatrze.

- Milcz, kobieto - nakazał, mając świadomość, że ostatecznie do niego należy władza w tym domu. - Zawsze musisz wtrącić swoje trzy grosze. To moja decyzja i miałem prawo ją podjąć.

- Ale nie bez porozumienia ze mną! - warknęła żona.

- W tym wypadku owszem. Pompejusz i Antoniusz złożyli mi propozycję, nad którą warto się zastanowić. Jutro przyjdzie do mnie Cezar i porozmawiamy w cztery oczy.

Kalpurnia zacisnęła pięści.

- Ale ja nie chcę Cezara, ojciec - ośmieliła się powiedzieć.

Pizon spojrzał na nią w zamyśleniu.

- On obsypie nas złotem, moje dziecko - odparł. - I przy nim będziesz bezpieczna. Nikt nie wyrządzi ci krzywdy.

„Jedynie on sam” - pomyślała Kalpurnia z żalem. Jednak wiedziała, że nie ma żadnego wpływu na decyzję ojca.

\*

Jako że Pompejusz musiał udać się do swoich posiadłości na wsi, gdzie miał bawić przez kilka dni, by doglądać osobiście majątku, Julia została wysłana do domu Cezara. Troskliwy mąż obawiał się zostawiać ją samą w błogosławionym stanie. Oczywiście, Julia przekonywała go, że to nonsens, że nic jej nie będzie pod opieką niewolników i synów Pompejusza, ale on się uparł. Tak więc na kilka dni dziewczyna znalazła się w domu ojca.

Czuła się tam obco. Chociaż od ślubu minęły zaledwie trzy miesiące, miała wrażenie, że należy już do innego domu. Tutaj co prawda ścigały ją wspomnienia, tu mieszkała babcia, która z dnia na dzień wydawała się coraz mniejsza. Aurelia skurczyła się i posiwiała, jednak nie żegnała się jeszcze z tym światem. Miała żyć dostatecznie długo, by widzieć, jak jej syn zostaje konsulem.

Oczywiście, wszyscy domownicy starali się nieba przychylić Julii, chociaż była dopiero w drugim miesiącu ciąży i nie było

po niej widać, że spodziewa się dziecka. Jednak niewolnicy podstawiali pozłacane miski, kiedy robiło się jej niedobrze, a na czoło kładli kompresy chłodzone prawdziwym śniegiem. Julia śmiała się, że domownicy ojca ją zamęczą.

- Nie powinnaś narzekać na czułą opiekę, moje dziecko - odpowiadała babka. - Przyjdzie czas, kiedy będziesz jej potrzebowała nade wszystko.

Julia siedziała z szerokim uśmiechem na ustach. Małżeństwo z Pompejuszem nie okazało się takie straszne, jak sądziła wcześniej. Między nią i jej mężem panowało swoiste porozumienie, a dzięki dziecku, którego oczekiwała, zbliżyli się jeszcze do siebie.

- O, myślę, że wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Wnuk Cezara musi przyjść na świat bez uszczerbku na zdrowiu.

Cezar akurat wchodził do triclinum, gdzie obie kobiety spożywały śniadanie. Uśmiechnął się szeroko na dźwięk słów wypowiedzianych przez córkę.

- Witaj, Julio - powitał ją. - Jak się dzisiaj miewasz?

Dziewczyna zdumiała się, zobaczywszy ojca w promiennym nastroju. Rzecz jasna, Cezar był pogodnym człowiekiem, ale tak szeroko nie uśmiechał się od dnia wyborów na konsula.

- Ja doskonale, ale widzę, ojczu, że ty również - odparła Julia cokolwiek zdziwiona.

- Owszem. Mam ku temu powody - wyjaśnił Cezar. - Postanowiłem się ożenić.

Julia i Aurelia podskoczyły na swoich miejscach.

- Nic o tym nie mówiłeś - mruknęła Julia ponuro.

- Jak to ożenić? - zapytała Aurelia. - Czy ty masz źle w głowie, Gajuszu? Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Cezar wznosił oczy do nieba. Chociaż był dorosłym, dojrzałym mężem stanu, przy matce czuł się jak szesnastoletni chłopak. Aurelia miała zwyczaj wypytywać go o różne sprawy i zadrećcać później komentarzami.

- Właśnie dlatego, żebyś o nic nie pytała, matko - powiedział. - Czas już, bym się ożenił. Nie jest dobrze, by konsul żył bez żony.

- Za to jawnie odwiedzał cudze łóżka - parsknęła Aurelia. -



Z kim chcesz się żenić, Gajuszu?

- Z córką Pizona - odparł syn.

Obie kobiety nie kryły zdumienia.

- Ależ ona jest młodsza ode mnie, ojczy - wykrzyknęła Julia.

- Ma dopiero dwadzieścia lat!

- A co to za przeszkoda? - obruszył się Cezar. - To dobrze, że jest taka młoda. Mniej będzie z nią problemów.

Aurelia wyglądała na oburzoną.

- No wiesz co! - parsknęła. - Chcesz powiedzieć, że łatwiej będzie ją wychować?

Cezar milczał. Nie żenił się przecież z miłości. Tę żywił do kobiety tylko jeden jedyny raz i nigdy potem mu się to nie zdarzyło. Mógł się zachwycić pięknem ciała Serwilli, z którą doskonale się rozumiał, ale ona nie była Kornelią. Żadna kobieta nie mogła zastąpić mu zmarłej żony. Kalpurnią też nie przejmował się zanadto. Nawet jej nie znał, a widział parę razy w życiu. Żenił się z nią, bo była córką Pizona. Jedyłą córką.

- Przesadzasz, matko - skwitował. - A to, że się żenię, to moja osobista sprawa. Poza tym chcę mieć syna. A ona może mi go dać.

Julia spoglądała na ojca z kamiennym wyrazem twarzy. Tak, dobrze wiedziała, że Cezar kochał ją ponad granice zdrowego rozsądku, jednak jako kobieta nie mogła gwarantować mu przedłużenia rodu. Wiedziała, że ojciec ubolewał nad tym, iż nie ma męskiego potomka.

Jednak Kalpurnia...

Gdyby matka żyła! To było ulubione powiedzenie Julii nieprzerwanie od dziesięciu lat. Wiedziała, że Cezar był naprawdę szczęśliwy tylko przy Kornelii. Po śmierci żony coś się w nim nieodwracalnie zmieniło. Stał się zimny, chociaż córkę oczywiście darzył uczuciem.

- Zrobisz, jak uważasz, Gajuszu - westchnęła Aurelia. - Ja się nie wtrącam. Kornelię też poślubiłeś wbrew mej woli.

- Raczej bez twojej wiedzy - mruknął Cezar. - Jestem przekonany, że wymyślałabyś tysiące przeszkód, żebym nie ożenił się z córką Cynny.

- Nie o to mi chodziło.

- Ale o to też.

Doskonale wiedział, że Aurelia uważała wtedy, iż Cezar jest za młody na małżeństwo. Miał przecież tylko siedemnaście lat. Teraz skończył czterdzieści i Aurelia odnosiła wrażenie, że jest z kolei za stary na ożenek.

- Taka jest moja wola i tak postanowiłem - uciął wreszcie Cezar. - Jeśli ci się to nie podoba, to już twój problem. Zamierzam ożenić się z Kalpurnią jeszcze przez Saturnalia. Jeżeli, oczywiście, stary Pizon wyrazi zgodę.

Aurelia i jej wnuczka wymieniły spojrzenia. Cezar jednak ich nie dostrzegł, pogrążony we wspomnieniach. Myślał o Kornelii. Znowu, jak niemal każdego dnia, przeniknął go dreszcz i ból na myśl, że jej nie ma. Gdyby wtedy nie odeszła, gdyby nie umarła, nie musiałby teraz szukać sobie nowej kobiety, nie wdawałby się w żadne idiotyczne sojusze ani polityczne małżeństwa. Podążałby spokojnie drogą przez urzędy, z pewnością kiedyś pragnąłby zostać konsulem, ale nic poza tym. Jednak Kornelii nie było. Na łożu śmierci powiedziała mu, że będzie go obserwować. I Cezar robił wszystko, by się jej przypodobać. Ale małżeństwo z dziewczyną dwadzieścia lat młodszą... Niemal rówieśnicą Julii... Tak naprawdę ta dziewczyna niewiele go obchodziła. Nie pragnął jej, chciał tylko związku politycznego z jej ojcem, a nic tak nie służyło układom politycznym jak wspólne potomstwo. Tego Cezar zdążył się już nauczyć. Sam wydał przecież Julię za Pompejusza, by się do niego zbliżyć. Żałował, że nie ma syna w wieku Kalpurni, bo wtedy sprawa przedstawiałaby się o wiele lepiej. I nie musiałby wstępować w zupełnie idiotyczny związek. Z drugiej jednak strony Kalpurnia była młoda i z pewnością płodna. Mogła dać mu syna. Rzecz jasna, Cezar kochał swoją córkę, ale Julia miała przedłużyć ród Pompejusza. Sam pragnął męskiego potomka i w głębi ducha zazdrościł okropnie Cynceronowi, którego los pobłogosławił wreszcie upragnionym synem przed kilkoma laty.

Cezar wstał i z ciężkim westchnieniem udał się do tablinum, by tam w spokoju zająć się projektem ustawy rolnej, nad którym pracował. Zaraz jednak stwierdził, że nie

jest w pokoju sam. W progu stała Julia, opierając się framugę, i spoglądała na niego czarnymi, lśniącoymi oczami. Cezar uśmiechnął się niepewnie i wyciągnął rękę w stronę córki.

- Coś cię trapi, moje dziecko? - zaniepokoił się. - Czy między tobą i Pompejuszem są jakieś niesnaski?

Julia potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, między nami wszystko dobrze - odparła. - Mój niepokój wzbudza natomiast twoje oświadczenie. Jak to, naprawdę chcesz się ożenić, ojczy?

Cezar miał wielką ochotę wstać i wyjść, ale w drzwiach stała Julia, skutecznie uniemożliwiając mu wydostanie się z tablinum. Siedział więc za swoim zawalonym materiałami stołem, odchyłony do tyłu, w niedbale narzuconej tunice, ale z ułożonymi już włosami. W kącie na wieszaku leżała przygotowana toga, na stole zaś stał cynowy kubek, zapewne z jakimś ciepłym naparem, bo Cezar rano nie zwykł był pijać wina.

Z poczuciem narastającej irytacji spoglądał na swą piękną córkę. „Na Polluksa, jaka ona jest podobna do Kornelii” - myślał. „Niech to licho, jeżeli ona zacznie mnie prosić, to ani chybi jej ulegnę. Zawsze miała nade mną całkowitą władzę, nawet jako pięcioletnia smarkula. A najgorsze jest to, że doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej przewagi nade mną”.

- Julio, bądź łaskawa nie wtrącać się w moje sprawy - powiedział cokolwiek chłodno. - Jestem panem samego siebie i sam decyduję o swoich ewentualnych poczynaniach.

Julia wydeła usta w charakterystycznym dla siebie i dla Kornelii grymasie. Wyglądała jak typowa mieszkanka południowej Italii, która ma ochotę nawrzeszczyć na męża. Gdyby nie fakt, że Cezar był już wcześniej zirytowany na matkę, pewnie bawiłaby go postawa Julii, jednak w tym momencie działała mu tylko na nerwy.

- Ojczy, nie mam zamiaru wtrącać się w twoje sprawy - oświadczyła Julia, co dla jej ojca było znakiem, że owszem, właśnie to będzie się starała robić. - Nie mam do tego prawa.

Cezar przypomniał sobie niezliczone próby Julii przekabacenia go albo wymuszenia na nim obietnicy, że nie uda

się w podróż na prowincję. Ilekroć obejmował namiestnictwo albo wyjeżdżał w innej sprawie, Julia przychodziła i podlizywała się w perfidny sposób, odwracając kota ogonem i oświadczając przewrotnie, że nie ma prawa mieszać się w jego sprawy. Tak, Cezar znał na pamięć jej repertuar. I zwykle ulegał, gdy chodziło o drobnostki, ale wyjazdy na prowincję były od niego niezależne.

- Julio, radzę ci, nawet nie zaczynaj - ostrzegł Cezar. - Nie jestem głupi, wiem dobrze, co zamierzasz. Jeżeli chodzi ci o uczczenie pamięci twojej matki, to...

- Och, dobrze wiesz, że nie chodzi o to! - wykrzyknęła Julia.  
- Ojczy, czy ty zdajesz sobie sprawę, jaką opinią cieszysz się w mieście?

- Ach, tak, wiem doskonale - mruknął.

- Rozpustnika i hulaki odwiedzającego babskie łóżka! - dokończyła Julia ze złością.

- Jakoś ci to nie przeszkadzało przez ostatnie lata - zauważył Cezar. - A poza tym dobrze wiesz, że to plotki i pomówienia. Mam w tym mieście dużo wrogów.

- Ale faktem jest, że... - zaczęła Julia.

- Posłuchaj mnie - odezwał się tonem, którego nader rzadko używał w stosunku do swojej córki. Posługiwał się nim w rozmowach z wrogami politycznymi. - To, z kim sypiam, ile razy i gdzie, to moja i tylko moja sprawa, zrozumiane? Nie masz prawa nawet o tym wspomnieć. Dotrzymywałem wierności Kornelii, nawet do głowy mi nie przyszło, by ją zdradzić. Byłem wierny Pompei, słowa na nią nie powiedziałem, kiedy puściła się z tym rozpustnikiem w moim domu. Jednak teraz jestem wolny, nie mam żony, więc to, z kim się spotykam, nie powinno cię w najmniejszym stopniu interesować. I nie zapominaj, że nadal mam nad tobą władzę. Należysz do mojej rodziny, a nie Pompejusza. Nie sądziłem, że wychowałem cię na bezczelną kobietę, która wtrąca się w sprawy osobiste swojego pana i ojca!

Julia słuchała blada jak ściana. Między nią i Cezarem od zawsze panowała atmosfera przyjaźni. Ojciec nigdy nie podniósł na nią ręki, nie krzyczał, a kiedy usiłował, nie potrafił

powstrzymać do końca powagi. I odkąd sięgała pamięcią, nie użył w stosunku do siebie określenia „pan”. Teraz miała wrażenie, że ziemia usunie się jej spod nóg.

- A jeśli się obawiasz - ciągnął dalej Cezar - że po ślubie będę narażał moją młodą małżonkę na skandale i nie zrezygnuję z dotychczasowego trybu życia, to jesteś w błędzie. Dajcie więc spokój - i ty, i twoja babka. Pozwólcie mi działać na własną rękę.

Julia czuła, że robi jej się słabo. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę przestraszyła się swego ojca. Nigdy nie pokazywał jej tego oblicza, które rezerwował dla ludzi z senatu, a już zwłaszcza dla Katona Młodszego. Nie widziała na miejscu Cezara rozsierzonego, zimnego jak lód i niebezpiecznego polityka. Bo nikim innym przed chwilą nie był. Cezar nie krzyczał, ale każde jego słowo wypowiedziane spokojnym, lodowatym tonem smagało jej duszę niczym bicz. Miała wrażenie, że ktoś nalał w jej kręgosłup zimnej stali, która rozchodziła się pręgami po ciele.

Cezar zauważył jej niepokojącą bladość i wstał.

- Julio, dobrze się czujesz? - zapytał, w jednej chwili zapominając o słusznym gniewie.

Dziewczyna chciała odpowiedzieć, że tak, ale z jej ust wydobył się tylko cichy jęk. Kolana się pod nią ugięły, jakby nie były w stanie dłużej jej dźwigać. Cezar zerwał się z miejsca i podtrzymał upadającą na ziemię córkę.

- Marboniuszu! - wołał na niewolnika. - Marboniuszu, sprowadź lekarza, szybko!

Julia leciała ojcu przez ręce. Miała wrażenie, że wokół niej zapada ciemność. Potem nie było już nic.

\*

- Gdzie ona jest? Nie obchodzi mnie to, że nie może nikogo widzieć. Muszę ją zobaczyć!

Głosy przebijały się przez mętne opary świadomości Julii. Wcześniej stanowiły mieszaninę czegoś nieokreślonego, ale ten ostatni głos rozpoznała. Należał do jej męża, Pompejusza.

Poruszyła się, chciała wstać, ale w tym momencie poczuła okropny tępy ból w dole brzucha. Zmusiło ją to do pozostania na miejscu.

- Leż spokojnie - usłyszała głos domowego lekarza ojca. - Nie ruszaj się. Straciłaś masę krwi.

Julia otworzyła oczy. Ujrzała nad sobą blade oblicze ojca. Cezar miał zaciśnięte usta, dziwnie zbielełe nozdrza, potargane włosy, co mu się akurat rzadko zdarzało, a oczy wydawały się jeszcze bardziej czarne niż zwykle.

- Ojczy... - szepnęła z wysiłkiem.

Cezar natychmiast usiadł na skraju jej łóżka i ujął bezwładnie spoczywającą dłoń.

- Już dobrze, moje dziecko - powiedział uspokajającym tonem. - Już dobrze. Nic ci nie grozi.

- Bo to, co najgorsze, już się stało - wymamrotał medyk za plecami Cezara.

- Radzę ci się zamknąć, Stafilosie, jeżeli nie chcesz ponosić dzisiaj wideł - warknął Cezar.

Medyk przezornie się odsunął. Wszyscy domownicy znali wyjątkową łagodność Cezara, ale też każdy wiedział, że jeżeli chodziło o jego ukochaną córkę, tracił resztki zdrowego rozsądku.

W tym momencie do pokoju wdarł się Pompejusz. Chciał odciągnąć Cezara z łóżka Julii, ale ten przytrzymał zrozpaczonego zięcia.

- Co jej zrobiłeś? - wrzeszczał Pompejusz. - To przez ciebie! Niewolnicy mówili, że na nią krzyczałeś!

- Nie krzyczałem - odparł Cezar, który i bez upomnień oraz pretensji miał sumienie czarne jak noc.

- Nie krzyczał - odezwała się Julia ze swego miejsca. - Pompejuszu, nie wolno ci zrzucać winy na mojego ojca.

Jej mężowi odebrało mowę. Stał jak przybity do podłogi i patrzył bez słowa na ojca i córkę. Chyba po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że nie pojął za żonę Julii, tylko córkę Cezara. I nagle przypomniał sobie wszystkie dyskusje z żoną, kiedy to uparcie i zawzięcie broniła ojca, nawet jeśli on, Pompejusz udowadniał jej, że nie ma racji. Kiedy teraz leżała

blada i chora, wycieńczona po poronieniu, była niesamowicie podobna do ojca.

Pompejusz usiadł na krześle.

- Co się stało? - zapytał.

- Pani zbytnio się uniosła - wymruczał Stafilos. - Pani i pan rozmawiali w tablinum i wtedy pani nagle zemdląca... Było wielkie zamieszanie, ale dziecka nie udało się uratować. Wielki Pompejuszu... panie, to była córka.

Pompejusz spoglądał bez słowa na Julię. Przez chwilę w pokoju panowała przytłaczająca cisza. Wreszcie Pompejusz westchnął głęboko.

- No, to bogom dzięki, że nie syn - skomentował wypowiedź medyka. - Wtedy rzeczywiście strata byłaby ogromna.

Julia wydała z siebie stłumiony jęk, ale Cezar natychmiast uściskał jej rękę z ostrzegawczym wyrazem w oczach. Doskonale wiedział, co się właśnie stało. Oto Julia zamiast oparcia i pociechy w mężu otrzymała dodatkowy cios. Cezar, widząc reakcję zięcia i tragedię córki, miał ochotę zabić Pompejusza gołymi rękami. Jednak nie mógł tego uczynić.

- Słyszałem, Cezarze, że się żenisz - odezwał się Pompejusz niezbyt taktownie.

- Na Kastora, nie tutaj! - zirytował się jego teść. - Do licha, porozmawiamy, kiedy przyjdzie na to czas.

Tym samym Cezar zakończył rozmowę, a ponieważ znajdował się we własnym domu, dał znak Pompejuszowi, że audiencja skończona.

- Kiedy Julia dojdzie do siebie, zabierzesz ją do domu - oświadczył. - Na razie jednak niczego jej u mnie nie brakuje.

Pompejusz nie był zachwycony tą odpowiedzią, ale wyszedł bez słowa. Coś w postawie Cezara kazało mu posłuchać teścia. Prawdę mówiąc, Pompejusz nie bardzo przejął się całą sytuacją. Miał już dwóch dorosłych synów, a kiedy się dowiedział, że Julia nosiła córkę, odetchnął z niekłamaną ulgą. To tylko dziewczynka. Nie warto przejmować się jej śmiercią. Następnym razem jednak obiecywał sobie, nie pozwoli, by jego żona poszła do domu ojca, kiedy będzie w ciąży. Bo to była ewidentnie wina Cezara, że Julia poroniła.

Cezar stał długo na progu domu i patrzył w ślad za odchodzącym Pompejuszem. Oczywiście, odprowadzał go wzrokiem jedynie do najbliższego zakrętu. Sam nie wiedział dlaczego, ale czuł w głębi duszy, że ten incydent jest zapowiedzią późniejszych nieszczęść. Tego dnia ujrzał Pompejusza w innym świetle. „Gdyby Kornelia poroniła” – myślał Cezar – „byłaby to dla mnie tragedia. A ten po prostu powiedział, że nie taki z tego dramat, bo Julia miała córkę. Doprawdy, co z niego za człowiek!”. Pokręcił smętnie głową i wszedł do domu, by dalej pocieszać córkę zboląłą po stracie dziecka. To, że tego dnia głosowano nad ustawą i że jego projekt nie przeszedł, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Liczyła się tylko Julia i jej cierpienie oraz wyrzuty sumienia, jakie miał. Gdzieś przez moment pojawiło się coś na kształt żalu, że wybrał córce takiego męża, ale zaraz zniknęło. Jedyne, co Cezar teraz czuł, to głuchy smutek i nieodparta tęsknota za Kornelią. Ale te emocje potrafił już w sobie tłumić.

\*

Julia powoli wracała do zdrowia. Cały okres rekonwalescencji spędziła w domu ojca pod czułą opieką jego samego i babki Aurelii, na co Pompejusz spoglądał zazdrosnym okiem. Oczywiście, ani słowem nikomu nie wspomniał, że w czasie nieobecności żony (a nawet wcześniej, gdy okazało się, że jest brzemienna) szukał pocieszenia w ramionach syryjskich niewolnic. Takich rzeczy nie należało mówić Cezarowi. Nikomu zresztą. Toteż dalej zgrywał wiernego i zaniepokojonego małżonka. Gdy tylko mógł, zachodził do domu teścia na Forum.

Sam Cezar momentami miał zięcia powyżej dziurek w nosie, ale jak zwykle udawał, że nic się nie dzieje. Obecność córki w swoim domu tłumaczył ojcowską troską. Faktycznie, w ciągu tego miesiąca, kiedy Julia leżała w łóżku, ojciec rzadziej bywał w senacie i zdawało się, że sprawy państwa go nie obchodzą. Niewątpliwie korzystali na tym jego przeciwnicy polityczni, ale tych niebawem ukrócił Cynceron, który bynajmniej nie należał do grona gorących zwolenników



Cezara.

- Nie powinien się cieszyć się jego nieobecnością w senacie, Marku Katonie - zwrócił się któregoś dnia do najzagorzalszego wroga ojca Julii. - Co innego, gdyby jego nieobecność spowodowana była gnuśnością Cezara lub podejrzanymi sprawkami. Jednak szlachetnemu mężowi nie uchodzi cieszyć się z powodu ciężkiej choroby córki wroga.

Powiedział to tego dnia, kiedy Katon wszem i wobec rozповідаł złośliwie, że spokojnie było w senacie i zgodnie, skoro Cezar w nim nie zasiadł. Cyncerona zgorszyła takie słowa, ponieważ swego czasu także nie zachodził do Kurii z powodu choroby córki. Wiedział, że troska o chore dziecko przesłania ludziom wszelkie inne cele i obowiązki.

Jednak Katon bynajmniej nie przejął się napomnieniami Cyncerona, ale Pompejusz, który przypadkiem słyszał tę rozmowę, powtórzył wszystko teściowi siedzącemu przy łóżku córki i czytającemu jej dzieła Herodota.

- Proszę, proszę - mruknął Cezar znad zwoju papirusu. - Kto by pomyślał, że taki mąż jak Cynceron wstawi się za mną...

W istocie bowiem nie potrzebował chodzić do senatu, kiedy wszystkich wyborców miał w kieszeni. Pompejusz i Krassus dbali o to, by jak najwięcej mężczyzn pragnęło oddać swój głos na Cezara w zbliżających się jesiennych wyborach. Ojciec Julii miał ambitne plany - chciał zostać konsulem, a następnie się ożenić; wszystko jeszcze w tym roku. Miał rok na przeforsowanie opracowanych przez siebie ustaw i swojej wizji Rzymu. Potem musiał udać się na prowincję.

Aurelia, dbająca o dom Cezara, nieraz dziwiła się składanym przez niego zamówieniom i dokumentom leżącym na jego stole w tablinum. Nabywał szczegółowe mapy Galii, poznawał obyczaje tamtejszych ludów, słowem: zdawał się przygotowywać do objęcia namiestnictwa przed losowaniem<sup>1</sup>. Nie pytała syna i prawdę powiedziawszy, bała się to uczynić. Woląла nic nie wiedzieć i nie musieć zastanawiać się nad wieloma sprawami.

Wreszcie jednak nadszedł dzień wyborów. Tego dnia Cezar musiał udać się na Forum, aby oddać swój głos. Był wyraźnie

zdenerwowany i Aurelia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej syn nie jest pewien wygranej, o której tyle mówił w domu. Przypomniała sobie wybory na najwyższego kapłana, kiedy to Cezar oznajmił, że albo wróci jako zwycięzca, albo nie wróci wcale. Miała nadzieję, że tym razem nie będzie musiała wysłuchiwać podobnego biadania.

W tym czasie Julia wróciła do domu męża. Wciąż była słaba i smutna, ale musiała liczyć się z tym, że Pompejusz będzie dążył do przedłużenia rodu. I tak już w drugim tygodniu jej pobytu w domu, mąż, nie licząc się z jej stanem, przyszedł do niej. Tym razem wypełnił swój obowiązek bez zbędnych czułości i frazesów. Zupełnie jakby zapomniał, że powinien się z nią liczyć, albo jakby był zły o to, że nie donosiła ciąży, a potomek był jedynie dziewczynką.

Wybory na konsula Cezar wygrał bezapelacyjnie. Jego kolegą został Marek Bibulus, nie miał on jednak tak wielu popleczników jak ojciec Julii. Ponieważ zaś zostały jeszcze dwa miesiące do czasu objęcia urzędu, Cezar postanowił wykorzystać je należycie. Udał się do domu Kalpurniusza Pizona z prośbą o wyznaczenie daty ślubu.

Kalpurnia była akurat w domu i słyszała wszystko. Znowu stała za kolumnami i drżała ze strachu przed tym, co ma się wydarzyć, gdy nieoczekiwanie usłyszała głos ojca rozkazujący niewolnikowi przyprowadzić ją do atrium.

- Och, nie - jęknęła. - Tylko nie to.

Cezara widywała oczywiście na Forum, na ulicach miasta, kiedyś nawet odwiedził dom jej ojca, ale nigdy się nim nie przejmowała. Do głowy by jej nie przyszło, że zostanie wydana za niego za mąż.

Chcąc nie chcąc musiała wyjść do atrium, gdzie stał jej ojciec z Cezarem.

- Kalpurnio, wiesz chyba, dlaczego zostałeś zawołana? - zapytał ojciec. Jego twarz była surowa i poważna.

- Tak, ojciec - odparła dziewczyna i spuściła wzrok.

- Chcę, abyś w dniu dzisiejszym złączyła ręce z twym przyszłym małżonkiem na znak zaręczyn - powiedział Kalpurniusz.

Kalpurnia miała ochotę uciec z atrium, ale nie mogła tego uczynić. Jedyne, co była w stanie zrobić, to powstrzymać się od płaczu, ale i to przyszło jej z wielkim trudem. Uparcie spoglądała w ziemię, czekając, aż ojciec zwoła świadków i sekretarza, który spisze kontrakt ślubny. Wreszcie jednak odważyła się podnieść wzrok na narzeczonego. Gdy to zrobiła, zamarła. Stał przed nią niebywale przystojny mężczyzna, rzecz jasna, sporo od niej starszy, ale wcale niewyglądający na swoje czterdzieści lat. Miał czarne, starannie ułożone włosy, smagłą twarz z dość wyraźnymi zmarszczkami biegnącymi od kącików ust, mocno zarysowanym podbródkiem i wyraźnymi kośćmi policzkowymi. Nos miał Cezar prosty, może odrobinę długi, ale to go nie szpeciło, a usta proste, męskie i bardzo pociągające. Kiedy się uśmiechnął, odsłonił równe, duże, białe zęby, a w kącikach oczu pojawiło mu się mnóstwo zmarszczek. Najbardziej jednak niesamowite miał oczy. Czarne, przenikliwe, wręcz świdrujące. Biedna Kalpurnia miała wrażenie, że przenika ją na wylot wzrokiem i wszystko o niej wie. Stała jak porażona, zafascynowana tym wysokim, zaprawionym w boju mężczyzną. Z nagłym przerażeniem uświadomiła sobie, że jest dorosłą kobietą. Ten drobny szczegół nigdy nie sprawiał jej problemów. Ale teraz patrząc na Cezara, poczuła nieznane wcześniej gorąco, słodki ból przetoczył się ciężką falą w dół jej brzucha, a ciało ogarnął dreszcz. Kalpurnia bała się odezwać, bo czuła, że głos odmówi jej posłuszeństwa. Stała więc i patrzyła na Cezara w całkowitym milczeniu.

Później nie potrafiła powiedzieć, co się wydarzyło w atrium jej ojca. Pamiętała tylko moment, kiedy musiała podać Cezarowi rękę. Jej drobna biała dłoń ginęła w silnej, szorstkiej i śniadej ręce żołnierza i wodza. Uścisk Cezara był mocny, jego skóra ciepła i sucha, a głos – głęboki i zdecydowany.

Gdyby Kalpurnia pojęła, co się z nią wtedy stało, być może znienawidziłaby siebie. Na szczęście dużo czasu minęło, a ona sama sporo przeszła, zanim zrozumiała, że w chwili swoich zaręczyn zakochała się bez pamięci w Cezarze.

Ponieważ Cezar był już dwukrotnie żonaty, nie przewidywał tym razem hucznego wesela. Po pierwsze, zrezygnował z tego ze względu na chorobę Julii, po drugie, nie uważał zawarcia kolejnego małżeństwa za wielkie święto. Nie żeby Kalpurnia była mu obojętna, na to Cezar nie mógł się zdobyć, patrząc na młodą, niewinną dziewczynę. To, co do niej czuł, było sympatią zmieszaną z jakąś formą czułości, no i niewątpliwie pociągała go pod względem fizycznym. Cezar był mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu i reagował na wdzięki kobiecego ciała. Jednak nie kochał Kalpurni i wiedział, że nigdy nie zdoła zapalać do niej miłością. Przeczuwał jedynie, że z czasem może się przywiązać do tej kobiety. Prawdziwą jego miłość miała tylko Kornelia. Żadna inna nie mogła jej zaznać.

Siedząc w tablinum na dwa dni przed ślubem, który wyznaczono tuż przed Saturnaliami, Cezar podśmiewał się sam z siebie. Nie tak dawno wydawał jedyne dziecko za mąż i zastanawiał się nad trafnością wyboru, a teraz sam żenił się z kobietą młodszą o dwadzieścia lat. To tak jakby zamierzał poślubić Julię albo Tullię, córkę Cycerona. Śmiać mu się chciało, a jednocześnie ogarniał go smutek, kiedy uświadamiał sobie, że Kornelia miałaby teraz tyle samo lat co on, a gdyby nie jej podstępna choroba, z pewnością obdarzyłaby go synem i żyliby razem, darząc się miłością.

Kalpurnia... No cóż, pięknnością nie można było jej nazwać, jakkolwiek miała młode i jędrne ciało. Jednak Cezarowi było wszystko jedno. I tak chodziło o sojusz z ojcem tej dziewczyny, a nie o jej czy jego szczęście. Miał jedynie nadzieję, że młoda żona da mu zdrowego syna. Nie przypuszczał, że Pompejusz zgodzi się, by jego teść adoptował syna Julii, a swego wnuka. Zięciowi Cezara zależało na przedłużaniu własnego rodu.

Syn... Tak, myśl o synu nie dawała Cezarowi spokoju już od jakiegoś czasu. Zastanawiał się nad inną możliwością. Otóż jego siostra Julia miała małego wnuka, liczącego raptem trzy lata, Gajusza Oktawiusza. Ładny to był dzieciak, temu nie mógł zaprzeczyć, a do tego niezwykle mądry jak na swój wiek. Zawsze mówił do Cezara „dziadku”, chociaż jego babka kategorycznie domagała się, by wołał nań „wujku”. Jednak ten

nie oburzał się ani nie sprzeciwiał. Lubił malca, chociaż Gajusz Oktawiusz należał do dzieci raczej słabowitych. Attia, jego matka, obawiała się, że chłopiec nie dożyje dziesiątego roku.

Jednak teraz Cezar żenił się z Kalpurnią, istniało więc wysokie prawdopodobieństwo, że ona urodzi syna. To była druga przyczyna jego ożenku.

Oczywiście, Aurelia, matka Cezara, patrzyła na wszystko krzywym okiem, ale udawał, że tego nie widzi. Uwagi tej kobiety doprowadzały go do wściekłości. Powstrzymywał się resztkami sił, bowiem szacunek do matki, jaki wpajano od dzieciństwa, nie pozwalał mu odezwać się arogancko do Aurelii ani kazać jej zamknąć usta, chociaż jako pan domu miał do tego prawo. Jednak Cezar widział coś, czego nie dostrzegała jego córka Julia. Aurelia była chora i jej życie zbliżało się ku końcowi. Cezar dostrzegał to coraz wyraźniej i martwił go fakt, że wkrótce zostanie bez matki. Troskał się także na myśl, że Julia nie będzie miała do kogo się zwrócić podczas jego pobytu na Prowincji, a przecież za rok będzie musiał wyjechać, doskonale o tym wiedział. I snuł dalekosiężne plany związane z namiestnictwem...

Jednak nie mógł nic poradzić na to, że dogadywania Aurelii działały mu na nerwy.

W końcu nadszedł dzień ślubu i Aurelia, choćby ze względu na okoliczności, musiała wreszcie umilknąć. W przeciwieństwie do hucznego wesela Julii ślub Cezara był skromny i cichy, odbył się bez większych ceremonii w domu Kalpurniusza Pizona. No, oczywiście, należało wydać ucztę weselną, przeprowadzić pannę młodą w orszaku do domu narzeczonego i zachować wszelkie rytuały, ale niekoniecznie musiało w tym uczestniczyć pół miasta. Tak czy inaczej lud zebrał się na ulicy, by obejrzeć orszak weselny Cezara, drugi już, którym szedł on jako pan młody. Ślub z Kornelią, który odbył się przed prawie ćwierćwieczem, był - ze względu na zagrożenie polityczne i widmo wojny domowej między Mariuszem i Sullą - skromny i pośpieszny. Teraz zaś uroczystość była niewystawna, ale spokojna.

Aurelia robiła dobrą minę do złej gry. Obserwowała pannę

młodą spod półprzymkniętych powiek, oceniała ją i dochodziła do wniosku, że Kalpurnia jest zdecydowanie za młoda na żonę dla Cezara. Powinien sobie znaleźć kobietę w wieku zbliżonym do swojego, chociaż z drugiej strony ta dziewczyna z pewnością była płodna i zdolna do wydawania na świat synów... Aurelia wiedziała, że Gajusz kieruje się przede wszystkim względami politycznymi, w następnej zaś kolejności chodzi mu o syna.

Kalpurnia wychwytywała nieprzychylnie spojrzenia teściowej i drżała na myśl o jutrzejszej konfrontacji. Wiedziała, że matka Cezara przyzwyczajona jest do rządzenia w domu i tak łatwo nie odda władzy.

Cezar zaś, leżący przy nowo poślubionej żonie, wiedział doskonale, na co się zanosi, i wcale mu się to nie uśmiechało. Nie miał ochoty obserwować walki między matką i niedoświadczoną, młodą dziewczyną. Pamiętał bardzo dobrze, jak krótko po ślubie z Kornelią Aurelia próbowała się mieszać w ich sprawy. I o mały włos by się jej udało, bo Cezar był wtedy młody i niedoświadczony. Teraz miał zamiar od początku ustawić Aurelię.

- Nie przejmuj się nią - zwrócił się do Kalpurni. - Jest nieszkodliwa, tylko nie potrafi się zamknąć.

Dziewczyna rzuciła Cezarowi zdumione spojrzenie. Było to pierwsze nieoficjalne zdanie, jakie od niego usłyszała.

- Twoja matka, Cezarze? - wykrztusiła.

W czarnych oczach jej męża pojawił się błysk. Na jego kształtnych ustach błąkał się uśmiezek świadczący o sporym poczuciu humoru, które niekoniecznie okazywał na co dzień. Jednak Kalpurnia bodaj po raz pierwszy w życiu miała okazję rozmawiać w taki sposób z dorosłym mężczyzną. Jak policzek dotarł do niej fakt, że Cezar właśnie został jej mężem. Jeszcze gorsza była świadomość, że nie będzie mogła okazywać mu uczuć. W przeciwnym razie poniżyłaby się przed nim. Cezar nie kochał jej, Kalpurnia miała pełną tego świadomość.

Zerknęła na niego spod oka, lękliwie, ale odpowiedział jej szerokim uśmiechem i włożył do ust kawałek weselnego placka, którym się raczył.

- Moja matka będzie się starała zatruć ci życie

marudzeniem – powiedział. – Ale tym też się nie przejmuj. Ona wie, że nie ma żadnej władzy w moim domu.

Kalpurnia spojrzała na matkę Cezara i poczuła przerażenie. Ta siwowłosa matrona nie wydała jej się ani trochę sympatyczna. Potem zerknęła na Julię, swoją pasierbicę. Na Jowisza, były niemal równolatkami! Julia nawet dwa lata starsza od żony swego ojca! I ona także nie wydawała się przychylnie nastawiona do żony Cezara, on jednak wyjaśnił, że jego córka przebyła niedawno ciężką chorobę i nie należy brać sobie do serca jej uwag.

– Przygotowujesz mnie na niezbyt ciepłe powitanie w swym domu, panie – odezwała się cicho.

Cezar spojrzał na nią uważnie swymi czarnymi oczami. Kalpurnia stwierdziła, że nigdy nikt nie patrzył na nią tak przenikliwie. Czasami można było odnieść wrażenie, że Cezar przeszywa rozmówców wzrokiem.

– Nie mów do mnie „panie” – powiedział. – To sprawia, że czuję się staro i idiotycznie. Obie moje żony mówiły do mnie po imieniu.

– Cezarze? – zapytała.

– Jeśli chcesz, możesz mówić Gajuszu – odparł. – Ale nie zwracaj się do mnie „panie”, nie jesteś moją niewolnicą, tylko żoną.

„Na jedno wychodzi” – pomyślała Kalpurnia smętnie.

Uczta minęła jej przerażająco szybko. W pewnym momencie panna młoda zauważyła, że niebo nad impluvium jest ciemne i usiane gwiazdami. Należało przeprowadzić ją do domu pana młodego, a tam... Zadrzała na samą myśl.

Cezar wyczuł jej lęk i uśmiechnął się znowu.

– Odwagi – powiedział cicho. – To nie jest takie okropne, jak myślisz.

„No pewnie” – pomyślała Kalpurnia cierpko. „Nie dla ciebie, który przede mną miałeś tyle kobiet. Dla mnie będziesz pierwszym mężczyzną i bogowie jedni wiedzą, jak okropnie się boję iść z tobą do łóża”.

– Czas iść – szepnął jej do ucha i wyszedł.

Panna młoda miała być przeprowadzona osobno. Kalpurnia

została sama w sali biesiadnej, towarzyszyli jej tylko weselnicy, którzy nagle stali się jej całkowicie obcy. Co ona tu robiła? Płomienistoczerwony welon zakrywał jej twarz i przesłaniał widok. Miała wrażenie, że to krew. Okropne uczucie, zupełnie niepasujące do okoliczności.

Weselnicy podnieśli się wśród pieśni i śmiechów, by przeprowadzić pannę młodą do domu Cezara. Kalpurnia miała wrażenie, że to wszystko odbywa się gdzieś poza nią, jakby wcale jej nie dotyczyło. To nie ona szła niemal tanecznym krokiem, wiedzona przez chłopca mającego oboje zdrowych rodziców. To nie jej oczy przesłaniał czerwony welon, będący jakby zwiastunem mającej się przelać krwi. Ilekroć wiele lat później myślała o swoim życiu, o tragediach, jakie się w nim wydarzyły, wracała do dnia zaślubin i do upiornego wrażenia, że ma krew na oczach. Będąc na łożu śmierci, kiedy młodość dawno opuściła jej ciało, kiedy wzywała imię swego pierwszego małżonka, miała wciąż w pamięci ten czerwony welon i straszną drogę ku swemu przeznaczeniu.

Jednak dwudziestoletnia Kalpurnia idąca na spotkanie małżonka nie miała pojęcia, o czym będzie myślała, umierając. W uszach dźwięczały jej słowa epitalamiów śpiewanych radosnymi głosami. Gdzieś w orszaku mignęła jej smagła twarz Julii, naznaczona dziedzictwem południowych przodków. Jej czarne oczy, niemal tak samo przenikliwe jak oczy jej ojca, spoglądały na Kalpurnię w zamyśleniu. Panna młoda nie mogła wiedzieć, że Julia wspomina własne zaślubiny sprzed pół roku. „Nienawidzi mnie” – myślała ponuro, mając w zasięgu wzroku dom małżonka. „Nie dość, że ona mnie nie cierpi, to jeszcze z teściową będą problemy”.

Cezar stał w drzwiach. Kalpurnia została przeniesiona przez próg domu i postawiona na posadzce w atrium. Cezar zdjął jej płomienny welon, a ona odetchnęła z ulgą, że pozbyła się krwawej zasłony. Młodą parę obsypano orzechami i migdałami, a także drobnymi monetami, które Kalpurnia musiała skrzętnie pozbierać. Potem zaprowadzono oboje na łoże w atrium, gdzie nowożeńcy spoczęli w pozycji półleżącej. Musieli wysłuchać pieśni i życzeń upojnej nocy



i spełnienia małżeństwa. Kalpurnia zarumieniła się, kiedy śpiewano o potomkach, w oczach Julii pojawił się za to nieprzyjemny błysk. Matka Cezara niechętnie prowadziła pannę młodą do paleniska, gdzie Kalpurnia roznieciła ogień. Dziewczyna dostrzegła wzrok Cezara i czające się w jego oczach niezadowolenie z poczynań matki. Nie tak powinna być przyjmowana przez teściową żona Cezara.

Potem drzwi wejściowe zamknęły się i Kalpurnia oraz jej mąż zostali sami.

\*

- Boisz się - stwierdził Cezar, patrząc z rozbawieniem na młodą żonę. - Możesz mówić, co chcesz, ale ja widzę, jak dygoczesz ze strachu.

Kalpurnia nie wiedziała, co odrzec. Siedziała więc z pochyloną głową, bo nikt jej nie nauczył, jak powinna się zachowywać stateczna rzymska żona w obliczu swego męża.

Cezar podszedł do niej i posadził z powrotem na łożu.

- Posłuchaj, Kalpurnio - zaczął. - Jeżeli sobie tego życzysz, nie tknę cię przez następny miesiąc, ale dzisiaj musimy to zrobić, by dopełnić małżeństwo. Rozumiesz chyba? Domyślam się, że nie masz na to najmniejszej ochoty i chciałabyś się znaleźć jak najdalej stąd.

- Skąd możesz to wiedzieć? - wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć.

Natychmiast spuściła wzrok, bojąc się, że ją uderzy, ale Cezar tylko się uśmiechał.

- Dziecko drogie, miałem już dwie żony, obie dziewice, mam córkę, którą wydałem za mąż, dwie siostry... i dobrze wiesz, że kobiety są mi raczej powolne. Dlatego też wiem, że dziewczyna taka jak ty boi się zbliżenia. Powiedz mi, czy ty w ogóle widziałas prawdziwego nagiego mężczyznę?

Kalpurnia zachłysnęła się powietrzem i zaczęła kaszleć.

- Tak myślałem - mruknął Cezar. - Co innego rzeźby i obrazy, a co innego realne życie, nieprawdaż? No cóż, moi niewolnicy mają rozkaz trzymania się dziś od nas z daleka, tak

więc sami musimy sobie poradzić. Jesteś gotowa, żeby to ze mną zrobić?

Jego słowa zabrzmiały dziwnie oschle. Kalpurnia miała wrażenie, że się z niej śmieje, że ta sytuacja niebywale go bawi. Jednak Cezar pomimo uśmiechu i wesołych błysków w oczach był całkowicie poważny.

- Chyba tak - szepnęła.

Jego kolejnego ruchu się nie spodziewała. Cezar ujął ją za brodę, przyciągnął jej twarz do siebie, po czym pocałował. Kalpurnia nie знаła wcześniej tego rodzaju przyjemności, więc nie wiedziała, co robić z ustami, zębami, które nagle stały się okropną przeszkodą, gdzie ma schować język. Cezar był obeznany w tej sztuce i stopniowo pokazał młodej żonie, do czego wszystko służy. W pierwszej chwili poczuła niesmak, kiedy jego język przeniknął dziwnym sposobem do jej ust, ale już po chwili stwierdziła, że to niesłychanie przyjemne. Zaczęła mimowolnie odpowiadać na jego zachętę.

Zanim się obejrzała, jej ramiona obejmowały go za szyję, a usta kontynuowały cudowną grę, nową, nieznaną wcześniej zabawę. Kalpurnię ogarnęło gorąco. A więc to polega na tym... To o to chodzi. Tylko dlaczego to niesamowite uczucie spływa jej gdzieś w dół brzucha, dlaczego sprawia, że serce mocniej bije, a ona czuje się oddana całującemu ją mężczyźnie?

Cezar nie pytał o przyzwolenie. Wziął ją na ręce i zaniósł do cubiculum, gdzie stało przygotowane ślubne łoże. Kalpurnia nie miała pojęcia, jak to się stało, że uwolnił ją z szaty i nagą położył na pościeli. Czula jego usta zniżające się coraz bardziej i nie potrafiła nie reagować. Cezar był doświadczonym mężczyzną, doskonale wiedział, jak rozpalić kobietę. Tym razem nie było inaczej. Kalpurnia w blasku pochodni spoglądała mu w oczy i dziwiła się, że tak błyszczą, lśnią i są takie piękne. Usta Cezara miały dziwny słodko-gorzki smak, ale im dłużej ją całował, tym bardziej ich pragnęła. Zanurzyła dłonie w jego włosach i ze świętym przyzwoleniem zburzyła starannie ułożoną fryzurę męża, podrapała go paznokciami po karku, po plecach, kiedy ssał jej piersi i lizał sutki, nabrzmiałe i twarde, ciężkie od pożądania.

Nie miała pojęcia, kiedy pozbył się togi. Jak przez mgłę pamiętała, że pomagała mu ją zdjąć, śmiali się, kiedy materiał się zaplątał, a potem Cezar najzwyczajniej w świecie rozdarł ubranie, by się do niej dostać. Początkowo nie chciała na niego patrzeć, ale ciekawość była silniejsza. Pierwszy raz w życiu Kalpurnia wpatrywała się w męskie ciało. Nie miała wątpliwości, że widzi najpiękniejszego mężczyznę na świecie. Ciało miał Cezar mocne, zahartowane w trudach wojennych, bez grama tłuszczu, sprężyste jak za młodu, z bliznami po doznanych ranach. Kalpurnia odwracała wzrok jak mogła, ale on chwycił jej rękę i nakierował. Uśmiechnął się, widząc zdumienie na jej twarzy, kiedy nowe, nieznane wrażenia przenikały dłoń żony.

Kalpurnia zaś dziwiła się, że mężczyzna może mieć tak gładką skórę, że to, co stanowi rdzeń jego męskości, jest tak delikatne, a jednocześnie mocne. Przez chwilę patrzyła Cezarowi w oczy, a potem pozwoliła, by odnalazł do niej drogę. Ból przeszył jej ciało i Kalpurnia odruchowo się skuliła. Cezar zastygł nad nią w pół ruchu i zawisł na ramionach, na których od razu uwydatniły się mięśnie. Czekał cierpliwie, aż żona da znak, że można dalej, ale Kalpurnia widziała, ile wysiłku go to kosztuje. Zaciśnęła zęby i objęła go nogami za biodra. Poruszyła się, dając do zrozumienia, że chce kontynuować rozpoczęte dzieło. Cezar wykonał jeden tylko precyzyjny ruch, raz na zawsze pozbawiając ją dziewictwa. Kalpurnia syknęła z bólu przez zaciśnięte zęby, ale zaraz o nim zapomniała, przeżywając akt bardziej w umyśle niż w ciele.

Widziała, że Cezarowi jest dobrze. Ujrzała rozkosz narastającą na jego twarzy. Obejmowała go za szyję, gładziła po ramionach, świadoma, że jej ciało musi się nauczyć odpowiednio reagować. Czuła piekący ból, jakby ktoś przeciął ją w środku nożem. Jednak można było to znieść. Patrzyła Cezarowi w oczy, gdy był w trakcie największego upojenia. Widziała, że jej mąż jest gdzie indziej, dokąd być może pewnego dnia za nim podąży. Ale nie teraz, nie tej nocy. W tym momencie byli jednością, ale też znajdowali się w dwóch innych światach.

Potem leżała z głową na piersi Cezara i gładziła jego czarne

włosy, czekając, aż oddech męża się unormuje, a on sam będzie w stanie się odezwać. Doszła do wniosku, że kocha tego człowieka i że należy on do niej, a ona do niego. Wiedziała jednak, że nigdy nie otrzyma od niego miłości ani nie będzie mogła mu jej okazać, z wyjątkiem tych chwil zespolenia.

Po jakimś czasie Cezar uniósł się na łokciu i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Cieszę się, że cię poślubiłem, Kalpurnio - powiedział. - Będziesz dobrą żoną.

Kalpurnia uśmiechnęła się. Naprawdę była spragniona takich słów.

Zasnęli dopiero o świcie. Cezar wiedziony instynktem przytulił ją i otoczył ramieniem, ale kiedy zasypiał, czując na ciele jej rozpuszczone włosy, myślał o Kornelii. Kalpurnia była dobra, mądra i ładna, ale nikt nie był w stanie zastąpić pierwszej żony. I chociaż Cezar zdążył polubić tę dziewczynę i podobała mu się, wiedział, że nigdy nie będzie w stanie pokochać jej choćby w połowie tak, jak kochał Kornelię. Mimo to po raz pierwszy od dłuższego czasu zasypiał z poczuciem pełnego spokoju i bezpieczeństwa. Nie zdarzyło mu się to od rozwodu z Pompeją.

\*

Kalpurnia nie mogła narzekać, że jej małżeństwo zaczęło się źle. Cezar był dobrym mężem, chociaż często przesiadywał w senacie. Jednak jadał z nią wszystkie posiłki, okazywał należyty szacunek, a także dowody przywiązania i jeśli nie miłości, to w każdym razie szczerzej sympatii. Ich noce należały do udanych, więc pod tym względem Kalpurnia też była zadowolona. Cezar zostawiał jej całkowitą władzę w domu pod swoją nieobecność, większą niż władza Aurelii. Ale o to właśnie toczyła się zacięta rywalizacja między teściową i synową, co doprowadziło ostatecznie do przykrych konsekwencji.

Aurelia była osobą dosyć wścibską, przez ostatnie czterdzieści lat nawykła do rządzenia w domu. Mieszkała się we wszystko, mając nadzieję, że Kalpurnia będzie uległa

kobietą, która we wszystkim słucha teściowej. Kornelia przed wieloma laty potrafiła tak sprytnie podejść matkę Cezara, że ta świącie wierzyła, iż udało jej się zawojować młodą małżonkę syna. Ale Kalpurnia była uparta i prostoduszna, nie potrafiła udawać ani grać. Kończyło się zazwyczaj na kłótniach i niesnaskach.

Wreszcie pewnego dnia, niedługo po tym, jak Cezar objął urząd konsula wraz z kolegą Bibulusem, doszło w jego domu do tragedii. Aurelia wywołała awanturę i do tego stopnia zdenerwowała młodą synową, że ta zaniemogła. Wezwano lekarza. Cezar został o tym poinformowany i natychmiast przybiegł z senatu. Niestety, było za późno. Okazało się, że Kalpurnia była w ciąży i na skutek silnego zdenerwowania poroniła.

Cezar stracił swoje słynne opanowanie. Dosłownie był z wściekłości i rozczarowania. Oczywiście, Aurelia próbowała zaprzeczyć wszystkiemu, ale niewolnicy wyśpiewali całą prawdę, wobec czego nie mogła dłużej kłamać. Cezar rozwścieczony kazał matce wynosić się do jego siostry Julii. Wrzeszczał przy tym i wyrzucał jej brak rozumu i bezczelność.

- Nie waż mi się tu przychodzić, dopóki moja żona nie odzyska zdrowia - warczał na pożegnanie. - Czy nie dociera do ciebie, że ona to nie Pompeja? To jeszcze dziecko, jest młodsza od naszej Julii, a ty nierozumnie sprowadziłaś na nią takie nieszczęście!

Osobiście odprowadził matkę do domu siostry i rozkazał jej tam pozostać. Był tak wściekły, że powstrzymywał się przed rękoczynami tylko dzięki wpojonemu mu w młodości szacunkowi. Jego dziecko... jego syn... Jasne było, że Kalpurnia nosiła w swym łonie chłopca, tak powiedział medyk. Cezar omal nie zaczął toczyć piany, kiedy się o tym dowiedział.

- Niech to szlag! - mamrotał wściekle pod nosem, idąc do domu Pompejusza. - Niech to... Do ciężkiej cholery, najpierw Julia, a teraz Kalpurnia! To jakieś przekłete fatum. Czyżby bogowie rzucili na mnie urok?

Na moment zapomniał, że nie wierzy w bogów. Gdy dotarł do domu Pompejusza, poprosił Julię, by zaopiekowała się

Kalpurnią i została u niego w domu możliwie jak najdłużej. Ta nie miała nic przeciwko temu.

Po drodze zwierzyła się ojcu z tajemnicy.

- Jestem brzemienna - powiedziała cicho. - Pompejusz jeszcze o niczym nie wie. Zapewne urodzę dziecko pod koniec roku, późną jesienią.

Cezar uśmiechnął się przelotnie.

- Tak, Pompejusz powinien był zostawić cię w spokoju przez ostatni kwartał - stwierdził. - Temu człowiekowi nader się spieszy do potomków, chociaż ma dorosłych synów.

Julia towarzyszyła Kalpurni przez tydzień. Obie młode kobiety znalazły wspólny język. Cezar patrzył na to z zadowoleniem. Postanowił nie brać matki już więcej do siebie. Stwierdził, że Aurelia może uczynić więcej szkody niż pożytku.

Ta cicha wojna trwała do wiosny. Pewnego dnia Julia, siostra Cezara, przysłała po niego niewolnika z poleceniem, by się spieszył. Okazało się, że Aurelia jest umierająca.

Cezar stał nad łóżkiem matki blady jak ściana, ale na próżno starał się przywołać żal i współczucie. W pamięci miał ściągniętą bólem twarz Kalpurni, która zlewała mu się w jedno z naznaczonym śmiercią obliczem Kornelii. Cezar potrafił znieść wiele ciosów, bywał bezwzględny, ale nie umiał spokojnie patrzeć na cierpienie kobiety, nie po tym piekło, jakie przeszedł podczas choroby żony.

- Umieram, synu - odezwała się Aurelia. - Odchodzę do moich przodków i twojego ojca.

Cezar stał w milczeniu. Przypomniawszy sobie lata dzieciństwa, kiedy ojciec jeszcze żył. Pamiętał matkę młodą i roześmianą, energiczną i cieszącą się życiem. Śmierć męża wcale jej nie załamała, nie przejęła się bardzo tym faktem. Sama wychowywała córki, bo Cezar był już za duży, miał szesnaście lat i uważał się za mężczyznę. Pamiętał niechęć w oczach Aurelii, kiedy postanowił ożenić się z córką Cynny. Pamiętał ten nienazwany wyraz jej twarzy, gdy szedł do ślubnego łoża z młodą małżonką, rozpacz w oczach matki, kiedy uciekał z Rzymu, zazdrość o małą Julię, cichą rywalizację z Kornelią o wszystko.

Aurelia dała mu wiele, ofiarowała całą siebie, ale też wymagała niesamowitych ofiar. A teraz odchodziła. Ona, którą kochał tak ogromnie, która była mu wsparciem i przekleństwem, która doradzała i wtrącała się w cudze sprawy... Musiał jednak przyznać, że po śmierci Kornelii troskliwie zajęła się jego córką. Była dobrą babką. I mądrą kobietą.

- Wybacz mi, matko - wydusił z siebie. - Działiałem w rozpacz.

- Wiem o tym, Gajuszu, i nie mam do ciebie żalu - odparła.  
- Leży w naturze dzieci ranienie swoich rodziców, tak jak w naturze rodziców leży wybaczenie dzieciom. Masz dziecko, Gajuszu, więc sam dobrze o tym wiesz.

- Wiem.

Aurelia była cicha, gasła powoli, wyniszczona chorobą, życiem, trudami i samotnością. Nagle Cezar uświadomił sobie, że matka była samotna przez dwadzieścia cztery lata od śmierci męża. Nie została ponownie niczyją żoną. Nie spała w ramionach mężczyzny. Posłuszna była rzymskim obyczajom. Na starość zrobiła się nieprzyjemna, ale czyż nie miała do tego prawa po sześćdziesięciu latach twardego, surowego życia? Bez miłości, bez czułości, bez ciepła, jakie daje mężczyzna, bez poczucia bezpieczeństwa, bo sama musiała je zapewnić swoim dzieciom...

Cezar patrzył na nią i czuł tępy ból w sercu. Nie była to ta sama dławiąca rozpacz, jaką przeżywał po śmierci Kornelii. To był smutek, głęboki smutek, ale Cezar wiedział od zawsze, że to nadejdzie. Przygotował się na to. Śmierć matki nie była dla niego żadnym zaskoczeniem. Mimo to, kiedy stał kilka dni później nad stosem pogrzebowym, czuł ogromny smutek i żal, że niedane mu było zachować matki przy życiu jeszcze przez jakiś czas. Patrząc w płomienie liżące marylę, myślał, że jego bliscy odchodzą jeden po drugim. Teraz z życiem łączyła go tylko córka i potomek rosnący w jej łonie, a także Kalpurnia i nadzieja na wspólne dziecko.

- I Galia - szepnął. - Jeżeli muszę poświęcić swoich Fortunie, to niech i tak będzie. Jednak otrzymam za to nagrodę.

I nikt mi tego nie odbierze.

„Bo nieśmiertelnej chwały odebrać nie można” – dokończył w myślach, patrząc, jak dopala się ogień na stosie pogrzebowym jego matki.

---

<sup>1</sup> Prokonsulowie otrzymywali prowincje w drodze losowania.



## VII

Kiedy Galvan zniknął w ciemności, Gwynn długo stała pod ścianą domu i spoglądała za nim, chociaż wiedziała, że i tak nic nie zobaczy. Nie mogła pojąć, co tak naprawdę się stało. Czuła się, jakby ktoś nieoczekiwanie dał jej ogromny prezent. Przecież Galvan był jej wielkim, nierealnym marzeniem od wielu miesięcy, tęskniła za nim, pragnęła go coraz rozpaczliwiej, chciała czuć jego oszałamiającą bliskość, ale on traktował ją jak przyjaciółkę, jak dziecko, jak siostrę, którą poniekąd była. I oto nagle przychodzi prosić o jej rękę? To było dla Gwynn nie do pomyślenia.

Kiedy weszła do domu, wydawać by się mogło, że dosłownie piorun w nią trafił. Miała oszołomiony wyraz twarzy, zachwyt w oczach i jakąś taką tkliwość, która bynajmniej nie przypadła Evar do gustu. Gwynn usiadła na swoim miejscu, ale była cicha i zapatrzona w ogień, nie wykazywała najmniejszej chęci do opowiadania o swoich przeżyciach w Rzymie. Oczy lśniły jej jak w gorączce.

Evar myślała przez chwilę. Obserwowała córkę w milczeniu i zastanawiała się, czy dać sobie spokój i zostawić wszystko losowi, czy też porozmawiać z nią teraz, tuż po owych nieoczekiwanych oświadczeniach. No, nieoczekiwane były one tylko dla niej i Gwynn. Teraz to sobie uświadomiła. Galvan planował to od jakiegoś czasu i specjalnie wysłał dziewczynę do Rzymu z Gobannicjonem, by w razie nieszczęścia nie ucierpiała na konflikcie przyszłego męża z zabójcami jego ojca. Młody człowiek najwyraźniej zamierzał zabezpieczyć sobie przyszłość. Evar nie chciała ranić córki, wylewając jej od razu kubek zimnej wody na głowę, ale miała świadomość, że jeżeli

ona tego nie uczyni, zrobi to za nią Galvan – i to na samym początku ich małżeństwa. I nie będzie się pieścił z młodą żoną. Dla niego bowiem było to małżeństwo z rozsądku, nie chodziło w nim wcale o uczucie.

Wiedziała o tym. Jednak zdawała sobie również sprawę, że Gwynn jest w tym chłopaku beznadziejnie zakochana od co najmniej dziesięciu tygodni, o ile nie dłużej. Z każdym dniem tęsknota w oczach Gwynn stawała się coraz bardziej wyraźna. Dziewczyna męczyła się, chudła, nie chciała jeść, a myślami wyraźnie była gdzie indziej. Teraz z pewnością się cieszy. No tak, dostanie mężczyznę, którego tak bardzo pragnęła. Problem w tym, że on jej wcale nie chce, a już z pewnością nie ze względów uczuciowych. Galvan nadal był pod wrażeniem córki Scatah, swojej byłej żony. Nie mógł o niej zapomnieć. Nie było w tym nic dziwnego.

Evar wróciła wspomnieniami do swojej młodości i do małżeństwa z Rutenem. Musiała wyjść dobrze za mąż. Wprawdzie jej ojciec nie wymagał, by to zrobiła, ale nie szczędził sugestii co do tego, czyją żoną, jego zdaniem, powinna zostać. Argumenty były jak zawsze te same: korzyści materialne, zapewnienie ciągłości dwóch możliwych rodów, korzyść dla potomstwa...

Zastanawiała się wtedy, na co to komu potrzebne. Jednak obecnie, kiedy rysowała się przed nią perspektywa zostania babką, a o rękę jej córki prosił potomek najpotężniejszego rodu w Gergowii, syn naczelnika Arwernów, mający przed sobą świetną przyszłość i niemałe bogactwa, patrzyła na te sprawy inaczej. Gdyby jej wnuk miał choć cień szansy na zostanie królem Celtów...

Evar ocknęła się z zamyślenia. Spojrzała na córkę. Ta wpatrywała się w płomień ognia na palenisku.

– Gwynn – odezwała się wreszcie. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzisiaj stało...

Dziewczyna oderwała twarz od ognia i spojrzała na matkę nieprzytomnym wzrokiem. Evar pomyślała, że jej córka jest wyjątkowo piękną dziewczyną. Miała wspaniałe kręcone blond włosy i szlachetne rysy twarzy. Dziecko jej i Galvana mogło być

niepospolicie piękne. Na to jednak należało poczekać.

- Galvan poprosił mnie o rękę - odparła Gwynn.

Blask w jej oczach bynajmniej nie poprawił Evar nastroju. Ze smutkiem pomyślała, że to ona będzie musiała ów ogień zgasić. Evar kochała Gwynn najbardziej ze wszystkich dzieci, jakie miała z Rutenem. Nie darzyła takim uczuciem synów, których prawie nie знаła, ani starszych lub młodszych córek. Być może było tak dlatego, że Gwynn w dzieciństwie nie sprawiała żadnych kłopotów, rosła zdrowa i śliczna, a Evar nigdy nie musiała się o nią martwić.

Nagle przypomniała sobie dzień, w którym ją rodziła. Mały Galvan schował się wówczas pod stołem i widział wszystko. Evar prosiła go, by zawsze opiekował się młodszą siostrą. Przez myśl jej wtedy nie przeszło, że ten mały chłopiec zostanie kiedyś mężem Gwynn.

- Posłuchaj mnie - zaczęła Evar powoli. - To, że Galvan dzisiaj się z tobą zaręczył, nie wynika z jego uczucia do ciebie.

Gwynn odwróciła się gwałtownie w stronę ognia, chcąc uniknąć spojrzenia matki, ale ta podeszła i zmusiła córkę, by na nią patrzyła.

- Wiem, że go kochasz - kontynuowała Evar. - Zdaję sobie sprawę, jak silne jest twoje uczucie. Ale miłość, moja córko, to nie jest chwilowe zakochanie. O jej sile stanowią lata przeżyte z ukochanym, a nie afekt podobny do muśnięcia skrzydeł motyla. Teraz go kochasz, bo jest młody i piękny. Jeżeli jednak za trzydzieści lat po każdej nocy spędzanej obok niego, po każdej nocy, którą będzie spędzał w ramionach nałożnicy, spojrzysz na jego wyniszczoną twarz, na jego bękarty i siwe włosy i będziesz w stanie powiedzieć, że go kochasz, to wtedy uwierzę, że tak jest naprawdę.

Gwynn odwróciła wzrok, ale matka zdążyła dostrzec napływające do jej oczu łzy.

- Jesteś okrutna, matko - powiedziała.

- To nie ja jestem okrutna, lecz życie, moja córko - odparła Evar. - Wam, młodym, wydaje się, że miłość to wszystko w życiu, ale to nieprawda. Tak się tylko mówi. Są sprawy o wiele ważniejsze, uczucie jest przelotne i nietrwałe. Zmienia

się tak jak pory roku. Jedynym stałym uczuciem jest miłość rodziców do dziecka. Każda inna miłość prędzej czy później umiera.

Gwynn nie chciała tego słuchać. Uczucie do Galvana wypełniało cały jej świat. Miłość pulsowała w żyłach dziewczyny, napełniała ciało pragnieniem życia. Matka gasiła w niej płomień, który zapłonął wcześniej z nagłą energią.

- Dlaczego uważasz, że Galvan mnie nie kocha? - zapytała cicho. - Przecież chce się ze mną zenić...

- Bo to jest sojusz plemienny, Gwynn - wyjaśniła Evar cierpliwie. - Nic innego. On cię lubi, to zapewne, podobasz mu się, na pewno też pragnie cię jako kobiety, bo jesteś piękna, ale nie darzy cię takim uczuciem jak ty jego.

Gwynn bliska była wybuchnięcia płaczem. Evar serce się krajało, ale nie mogła inaczej. Musiała odbyć tę rozmowę z córką, jeśli chciała jej oszczędzić późniejszych, nieuniknionych zresztą, rozczarowań.

- Gwynn, posłuchaj - zaczęła z innej strony. - To dobrze, że go kochasz. Jeśli twoje uczucie do niego jest szczere i prawdziwe, prędzej czy później on na nie odpowie.

Jednak nadzieja i szczęście w oczach dziewczyny już zgasły.

- To dlaczego tak na mnie patrzył? - wybuchła. - Gdybym była mu obojętna, nie patrzyłby tak!

Evar przymknęła oczy. Teraz dziewczyna buduje zamki na lodzie. Sama sobie mydli oczy, a to źle, bo przyjdzie ciężkie i bolesne otrzeźwienie. Co do tego Evar była, niestety, pewna.

- Być może mu się podobasz - odparła obojętnie. - Ale wiedz, że zależy mu na tobie na tyle, że to on wysłał cię do Rzymu na czas zamieszek tutaj. Chciał, żebyś była bezpieczna. Tylko nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego w związku z tym. Wy, młode dziewczęta, macie wybitne skłonności do wmawiania sobie niewiarygodnych rzeczy.

Pomyślała, jak była naiwna w wieku Gwynn i jakim cierpieniem okupiła swoją obecną mądrość życiową. Evar była do tego stopnia doświadczona, że za nic nie uwierzyłaby mężczyźnie wyznającym jej miłość. Śmiała się cynicznie, kiedy

widziała zakochanych trzymających się za ręce. Mawiała zawsze, że ciekawa jest, jak długo ich miłość przetrwa. Evar wiedziała, że uczucie nie rodzi się od pierwszego wejrzenia, lecz w bólach i trudach codziennego życia. Ona w wieku czterdziestu lat mogła powiedzieć, że faktycznie kocha na swój sposób Rutena, chociaż nie wyszła za niego z miłości. To palące uczucie poznała raz w życiu. I nigdy więcej się to nie powtórzyło. Nie życzyła przecież córce czegoś podobnego. Nie chciała, by Gwynn żyła z kamieniem w piersi zamiast serca, by była niekochana i by całe życie brakowało jej tego uczucia, a także oparcia, jakie potrafi dać tylko mężczyzna. Nie, Evar wcale nie było wesoło, kiedy myślała o małżeństwie Gwynn i Galvana.

Wiedziona odruchem pogładziła jasne włosy córki.

- Nie myśl o tym teraz - mruknęła. - Chciałam ci tylko powiedzieć, byś była rozsądna i ostrożna.

- I będę, matko - odparła Gwynn.

„O, z pewnością nie” - pomyślała Evar gorzko. „Właśnie nie będziesz i przyjdzie ci za to zapłacić wysoką cenę z łez, rozczarowania i krwi. Tak jak każdej z nas”.

\*

Galvan siedział w izbie z paleniskiem w domu Gobannicjona i udawał, że słucha tych wszystkich mądrych słów, jakie padały na naradzie, ale tak naprawdę myślami był gdzieś daleko. Owszem, potakiwał, kiedy tego od niego wymagano, robił mądrą minę i patrzył interlokutorom w oczy z żywym zainteresowaniem, jednak nie docierała do niego nawet połowa wypowiedzianych zdań.

- Galvan rozsądnie uczynił, oddalając Gwynn - dobiegł go w którymś momencie głos Rutena. - I jestem mu za to szczerze wdzięczny.

Galvan ocknął się z zamyślenia, jakie ogarnęło go przed momentem, i uśmiechnął się do przyszłego teścia.

- To jasne, że dobro Gwynn jest dla mnie szczególnie ważne - odparł.

Ruten i pozostali powrócili do rozmowy. Dyskutowali o ewentualnych sojuszach, jakie Galvan powinien zawrzeć z korzyścią dla siebie. Słuchał, bo oczywiście powinien, i interesował się sojuszami oraz własnym dobrem, ale jakoś nie mógł się tego wieczoru skupić.

*Zrobiłeś to. Zapewniałeś, że tego nie zrobisz, a jednak. Wtedy, ostatniego wieczoru mówiłeś to, patrząc jej w oczy. I co? Taki jesteś słowny?*

Na Teutatesa, przecież nie mógł inaczej!

- Kiedy planujesz ślub, Rutenie? - zapytał jeden ze zgromadzonych.

- Jak najszybciej. Zaraz po Samain - odparł. - Nie należy z tym czekać, skoro już się postanowi.

Galvan musiał przyjąć gratulacje i uśmiechy. Sam uśmiechał się łagodnie i nieco wstydliwie. Wszyscy w Gergowii i we wsi wiedzieli, że ma dziecko z Uatah i dziewczynka będzie przeznaczona na kapłankę. Żeniaczka nie była dla niego pierwszą, a jednak ci poważni mężowie uśmiechali się do Galvana, jakby był dzieciakiem, a nie dwudziestodwuletnim mężczyzną.

*Przecież jej nie kochasz. Czy ty sobie zdajesz sprawę z konsekwencji tego czynu? Spłodzisz z nią dziecko, pewnie niejedno, ale jakim prawem to uczynisz, skoro zapewniałeś wcześniej, że nigdy nikogo nie pokochasz i nie poślubisz?*

Galvan siedział zapatrzony w ogień. Nikt nie miał pojęcia, jakie męki cierpiał. W jego pamięci wciąż żywy był obraz Uatah - nic dziwnego, opuścił ją ledwie przed kilkoma miesiącami. Teraz oświadczył się Gwynn. Tam gdzieś daleko na północy, na wyspie Sein, żyła Uatah z jego córką, której nigdy więcej nie miał oglądać. A jeśli nawet ją ujrzy, nie będzie mógł jawnie przyznać, że to jego dziecko.

Gwynn... Tak, była piękna, miła i lubił ją, ale czy to wystarczy? To nie była Uatah, która go zafascynowała.

*Miłość, Galvanie, to nie jest przelotna fascynacja.*

„Być może, matko. Być może masz rację. Ale ty nie poznałaś potęgi tej miłości, która popycha dwoje ludzi ku sobie tak mocno, że nie potrafią się od siebie oderwać”.

Wiedział, że na Sein Uatah cierpi tak samo jak on tutaj. Ale podczas gdy on wkrótce znajdzie sobie inne ramiona, które będą go obejmować w nocy, Uatah nieprędko zazna pocieszenia przy innym mężczyźnie. Musiała zostać na wyspie, odchować dziecko, a potem wrócić do doliny Scatah, by wypełniać dalej swoje powołanie i misję, do której została wybrana.

- Uważam, że trzeba jak najszybciej zawiązać sojusz - perorował jakiś męski głos. Chociaż Galvan znał wszystkich mężczyzn, nie potrafił odróżnić ich głosów. Nie dzisiaj. - Im szybciej, tym lepiej, by ta żmija nie wzrosła w siłę.

Mówiąc „żmija”, mężczyzna miał, rzecz jasna, na myśli Cynnusa. To było jasne jak słońce. Chociaż Cynnus przyłączył się do nich, kiedy Galvan mścił śmierć swego ojca, dla każdego było oczywiste, że nie ma zamiaru ustąpić pola bratankowi. I niech sobie Galvan będzie Wercyngetoryksem, niech ma braci druidów, proszę bardzo, niech sobie będzie nawet synem Celtyllusa. Cynnus dzierżył władzę nad swoim klanem i nie życzył sobie, by jakiś dwudziestoletni smarkacz mu ją odbierał.

Galvan przypomniał sobie wydarzenia ostatniego tygodnia i zadrżał. Chociaż był fantastycznie wyszkolonym wojownikiem, nie zabił dotychczas nikogo. Dopiero kiedy to zrobił, zobaczył, jak łatwo przychodziło Scatah teoretyzowanie, a jak ciężko było spojrzeć sobie w oczy po dokonanym czynie. Jednak poradził sobie. Osobiście zabił czterech zdrajców, którzy otruli jego ojca. Cynnus brał udział we wszystkim. Kiedy Galvan wrócił z rozstajów, do których odprowadził Gwynn, i gdy miał pewność, że jego przyszłej żonie nic nie grozi, dał znak sojusznikom, że czas nadszedł.

*Pamiętasz wyraz jej oczu? Te jej piękne oczy, które na ciebie patrzyły, przepiękne miłością... jej opuchnięte stopy, kiedy nosiła twoją córkę, jej czułe ręce i mocne ramiona...*

To nie było proste. Musieli działać z zaskoczenia. Tak też zrobili. Odpowiednie budynki w Gergowii były obsadzone, ludzie zostali poinformowani i dostarczyli broń w odpowiednie miejsca. Cała akcja była przemyślana i zorganizowana. Galvan pojechał do Gergowii na targ, a razem z nim udał się tam Ruten.

Kiedy słońce osiągnęło najwyższy punkt na niebie, w mieście i we wsi rozpoczęła się rzeź. Galvan wiedział, że dwaj spośród czterech zdrajców będą w karczmie w Gergowii, więc postanowił osobiście się z nimi rozprawić. Nie miał zamiaru używać broni. Chciał z nimi skończyć dokładnie w taki sam sposób, w jaki oni skończyli z jego ojcem. Tak więc przysiadł się niby na pogawędkę, a kiedy szynkarz podszedł i zapytał, czego sobie życzą, odparł, że stawia obu mężczyznom piwo i płaci za następną kolejkę. Oczywiście, żaden z nich nie wiedział, że karczmarz jest sojusznikiem Galvana, a może raczej dawnym sojusznikiem jego ojca. Wszyscy zaś ci, którym doskonale się wiodło za życia Celyllusa, życzyli sobie śmierci jego zabójców.

Octus i Keran, którzy nie mieli pojęcia, że Galvan może wiedzieć cokolwiek, beztrąsko pili swoje piwo i rozmawiali z nim, nie wiedząc, że ich ludzie są właśnie mordowani w zaułkach Gergowii. Galvan był pięknym młodym człowiekiem, przyjemnie się z nim rozmawiało, a jego urok osobisty działał na wszystkich rozmówców. Uśmiech młodzieńca był szeroki i promienny, kiedy chwalił się naiwnie zakupionymi towarami, tkaninami dla Aman, notabene siedzącej razem z nim w szynku, ale na ławie przeznaczonej dla kobiet, skórą, które chciał przeznaczyć na obicie tarcz i naramiennikami ze złota.

Nawet nie zauważyli, w którym momencie obaj zaczęli źle się czuć.

- Co wam dolega? - zapytał Galvan z troską.

Keran chwycił się za żołądek.

- Boli mnie - wysapał. - Niech to wszyscy diabli, przed chwilą czułem się dobrze.

- Ja też - zauważył Octus. - Hej, towarzyszu, a ciebie nic nie boli?

- Musieliśmy zjeść coś niestrawnego - wymamrotał Keran. - To ta przekłeta ryba!

Rozmawiali dalej, aż boleści stały się nie do wytrzymania i obaj zaczęli jęczeć, trzymając się za brzuchy.

- Co jest? - jęczał Octus. - Mam wrażenie, jakby mnie paliło od środka.

Galvan patrzył na nich z uwagą.



- Zawołam Aman - powiedział. - Ona się zna na boleściach.

Po chwili pojawiła się. Było w jej postawie coś władczego, ale nie powinno to nikogo dziwić, skoro w ciągu ponad dwudziestu lat przywykła do wydawania rozkazów. Czarne oczy, odziedziczone po greckich przodkach z Massalii, lśniły w jej śniadej twarzy. Żona Gobannicjona, a wcześniej Celtyllusa, była niebywale piękna. Nie sposób było określić jej wieku.

Jej twarz nie wyrażała najmniejszych nawet śladów współczucia.

- Boli was? - zapytała suchym głosem. - Bardzo?

Obaj przytaknęli.

Aman usiadła spokojnie obok Galvana i patrzyła na nich obojętnym wzrokiem. Chociaż nie. W jej oczach powoli pojawiał się błysk, który nie podobał się chorym mężczyznom.

- Pali, prawda? - kontynuowała. - Zupełnie, jakby ktoś wsadził wam w żołądki żagiew.

- Skąd możesz to wiedzieć? - wyjęczał Octus. - Zamiast gadać, mogłabyś nam pomóc.

- Nie.

Sucha, krótka odpowiedź Aman zbiła z tropu jednego i drugiego. Spojrzeli na nią, a potem na Galvana i dotarło do nich, że syn Celtyllusa ma twarz jak wyciętą w kamieniu. Patrzył na nich z nienawiścią bijącą z pięknych błękitnych oczu, czystych i przejrzystych jak jesienne niebo nad Gergowią.

- To spisek! - wysyczał Keran i chciał się podnieść, ale w jednej chwili został przygwożdżony do ławy silną męską ręką.

Obaj oniemieli. Obok nich stał Brennus, najmłodszy syn Celtyllusa, odziany w szaty druida. W ręku trzymał okrwawiony miecz.

- Milcz, Keranie, zdrajco i morderco mego ojca - powiedział mocnym głosem. - Tak, trucizna rozchodzi się w tobie, tak jak piętnaście lat temu rozchodziła się po ciele Celtyllusa.

Octus czuł, że kręci mu się w głowie. Twarz Brennusa zlewała się w jedno z pięknym obliczem Galvana.

- Co ty pleciesz? Ciebie tam nie było. Skąd możesz wiedzieć?

- Ma swoich informatorów - odezwał się inny głos.

Z drugiej strony wejścia stał Celtillognatos, pierworodny Celtyllusa. Nagle okazało się, że w szynku siedzą wyłącznie uzbrojeni mężczyźni, którzy z jawną nienawiścią przyglądają się chorem. Szynkarz ruszył w stronę ławy, wycierając ręce w swój obszerny skórzany fartuch.

- He, he - zarechotał. - Wyciąg z owoców konwalii. Mogłem podać cykutę, trwałoby to wtedy tylko chwilę. Jednak tacy nędznicy jak wy nie zasługują na szybką śmierć. Męczcie się tak, jak męczył się Celtyllus. A potem zdychajcie jak nędzne psy - to powiedziawszy, splunął na ziemię.

Aman podała Galvanowi nóż. Dwaj mężczyźni zawyli jak zarzynane prosięta, chociaż nic im się jeszcze nie stało.

- Dlaczego ja? - zapytał Galvan. - Przecież Celtillognatos jest najstarszy.

- Ale ty, bracie, jesteś z prawego łoża - odparł druid. - Do ciebie należy zemsta.

Galvan był spokojny i opanowany jak jeszcze nigdy w życiu. Zawsze wyobrażał sobie, że morduje tych szubrawców ogarnięty dziką furją, a nie w sposób niemal pozbawiony emocji. Wziął nóż od drugiej żony Celtyllusa i podszedł do obu mężczyzn.

- Nie! - wrzasnął Keran, chociaż prawdę mówiąc, nie miał siły wydać z siebie jęku. - Nie zabijaj nas!

- Nie mam zamiaru - odparł Galvan.

- To co z nami zrobisz? - wysyczał Octus.

- I tak zdechniecie - powiedział Galvan z nienawiścią.

W tym momencie jeden z ludzi Galvana rzucił na środek izby pęk odciętych głów. Wszyscy zabici należeli do grona spiskowców sprzed piętnastu lat. Zamordowali oni Celtyllusa, kiedy stało się jasne, że ten ostatni chce sięgnąć po władzę królewską.

Octus miał wrażenie, że jego żołądek pali żywy ogień. Było to potworne uczucie. Jednocześnie w głowie mu huczało, ręce i nogi ogarniały drgawki, ale sprytny szynkarz tak odmierzył dawki, by umierali powoli i w boleściach.

- Litości! - jęczał Keran.

- Zdychaj jak pies - syknął Brennus.

Galvan pochylił się nad zabójcą Celtyllusa i jednym ruchem uciął mu dłoń. Keran zawył z bólu.

- Tą ręką zabiłeś mego ojca. Potem odetnę ci głowę - powiedział - jak już skończysz swój nędzny żywot.

Obaj umierali dobrą chwilę. Długo trwało, zanim wyzionęli ducha. Męczyli się ponad pół godziny. W międzyczasie pojawiły się coraz silniejsze drgawki i konwulsje. Na koniec ogarnął ich paraliż, ale nie na tyle, by nie mogli czuć, że żegnają się z tym światem. Kiedy zaś umarli, Brennus odciął im głowy, aby pokazać wszystkim ewentualnym przyszłym buntownikom, w jaki sposób klan Galvana rozprawia się ze zdrajcami i mordercami.

*No tak, zabiłeś to. Tylko co z tego? Możesz sobie zabijać wrogów i zdrajców, ale to ci jej nie zwróci. Nigdy już.*

Masakra trwała kilka dni. Poplecznicy tamtych czterech zostali zabici, a przedstawiciele wrogiej Celtyllusowi frakcji - porządnie nastraszeni. Skutek był taki, że ci, którzy nie zdołali uciec, przyłączyli się do sprzymierzeńców Cynnusa, co oczywiście nie gwarantowało Galvanowi sukcesu. Ale przynajmniej pokazał, na co go stać, i udowodnił, że potrafi mścić się za doznane krzywdy.

A potem wróciła Gwynn, kiedy wszystko zostało już uporządkowane. Nie musiała widzieć stosu ludzkich głów i rąk na środku miasta ani wachać smrodu obumarłej krwi. Nie oglądała też wielkiego ognia, w którym spalono to ścierwo. Galvan wolał jej tego oszczędzić.

Tego samego dnia, w którym przyjechała z Rzymu, poszedł do jej ojca. Gdy wychodził z domu, czuł na sobie wzrok Geillis. Tak, matka uważała, że powinien to uczynić, ale jeszcze w drzwiach przestrzegała go, żeby zastanowił się nad tym, co chce zrobić. Jeżeli miałby sprawić ból i zawód tej dziewczynie, lepiej niech cofnie swoje słowo, póki nie jest za późno.

Jednak Galvan wiedział, że musi to uczynić. Chociaż nie mógł przewidzieć wszystkiego, a już najmniej swojej reakcji. Dobrze, że Gwynn nie miała pojęcia, co się z nim dzieje, kiedy wszedł i ujrzał ją siedzącą z mokrymi włosami przy ogniu.

To dlatego miał wyrzuty sumienia i nie mógł spokojnie patrzeć jej w oczy. Fala gwałtownego pożądania, jaka go zalała na widok dziewczyny, była zupełnie nie na miejscu u człowieka, który kochał inną. To mu tylko uświadomiło, jak bardzo był spragniony i od jak dawna nie trzymał kobiety w ramionach. Jednak to go nie usprawiedliwiało. Ani wtedy, w izbie Rutena, ani teraz, kiedy siedział przed ogniem i zamiast słuchać mądrych słów starszych od siebie mężczyzn, myślał o Uatah i niepotrzebnie rozbudzał beznadziejną tęsknotę. Przecież córka wojowniczką nie była dla niego, doskonale o tym wiedział. Świadomie wstępował w trwający rok związek. Wiedział, że Scatah pozwoliła mu zostać nieco dłużej tylko dlatego, że jej córka go kochała. Tak naprawdę Galvan nie powinien był w ogóle oglądać dziecka.

Znowu przypomniał sobie wydarzenia ubiegłego tygodnia. Przerazenie w oczach kobiet pomordowanych, nienawiść skierowana ku niemu i ten moment, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, że jego życie może być w niebezpieczeństwie. To dlatego ojciec otaczał się uzbrojonymi ludźmi. To dlatego rychło postarał się o prawowitego dziedzica swoich dóbr. Teraz Galvan rozumiał jego nieustanną obawę o swoje życie. Chociaż nie znał Celtyllusa, niejedno o nim słyszał.

*Świetnie. Ożenisz się z nią i da ci syna. I co dalej? Co się stanie, kiedy już zostanie wypełniona powinność? Nie możesz przecież wracać do Uatah. Nikt ci na to nie pozwoli. Co zrobisz potem?*

Wojna... Żeby tak była jakaś wojna... Gdyby tylko Galvan mógł pojechać i walczyć, nie myśleć o żonie i dzieciach, o synach, którzy będą się wychowywać w obcych rodzinach. Wreszcie - nie myśleć o Uatah i maleńkiej córce...

Niestety, nastały czasy pokoju. Nic nie wskazywało na to, by miała rozpocząć się jakaś wojna, podczas której mógłby się sprawdzić jako mężczyzna.

- Swebowie? - usłyszał w pewnym momencie. - Bratać się ze Swebami i Ariovistem?

- A dlaczego nie? - rozległ się głos Rutena. - Ariovist ma uprzywilejowaną pozycję. Jest przyjacielem narodu

rzymskiego, a to oznacza, że jeśli zajdzie taka potrzeba, senat go poprze.

- A co nas obchodzą Rzymianie? - szydził ktoś. - To banda zadufanych w sobie słabeuszy.

- Akurat - parsknął Gobannicjon. - Byłem w Rzymie dopiero co i widzę, że kipi tam jak w kotle czarownicy.

Galvan zmrużył oczy. Rzymianie. Scatah mówiła o nich zupełnie co innego. Z pewnością wyśmiałyby kpiący ton mówców. Uważała, że z Rzymianami należy zachowywać ostrożność.

*Scatah wróciła do doliny. Musiała wrócić, skoro zaczyna się nabór uczniów. Gdybyś do niej pojechał, dowiedziałbyś się, w jaki sojusz wstąpić. Ona to powie.*

Kiedy pomyślał o Scatah, poczuł spokój. Tak właśnie robi. Uda się do niej i zapyta ją o radę. I jeżeli ona zaaprobuje jego związek z Gwynn, postąpi wedle jej woli, zwiąże się też z tym, którego wskaże mu Scatah.

- Jakie jest twoje zdanie, Gobannicjonie? - zwrócił się do brata swej matki, dając tym samym do zrozumienia, że na dobre przyłączył się do narady.

\*

Scatah nie zmieniła się ani trochę od ich ostatniego spotkania. Kiedy Galvan w towarzystwie Gobannicjona przyjechał do jej doliny, była akurat zajęta wyprawianiem skór. Na widok gości wstała, prostując swoje zgrabne, wyćwiczone ciało, i odłożyła skóry na bok. Galvan przeżył moment szoku, kiedy uświadomił sobie, że ta kobieta jest w wieku jego matki, a nawet starsza. Nic na to nie wskazywało. Jesienne słońce lśniło w jej rudych włosach, gęstych i pięknych. I tylko wygląd dłoni świadczył wymownie o tym, że Scatah nie jest już pierwszej młodości. Były spracowane, zniszczone od miecza, popękane od mrozu i skwaru, zabliznione po rozlicznych potyczkach.

- Jesteś ostatnim człowiekiem, jakiego mogłam się spodziewać, Galvanie - powiedziała przyjaźnie. - Ale właśnie ciebie oczekiwałam od kilku dni.

Uśmiech Scatah był szeroki, ale kiedy młodzieniec podszedł bliżej, dostrzegł na jej twarzy widoczne zmarszczki.

- Skąd wiedziałaś, że przyjadę? - zapytał Galvan niepewnie.

Myśl, że Scatah od dawna wiedziała, iż przybiegnie do niej po radę jak dzieciak, nie pocieszyła go.

- Bo wiem, co zaszło w Gergowii - odparła. - Wszyscy dookoła o niczym innym nie mówią, Wercyngetoryksie.

Galvan zadrżał. Nikt nie zwracał się do niego po imieniu, jakie nadała mu Scatah na chrzcie z krwi. Zauważył, że Gobannicjon miał zdumiony wyraz twarzy. No tak, przecież w Gergowii dla wszystkich nadal był Galvanem, nawet kiedy dokonywał zemsty na zabójcach swego ojca. Nikomu nie przyszłoby do głowy, by nazywać go Wercyngetoryksem.

- Nie musisz robić ze mnie straszniejszej, niż mówią - roześmiała się Scatah. - A skoroście tu już przyjechali, to wstąpcie na poczęstunek.

Galvan szedł niepewnie do jej domostwa, w którym całkiem niedawno spędził nader przyjemne chwile. Miał wrażenie, że wciąż unosi się tam zapach Uatah, a także małej Aife. Jednak po niemowlęciu nie pozostał najmniejszy ślad w dolinie. Adeptki zajmowały się nauką młodych wojowników, tak jak zawsze, a Scatah zdawała się nie pamiętać, że jeszcze niedawno Galvan był jej zięciem. Traktowała go przyjaźnie, ale z dystansem, tak jakby nigdy nie spał w jej objęciach i nie był ojcem jej wnuczki.

- Wiem, co cię do mnie sprowadza - powiedziała, kiedy usiedli już na drewnianych ławach. - Owszem, mogę ci doradzić co nieco, ale decyżę, Galvanie, musisz podjąć sam.

- Co zrobić z Cynnusem, Scatah? - zapytał Gobannicjon. - Mogą być z nim problemy.

Piękna twarz kobiety wyrażała znużenie.

- A co zamierzacie z nim uczynić? - zapytała.

- Galvan chce ożenić się z Gwynn, córką Rutena - odparł Gobannicjon niepewnie.

- Bardzo słusznie. Powinien spłodzić legalnego syna. Jego córka z Uatah nie wystarczy dla przedłużenia rodu. Aife jest przeznaczona do innych celów.

- Jak ona się miewa? - wyrwało się Galvanowi.

Scatah popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie powinieneś o to pytać, Galvanie - stwierdziła. - Ale skoro już koniecznie chcesz wiedzieć, powiem ci, że dobrze. Ona i Uatah są zdrowe i dotarły bezpiecznie na Sein. Nic im tam nie grozi.

Galvan spuścił wzrok, żeby Scatah nie dostrzegła wyrazu jego oczu. Zawsze miał przekłętą wrażliwość, że ta kobieta potrafi czytać w jego myślach, dlatego czuł się przy niej skrępowany.

- Ożeń się z Gwynn jeszcze tej jesieni - poradziła. - I jak najszybciej postaraj się o dziecko. A potem o drugie.

- Dobrze, ale co z Cynnusem? - powtórzył Gobannicjon.

- Zanim się nim zajmiemy, Galvan musi mieć legalnych potomków - powiedziała Scatah. - Dzięki temu zyska jawny pretekst, by pozbawić władzy swego stryja. Zabijając Cynnusa, naruszenie święte prawa krwi. Jeżeli Jednak Galvan będzie walczył w sprawie swoich synów, nie doprowadzi do niesnasek. A tego należy szczególnie unikać, bo niebawem...

Urwała. Galvan patrzył na nią uważnie. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Scatah już miała im coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Ty coś wiesz - stwierdził. - Czyżbyś miała jakiś sen?

- Sny nawiedzają mnie od wielu lat, Galvanie - odparła spokojnie. - Sny o wilczycy.

Gobannicjon spojrział na nią przytomnie.

- Rzymianie - mruknął. - Wilczyca jest zwierzęciem Rzymu.

- Wilczyca i orzeł, Gobannicjone - uzupełniła Scatah. - Miejcie oczy szeroko otwarte.

- W Rzymie wrze - ciągnął Gobannicjon. - Coś się tam szykuje.

- Wybory. Ale w tym roku będą one brzemiennie w skutkach.

- Dla kogo?

Spojrzenie Scatah było nieprzeniknione. Galvan siedzący naprzeciwko niej przypominał sobie, że taki wzrok miała przed każdą próbą. Ilekroć on i jego przyjaciele musieli podejść do zadania, spojrzenie Scatah stawało się dalekie i chłodne, zupełnie jakby patrzyła na nich zza zasłony.

- Kiedy spadnie śnieg, nadlecą orły - mówiła dziwnie martwym głosem. - Przyfruną z południa głodne, wypatrując zdobyczy. A potem nadciągną wilki. Rozwścieczone sfory. To od waszych sojuszy zawartych w tym roku będzie zależała przyszła zima.

- Chcesz powiedzieć, że Rzymianie tu nadejdą? - zapytał Galvan przerażony.

Wzrok Scatah był znowu normalny. Demoniczny ton jej głosu zniknął.

- Oni nadejdą prędzej czy później. To zależy, kto zwycięży w wyborach. A kiedy już się zjawią, poleje się krew, spiż zetknie się ze spiżem, a rzeki celtyckie spłyną krwią. Galvanie, żeń się z Gwynn, korzystaj z chwil przyjemności i sprowadzaj na świat dzieci. Mało masz czasu. Chyba że zmylisz czujność wilków...

- Jak to?

- Zawierajcie korzystne sojusze - odpowiedziała Scatah. - Ten, kto będzie się szczyił mianem ich przyjaciela, nie zostanie zaatakowany od razu.

Galvan wyrżał przez balustradę tarasu i popatrzył na niebo. Było zimne, odległe, a na zachodzie zdawało się płonąć krwistą czerwienią.

Oczy Scatah lśniły w półmroku.

*To ty masz ich zjednoczyć, wielki królu wojowników. To za tobą muszą iść. To od ciebie zależy. Zostało mało czasu. Coraz mniej.*

„Wiem o tym” - pomyślał Galvan w nagłym przebłysku świadomości.

- Sein jest bezpieczna - szepnął.

- Galvanie - odezwała się cicho Scatah. - Mnie nie będzie, kiedy stoczysz tę bitwę.

- Jak to ciebie nie będzie? - zdumiał się Galvan. - Co ty opowiadasz? Nie będzie cię tutaj?

- Ani tutaj, ani na Sein. Wykonałam moje zadanie.

- To kto mnie poprowadzi?

Spodziewał się tej odpowiedzi, a mimo to drgnął, kiedy ją usłyszał.

- Uatah.



\*

Święto Samain nadeszło szybciej, niż Gwynn mogłaby sobie życzyć. Od czasu rozmowy z matką znikła gdzieś jej wesołość i pogoda ducha. Na swego narzeczonego spoglądała z niepewnością i niedowierzaniem. Momentami Evar żałowała swoich słów i zastanawiała się, czy nie byłoby jednak lepiej zostawić dziewczynę w błogiej nieświadomości. Wiedziała jednak, że tym większy byłby potem jej ból i tym mocniej odczułaby upadek na ziemię.

Ślub miał się odbyć siedem nocy po Samain, tymczasem Gwynn zamiast się cieszyć, popadała w coraz większy marazm. Z przerażeniem myślała o nocy poślubnej, od której żadnym sposobem nie mogła się wymigać. Strach dziewczyny spotęgował się, kiedy usłyszała o ostatnich czynach Galvana i o krwawej zemście za śmierć jego ojca. Co prawda wyrównanie rachunków było oczywistym prawem jej narzeczonego, ale Gwynn przerażała dzikość, z jaką przystąpił do dzieła. Oczywiście, dowiedziała się o wszystkim od służących, które plotkowały, nie zwracając na nikogo uwagi. Tak też Gwynn poznała prawdę o przyczynie swojego wyjazdu do Rzymu. Dowiedziała się również, że Galvan i jej ojciec zaplanowali to małżeństwo już jakiś czas temu. Nic dziwnego, że jej entuzjazm przygasł. Teraz miała wrażenie, że to nie ona stała pod domem w blasku pochodni i nie jej twarz czule gładził Galvan w półmroku. To nie ona weszła później do domu pełna wzniosłych uczuć i nie ona śniła pół nocy na jawie z otwartymi oczami o upragnionym mężczyźnie, który sam jej siebie zaoferował.

No cóż, teraz już знаła prawdę. Żenił się z nią nie z afektu, lecz dla korzyści politycznych. Pięknie! Poza tym miał dziecko z Uatah, która teraz przebywała na Sein i oddawała się studiom. Jeszcze lepiej! Gwynn wiedziała o tym, że Galvan był żonaty. Nie przywiązywała do tego zbytnej wagi. To był obyczaj, tradycja uświęcona setkami lat. Nikt nie mógł tego zmienić. Jednak w świetle ostatnich wieści ta sprawa nabierała zupełnie innego wymiaru.

Do głowy Gwynn wdzierały się najróżniejsze myśli. A jeśli on nadal kocha tamtą? Zapewne tęskni za swoim dzieckiem. Więc kim jest dla niego przyszła żona? Nic nieznaczącą dziewczyną? Córką możnego ojca? Może tylko udawał sympatię do niej? Ale jeżeli prosił o jej rękę, to musiał coś do niej czuć. Cokolwiek. Może chociaż odrobinę ją lubił? A jeżeli była mu całkowicie obojętna? Gwynn nie mogła znieść tej myśli. Miałaby leżeć z mężczyzną, być w jego objęciach i mieć świadomość, że znaczy dla niego tyle samo, co pierwsza lepsza niewolnica? Czuć go w sobie i wiedzieć, że on to robi jedynie z obowiązku, że nie przynosi mu to zadowolenia, nie daje radości, a przede wszystkim nic nie czuje do kobiety w swych ramionach? Wiedzieć, że daje jej swoje nasienie z takim samym zainteresowaniem, jakie okazywałby każdej nałożnicy? Miałaby być dla niego tylko brzuchem, w którym urośnie dziecko? Ta myśl nie była nawet przykra. Gwynn nie mogła jej znieść. Czuła upokorzenie, myśląc o tym małżeństwie. Miała ochotę porozmawiać z Galvanem, ale nie mogła narazić się na kpiny i ośmieszenie, a do tego cała rozmowa by się sprowadziła. Toteż miotała się między chęciami a możliwościami, raz podsycając nadzieję i budując zamki na lodzie, raz patrząc trzeźwo i z bólem na sytuację, w której się znalazła.

Idąc na święto Samain, przypomniała sobie tamten jesienny dzień w Rzymie, kiedy była świadkiem przeprowadzania panny młodej. Tamta Rzymianka o oczach jak dwie studnie była smutna i nieszczęśliwa, podążając na ślub. Gwynn myślała wtedy, że sama chciałaby iść w ramiona męża z radością. Teraz miała poczucie klęski. Powoli docierała do niej okrutna prawda, że Galvan jej nie kocha, nie czuje do niej absolutnie nic poza być może odrobiną sympatii. Zastanawiała się, czy wszystkie kobiety wstępowały w swoje związki z takimi samymi uczuciami jak ona. Jednak nie odważyła się pytać o to matki. Nie chciałaby znać odpowiedzi. Nigdy nie brała pod uwagę innej możliwości niż ta, że jej rodzice darzą się miłością. Czy jednak tak było? Skąd mogła to wiedzieć?

Mając siedemnaście lat, Gwynn stanęła na progu dorosłości. Ta perspektywa wcale jej się nie podobała. Nie

spodziewała się, że dorosłość będzie oznaczała tyle bólu i niepokoju.

- Jeszcze nie jesteś gotowa? - ofuknęła ją matka, która sposobila się do wyjścia. - Czas iść składać ofiary, a ty siedzisz i myślisz.

Evar zazwyczaj nie karcila Gwynn, jednak i jej stan ducha zdawał się odmienić przed nadchodzącym ślubem.

- Nie chcę tam iść - mruknęła jej córka. - Nie muszę chyba być przy składaniu ofiar? To okropne.

Tak, Evar wiedziała, że ta ceremonia nie należy do przyjemności, ale obyczaj nakazywał stawienie się na największym święcie w roku. Nie miała ochoty patrzeć, jak przestępcy giną w słomianych kukłach ani jak odartych ze skóry zdrajców wpycha się do pni drzew, jednak niepojawienie się na obrzędach mogło spowodzić na ród gniew bogów. Evar była przesadna, w odróżnieniu od Rutena, i święcie wierzyła druidom. Mogła jednak zrozumieć niechęć córki do tego rodzaju uroczystości.

- Pamiętam, jak po Samain Geillis przyniosła do mnie Galvana - powiedziała nagle. - Był taki mały i niczego nie rozumiał. Geillis starała się nie płakać. Miała wtedy tyle lat, co ty teraz. Była jeszcze dzieckiem. Galvan obudził się w nocy zapłakany i wołał matkę. Musiałam go tulić, żeby zasnął.

Gwynn spoglądała na matkę szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytała.

- Wspomnienia - uśmiechnęła się Evar. - Kiedy cię rodziłam, Galvan schował się pod stołem. Wszystkie kobiety były zajęte mną, dlatego żadna go nie zauważyła. Po wszystkim wyszedł stamtąd i podszedł do mojego łóżka. Kazałam mu wtedy opiekować się tobą.

Gwynn czuła się nieswojo. Dla niej Galvan był uosobieniem męskości i siły, nie potrafiła wyobrazić go sobie jako małego chłopca, chociaż pamięć podsuwała jej na wpół wyblakłe obrazy z dzieciństwa. Pamiętała jak przez mgłę jasnowłosego chłopca o niesamowicie błękitnych oczach, ale to wspomnienie było ulotne jak muśnięcie skrzydeł motyli.

- Nie ma co siedzieć, Gwynn - odezwała się Evar. - Wstawaj

i ubieraj się.

Dziewczyna skrzywiła się, ale była posłuszna matce. Chcąc nie chcąc włożyła odświętną suknię, ozdobiła się złotem i wyszła razem z matką i siostrami na coroczne wielkie składanie ofiar. Właściwie było to przyjemne święto, pomimo jesiennego chłodu i ciemności rozjaśnianych blaskiem pochodni. Do momentu, w którym wywlekano zakutych w łańcuchy przestępców, by spalić ich w słomianych makietach, było naprawdę interesujące. Gwynn nie lubiła patrzeć na końcowe ofiary, te najważniejsze. Ale starsi ludzie reagowali zupełnie inaczej. Nie rozumiała tego. Być może mieli swoje powody.

Zobaczyła go na samym początku. Stał oparty o pień drzewa i rozmawiał ze swoim bratem Brennusem. Uśmiechał się, ukazując piękne zęby. Gwynn w jednej chwili zapomniała o wszelkich obawach. Liczyła się tylko jego piękna twarz i smukła sylwetka. Długie nogi, giętka talia, szerokie ramiona, blond włosy opadające na ramiona, no i te intensywnie niebieskie oczy, które zdawały się odbierać cały błękit jesiennemu niebu. Nikt nie miał tak błękitnych oczu, nawet Geillis, jego matka.

„Jesteś głupia” – karciała w duchu samą siebie. „On nie widzi nikogo poza tą przeklętą dzikuską z gór. Ją kocha, nie ciebie. To z nią wolałby płodzić kolejne dzieci. Ty jesteś tylko...”. Jednak w tym momencie przeszła ją znacząca myśl: nie była tylko drugą kobietą Galvana. Miała zostać jego żoną, matką legalnych dzieci. Nie była małżonką na rok, tak jak Uatah. Galvan zobowiązał się przedłużyć kontrakt małżeński. Inaczej Ruten nie oddałby mu córki. Miała więc być jego małżonką przez szereg lat, pierwszą i najważniejszą, chociaż pewnie później będzie mógł ożenić się raz jeszcze i mieć nałożnicę, a nawet drugą legalną żonę. Jednak to ona będzie najważniejsza w jego domu. Tyle tylko, że Gwynn pragnęła być tą jedyną. Nie dbała o tytuły i zaszczyty. Chciała mieć Galvana tylko dla siebie, pragnęła widzieć miłość w jego oczach. Tego właśnie nie zamierzał albo nie mógł dać przyszłej żonie. Dlatego było jej bardzo przykro.

Galvan dostrzegł ją. Gwynn natychmiast spuściła wzrok, nie chcąc patrzeć mu w oczy. Obawiała się, że wyczyta z nich, co do niego czuje. Była przekonana, że on i tak już wie. Pewnie uważał ją za niegodną siebie. To wstyd tak szafować uczuciami. Nie wypada publicznie okazywać emocji. Miłość to tylko słowo. Jednak Gwynn wiedziała, że jest inaczej. Czuła, jak słowo „miłość” rozrasta się w niej z gwałtownością, której się bała.

- Witaj, Gwynn - usłyszała jego głos tuż nad swoją głową. - Pięknie dzisiaj wyglądasz.

Miała ochotę zapytać go, czy naprawdę tak uważa, ale powstrzymała się ostatkiem sił. Skrępowana milczała, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie była przyzwyczajona do komplementów, a już zupełnie nie potrafiła reagować na pochlebstwa Galvana.

- Dziękuję - wyszeptała.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie była przyzwyczajona do rozmów z Galvanem. Nikt nie prawił jej komplementów. Na dobrą sprawę Gwynn nie wiedziała nawet, jak wygląda, pomijając oczywiście włosy i ogólny zarys ciała. Jej matka posiadała kiedyś zwierciadło, potem jednak się stłukło. Od tej pory Gwynn przeglądała się jedynie w wodzie. Nie widziała twarzy narzeczonego, kiedy wypowiadał słowa o jej urodzie, nie potrafiła zatem orzec o ich prawdziwości.

Galvan zaczął rozmawiać z jej matką. Tak jakby Gwynn nie istniała. Poczowała się dotknięta i poniżona, ale przecież była tylko narzeczoną, a nie przyszłą teściową. Stała więc ze skromnie spuszczoną głową niby uosobienie wszelkich cnót i nie wtrącała się w rozmowę, chociaż miała ogromną ochotę odciągnąć Galvana na bok i wypytać go o wszystkie kwestie, które nie dawały jej spokoju.

Stała tak przez cały czas składania ofiar, nawet nie drgnęła. Galvan skończył rozmowę i odszedł do swojej matki, a Gwynn spoglądała za nim, wprost pozerając go wzrokiem. Ledwo docierały do niej wrzaski palonych ludzi, nie słyszała okrzyków tłumu, nie słyszała mądrych słów druidów, nie słyszała napomnień swej matki. Stała jak ogłuszona ze wzrokiem utkwionym w wysokiej, smukłej postaci swego narzeczonego.

Drgnęła. Ktoś na nią spoglądał. Gwynn zmrużyła oczy i ujrzała w półmroku kobietę, która stała tuż obok i przyglądała jej się w skupieniu. Miała długie rude włosy i odziana była jak kapłanka. Spojrzenie kobiety było przenikliwe. Gwynn miała wrażenie, że przepala ją na wylot.

Ku jej wielkiemu zdumieniu Evar skłoniła się przed obcą kobietą.

- Pani Scatah - szepnęła z nabożną czcią w głosie. - Co robisz w Gergowii o tej porze?

„Scatah?” - przemknęło Gwynn przez głowę. „Teściowa Galvana...”.

- Jest Samain - odparła Scatah. - A ja mam obowiązek w nim uczestniczyć.

„Akurat” - pomyślała dziewczyna i natychmiast poczuła na sobie jej wzrok.

- A poza tym - ciągnęła kapłanka - nie mogę przegapić ślubu mojego ucznia i twojego wychowanka.

Zwyczaj chciał, by kapłanka błogosławiła małżeństwu wybranego ucznia. Ironia losu sprawiła, że tę funkcję pełniła teściowa Galvana, w dodatku była. Gwynn poczuła się przez to jeszcze gorzej.

- Kiedy ma nastąpić uroczystość? - zapytała Scatah, choć dziewczyna miała wrażenie, że kapłanka doskonale o tym wie.

- Za siedem nocy - poinformowała Evar.

- A to narzeczona? - Scatah podeszła do Gwynn i przyjrzała się jej. - Piękna, mądra i odważna. I kocha go. Tak, Gwynn, dasz mu synów, pięknych i dorodnych.

Evar uśmiechnęła się zadowolona z pochwały. Gwynn jednak nie mogła się powstrzymać od zadania pytania:

- A córki?

Po twarzy Scatah przemknęło coś na kształt współczucia.

- Los wybranego jest ciężki i surowy. Muszą się na to godzić i on, i jego wybranka, Gwynn - odezwała się cicho. - Moja córka pokochała go wbrew zasadom zdrowego rozsądku i naszym zwyczajom, zabraniającym adeptkom darzyć uczuciem swego wybrańca, z którym płodzą dzieci poświęcone bogom. Uatah zapłaciła za to słoną cenę, a przyjdzie jej jeszcze

cierpieć, bo nadejdzie dzień, w którym ponownie połączy się z Galvanem, by obdarzyć go błogosławieństwem przed walką.

Gwynn poczuła, że robi jej się słabo, ale trzymała się na nogach.

- Swej córki zrodzonej z Uatah nie ujrzy Galvan w ciągu następnej dekady, dopiero za wiele lat dane mu to będzie. I on cierpi z tego powodu, bo jakkolwiek uczucie do Uatah kiedyś się zmieni i nabierze innego wymiaru, zaś miłość do dziecka pozostanie ta sama. Rozumiesz mnie? Jemu nie jest lżej niż tobie z powodu tego związku. Ty masz go kochać i dawać mu ukojenie. Twoim zadaniem jest rodzenie mu ślubnych synów. Wzięłaś je na siebie, godząc się na to małżeństwo, Gwynn.

Dziewczyna poczuła łzy w oczach. Starła się nie okazać przed tą dumną kobietą, jak bardzo jej żal. Na próżno - słone strugi popłynęły po jej gładkich policzkach.

- Skąd wiesz to wszystko? - zapytała.

- Wiem to, co było, co jest i co będzie. Widzę rzeczy zapisane w gwiazdach. Urodzisz czworo dzieci, Gwynn. Troje z nich będzie należało do twego męża.

Evar spojrzała na nią zdumiona.

- Jak to? Moja córka popełni cudzołóstwo? - wykrzyknęła oburzona.

- Dwóch synów zrodzonych z wybrańca dla podniesienia chwały rodu - powiedziała enigmatycznie Scatah. - Jedna córka dla umocnienia więzi. Jeden syn zrodzony z orła, by wyjednać światło życia, kiedy wokół będzie mrok śmierci. Ty jesteś właściwą osobą dla niego, Gwynn. Nie dopuść nigdy do rozwodu, nie odchodź od Galvana, nawet jeśli będzie cię odtrącał, nawet jeśli do swego domu wpuści Germankę, by z nią scementować sojusz polityczny. W noc poślubną mąż nie da ci miłości. Będzie mówił słowa pełne smutku, ale jeśli je zniesiesz i przejdziesz mimo nich, spełnisz swoje zadanie.

- Czy on mnie pokocha? - zapytała Gwynn, dla której to było ważniejsze niż wszelkie niejasne przepowiednie Scatah.

- Miłość rodzi się powoli, dojrzewa w trudach codzienności i owocuje, a dopiero po latach wydaje plon, kiedy piękno

i powab młodości dawno już przeminą. Wtedy poznasz, czy go kochałaś i czy on kochał cię.

Gwynn poczuła się zawiedziona taką odpowiedzią. Nie lubiła, kiedy odpowiadano jej w taki sposób. Wolała uzyskać jasną odpowiedź. Gubiła się w zagadkach.

- Czyli nie będę z nim szczęśliwa - westchnęła.

Zielone oczy Scatah przeszły ją na wylot.

- Gwynn, szczęście to nie jest coś, co możesz wyjąć i trzymać w ręce, kiedy zechcesz. Ono przychodzi i odchodzi. Zapytaj swoją matkę, czy zaznała wiele szczęścia w życiu z twym ojcem. Codziennosc, Gwynn, to nasze życie, a o szczęściu będziesz mogła powiedzieć na łożu śmierci, nie przed. I pamiętaj, Galvan może być do cię bardziej przywiązany, niż zechce ci okazać. Weź to pod uwagę. A skoro mowa o szczęściu, to wiedz, że Uatah będzie cierpieła w życiu znacznie bardziej niż ty, jej droga jest już bowiem wytyczona. Ona nie ma wyjścia i nie może odmówić. Ty możesz zawsze się rozwieść i odejść od Galvana.

To powiedziawszy, Scatah nakryła głowę połą płaszczem i odeszła w tłum, zostawiając zdumioną Gwynn w towarzystwie matki.

- Chodź do domu - szepnęła Evar. - Święto się skończyło.

Nie chciała wdawać się w dyskusję z córką, bo to, co powiedziała Scatah, poruszyło ją do głębi. Evar była mądrą kobietą i aż za dobrze zrozumiała, co Scatah miała na myśli, mówiąc o czwartym dziecku. „Założę się, że nie będzie wychowywać tego syna” - pomyślała. „Dziecko orła będzie rosło wśród drapieżników, nie tutaj. Biedna Gwynn, Ruten nie miał pojęcia, w co ją wplątał. A i ona sama nie do końca chyba pojęła, w jak misterną sieć została wciągnięta”.

Evar nie potrafiła do końca przejrzeć planów Scatah. Tak naprawdę jej podejrzenia kończyły się niemal w tym samym miejscu, w którym się zaczynały. Szczerze powiedziawszy, bała się nawet próbować zgłębić zagadki Scatah. Wolała, żeby przyszłość pozostała dla niej niejasna.



## VIII

Gwynn obudziła się raptownie. Nienawidziła tych swoich wyrazistych snów, bo później długo musiała leżeć i przekonywać samą siebie, że to, co widziała, nie zdarzyło się naprawdę. Teraz też wpatrywała się w półmrok panujący w izbie i starała się powrócić do rzeczywistości.

Śniło jej się, że rodziła dziecko. To był wyjątkowo duży chłopiec, jak się potem okazało. Bóle stawały się nie do zniesienia i Gwynn krzyczała we śnie, a głos niósł się daleko. Między jej nogami siedziała rudowłosa kobieta. Miała zakrwawione ręce. Gwynn wiedziała, że ta krew uchodzi z jej ciała. W pewnym momencie kobieta uniosła głowę i dziewczyna ku swemu przerażeniu ujrzała Uatah. Wiedziała, że to ona, chociaż nigdy wcześniej jej nie ujrzała.

- Nie nadajesz się do rodzenia dzieci - usłyszała. - Nie potrafisz dać swemu mężowi syna.

Gwynn chciała powiedzieć, że to nieprawda, że świetnie się do tego nadaje i umie wydać dziecko na świat, ale Uatah patrzyła na nią oskarżycielsko, jakby nie chciała wierzyć w jej zapewnienia. Gorsze było to, że we śnie kapłanka dosłownie czytała w myślach dziewczyny.

Wreszcie dziecko opuściło jej łono. Gwynn leżała wycieńczona i wyciągała do niego ręce. Nagle sceneria zmieniła się i dziewczyna nie znajdowała się już we własnym domu. Była w jakimś obcym miejscu, którego nie potrafiła nazwać. Obca kobieta trzymała przed sobą dziecko.

- Bękart - szeptały niewiasty, które nie wiadomo skąd nagle pojawiły się przy łóżku Gwynn. - Urodziła bękartą. Hańba. Wstyd.

Rudowłosa kobieta patrzyła na Gwynn ze zrozumieniem.

- Nie miała wyjścia. Musiała to zrobić. Nie mogła inaczej postąpić.

- Mogła nie szlajać się po obozach - zawyrokowała jedna z sąsiadek.

- Musiała - odparła rudowłosa. - Gdyby nie to, zabiliby go. To dziecko będzie naszym atutem, kiedy przyjdzie czas.

- Czas na co? - zapytała Gwynn. - Jaki czas?

Twarz rudowłosej zmieniała się w okropny grymas. Rysy zniekształciły się makabrycznie, wydłużyły i wyostrzyły. Gwynn zaczęła krzyczeć. Czuła, jak jakaś siła rozrywa jej ciało na strzępy, a ciepła krew zalewa jej uda. Wiedziała, że umiera. Kobieta o rudych włosach zanosila się okropnym śmiechem. Dźwięczał on w uszach Gwynn jeszcze długo po obudzeniu.

Leżała, ciężko dysząc. Odruchowo przyłożyła rękę do brzucha, by sprawdzić, czy rosnącemu tam życiu nic nie zagraża. Jednak dziecko najwyraźniej spało, nie poruszało się, jak to miało ostatnio w zwyczaju. Poczula ogromną ochotę przytulenia się do Galvana, ale on nocę spędzał z nałożnicami lub samotnie, odkąd była brzemienna. Irytowało ją to niezmiernie, bo używał sobie z innymi, kiedy potrzebowała jego ciepła i bliskości. Zdawał się tego nie dostrzegać.

- Mój mąż też sypiał z nałożnicami, kiedy oczekiwałam dzieci - pocieszała ją Geillis. - Nie ma w tym nic dziwnego. Mężczyźni muszą znajdować ujście dla swych żądz, a nic bardziej ich nie odstręcza niż ciężarna żona z obrzmiałymi stopami, spuchniętą od wody twarzą i wielkim, sterczącym brzuchem.

Kobieta mówiła to ze śmiechem, ale Gwynn dostrzegła błysk niepokoju w jej pięknych oczach. Wiedziała, że Galvan sypiał z ciężarną Uatah, i domyślała się, dlaczego nie chce tego robić teraz.

Przeklęta Uatah prześladowała ją nawet w snach. Pierwsza żona Galvana wciąż żyła w jego wspomnieniach, a on jak głupi nadal wmawiał sobie, że darzy ją uczuciem. Gwynn zgrzytała zębami na samą myśl o tym, ale milczała i czekała cierpliwie, aż uczucia męża odmienią się. Przecież nie było tak źle. Okazywał

jej wiele życzliwości, był czuły i opiekuńczy, wyrozumiały i dobry, spełniał każdą jej prośbę, jakby miał wyrzuty sumienia, że nie potrafi dać jej czegoś więcej. A Gwynn znosiła wszystko w milczeniu, czekając, oddając mu swoje uczucie i patrząc z bólem, jak on idzie nocą do nałożnic, by zrobić to, czego z nią nie chciał.

Gwynn przekręciła się na bok. Dziecko było już na tyle duże, że podczas leżenia na boku jego główka boleśnie wrzynała jej się w żebra, ale nie mogła dłużej wytrzymać na plecach. Za dwie pełnie miała rodzić. Niedługo po Lughnasadh. Wiedziała, że to będzie syn. Chłopiec. Pierworodny Galvana... Nie. Nie pierworodny. Miał przecież córkę, Aife, której Gwynn nigdy nie widziała. Wcale zresztą do tego nie tęskniła. Nie chciała o tym myśleć. Fakt, że Galvan miał już dziecko, pulsował gdzieś w jej podświadomości, chociaż on nigdy nie wspominał o dziewczynce. Cieszył się natomiast na wieść o ciąży Gwynn. Pamiętała ten dzień krótko po Samain. Galvan uściskał ją, a nazajutrz przywiózł jej złotą klamrę z Gergowii.

Skuliła się pod okryciami z owczych skór. No cóż, musiało do tego dojść, skoro spędzali ze sobą dość upojne noce. Nawet bardzo. Na samą myśl o nich Gwynn czuła, że jej ciało stoi w płomieniach. Tylko co z tego, skoro on dawał jej jedynie namiętność i żar, ale nie miłość? Kiedy się kochali, widziała w jego oczach coś, czego nie potrafiła nazwać. Czy to była czułość? Oddanie? Kiedy osiągał spełnienie w jej ramionach, błysk w oczach był tak wyraźny, że Gwynn niemal była pewna, co oznacza. Jednak później, kiedy odwracał się, czuła się opuszczona i samotna, mimo że najczęściej tulił ją do snu. Potem szybko zasypiał. Nie dzielił się z nią myślami w te noce, kiedy ze sobą sypiali.

Powróciła do nocy poślubnej. Nie, nie chciała o tym myśleć. Jednak mimo wszystko to się zdarzyło. Było cudownie, pięknie, Galvan był delikatny i czuły, sprawił, że niemal nie czuła bólu, a chociaż nie mógł jej ponieść ku rozkoszy, ponieważ był to jej pierwszy raz, dał żonie pewną przyjemność. Kiedy jednak sam osiągał szczyt, z jego ust wyrwał się niekontrolowany okrzyk.

Gwynn ku swemu przerażeniu usłyszała imię jego pierwszej żony.

- Uatah! - krzyknął Galvan w miłosnym uniesieniu.

Gwynn nie mogła wymazać z pamięci jego pełnego miłości i pasji okrzyku, kiedy leżał po raz pierwszy w jej ramionach i przywoływał imię innej kobiety. Tamtej nocy czuła upokorzenie niemające sobie równych. Nie pomagała ani bliskość Galvana, ani dotyk jego skóry, jego zapach, smak, czułość, którą jej okazywał. To wszystko nie miało dla niej znaczenia po tamtych słowach, które zresztą wypowiedział bezwiednie. Prawdę mówiąc, jego nieświadomość niewiele ją obchodziła.

Od jakiegoś czasu miewała koszmary. Budziła się wtedy w nocy i szukała odruchowo ręki Galvana, jednak nie zawsze ją odnajdywała. Były noce, kiedy z nią spał, ale zdarzało się, że szedł w ramiona innych kobiet po to tylko, by z nimi doznać rozkoszy. Gwynn wiedziała o tym, ale i tak nie mogła pozbyć się gorzkości i smutku. Nie czuła natomiast upokorzenia. To, że Galvan zabawia się ze służebnymi i z brankami, nie miało dla niej większego znaczenia. Mężczyźni tak robili i nic nie mogło tego zmienić. Ale to ona była jego legalną, pełnoprawną żoną, nie tamte wszystkie, których nawet nie zapamiętywał.

„Dziecko Galvana” - ta myśl była oszałamiająca. Gdyby jeszcze mogła nazwać je owocem miłości, jej szczęście byłoby pełne. Jednak nie było jej to dane. To dziecko stanowiło gwarancję związku, dopełnienie sojuszu plemiennego, ale na pewno nie owoc miłości.

\*

Na Sein panował spokój. Uatah z uśmiechem patrzyła, jak jej córeczka nieudolnie stawia pierwsze kroki. Aife niebawem miała skończyć rok, ale bardzo szybko zaczęła mówić i chodzić. Jej główkę pokrywał jasnorudy puch, a oczy miała intensywnie niebieskie, zupełnie niczym niebo zimą. Uatah, patrząc w nie, czuła dławiący ból w piersiach. Nie potrafiła zapomnieć Galvana. Chociaż odstawiła już Aife od piersi, bo pokarm skończył jej się szybko i w związku z tym niebawem miała

rozpocząć właściwą naukę, w jej duszy nadal krwawiła rana, która nie potrafiła się zagoić. Ilekroć Uatah patrzyła na swoje dziecko, przypominała sobie słowa matki o cierpieniu. Nic nie mogła na to poradzić. Wiążąc się z Galvanem węzłem rytualnego rocznego małżeństwa, z którego miało się zrodzić poświęcone bogom dziecko, pełniła jedynie funkcję córki kapłanki. Tak jak jej matka kiedyś, Uatah służyła jedynie jako narzędzie do sprowadzenia na świat potomka najlepszego ucznia, Wielkiego Króla Wojowników. Nic więcej. I to dziecko kroczyło teraz przed nią jak żywy dowód jej nieszczęścia. Tak naprawdę Uatah nie zrobiła niczego złego. Popełniła jeden jedyny błąd, zakochując się w Galvanie bez pamięci. To przed tym ostrzegała ją matka i to tych słów mądrości Uatah nie chciała słuchać. Teraz przyszło jej płacić za to podwójną cenę.

Aife śmiała się, pokazując matce cztery białe ząbki. Cóż to był za uroczy dzieciak! Z każdym dniem coraz bardziej podobny do Galvana, co napawało kapłankę szczęściem, ale też bezbrzeżnym smutkiem.

- Uatah! - rozległ się spokojny głos za jej plecami.

Wstała posłusznie. Mimo iż była córką Mistrzyni, Wielkiej Kapłanki, która szkolila przyszłych wojowników i wtajemniczała ich, Uatah pozostawała na Sein jedynie jedną z wielu adeptek.

- Słucham.

- Twoja matka przybywa po ciebie.

Uatah była cokolwiek zdumiona. Czyż matka nie powinna przebywać w dolinie? Przecież jej obowiązkiem było nauczanie młodych ludzi; nie mogła sobie raczej pozwolić na odwiedziny na Sein. Chyba że stało się coś ważnego. Albo...

Uatah wzięła dziecko na ręce i pobiegła w stronę domu uczennic. Pojawienie się matki na Sein mogło wiązać się tylko z jedną osobą. Doskonale o tym wiedziała. Czyżby Galvan...

Scatah stała w stroju podróżnym. Bujne rude włosy kapłanki zebrane były w warkocz. Uatah przyjrzała się matce i ze zdumieniem odkryła, że jej skronie naznaczone są pasmami siwizny. No tak, Scatah miała ponad czterdzieści lat. Choć jej uroda była wspaniała, a ciało wyćwiczone, czas musiał kiedyś zacząć upominać się o swoje prawa.

- Matko - wykrztusiła dziewczyna. - Co cię tu sprowadza?

Scatah była niepokojąco poważna. Zwykle w jej oczach czaiły się iskierki humoru, ale tym razem miała dziwnie zaciętą twarz.

- Zbieraj się, córko - odezwała się. - Jedziesz ze mną do Gergowii.

Uatah zbladła.

- Co się stało? - zapytała przerażona.

- Galvan chce wejść w sojusz z Ariowistem. Arwernowie połączą się ze Swebami. To oznacza, że lada moment sprzymierzą się z Rzymem. Musimy jechać do Gergowii, aby wziąć od Galvana rękojmię, że nas nie zdradzi.

Scatah wyglądała na zdecydowaną.

- Matko, przecież chciałaś, by Galvan to uczynił - zdziwiła się Uatah. - To mu zapewnia mocną pozycję wśród Celtów.

- Tak. Chciałam tego. I dlatego właśnie musimy wziąć od niego zakładnika, by pewnego dnia Galvan nie zwrócił się przeciwko swoim. Mając zapewnioną przyjaźń narodu rzymskiego, łatwo może zapomnieć o powinnościach względem współplemieńców. A on musi pamiętać o dawnych sojuszach.

Uatah była zbita z tropu.

- Matko, czasami cię nie rozumiem - mruknęła. - Galvan dokonał zemsty na zabójcach ojca. Ożenił się z Gwynn, córką Rutena, i w ten sposób połączył dwa najmożniejsze rody. A teraz wejdzie w przymierze z potężnym władcą zza Renu! Czy to ci nie wystarcza? Jeżeli będzie kontynuował taką politykę, jego potęga nie będzie miała sobie równych.

Scatah wzięła od córki Aife, kiedy ta nakładała płaszcz podróżny.

- Moja droga, na razie wszystko idzie pomyślnie, to prawda - powiedziała, uśmiechając się do wnuczki. - Ale pamiętaj, jeżeli komuś ufasz, musisz go tym bardziej kontrolować. Wiem, że go kochasz i uważasz za najlepszego męża na tej ziemi. Ale nie zapominaj, że Galvan jest tylko człowiekiem. Osiem lat nauki u druidów i pięć lat szkolenia nie czynią go władcą.

- O ile wiem, on jest władcą z urodzenia - przypomniała Uatah.

- Tym bardziej trzeba mu przypominać, gdzie jest jego miejsce. Weźmiemy od Galvana to, co będzie dla niego najcenniejsze. I zrobimy to już teraz.

Uatah skończyła szykować się do drogi. Powierzyła dziecko opiece kapłanek i ruszyła za matką w stronę przystani, gdzie czekała na nie łódź. Dopiero kiedy znalazła się w środku i odbiły od brzegu, dziewczyna zrozumiała zamiary matki.

- Gwynn, prawda? - zapytała. - Gwynn jest brzemienna. Nie powiedziałaś jej wszystkiego, kiedy przepowiadałaś dziecko.

Scatah uśmiechnęła się przelotnie, ale z zadowoleniem.

- O tak, Gwynn z pewnością dziwi się, że ma tak ogromny brzuch. Nie domyśla się podwójnego życia. Przepowiedziałam jej czwórkę dzieci, ale nie wyjawiałam, kiedy każde z nich się urodzi. Dwóch synów zrodzonych z wybrańca dla podniesienia chwały rodu. Jedna córka dla umocnienia więzi. Jeden syn zrodzony z orła, by wyjednać światło życia, kiedy wokół będzie mrok śmierci. No, moje dziecko, znasz runy i szyfry. Odczytuj zagadkę.

Uatah zasepiła się. Z niechęcią pomyślała, że Galvan będzie miał z Gwynn aż czworo dzieci.

- Troje - poprawiła ją matka, czytając jej w myślach. - I czwartą Aife. Nie spłodzi więcej dzieci z Gwynn, a o nieślubnych nie będzie wiedział. One nie mają znaczenia.

- Dziecko orła - mruzczała Uatah pod nosem. - Dziecko orła... Orzeł jest symbolem Rzymian.

- Świetnie! - wykrzyknęła Scatah. - Wiedziałam, że jesteś zdolna. Nie na darmo jesteś córką swego ojca.

Uatah spojrzała na matkę pytająco.

- Nigdy nie chciałaś mówić o moim ojcu - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Ponoć sama nie wiesz, kim był. Ponoć to jakiś obcy z Armoryki.

Scatah unikała wzroku córki.

- Dobrze wiem, kim był twój ojciec. I kiedy czas nadejdzie, powiem ci o tym, ale...

- Celyllus - przerwała jej Uatah. - Moim ojcem był Celyllus, prawda? Ojciec Galvana. Wielki wojownik, którego namaszczałaś na naczelnika. Miał być królem Arwernów. Nie

był to jeden z twoich uczniów.

Scatah roześmiała się.

- Nie przeceniłam cię, Uatah. Celtyllus, tak. Jedyny człowiek, którego kiedykolwiek kochałam. Pozwoliłam ci na małżeństwo z Galvanem, ponieważ jest on twoim przyrodnim bratem. Wasz związek służył umocnieniu rodowych więzi. Celtyllus nie wiedział, że jesteś jego dzieckiem. Nigdy cię nie zobaczył. Wiedział jedynie, że spłodził potomka. Kazałam mu jednak odejść, kiedy byłam ciężarna. Rok później urodził się Galvan. Wiedziałam, że będziecie razem. Aife nosi w sobie królewską krew po nim i po tobie. To jej da wysoką pozycję. Potomek twojej córki będzie kiedyś członkiem królewskiej rodziny.

- Czyjej? W Celtyce nie ma królów.

- W Celtyce nie. Na Albionie - tak.

Uatah poczuła buzującą w niej złość.

- Więc chodziło ci o zapewnienie swoim prawnukom władzy? - wykrzyknęła. - I pozycji? I do tego był ci potrzebny Galvan? I ja?

- Uspokój się, Uatah - uciszyła ją matka. - Jesteś kapłanką, wojowniczką i przyszłą Mistrzynią. Dopóki żyję, nie masz wpływu na swój los. Ostrzegałam cię, żebyś trzymała uczucia na wodzy, ale ty jak głupia słuchałaś serca. Od wieków związki między naczelnikami, druidami, wojownikami i kapłankami rodziły dzieci przeznaczone do świątyń albo na tron. Doskonale o tym wiedziałaś. Nie należało mieszać w to uczuć. Aife będzie kiedyś Mistrzynią, a twoim obowiązkiem będzie powierzyć jej córkę królom Albionu. Miałam ci to powiedzieć, kiedy zakończysz naukę. Widzę, że pospieszyłam się z informacją o twoim ojcu, bo nie dorosłaś jeszcze do dźwigania brzemienia wiedzy, Uatah. Jesteś zaślepiona uczuciem do człowieka, którego los także leży w rękach bogów i moich.

Uatah poczuła palące łzy pod powiekami. Miała ochotę rzucić się na matkę i rozszarpać ją na strzępy, ale wiedziała, że Scatah ma rację. To ona, Uatah, była nierozsądna. Należało zachować zimne serce i trzeźwy umysł, a ona pogwałciła odwieczne prawa i nakazy wojowniczek. Zakochała się w swoim



partnerze.

- Poza tym nie chodziło mi wcale o zapewnienie moim potomkom tronu - syknęła Scatah, teraz już wyraźnie zła - tylko o zjednoczenie Celtyki. I to jest zadanie Galvana, a my jesteśmy po to, aby mu o tym przypomnieć.

- Niby w jaki sposób? - zapytała ponuro Uatah. - Odbierzesz mu pierworodnego syna?

- Nie. - Głos Scatah zabrzmiał głucho. - Odbiorę mu córkę.

Uatah patrzyła na matkę ze zdumieniem, ale Scatah szykowała się, by powiedzieć coś znacznie gorszego.

- I powierzę ją tobie - dodała.

\*

Gwynn nienawidziła swoich snów, ale to, co się teraz działo, było ich upiornym spełnieniem. W środku nocy obudził ją potworny ból, zupełnie jakby ktoś usiłował rozszarpać jej wnętrzności. Od razu zorientowała się, w czym rzecz, ponieważ uda miała mokre, a wcześniej w ciągu dnia wielokrotnie chwytały ją przelotne bóle, które jednak ignorowała.

Ze złością pomyślała, że to niesprawiedliwe, że poród zaczyna się w nocy. W dodatku do rozwiązania brakowało trzech tygodni i Gwynn niepokoiła się nie na żarty. A jeśli dziecko nie przeżyje?

- Przeżyje - uspokajała ją matka. - Ma już rozwinięte płuca i potrafi oddychać, a na dworze jest ciepło. Mamy lato, Gwynn, dziecko nie zamrznie na śmierć.

Służba zbiegła się, gdy tylko Gwynn na chwiejnych nogach, czepiając się ścian, weszła do sypialnej izby Geillis, by powiadomić ją o wszystkim. Do pomieszczenia, w którym Galvan spał ze swoją nałożnicą, nie miała odwagi wejść. Nie zniosłaby takiego upokorzenia.

Geillis jednym susem znalazła się na nogach. Ubierając się w ciemnościach rozpraszanych przez blask księżyca, zaczęła wołać służbę. Rozkazała niewolnikom udać się po Evar, a potem wkroczyła do tymczasowej sypialni Galvana. Nic sobie nie robiła z faktu, że jej syn leżał w objęciach niewolnicy. Stała

w progu z pochodnią.

- Wstawaj - rzuciła krótko. - Twoja żona rodzi.

Geillis lubiła synową. Nie mogła znieść myśli, że Galvan sypia z nałożnicami, podczas gdy to biedne dziecko męczy się ze swoim brzemieniem. Co prawda Celtyllus w swoim czasie robił to samo, ale Geillis źle znosiła ciężę. Była rada, że nie musi spełniać zachcianek męża i on używa sobie z innymi. Wiedziała, że nie ma prawa ganić syna, ale nie mogła się powstrzymać od złośliwych komentarzy.

Reakcja Galvana zaskoczyła ją. Syn natychmiast wstał i narzucił ubranie na wspaniale umięśnione ciało.

- Od kiedy? - zapytał.

- Od co najmniej kilku godzin - powiedziała Geillis. - Jednak nie zanosi się na szybki poród. Gwynn będzie cierpieć.

Galvan włożył buty.

- Idź do siebie - nakazał nałożnicy. - Sprowadź kobiety.

Geillis patrzyła, jak smagła dziewczyna z Afryki, sprowadzona przez handlarzy niewolnikami z Massalii, szybko ubiera się i wstaje. Przez moment zastanawiała się, co musi czuć kobieta, kiedy mężczyzna, z którym przed chwilą leżała, każe jej sprowadzić pomoc dla rodzącej żony. Coś na kształt współczucia przeniknęło jej myśli, ale szybko się ulotniło.

- Pospiesz się - rozkazała dziewczynie. - Gwynn potrzebuje pomocy.

Galvana dawno nie było już w pomieszczeniu. Wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza przed tym, co go czekało. Rok temu towarzyszył Uatah podczas narodzin ich córki, więc doskonale wiedział, jak to wygląda. Różnica między zeszłorocznym porodem a tegorocznym polegała głównie na tym, że Galvan kochał pierwszą żonę, podczas gdy do Gwynn czuł co najwyżej głęboką sympatię.

Właściwie nie miał zamiaru uczestniczyć w tej rzeźni. Co innego zabijać ludzi, a co innego patrzeć, jak kobieta się wykrwawia. Okropieństwo. Uatah, rodząc dziecko, przyzwyczajona była do bólu, ale i tak nie potrafiła ukryć cierpienia. A Gwynn nigdy nie trzymała miecza w ręku, nie była wyszkoloną wojowniczką, nie była córką Mistrzynie. Była zwykłą

dziewczyną z Gergowii.

A niech to! Słyszał jej jęki, kiedy usiłowała powstrzymać krzyk. W końcu nie wytrzyma i zacznie wrzeszczeć. Tak jak Uatah, która nie umiała poradzić sobie z bólem, kiedy główka dziecka rozszarpała jej ciało. Galvan nie potrafił sobie wyobrazić, nie chciał myśleć, jak okropny to musiał być ból.

Przybyła Evar. Mimo iż był środek nocy, wyglądała na rozbudzoną i zupełnie przytomną. No tak, ale wezwano ją do córki. Musiała być na to gotowa od dłuższego czasu.

W pewnym momencie Galvan wszedł do środka. Ujrzał swoją żonę krążącą po izbie, podtrzymywaną przez Geillis i jedną z jego nałożnic. Gwynn miała rozpuszczone włosy, a odziana była w luźną lnianą tunikę. Na jej pięknej twarzy malowało się cierpienie. Galvan stał w progu, nie mogąc się ruszyć. Wiedział, że powinien do niej podejść, ulżyć jej w jakiś sposób, ale nie potrafił. Przed oczami miał wciąż postać Uatah, jak krążyła po komnacie swej matki, a potem trwała sprężona w jego objęciach. Nie! Musi przestać o tym myśleć.

Wszedł znowu na zewnątrz, ignorując pełne niepokoju spojrzenia Gwynn. Stał na progu i zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie zawarł ten związek. Do licha, przecież mógł mieć dziecko z nałożnicą. Z każdą jedną dziewczyną. Dlaczego akurat Gwynn? Bo była córką Rutena? Bo była piękna? Bo ją lubił? Przecież jej nie kochał! Nie kochał! W łóżu była taka sama jak każda inna nałożnica. Chociaż nie. Galvan poczuł, że coś narasta mu w gardle. Nie, Gwynn taka nie była. Tym wszystkim niewolnicom, służącym było obojętne, czy je zadowolą i czy one zadowolą jego. Kiedy kończył, wstawaly i szły do swoich obowiązków. No, chyba że chciał z którąś zostać dłużej. Tak jakby był krową do wydojenia albo owcą do ostrzyżenia. Nałożnice dawały mu swoje łono, tak jak dawały pierś dziecku swej pani. Innego określenia nie mógł na to znaleźć.

Gwynn... Jej szeroko otwarte oczy, jej rozpalone usta, jej ramiona zaciskające się wokół jego szyi, jej chętne ciało, jej ufność... Kochała go. Galvan o tym doskonale wiedział. I za każdym razem, kiedy zasypiał obok niej, miał poczucie ciepła

i bliskości. Zależało jej na tym, by go zadowolić. A teraz rodziła jego dziecko, prawowitego dziedzica, podczas gdy on nie był w stanie nawet do niej podejść. Co z nim się działo?

Zamieszanie na dziedzińcu przywołało go do rzeczywistości. Na podwórze wjechały dwie zakapturzone postacie. Starsza i młodsza, wyraźnie było to widać. Galvan zastanawiał się, jakie лихо niesie tu dwie kobiety, kiedy jednak zsunęły kaptury z głów, poczuł, jak wokół jego serca zaciska się żelazna obręcz.

- Uatah - szepnął, zanim zdołał uzmysłowić sobie, że otworzył usta.

Dziewczyna nie mogła go słyszeć, ale w tym momencie spojrzała młodzieńcowi prosto w oczy. Galvan miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg, ale stał prosto i nawet nie drgnął. Jak to możliwe, że nie podbiegł do niej? Przecież o niczym innym nie marzył.

- Twoja żona już zległa? - zapytała Scatah, zdejmując płaszcz. Wręczyła go niegdysiejszemu zięciowi.

- Chodzi - wykrztusił z siebie Galvan. - Skąd wiedziałyście...

Scatah roześmiała się.

- No wiesz co! Mój najlepszy uczeń i pyta o tak oczywiste rzeczy!

Weszła do domu, zostawiając córkę za sobą. Uatah odpięła swój płaszcz i podała go Galvanowi. Ich ręce spotkały się na ułamek sekundy.

- Uatah - szepnął Galvan.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie teraz - jej szept brzmiał jak tchnienie wiatru. - Nie tutaj.

Galvan sam nie wiedział, czego oczekuje. Ujrzeć po roku twarz tej, którą tak bardzo kochał, to było dla niego wielkie przeżycie. Tym większe, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż ona za chwilę odejdzie na zawsze. Po raz drugi.

Uatah weszła do środka i po raz pierwszy ujrzała Gwynn. Serce ścisnęło jej się z żalu na widok wykrzywionej z bólu twarzy dziewczyny. Taka młoda. Tak piękna. I taka obojętna

temu, który stoi na zewnątrz. Do tej pory Uatah myślała o żonie Galvana z nienawiścią, sądząc wbrew zdrowemu rozsądkowi, że Gwynn ukradła jej męża. Teraz zrozumiała, że dziewczyna była tak samo nieszczęśliwa jak ona. Uatah nie mogła mieć tego, kogo kochała. Gwynn była przy nim, jednak ten człowiek nie darzył jej uczuciem. Były więc niemal w takiej samej sytuacji. Jednak Gwynn miała go! Czuła! Mogła go kochać, dotykać, co roku rodzić mu dzieci! I była jego legalną małżonką, możną panią, która ma prawo decydować o sobie. Ileż Uatah by oddała za możliwość patrzenia w te piękne oczy Galvana i dotknięcia jego twarzy!

Zacisnęła zęby i weszła do izby. Gwynn na widok kobiet załała falą strachu. „Zupełnie jak w moim śnie” – pomyślała. Scatah już poznała. Widziała tę kobietę kilkakrotnie, nawet z nią rozmawiała. Ale ta druga? Ta o bystrych zielonych oczach, wyraźnie naznaczonych smutkiem... Była zbyt podobna do Scatah, by Gwynn mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości. To była Uatah. Jej córka. Pierwsza żona Galvana. Poczwała zazdrość, ale to uczucie szybko minęło. Chwycił ją kolejny skurcz i nie mogła dłużej koncentrować się na kobietach. Czuła, jak jej twarz wykrzywia się z bólu. Niech to już się skończy! Miała dosyć. Czy nikt nie wiedział, jak cierpi? Czuła się, jakby ktoś chciał ją rozerwać od środka.

Ależ oczywiście, one wszystkie wiedziały. Każda z tych kobiet miała już dziecko. Tylko ona, Gwynn, nie przeszła do końca przez tę piekielną mękę.

Scatah zdjęła z Gwynn suknię i kazała jej uklęknąć. Swojej córce poleciła usiąść za rodzącą, a sama zajęła miejsce między nogami dziewczyny.

- Będzie dobrze – powiedziała, patrząc jej w oczy. – Urodzisz zdrowe dzieci.

Gwynn przymknęła oczy. Zrozumiała, po co przyjechały.

\*

W pierwszych promieniach słońca Uatah i Galvan stali nad rzeką. Scatah została w domu, by zjeść zasłużony posiłek.

Wysłała córkę nad wodę, by ta uprała ich zakrwawione odzienie, które zastąpiono kosztownymi sukniami Geillis. Co prawda praniem ubrań mogła się zająć każda służąca Galvana, ale Scatah nie była do tego stopnia pozbawiona uczuć, by nie pozwolić dziewczynie na rozmowę z Galvanem. Przymknęła oczy na fakt, że ich rozmowa może się skończyć czymś więcej. To była ich sprawa. Galvan wiedział, że nie wolno mu tknąć kobiety poświęconej bogom po zerwaniu rytualnej więzi. Z drugiej strony tylko Scatah wiedziała, że jej córka idzie nad rzekę z Galvanem. Nikt w zakonie nie miał pojęcia, dokąd tak naprawdę pojechała Uatah.

„Nie powinnam tego robić” – myślała Scatah, siedząc przy stole. „To jeszcze bardziej zachwieje jej umysłem”. Jednak widziała oczy dziewczyny, wyraz jej twarzy i ustąpiła.

Galvan poszedł za Uatah potajemnie. Po prostu wykradł się z własnego domu i przedarł przez las, by spotkać się z ukochaną. Wiedział, że ryzykuje. Gdyby ktoś zobaczył go z adeptką z Sein...

Kiedy zszedł nad rzekę, Uatah kończyła pranie. Miała podkasaną suknię, więc widział jej smukłe nogi. Włosy opadały jej przez ramię, ale Uatah nie zwracała na to uwagi. Na dźwięk jego kroków wyprostowała się i odwróciła.

Stali naprzeciw siebie nie wiedząc, co powiedzieć. Galvan czuł, że zaraz się udławi. To w nim narastało i narastało aż do krzyku, który w sobie zdusił. W następnej chwili trzymał Uatah w ramionach i tulił do siebie jak szalenciec, nie wiedząc, jak i kiedy to zrobił. Całował jej twarz, włosy, oczy, usta, a ona odpowiadała mu żarliwością na żarliwość, aż w końcu uwolniła się z jego objęć i odsunęła na odległość ramienia.

- Nie wolno nam - wykrztusiła.

- Nie obchodzi mnie to - odparł. - Czekałem tyle czasu, żeby ciebie zobaczyć. Myślałem, że umrę, że nie wytrzymam, że mnie zaraz rozerwie na strzępy. Nie masz pojęcia...

- Mam pojęcie - przerwała mu. - Nie ty jeden to czujesz.

Stali i patrzyli sobie w oczy. Uatah miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

- Masz syna, Galvanie - powiedziała cicho. - I córkę.

- Gwynn urodziła bliźniaki? - uśmiechnął się. - No, wspaniale.

Jednak czy to w ogóle go obchodziło? Cóż znaczyły dla niego dzieci spłodzone z konieczności, dwie małe, wrzeszczące istoty? Nie ujrzy ich, dopóki nie osiągną odpowiedniego wieku. Dał im życie i na tym koniec. No, może córkę będzie widział, ale syna... Za trzy lata odda go na wychowanie. Do tego czasu Gwynn urodzi pewnie kolejnego.

- Uatah - szepnęła znowu i zrobił krok w jej stronę. - Nie sądziłem, że cię jeszcze spotkam.

Dziewczyna ustąpiła krok do tyłu.

- Galvanie, nie zbliżaj się. Ulegnę ci, wiesz o tym, a tego nam właśnie nie wolno.

- A kto nam zabrania? - krzyknął Galvan. - Jesteśmy mężem i żoną, Uatah! Mamy dziecko!

- Nie jesteśmy mężem i żoną, w tym właśnie sęk - powiedziała ponuro. - Już nie.

„Już nie” - te dwa słowa zabolęły bardziej niż wszystkie ciosy otrzymane w trakcie szkolenia. Już nie. Już nie stanowili jedności. To, co między nimi było, takie piękne, czyste, już się nie liczy. Już nie.

- Więc ty mnie już... - zaczął, ale nie był w stanie skończyć.

Uatah pokręciła głową. W jej oczach zalśniły łzy.

- Jakżebyś mogła - załkała.

Galvan podszedł do dziewczyny i zamknął ją w objęciach. Wiedział, że to, co teraz nastąpi, to świętokradztwo, ale nie miał siły przeciwstawić się samemu sobie. Jakiś głos podszeptował mu, że to potrwa tylko chwilę, podczas gdy udręka będzie wieczna. Kiedy jednak w gorączkowym pośpiechu zsuwał suknię z ramion Uatah, nie liczył się z głosem rozsądku. Widział zasnute mgłą oczy ukochanej, miłość w jej spojrzeniu, pragnienie, by się z nim połączyć. Zatem zignorował podszepty i wziął ją, nie licząc się z konsekwencjami. Dał upust całorocznej tęsknocie, jaka go dręczyła. Jej pełen uniesienia jęk był dla niego najwyższą nagrodą.

Potem leżeli objęci na trawie, usiłując nie dopuścić do głosu okrutnej prawdy, że niebawem będą musieli się rozstać.

- Aife miewa się dobrze? - zapytał Galvan, nie odrywając ust od skóry Uatah.

- Jest podobna do ciebie. Ma twoje piękne błękitne oczy i twój uśmiech. Gdy nadejdzie czas, rozpoznasz ją bez trudu.

Galvan uśmiechnął się.

Naraz spowaźniał. Magiczna chwila minęła. Uatah wstała i w pośpiechu narzuciła na siebie suknię.

- Musimy iść - szepnęła - zanim twoja żona nabierze podejrzeń.

Galvan wstał również.

- Moja żona nic mnie nie obchodzi, Uatah - syknął. - Nic dla mnie nie znaczy. Dlaczego wam się wydaje, że możecie mną manipulować i mnie ustawiać? Uatah, ja niczego w życiu bardziej nie pragnę, jak być z tobą! Gwynn dobrze o tym wie. Kocham cię, każdego dnia męczę się bez ciebie. Co mnie w tej chwili obchodzi Gwynn?

Uatah na krótką chwilę ogarnęła euforia. Kochał ją. Ją! Nie Gwynn. Nie żadną inną. Ją! Zaraz nadeszło otrzeźwienie. No i co z tego? Mógł ją sobie kochać, ona mogła kochać jego, ale i tak nigdy się nie połączą, nie będą się razem starzeć, nie będą patrzeć, jak dorasta ich córka.

- Powinna cię obchodzić - warknęła. - Urodziła ci dzieci.

- Ty też.

Tak, ona też. Urodziła Aife. I musiała go opuścić. Z dzieckiem na ręku odprowadzała go do granic doliny i patrzyła, jak odchodzi we mgle.

- Uatah, ucieknijmy razem - powiedział nagle Galvan. - Weźmiemy dziecko i uciekniemy stąd. Nie będziemy się oglądać na to, co powiedzą inni.

- Ukarzą nas.

- Kto? Twoja matka? Moja? Mój wuj ucieszy się tylko z tego, że mnie nie ma. Nie obchodzą mnie rywalizacje plemienne, nie mam ochoty być wielkim naczelnikiem.

- I niby dokąd mielibyśmy iść? Prawo w Celtyce jest wszędzie takie samo. Przestaniemy się liczyć, będziemy banitami.

- To ucieknijmy do Rzymu. Tam nikt nie pyta o pochodzenie.



Wolę być żebrakiem w Rzymie, ale z tobą i naszą córką, niż tutaj pierwszym wśród możnych.

Uatah słuchała z bijącym sercem. Uciec z Galvanem? Wziąć Aife i raz na zawsze opuścić Gergowie? Osiąść w Rzymie, otrzymać obywatelstwo, nie martwić się misją powierzoną jej z racji urodzenia, nie dbać o konsekwencje? To było takie proste! Takie łatwe. Na wyciągnięcie ręki. Być z nim każdego dnia. Budzić się przy nim. Czuć go. Kochać.

Świadomość własnej bezradności uderzyła ją jak pięść. Nie mogła uciec. Złożyła śluby posłuszeństwa. Na Sein jako zakładnika zostawiła własną córkę. A odpowiedzialność? A Celtowie? A jakie to ma znaczenie? Niebieskie oczy Galvana były tak blisko. Tak jak we snach. Mogła dotknąć twarzy ukochanego, zanurzyć palce w jego włosach. Jedna jej decyzja mogła zmienić okropną rzeczywistość.

- Dlaczego moje życie musi być takie ciężkie, Galvanie? - zapytała, czując, że łzy płyną jej po twarzy. - Nie mogę z tobą uciec. Nie mogę. Wiesz, dlaczego matka kazała mi tu przyjechać? Po twoją córkę, Galvanie, którą dzisiaj urodziła Gwynn.

Jego twarz zmieniła się w jednej chwili.

- Uatah, co ty mówisz? - zdumiał się. - Chyba nie mówisz tego poważnie? Jak to po moją córkę?

Uatah schyliła głowę. Wiedziała, że właśnie podjęła decyzję - nie ucieknie z Galvanem ani do Rzymu, ani gdziekolwiek indziej.

- Chyba nie sądziłeś, że moja matka pozwoli mi przyjechać, bym się z tobą spotkała, kiedy twoja żona rodzi ci dzieci?

Wszystkie mięśnie w twarzy Galvana drgały.

- Ale po co jej moja córka? - zapytał po dłuższej chwili. - Nie wystarczy wam, że Aife jest na tej przeklętej wyspie? Że my dwoje nie możemy być razem? Jak mam to powiedzieć Gwynn?

Uatah spuściła wzrok. Nie mogła już patrzeć Galvanowi w oczy. Wiedziała, że jego reakcja będzie właśnie taka. Jadąc do Gergowii, zastanawiała się, jak Galvan zareaguje na wieść o tym, co Scatah ma zamiar zrobić. Nie pomyliła się. Na jego

pięknym obliczu, na którym jeszcze przed momentem gościły miłość i smutek, teraz malował się narastający gniew.

- Zabiję tę sukę - wysyczał. - Nie odbierze mi drugiego dziecka. A ty się na to godzisz - warknął do Uatah. - Pozwalasz jej na to. Nie sprzeciwisz się.

- Dobrze wiesz, że nie mogę - wyszeptała Uatah. - Ona jest nie tylko moją matką, lecz także mistrzynią. Zdajesz sobie z tego sprawę, Galvanie.

- Pieprzenie - mruknął. - Decyduj, Uatah. Rzucamy to wszystko i jedziemy z Aife do Rzymu albo gdziekolwiek czy zostajemy tutaj i bawimy się w te wszystkie głupoty?

Uatah zaniemówiła. Jak mógł zrzucić na nią odpowiedzialność? Z drugiej strony jednak miał rację. To ona musiała podjąć decyzję o swojej przyszłości. On był gotowy zostawić żonę i spadek po ojcu, i wyjechać z nią choćby na koniec świata. Ale chyba nie wiedział, co mówi. Nie był przyzwyczajony do żebractwa, w Gergowii był kimś, w Rzymie stałby się częścią plebsu. Łatwo jest mówić o biedzie, nie zaznawszy jej. Galvan nie wiedział, jak człowiek ubogi zmienia się w zwierzę, jak przestaje mieć dla niego wartość wszystko poza jedzeniem. Jak jego życie zmienia się w egzystencję, w walkę o przetrwanie nie wiadomo po co. Chyba tylko dlatego, żeby nie umierać z głodu, nie znosić męki.

Patrzyła na niego w blasku porannego słońca. Był piękny, kiedy tak stał półnagi nad brzegiem rzeki. Uatah przeniknęło okropne przeczucie, że ten obraz będzie długo pamiętać, bo ostatni raz widzi Galvana przed długim i bolesnym rozstaniem, tym razem ostatecznym, na wiele, wiele lat. Czowała łzy pod powiekami. Miała ochotę podejść do niego, objąć go i przytulić się, ale wiedziała, że nic z tego. Galvan stał obcy, piękny, wściekły i czepiający się resztek nadziei. Jeżeli teraz się do niego przytuli, nie będzie odwrotu. Nie zdoła odejść. Zostanie z nim wbrew woli matki, wbrew rozsądkowi i prawom ludzkim i boskim wytyczonym dawno temu.

- Wybrałaś - odezwał się. - Będzie, jak zechcesz.

- Galvanie, my nie jesteśmy sobie pisani - szepnęła Uatah przez łzy.

- Nie jesteśmy? W takim razie wytłumacz mi, dlaczego nie opuszcza mnie tęsknota za tobą. Dlaczego każdy mój dzień naznaczony jest cierpieniem, Uatah. Czy ty masz pojęcie, jaki ogień we mnie płonie?

- Mam. We mnie płonie taki sam, Galvanie.

Zacisnęła powieki. Nie chciała więcej na niego patrzeć. Odwróciła się i bez pożegnania pobiegła w stronę jego domu, byle nie musieć na niego patrzeć i dłużej z nim rozmawiać. Nie była w stanie. Nie mogła. Ten ból, ten okropny ból... Gdyby mogła to wykrzyczeć, wyrzucić z siebie. Niestety, kapłance nie wolno było poddawać się uczuciom. Dlaczego miłość musi tak boleć? Dlaczego samotność musi być taka straszna? Dlaczego tak?

Wbiegła na podwórze. Scatah siedząca przy stole i zjadająca śniadanie omiotła córkę spojrzeniem. Wiedziała, co się stało.

- Uatah, zjedz - powiedziała. - Nie ma sensu pokazywać im, że czujesz smutek.

- Smutek - roześmiała się Uatah. - Matko, ty nie wiesz, co mówisz. Cały rok budowałam mur, żeby teraz w ciągu jednego dnia runął. Cała praca na nic. Dlaczego?

Scatah spokojnie jadła placki jęczmienne.

- Żebyś się zahartowała, moje dziecko - odparła. - I żebyś mogła spokojnie zająć się wychowywaniem jego córki. Ta mała będzie naszym zakładnikiem.

- Matko, co ty opowiadasz? Jakim zakładnikiem? Po co to?

Scatah uśmiechnęła się z wyższością.

- Uatah. Pojedziesz na Sein i nie będziesz świadoma tego, co się tutaj dzieje. A tu lada moment wybuchnie wojna. Sekwanowie już gromadzą siły.

- Sekwanowie? - zdumiała się Uatah. - Przecież jest spokojnie...

- Tak, na wsi jest spokojnie, ale w miastach wrze. Nim nastanie jesień, Sekwanowie ruszą na Eduów. Teraz wiesz, do czego nam dziecko Galvana?

„Eduowie” - pomyślała Uatah. Eduowie i Swebowie to sprzymierzeńcy Rzymu. Galvan zawarł sojusz z Ariowistem.

Nie można dopuścić do zerwania go. Z drugiej strony Arwernowie byli zawsze sojusznikami Sekwanów. Galvan znajdzie się w trudnej sytuacji. Nie może pomóc Sekwanom, jeśli chce zachować pokój z Eduami i sojusz ze Swebami.

- To ściągnie nam Rzymian na karki - stwierdziła Scatah. - Jeżeli Eduowie poproszą Rzym o pomoc, sprawa będzie załatwiona. Wojska rzymskie wkroczą tu bez jednego słowa. A wtedy my możemy iść pierwsi pod ostrzał, jeżeli będziemy sprzyjać nie tym co trzeba.

- Matko, podobno chodziło ci o zjednoczenie Celtów - przypomniała Uatah.

- Żeby ich zjednoczyć, moje dziecko, trzeba urosnąć w siłę. Jeżeli Helwetowie na południu zrobią to, co chcą, czyli ruszą na północ, jak donoszą mi szpiedzy, Rzymianie będą mieli kolejny pretekst. Widzę, Uatah, że niczego się nie nauczyłaś.

Młoda kapłanka patrzyła przed siebie smętnym wzrokiem.

- Widzę, że jesteś lepiej poinformowana, niż sądziłam, matko - westchnęła.

- Taka moja rola - mruknęła Scatah bez entuzjazmu. - Ty, Galvan, jego żona... nawet ja jesteśmy jedynie pionkami w grze. Rzymianie prędzej czy później tu wejdą. A my musimy dopilnować, by Galvan był na to przygotowany i wiedział, co ma robić.

Na dźwięk słowa „Rzymianie” Uatah przeniknął dreszcz grozy.

- A jeśli Galvan umrze? - zapytała.

- Nie umrze. A teraz skończmy już o tym mówić i bierzmy dziecko.

Scatah podniosła się ciężko ze swego miejsca. Nie powiedziała córce całej prawdy, ale wiedziała, że nie może tego uczynić. Uatah miała do wykonania inne zadanie. Nie mogła siedzieć i zamartwiać się losem byłego męża.

\*

Gwynn leżała wyczerpana na łożu. Jej sen spełnił się, a poród, który przed chwilą przeżyła, stanowił jego koszmarne

zniszczenie. Zielone oczy Scatah przerażały ją. Świadomość, że Uatah pomaga przyjść na świat jej dziecku, była nie do zniesienia. Najgorsze zaś było to, że Galvan gdzieś wyszedł, zostawił ją samą i nie zainteresował się w najmniejszym stopniu jej cierpieniem i strachem.

Kiedy na świat przyszło dziecko, Gwynn odetchnęła z ulgą, ale twarz Scatah była poważna.

- Córka - oznajmiła. - Duża i zdrowa.

Gwynn patrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Jak to córka? - wydusiła z siebie. - Miał być syn. Mówiłaś o synu.

W blasku ognia rude włosy Scatah zdawały się płonąć. Sprawiała niezwykłe wrażenie. Okropne. Straszne.

- Jest syn - powiedziała. - Za kilka chwil wyjdzie z ciebie. Miałaś w łonie dwoje dzieci.

Gwynn wyciągnęła ręce w stronę córki.

- Dajcie mi ją. Chcę na nią popatrzeć, zanim mi ją zabierzecie.

Uatah poruszyła się niespokojnie.

- Myślicie, że nie wiem? - zadrwiła Gwynn. - Zdaję sobie sprawę, po co tu przyjechałaś, Uatah. I nie mam o to do ciebie żalu. Takie są wyroki bogów i twojej matki.

- Nie pozwolimy ci na nią spojrzeć, Gwynn, bo serce pęknie ci z żalu - powiedziała Scatah.

- Scatah, myślisz, że już nie pęka? - zapytała Gwynn i przerwała, bo chwyciły ją kolejne bóle.

Jako drugi urodził się chłopiec. Kobiety pozwoliły Gwynn wziąć go w ramiona. Syn Galvana, prawowity potomek. Zabezpieczenie rodu. Gwynn leżała wyczerpana, nie mając siły cieszyć się z narodzin dzieci. Kątem oka widziała, jak Uatah zabiera brudne, zakrwawione rzeczy i wychodzi. Potem zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, miała wrażenie, że unosi się w rozedrganym świetle. Promienie letniego słońca wdzierają się przez szpary domu i otwory w ścianie. Jakaś twarz pochylała się nad nią, ktoś patrzył jej w oczy. Poruszyła ustami, ale wargi miała spieczone, a język suchy jak wiór.

- Nie ruszaj się - szepnął Galvan. - Bo szwy pękną.

Uniósł jej głowę i podał kubek z wodą. Gwynn piła łapczywie, czując do męża niewypowiedzianą wdzięczność. Opadła na posłanie, patrząc w intensywnie niebieskie oczy Galvana.

- Zabrały ją - szepnęła. - Wzięły naszą córkę.

Galvan patrzył na nią twardym wzrokiem. Nigdy nie widziała u niego takiego spojrzenia.

- Scatah i jej córka - wycedził przez zaciśnięte zęby i splunął ze złością. - Scatah od początku knuła intrygę. Poświęciła mnie i ją, wykorzystując naszą miłość, bo ma jakąś przeklętą wizję. Zsyłała na mnie prorocze sny. Wydawało mi się, że robię dobrze. Ale nie ma prawa wykorzystywać ciebie, Gwynn, dla swoich celów. Ty najbardziej na tym cierpisz, bo ja przez uczucie do Uatah nie potrafiłem cię kochać, a teraz musisz oddać jej córkę na wychowanie.

Gwynn z przerażeniem dostrzegła łzy w oczach Galvana. Nigdy mu się to nie zdarzało.

- Mężu - zaczęła, ale on jej przerwał.

- Nie mów. Ty najbardziej cierpisz przez Scatah i jej nedorzeczne pomysły. Ta kobieta jest szalona. Ale nie będzie więcej motać nam w życiu, Gwynn.

- Będzie - szepnęła Gwynn wyczerpana. - Ma naszą córkę. Na tym jej zależało. Jakie nadałeś jej imię?

- Morgwynn - szepnął Galvan. - I kazałem Scatah przysiąc, że nigdy nie zmieni jej imienia, żebym mógł po latach ją odnaleźć. To moje dziecko, Gwynn, i twoje, nie Uatah.

Siedział na łóżku żony i delikatnie gładził ją po twarzy. Scatah odebrała mu dwie córki, nie pytając o nic. Nie obchodziły jej uczucia Galvana, nie interesowała się jego cierpieniem i smutkiem. Nie przejmowała się emocjami Gwynn. Wzięła to, czego chciała, i odeszła. Gwynn widziała zmarszczki goryczy wokół ust męża, ale milczała. Nie miała prawa się dziwić.

- Będzie dobrze, Galvanie - szepnęła. - Urodzę ci więcej dzieci.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Tego dnia po raz pierwszy doszło do porozumienia między mężem i żoną. Scatah, zabierając córkę Galvanowi, wiedziała, że tym samym zmusi go do porzucenia myśli o Uatah i skierowania uczuć na Gwynn. Jadąc na Sein i patrząc, jak córka tuli do siebie dziecko ukochanego i obcej kobiety, wiedziała, że znowu musi poświęcić dziewczynę. Rozumiała jednak, że inaczej nie mogła postąpić. Zaciskała zęby z żalu nad Uatah i z niechęci do samej siebie. Wiedziała, że to było jedyne wyjście.

## IX

Attia siedziała przed lustrem i obserwowała, jak niewolnica czesze jej lśniąca ciemne włosy, charakterystyczne dla rodu Juliuszów. Codziennie musiała poddawać się torturom układania fryzury, by wyglądać jak elegancka rzymska dama. Nie znosiła tych zabiegów, a już najbardziej ze wszystkiego nie cierpiała karbowania. Co prawda afrykańska niewolnica, którą kupiła sobie po śmierci męża, była znakomitą fryzjerką, ale Attia po prostu nie lubiła niczego, co miało związek z włosami.

Do cubiculum weszła ochmistrzyni, jeżeli tak można było określić grubą Nubijkę o hebanowej skórze. Attia nie wiedzieć czemu lubiła się otaczać czarnoskórymi niewolnikami. Nubijczycy mieszkali w Egipcie i za jego południową granicą, na piaskach Sahary, u nieznanym źródła Nilu i jeszcze dalej. Ta kobieta, Haram, była ochmistrzynią jeszcze za życia Oktawiusza, więc Attia jej nie sprzedała.

- O co chodzi? - zapytała niecierpliwie.

- Pani Julia czeka w atrium - oznajmiła Haram.

Attia westchnęła ciężko. Nie dlatego, że nie lubiła swej kuzynki. Po prostu akurat była zajęta i nie miała czasu na plotki, a Julia przybyła zapewne w tej sprawie. Prawdę mówiąc, stosunek Attii do córki Cezara zmienił się nieco po tym, jak ta ostatnia wyszła za Pompejusza. Miało to miejsce kilka miesięcy temu.

- Proś - rozkazała.

Wkrótce do cubiculum weszła Julia. Attię na jej widok ścisnęło w dołku z zazdrości. Córka Cezara wyglądała wspaniale. Czarne lśniąca włosy opadały jej w lokach na ramiona, oliwkowa cera jaśniała, zdradzając obecność



nowego życia w ciele kobiety, czarne oczy promieniały szczęściem. „Nie kuś losu i nie wystawiaj bogów na próbę demonstracją swej radości” – pomyślała Attia ze złością. Nagle zdrętwiała. Przecież nie tak dawno temu Julia straciła dziecko. I co? Znowu jest przy nadziei? Każdy rys jej twarzy o tym świadczył, choć ona pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Chociaż gdyby nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie nosiłaby się z taką dumą. Ale czy to była duma? Julia raczej nie zwykła jej okazywać...

- Co cię sprowadza w moje skromne progi? – zapytała Attia z nutą złości w głosie. Była zła na siebie za ten nieuprzejmy ton, ale podejrzewała, że wie, z czym przybyła Julia.

Córka Cezara usiadła i starannie owinęła kolana połami stoli. Chociaż była żoną Pompejusza, jednego z najbogatszych mężczyzn w mieście, ubierała się ze zdumiewającą skromnością. Lud rzymski uwielbiał córkę Cezara. Attia nie mogła zrozumieć, co jest powodem tej sympatii.

- Tym razem nie przysłała mnie do ciebie chęć plotkowania – uśmiechnęła się Julia. – Odkąd nasza babka Aurelia zmarła, nie została mi żadna kobieta, z którą mogłabym porozmawiać.

- Ach, tak – bąknęła Attia. – Jubo, skończ wreszcie układać te włosy! – syknęła na niewolnicę. – Cały ranek się z tym mozolisz!

Jakoś nie miała ochoty wysłuchiwać zwierzeń Julii. Sama siebie nie rozumiała.

- Jestem brzemienna – oznajmiła Julia. – Nie wiem jednak, czy powinnam się z tego cieszyć.

- To zawsze jest powód do szczęścia, nie uważasz? – podjęła Attia.

- To zależy, jak się na to patrzy – mruknęła Julia. – Bogowie są zawistni, nie lubią patrzeć na ludzkie szczęście, Attio. Raz już zabrali mi dziecko i boję się, że tym razem też to zrobią.

„No i po co mi to mówisz?” – zdenerwowała się Attia w duchu. „Na co mi to wiedzieć? Mam może poczuć wyrzuty sumienia? Chcesz, żeby mi było głupio, że mam dwoje udanych, zdrowych dzieci, a ty nie? Jesteś starsza ode mnie, moja droga, więc nic dziwnego, że nie możesz urodzić silnego dziecka”.

Jednak w głębi duszy Attia czuła żal. Julia była chodzącą dobrocią, nie zasłużyła na taki los. Najpierw zmarła jej matka, ojca nigdy nie było, macocha okazała się suką nie do wytrzymania, niedawno odeszła jej babka, a do tego dziewczyna straciła dziecko. Miała męża dwa razy starszego od niej, ojciec ożenił się z dwudziestolatką... A teraz Julia znowu była przy nadziei i bała się, że to dziecko również bogowie wezmą do siebie. Co za los! Attia była wdzięczna bogom, że nie straciła matki, tylko ojca, a jej mąż zdołał obdarzyć ją dwójką dzieci, choć potem zginął. Jednak to nie stanowiło problemu. Można było mieć kolejnego męża, a jeśli nie, to niewolnicy znakomicie nadawali się do pewnych rzeczy. Attia nie miała już wyrzutów sumienia w tej kwestii.

- Pompejusz o tym wie? - zapytała.

- Nie. Nie śmiem mu powiedzieć. Nikt nie wie, nawet mój ojciec. Ty jesteś pierwszą osobą, której to mówię.

- Kiedy to się stało? - zapytała Attia.

- Dwa miesiące temu.

„Latem. Wkrótce po poronieniu. Czy Pompejusz był idiotą?”

- Attia przymknęła oczy. „Musiał być skończonym głupcem, skoro dążył do zapłodnienia żony tuż po utracie dziecka”. Attia stwierdziła, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby to życie też zostało przerwane. Teraz rozumiała strach Julii.

Nadciągała jesień. Powietrze w Rzymie przestało być niemożliwe do zniesienia, ale z drugiej strony nadchodziły chłody. Zimne wiatry z północy niebawem miały zacząć nękać mieszkańców miasta. Attia doszła do wniosku, że dla Julii najlepszym wyjściem byłby teraz wyjazd do Kampanii albo do Bajów. Tam mogłaby spokojnie czekać na rozwiązanie. Tu, w Rzymie, będzie się męczyć zimą i denerwować, kiedy jej ojciec obejmie od stycznia urząd konsula.

- Wyjedź, Julio, to ci dobrze zrobi - powiedziała w końcu. - Nie sądzę, byś przy twoim stanie zdrowia mogła tu na miejscu donosić dziecko.

Córka Cezara uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Wiedziałam, że dobrze mi doradzisz, Attio - powiedziała. - Tak właśnie zrobię, tylko będę musiała powiadomić mego pana.

Attia przymknęła oczy. Miała niedobre przeczucie co do tego dziecka, ale nie chciała niszczyć dopiero co rozbudzonej nadziei Julii. Ta dziewczyna nie zasługiwała na więcej smutku.

\*

Dwa tygodnie po wizycie Julii Attia miała kolejnego niespodziewanego gościa. W zasadzie jednak tej osoby mogła się spodziewać, jako że w Rzymie rozeszła się plotka o jej powtórny zamążpójściu. Attia powinna była mieć więcej rozumu i przewidzieć, że takie rzeczy niedługo pozostaną w ukryciu. A jednak powiedziała o jedno słowo za dużo w najmniej stosownym momencie. Chociaż zastanawiając się nad tym wiele lat później i analizując już na chłodno, doszła do wniosku, że jednak zrobiła dobrze. Długo rozważała tę decyzję. Zwyczajem było, że wdowa nie wychodziła po raz drugi za mąż, tylko pozostawała wierna pamięci swego męża. Po śmierci Oktawiusza Attia gotowa była zadowolić się pamięcią o nim i poświęcić wychowywaniu dzieci, ale w miarę upływu czasu zaczęła sobie uświadamiać, jak ciężko jest być samotną kobietą w Rzymie. Zbyt ciężko. Nie chodziło jej wcale o sprawy intymne, bo z tymi najprościej było sobie poradzić. Ale jeżeli kiedykolwiek wcześniej sądziła, że zdoła sama zajmować się kwestiami związanymi z majątkiem miejskim i wiejskim, z rzeszą niewolników, z rachunkami, podatkami, interesami Oktawiusza i całą tą machiną, jaką jest prowadzenie bogatego domu, to teraz musiała zmienić zdanie. Co prawda jej rodzona babka Aurelia potrafiła zarządzać majątkiem sama, ale w tym czasie wuj Gajusz miał czternaście lat i nie był małym dzieckiem. Poza tym były inne czasy, jeszcze przed reformami Sulli i wojną domową. A babka miała zaufanych niewolników, których w większości sama wniosła w posagu. Nic dziwnego, że sobie poradziła.

Attia była w tym domu sama z dwójką małych dzieci. Greckie, syryjskie i nubijskie niewolnice były wprawdzie zręczne, ale głupie i nie znały się kompletnie na zarządzaniu domem. Z niewolnikami mężczyznami było jeszcze gorzej.

Wprawdzie zarządca jej majątku na wsi był rozgarnięty, jednak reszta przedstawiała sobą zbiorowisko niezbyt mądrych greckich, kartagińskich i macedońskich służących.

Do właściwego zarządzania majątkiem i wychowywania dzieci potrzebny był jej mąż. Co z tego, że za kilka lat miała oddać Oktawiusza na wychowanie jakiemuś greckiemu uczonemu? Oktawia już teraz wymagała karzącej ręki i kogoś, kto by ją poskromił. Dziewczynka miała dziewięć lat i była rozbrykana. Attia uważała, że należy ją czym prędzej ukrocić.

Dlatego po śmierci Oktawiusza doszła do wniosku, że nadszedł czas na ponowne zamążpójście. Zbyt szybko jednak się tym pochwaliła. Nie minęła dekada od momentu, kiedy podzieliła się w zaciszu swego domu tą informacją z przyjaciółką, a niewolnica zaanonsowała gościa, którego Attia najmniej by sobie życzyła.

- Gajusz Juliusz Cezar, pani - powiedziała, a raczej wyszeptała lekliwie Syra.

Attia zamarła. Każdy rys jej twarzy odzwierciedlał lęk. Wuj Gajusz nie należał do gości, za których obecnością nadmiernie przepadała. Prawdę mówiąc, bała się go i uwielbiała jednocześnie. Bała, bo po śmierci jej ojca przejął nad nią opiekę, a uwielbiała, bo w pamięci wciąż tkwił jej wizerunek wesołego młodego człowieka w zbyt luźnej todze.

Cezar... Czego mógł od niej chcieć? Teraz, kiedy się ożenił i powinien dbać o sprawy domu albo poświęcić się karierze urzędniczej, składał jej niepotrzebne zupełnie wizyty.

- Proś - rozkazała, siłąc się na pewność siebie. Jednak służąca widziała doskonale, że usta jej pani są sine ze strachu.

Cezar wszedł do atrium spiesznym krokiem, jak to miał w zwyczaju. Zawsze chodził szybko. Miał na głowie tysiąc spraw i ciągle gdzieś się spieszył. Ale czy na pewno zawsze? Attia przypomniawszy sobie, że za życia pierwszej żony Cezar wcale taki nie był. Być może to ona inaczej go wtedy postrzegała. Możliwe. Jednak wydawało jej się, że przed śmiercią Kornelii Cezar był po prostu szczęśliwy. Tak, szczęśliwy w dosłownym tego słowa znaczeniu. Teraz do szczęścia było mu daleko.

Wyszła mu na spotkanie z formalnym przywitaniem na ustach, ale Cezar machnął tylko ręką.

- Attio, na Kastora, nie jestem wrogiem, tylko bratem twojej matki - powiedział. - Nie musisz mnie witać jak dyktatora.

„W moich oczach za takiego właśnie uchodzisz” - pomyślała Attia z pewną złością, ale nie odezwała się. Stała posłusznie jak dziecko przed ojcem i czekała na dalsze polecenia. Ona, taka samodzielna, dorosła we własnym mniemaniu, drżała przed wujem, choć przecież nie mogło jej spotkać nic złego z jego strony.

- Słucham, wuju - odezwała się służalczym tonem. - Czym mogę ci służyć?

Cezar zerknął na nią podejrzliwie. Co, u licha? Czy pozycja samotnej pani domu tak uderzyła do głowy tej dziewczynie, że zapomniała o więzach krwi?

- Kielichem wina na przykład - odparł spokojnie. - Strasznie gorąco, chociaż jesień za pasem.

- W istocie - przyznała Attia i wydała niewolnikowi odpowiednie polecenie. - Ale nie przyszedłeś chyba do mnie, wuju, aby napić się wina?

- W rzeczy samej nie - zaśmiał się Cezar. - Moja piwnica pełna jest beczek. Nie, Attio, przyszedłem, żeby z tobą porozmawiać. A mamy o czym.

Poczuła, jak pot spływa jej pod pachami i po plecach. Do licha, dlaczego chciał z nią rozmawiać?

- O czym niby? - wyrwało jej się.

- A o twoim małżeństwie - powiedział Cezar, patrząc jej w oczy i wychylając kielich.

Attia usiadła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. No tak, tego akurat mogła się spodziewać. Cezar był doskonale poinformowany o wszystkim, nic w mieście nie uchodziło jego uwagi, więc o jej zamiarach matrymonialnych pewnie też się dowiedział. Kto wie, może jego żona mu o tym doniosła? Kalpurnia była młoda, miała ledwie dwadzieścia lat, i zakochana w mężu.

- Czemu miałoby cię obchodzić moje ewentualne małżeństwo? - zapytała ze złością. - Nie żyjemy w czasach

Katona, żebyś mi tu powiedział, co jest powinnością dobrej obywatelki rzymskiej. Czy ja wyglądam jak Lukrecja?

Cezar parsknął śmiechem. Istotnie, w żyłach Attii płynęło dostatecznie sporo krwi Juliuszów, by stać ją było na uniesienie się gniewem i zapomnienie o strachu.

- Czy ja wyglądam jak Kato Cenzor? - zapytał z rozbawieniem. - Nie przypominaj mi tego starego głupca. Wystarczy, że na co dzień muszę znosić jego równie niemądrego prawnuka. Tyle że Kato Starszy miał podstawy do wydzierania się w senacie. Rzym był silny, nie to co teraz. Ci głupcy niczego nie widzą. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą, moja droga. A gdzie jest twój śliczny synek? Mogę go zobaczyć?

Attia wzmogła czujność, jak zawsze, gdy w grę wchodziło jej dziecko. Ponownie zaniepokojona wezwała piastunkę małego Oktawiusza. Kazała przynieść go do atrium. Dostrzegła uśmiech, jaki pojawił się na twarzy Cezara, gdy zobaczył chłopca. Oktawiusz miał teraz pięć lat i był uroczym dzieckiem. Blond loczki otaczały delikatną twarz o dużych niebieskich oczach.

- Wygląda jak Gal, a nie Rzymianin - stwierdził Cezar.

- Nie wszyscy noszą w sobie południową krew - przypomniała Attia. - Jego ojciec pochodził z północy Italii.

- Istotnie - mruknął Cezar. - Ładne dziecko. Mogę go wziąć na kolana czy też wpadniesz w histerię?

Attia spojrzała na niego. Dostrzegła błysk szyderstwa w czarnych oczach wuja. Przez ułamek sekundy w jej głowie zrodziła się zakazana myśl. Gdyby nie był bratem mojej matki... Gdyby to nie było zakazane... Ciekawe, jakie to by było uczucie mieć takiego mężczyznę. Chociaż przez moment. Zaraz jednak nadeszło opanowanie. To był wuj Gajusz, którego znała od dzieciństwa, a nie żaden młodzieniaszek. Ojciec Julii, jeden z najbardziej bezwzględnych polityków w Rzymie. Co ona sobie myślała! Coś takiego... Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

- Możesz, oczywiście - zgodziła się.

Znowu oniemiała, widząc, jak twarz Cezara zmieniła się,

kiedy posadził na kolanach swego ciotecznego wnuka.

- Piękne dziecko - śmiał się, mrugając porozumiewawczo do malca, który zapewne niewiele z tego rozumiał, ale również śmiał się do obcego mężczyzny. - Czy z jego narodzinami nie wiąże się przypadkiem żadna głupia opowieść?

Attia zbladła. Owszem, augur, który wróżył po narodzinach Oktawiusza, przepowiadał jakieś brednie. Mówił coś o odrodzonym państwie, o władcy wszechświata i podobne idiotyzmy, ale puszczała to mimo uszu. Stwierdziła wtedy, że stary wróżbita chce się podlizać przedstawicielce możnego rodu Juliuszów.

- Czy ty coś słyszałeś? - zapytała cicho.

- Coś mi się obilo o uszy - odparł Cezar lekko. - Oczywiście, bzdury, jakie ludzie wygadują za każdym razem, kiedy dziecko przyjdzie na świat w czasie przesilenia letniego bądź jesienno albo kiedy jakaś kometa pojawi się na niebie. Hmm, tak, Attio, ładne z niego dziecko. Słyszałem, że zamierzasz wyjść za mąż - zmienił raptownie temat.

Attia zarumieniała się. No tak, wiedziała, że przyszedł właśnie po to, by z niej wyciągnąć tę informację. Ciekawe tylko, na co mu ona. To nie jego sprawa.

- Zastanawiam się nad tym - odparła ze złością. - Mam do tego prawo.

- No oczywiście, Attio, jesteś dorosła - stwierdził Cezar, patrząc na małego Oktawiusza, a oczy lśniły mu przebiegle w przystojnej twarzy. - Masz swoje lata i nikt nie może dyktować ci warunków.

Attia miała nieprzyjemne wrażenie, że wuj z niej kpi. Była pewna, że pod tą całą słodyczą kryje się gorycz.

- Tylko zapomniałaś o jednej drobnej sprawie - głos Cezara stał się ostry, a spojrzenie surowe. - Nie wyzwoliłaś się spod władzy ojca, Attio. Spędziłaś trzy kolejne noce w domu rodziców podczas pierwszego roku małżeństwa.

- Mój ojciec nie żyje - odparła Attia słabo, ale wiedziała już, do czego Cezar dąży, a przynajmniej tak jej się wydawało. - Chcesz mi powiedzieć, że jako jedyny męski krewny masz nade mną władzę?

- Nie jako jedyny męski krewny, Attio - uśmiechnął się Cezar. - Jestem jedynym bratem twojej matki, a twój ojciec nie posiadał braci. A zatem jako jedyny żyjący mężczyzna w rodzinie, dodam: pełnoletni, mam nad tobą władzę. Żałuj teraz, że się spod niej nie wyzwoliłaś, bo gdybyś to zrobiła, mogłabyś do woli wychodzić za mąż.

- A w tej sytuacji ty mi wybierzesz męża? - zapytała Attia zimno.

Cezar się roześmiał. Był przystojny, męski i pociągający, na pewno wiele kobiet pragnęło widzieć ten uśmiech, a w pierwszym rządzie Kalpurnia. Jednak nie był on przeznaczony dla kobiet. To był śmiech zwycięzcy.

- Moja droga, jeżeli wyjdiesz za mąż, przekażesz opiekę nad dziećmi jakiemuś obcemu człowiekowi, który się nimi należycie nie zajmie - odezwał się, nagle poważniejąc. - Posłuchaj mnie teraz. Żarty i kpiny możemy odłożyć na bok. Jestem twoim wujem i jedynym męskim opiekunem twoich dzieci, Attio. Nie sądzę, bym kiedykolwiek doczekał się syna z Kalpurni...

- Ależ ona jest młoda i płodna! - zaprotestowała Attia.

- Cisz. Cezar mówi - przerwał jej wuj. - Jesteś jedyną osobą, poza Pompejuszem, której uchylę rąbek moich planów. Nie sądzę, bym doczekał się prędko syna z Kalpurnią, bo za rok wyjadę na wojnę, moje dziecko. Pojadę do Galii i nie wiem, czy wrócę stamtąd w jednym kawałku. Jeżeli Julia urodzi syna, będzie to dziedzic Pompejusza. Założmy, że mąż Julii zadowolony się swoimi dorosłymi synami, zgoda, w takim razie przekażę mój majątek i nazwisko wnukom. Ale jeśli nie? To kto mi zostaje?

Attia myślała intensywnie, bo mózg miała jakby otulony szczelnie grubą warstwą materiału. Czyżby Cezar proponował jej adopcję dzieci?

- Oni należą do rodu Juliuszów - kiwnął głową na dziecko. - Oktawiusz i Oktawia. Nie życzę sobie, by jakiś obcy człowiek mieszał się w nasze sprawy. Czy ty wiesz, co robią mężczyźni z dziećmi z poprzednich małżeństw swych żon? W najlepszym razie odsyłają je na wychowanie gdzieś na prowincję,



zapewniają im wykształcenie i zapominają o nich. Czy chciałabyś, żeby Oktawiusz siedział gdzieś na południu albo w Grecji, a może jeszcze dalej, byleby tylko twój mąż mógł bezkarnie cieszyć się twoimi wdziękami i wychowywać SWOJE potomstwo? Czy może wolałabyś, by postąpił z nim tak jak Agamemnon z dzieckiem Klitajmestry?

- Przestań! - krzyknęła. - Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

- Attio, nie bądź głupia - ostudził ją Cezar. - Oktawiusz jest teraz małym dzieckiem, ale za piętnaście lat włoży męską togę i zacznie domagać się ojcowizny. Majątku Oktawiusza, który zagarnie twój drugi mąż. Oszalałaś? Nie znasz prawa?

- A co ty możesz dać moim dzieciom?

- Wszystko - spojrzenie Cezara było przenikliwe i poważne. - Nazwisko, dom, majątek, władzę i nietykalność. Mogę zapewnić twojemu synowi karierę polityczną, twojej córce doskonałe małżeństwo, a tobie samej spokój, dopóki żyję. Jeżeli Kalpurnia nie da mi dziecka, adoptuję Oktawiusza, nim stanie się pełnoletni. Jeśli bogowie poskąpili mi męskich potomków, chcę mieć przynajmniej spadkobierców.

Attia słuchała oszołomiona. Nie wiedziała, czy dobrze rozumie Cezara. Czyżby on chciał adoptować Oktawiusza? Ale po co?

- Jak to po co? - parsknął Cezar, kiedy siostrzenica zadała to pytanie. - Żeby zapewnić ciągłość rodu. Gdyby się tak zdarzyło, że Julia urodziłaby synów, kilku synów, adoptowałbym swoje wnuki. Pompejusz ma wystarczająco dużo dzieci.

Attia nagle sobie coś przypomniała.

- A nie możesz adoptować młodego Brutusa? - zapytała. - Krążą plotki, że Serwilla poczęła go z tobą.

- Brutus nie jest moim synem - uciął krótko Cezar. - To dziecko swego ojca, kimkolwiek był ten człowiek, ale na pewno nie moje. Gdybym miał pewność, że spłodziłem Brutusa, nie przychodziłbym do ciebie. A jeśli nawet mam jakichś nieślubnych synów na Wschodzie albo w Hiszpanii, to nie warto o nich wspominać. Nie chcę o nich wiedzieć. Nie uznaję przecież dziecka cudzoziemki albo, co gorsza, jakiejś obozowej dziwki.

Attia przemilczała ostatnią uwagę. Była kobietą i nie walczyła, ale słyszała, co się dzieje w obozach wojskowych. Mężczyźni po bitwie musieli jakoś rozładować emocje. Jej osobiście wydawało się to wstrętne.

- A gdybym zgodziła się na opiekę i adopcję? - zapytała po chwili. - To jakie postawiłbyś mi warunki?

Cezar siedzący naprzeciwko niej stwierdził nagle, że niebieskie oczy siostrzenicy patrzą na niego całkowicie trzeźwo. Znikła gdzieś zalękniona dziewczyna, a w jej miejsce pojawiła się zdecydowana i przebiegła pani domu, która potrafi zadbać o swoje interesy.

Attia skończyła dwadzieścia pięć lat, a jej piękno osiągało właśnie pełnię rozwoju. Miało rozkwitać przez następne dziesięć lat, ciesząc oczy kolejnych kochanków. O tym jednak Cezar nie myślał, patrząc w chłodne oczy siostrzenicy. Attia jako jedyna z rodziny nie odziedziczyła całkowicie południowej urody, tak charakterystycznej dla rodu Cezara. Miała jasną karnację, ale ciemne włosy, delikatniejsze rysy twarzy i chłodne niebieskie oczy. I właśnie one świdrowały teraz Cezara na wskroś, uświadamiając mu, że siostrzenica nie jest idiotką, lecz całkiem sprytną młodą kobietą.

- Warunki są proste - odparł bez chwili wahania. Skoro ona chce rozmawiać jak z klientem, to proszę bardzo. - Nie wyjdiesz powtórnie za męża. Nie obchodzi mnie, kogo zaciągniesz do łóżka, to twoja sprawa. Jednak masz pozostać wdową w oczach ludu. Nie życzę sobie żadnego legalnego małżonka obok ciebie.

- To okrutne, o co prosisz - stwierdziła Attia. - Mam prawo ułożyć sobie życie. I nie zapominaj, że to ja rozrzucam kości. Ode mnie zależy, czy zaadoptujesz mojego syna.

Cezar parsknął śmiechem.

- Naprawdę? - zakpił. - A co ty na to, że jako twój opiekun mogę cię wydziedziczyć i przepisać majątek bezpośrednio na Oktawiusza?

- Nie masz majątku - wycedziła Attia ze złością.

- O, tu się akurat mylisz - odparł Cezar spokojnie. - Mam lokaty, moja droga. Po wojnie w Hiszpanii jestem mile widziany

u każdego pośrednika. Mniejsza z tym. Mój drugi warunek jest taki, że nikt nie może o tym wiedzieć. Bo jeżeli ktoś dowie się o naszym układzie, Oktawiusz może stracić życie, a tego oboje nie chcemy, czyż nie?

- Grozisz mojemu dziecku? - rozzłościła się Attia, dając się ponieść ślepemu instynktowi.

- Ależ skąd - ostudził ją Cezar. - Właśnie usiłuję je ochronić. Im mniej osób wie o tej umowie, tym lepiej. I nie wygadaj się nikomu, tak jak zrobiłaś ostatnio. To było bardzo nieostrożne z twojej strony, żeby nie użyć innego słowa.

Attia schyliła głowę. Tak, wiedziała, że palnęła głupstwo, ale teraz nie było już na to rady. Cezar i tak o wszystkim się dowiedział. Nie było siły na tego człowieka. Dowiadywał się wszystkiego o każdym, miał swoich przeklętych informatorów w każdym zakątku miasta. Być może dlatego codziennie pod jego domem kłębiły się tłumy klientów.

- Rozważę twoją propozycję - oznajmiła wreszcie. - Muszę mieć czas, żeby się nad nią zastanowić.

Cezar rzucił jej gniewne spojrzenie, ale nic nie odpowiedział. Skoro dziewczyna chce mieć czas, to niech ma. Jemu aż tak bardzo się nie spieszyło. Był zbyt wytrawnym politykiem, by nie wiedzieć, że rybka właśnie połknęła przynętę.

- To zastanawiaj się szybko - rzucił. - Im szybciej, tym lepiej dla ciebie i dla dzieci.

Attia zamyślona spoglądała na Oktawiusza siedzącego na kolanach wujecznego dziadka i milczała. Nie mogła jednak uciec przed przenikliwym i baczny spojrzeniem brata swej matki, który przez resztę popołudnia patrzył na nią z uwagą.

\*

Dopiero kiedy Cezar wyszedł, Attia popadła w zadumę. Przez cały czas wizyty wuja koncentrowała się mniej lub bardziej na jego słowach, ale gdy opuścił jej dom, pozwoliła swoim myślom popłynąć swobodnie. Przypomniała sobie wszystkie dziwne sny sprzed narodzin Oktawiusza. Nie potrafiła ich

wytłumaczyć. O objaśnienie musiała zwracać się do wróżbitów.

Mały Oktawiusz, prawie pięciolatek, bawił się u stóp piastunki, nie dostrzegając zamyślnego spojrzenia matki. Ogień tlił się na palenisku pomimo wczesnej pory i ciepłej pogody. Attia wracała myślami do czasu sprzed pięciu lat, kiedy to pod koniec ciąży zaczęły nawiedzać ją wizje. Pamiętała sen, w którym jakaś siła wypychała jej wnętrzności ku niebu. Obudziła się wtedy zlaną potem. Węże i smoki, jakie wtedy widziała, nie dawały jej spokoju przez ostatnie miesiące ciąży. Pamiętała, że jej mąż, Oktawiusz, śnił, że z jej łona wyszedł promień słoneczny. Wszystko to złożyła wtedy na karb zdenerwowania.

Pamiętała też, jak po porodzie, kiedy mąż wszedł do domu, a niemowlę leżało u jej boku, usłyszała, że oto narodził się pan świata. Był to dzień, w którym w senacie wykryto spisek Katyliny. Attia ubawiła się wówczas niesłychanie.

- Pan świata - roześmiała się. - Czy ten Paulus Nigdius ma dobrze w głowie?

Nie przejmowała się nigdy drobnymi wydarzeniami, ale teraz przypominała sobie z całą ostrością, jak pewnego dnia Oktawiusz i Oktawia siedzieli w ogrodzie w letniej willi teścia Attii. Było to w pobliżu Drogi Kampańskiej, tuż przy czwartym kamieniu milowym. Do dziś pamiętała swoje przerażenie, gdy nagle z jasnego nieba sfrunął orzeł i wyrwał dziecku z ręki kawałek chleba. Kiedy biegła roztrzęsiona w tamtym kierunku, orzeł opuścił się nad Oktawiusza i oddał mu chleb. Po tym wydarzeniu Attia nigdy nie zostawiała dzieci samych w ogrodzie.

Drobne, nic nieznaczące sprawy zaczęły układać się jej w łańcuch rzeczy o niepokojącym znaczeniu. Do licha, co ona wychowywała pod swoim dachem? Być może ci przekłeci wróżbici, którzy układali horoskop Oktawiusza, mieli rację, mówiąc, że czeka go świetlana przyszłość? Prawdopodobnie sama nigdy nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby nie Cezar i jego dzisiejsze odwiedziny. Adopcja? Cezar chciał adoptować Oktawiusza. Dlaczego nie Oktawię? Była przecież córką Attii, tak jak Oktawiusz był jej synem. Na czym polegała różnica?

Na tym, że Oktawia była dziewczynką? Chodzi tylko o to? A może Cezar też słyszał te bzdurne wygadywania augurów i pontyfików? W końcu był najwyższym kapłanem. Musiał coś wiedzieć.

Pamiętała, że ostatnie słowa jej męża przed śmiercią dotyczyły syna.

- Jaka szkoda - powiedział Oktawiusz - że nie dożyję triumfu mego potomka.

Czy miał na myśli zwykły triumf w bitwie, czy może coś innego?

Attia spojrzała na syna i nagle zamarła. „Julia! Julia była w ciąży”. Cezar powiedział, że jeśli Julia urodzi synów Pompejuszowi, adoptuje ich. To by oznaczało, że nie uzna za syna Oktawiusza. Nie zapewni mu przyszłości, cokolwiek miałyby to oznaczać. Nawet gdyby Oktawiusz nie doczekał się tytułów, mimo wszystko mógł odziedziczyć majątek po Cezarze. Gra była warta świeczki. Sam Cezar powiedział, że nikomu innemu nie zdradził swoich ambitnych planów na wzbogacenie się. Tylko Attia o nich wiedziała. Sam nałożył na siebie stryczek. A raczej na swoich bliskich. Czy ten głupiec zapomniał, że ma żonę i córkę, które mogą mu dać męskich potomków? Obie? Chyba że faktycznie nie dadzą.

Attia zagryzła wargi. Nie, nie mogła tego zrobić. Nie skrzywdziłaby Julii. Już przeżyła jedno poronienie, nie powinna przechodzić przez to kolejny raz. To by było niesprawiedliwe. Jednak dziecko rosło w jej łonie. A jeśli Attia nie dopuści do tego, by przyszło na świat? Cezar dał jej wolną rękę. Nakierował ją na cel. Pokazał, gdzie i jak działać.

Jednak żał jej Julii! A co z dobrem Oktawiusza? E tam. Najlepiej zostawić to wszystko w spokoju, wyjść za mąż i nie martwić się propozycjami Cezara.

Zagryzła wargi. Cezar miał jednak rację w pewnej kwestii: mąż Attii będzie się starał za wszelką cenę wyeliminować jej dzieci z Oktawiuszem. To znaczy syna, córkę zostawi zapewne w spokoju jako gwarancję przyszłych sojuszy. Po to ludzie wydawali dziewczynki za mąż. Oktawię pewnie by oszczędził, ale nie Oktawiusza. Czy ma pozwolić, by w imię jej dobrego

samopoczucia synek poszedł na stracenie? Nigdy w życiu. Patrzyła na Oktawiusza i dochodziła do wniosku, że ten dzieciak to istny cud. Był bystry, szybko się uczył, był inteligentny i sprytny. Do tego to śliczne dziecko, w przeciwieństwie do Oktawii, która urodą jak na razie nie grzeszyła. Jednak wszystko mogło się zmienić.

Julia nie była jedyna. Co z Kalpurnią? Dziewczyna miała dwadzieścia lat i była płodna, co do tego Attia nie mogła mieć wątpliwości.

- Melante - zwróciła się do niewolnicy. - Przyprowadź do mnie Oinochoe.

Czarna niewolnica, która swoje imię zawdzięczała kolorowi skóry, drgnęła, zanim wypełniła polecenie. Oinochoe była uważana za wiedźmę, bo znała się na różnych ziołach i truciznach. Attia uciekała się czasem do jej pomocy, zwłaszcza podczas nadmiernie bolesnych kobiecych dolegliwości.

Kiedy stara kobieta o bystrym spojrzeniu czarnych oczu weszła do atrium, nawet siostrzenicę Cezara przeszedł dreszcz. Siwe włosy miała spięte w schludny kok, jej ubranie było czyste i skromne, ale spojrzenie, przenikliwe i wszechwiedzące, sprawiało, że ludzie się jej bali.

- Moja pani mnie wzywała - odezwała się usłudnie.

- Oinochoe, czy masz w swoich lekarstwach jakiś środek na poronienie? - zapytała Attia po chwili wahania.

- Mam takich kilka. To zależy, czego moja pani sobie życzy - odparła starucha.

Oinochoe była Kretenką. Kreteńscy byli starsi od innych Hellenów. Dotarli na wyspę dużo wcześniej i nie należeli do ludu z pogranicza Europy i Azji. Nikt nie wiedział, skąd się wzięli, ich pochodzenie zakrywała tajemnica czasu. Zнали prastare zaklęcia i czary, wierzyli w dawno zapomnianych bogów i służyli ciemnym, straszliwym mocom. Oinochoe wysssała tę wiedzę z mlekiem matki.

- Chcę, żeby płód został spędzony w taki sposób, by wydawało się, że doszło do naturalnego poronienia - powiedziała Attia. - Matka nie może nabrać żadnych podejrzeń.

- Mam taki lek - powiedziała Oinochoe. - Działa kilka dni

po zażyciu. Nikt nie powiąże utraty dziecka z twoją wizytą.

- A lek uniemożliwiający poczęcie? - Attia indagowała kobietę.

- Jest takie ziele, którego regularne zażywanie powstrzyma wszelkie życie w łonie matki - odparła Oinochoe. - Albo nie dojdzie do poczęcia, albo dziecko umrze w pierwszym trymestrze.

- Dobrze. To właśnie chciałam wiedzieć - powiedziała.

Starucha skłoniła się i odeszła. Attia siedziała skulona na sofie i rozmyślała. Nie wiedziała, czy zdecyduje się na realizację planu, który właśnie obmyśliła. Była jednak pewna, że jeśli to zrobi, ociekające krwią Erynie będą ją ścigały bez wytchnienia do końca jej dni.

\*

Cezar siedział przy stole jak zwykle zawałonym papierami, mapami, planami miasta i projektami ustaw. Był zadowolony, że nadchodzi czas jego konsulatu, ponieważ już wcześniej przygotował całe mnóstwo projektów, które zamierzał zrealizować. Teraz nie miał szans na przeforsowanie choćby jednej propozycji, bo ten idiota Katon Młodszy natychmiast mu przerywał, a potem nie dawał dojść do słowa. Kiedy jednak Cezar będzie konsulem... Gdy tylko o tym myślał, uśmiech wypełzał mu na usta. I nie był to bynajmniej uśmiech pełen sympatii. Cezar nienawidził Katona za jego głupotę i krótkowzroczność, za brak wyczucia politycznego, nietolerancję wobec odmiennego zdania innych i zupełny brak szacunku. Gdyby mógł, udusiłby tego idiotę gołymi rękami.

Jego przyjemne rozmyślenia przerwała Kalpurnia, która nieśmiało weszła do tablinum. Cezar uniósł wzrok znad papyrusu, który właśnie wypełniał pismem, i spojrzał na żonę. Nadal wyglądała jak dziewczynka, kiedy przybierała taki wyraz twarzy. Czasami pragnął, żeby było inaczej, by mógł znaleźć w żonie partnerkę rozmów, powiernicę i przyjaciela, jednak doskonale wiedział, że nie wolno mu tak postępować z niewiastą. To samo wychowanie na przestrzeni siedmiuset lat

sprawiło, że mężczyźni nie mogli traktować swych żon jako równych sobie partnerów. Cezar nie czynił tak nawet w stosunku do Kornelii, którą przecież kochał. Nie pozwalały mu na to wpajane od dzieciństwa tradycje przodków. Jednak Kalpurni nie kochał ani trochę. Lubił ją, owszem, ale tak, jak lubi się przyjaznego psa, kota, niewolnika czy córkę znajomych. Kalpurnia była młoda, sympatyczna, na swój sposób ładna, no i nie najgorsza w łóżku. Dochowywała mu wierności, posiadała cały szereg cnót wychwalanych przez poetów i mówców, jakimi powinna odznaczać się rzymska matrona. Owszem, pod tym względem trafił w dziesiątkę, żeniąc się z córką Kalpurniusza Pizona. Ale miłość? Nie, Cezar prawie zapomniał już, co znaczy afekt do kobiety, bo jakkolwiek do swej wieloletniej kochanki Serwilli czuł namiętność i może coś tam jeszcze, to uczuciem darzył w życiu jedynie swą pierwszą żonę.

Czasami w chwilach samotności, kiedy siadał przed ciepłym kominkiem, zastanawiał się, jak los mógł to tak urządzić, że on, taki szczęśliwy z Kornelią, teraz odczuwa jedynie dręczący chłód samotności. Czy gdyby tamten siedemnastolatek, żeniąc się z córką Cynny, wiedział, że straci ją za trzynaście lat, zdecydowałby się na ten krok?

Gdyby. Gdyby. Teraz było już za późno. Gdyby Kornelia nie umarła, sens jego życia byłby inny. Żyłby sobie szczęśliwy z dala od rzymskich intryg, niewikłany w polityczne małżeństwo, którego tak naprawdę wcale nie pragnął. I być może miałby teraz syna, nie musiał adoptować wnuka swojej siostry, który być może i zapowiadał się na wspaniałe dziecko, jednak nie był przecież jego własnym potomkiem!

Kalpurnia stała ze skromnie spuszczonego wzrokiem, czekając, aż mąż pozwoli jej mówić. Kornelia weszłaby bez pardonu, nie bacząc na niewolników, usiadłaby Cezarowi na kolanach i obsypała pocałunkami, zanim by się odezwała. Została jednak jego żoną w wieku szesnastu lat. On i Kornelia byli równoletkami, uczyli się siebie nawzajem. Kalpurnia zaś była młodsza od córki swego męża i została wydana za człowieka dwa razy od niej starszego. Nie, nie dziwił się jej ani trochę.



- Słucham cię, moja droga - odezwał się przyjaźnie.

Właściwie Kalpurnia była całkiem ładna i inteligentna. Nie jej wina, że nie potrafiła rozniecić w nim uczucia. Starła się, ale tak, jak nauczyli ją tego rodzice i wychowawcy. Umiała być stateczną rzymską żoną, jednak nie impulsywną kochanką. Trudno. Cezar musiał mimo wszystko przyznać, że szanuje trzecią żonę. Choćby za tę skromność i obyczajność.

- Przyszła twoja córka, Ce... Gajuszu - poprawiła się Kalpurnia. - Czeka w atrium i pyta, czy może wejść.

Cezar zdusił w sobie irytację. Doprawdy, odkąd Julia poślubiła Pompejusza, zaczęła się zachowywać bardziej jak jego żona niż córka. Do trzech Furii, przecież ten dom należał do niej i mogła po nim chodzić, kiedy tylko chciała.

- Kalpurnio, nie jesteś niewolnicą, żeby musieć anonsować Julię - odezwał się spokojnie. - Na drugi raz każ to zrobić jakimkolwiek niewolnikowi. Gdzie Atriusz? Cholery można dostać z tymi odźwiernymi, czy mam ich skuwać łańcuchem za nogę? Sam do niej wyjdę - dodał. - A ty, kochana, każ podać poczęstunek i dołącz do nas w triclinum. Nie będę przyjmował mojego dziecka jak petenta.

Wstał zza stołu i energicznym ruchem obciągnął farbowaną na szafranowo tunikę. Była jesień i niebawem miały nadejść chłody, na razie jednak było dość ciepło, by nie nosić w domu wierzchnich płaszczy.

- Julio! - wołał od progu atrium. - Dlaczego zachowujesz się, jakbyś przychodziła do patrona, a nie ojca?<sup>1</sup>

Julia odziana w zieloną stolę wyglądała dziwnie poważnie, kiedy tak stała w atrium. Cezar przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył ją po czteroletniej rozłące. Pamiętał, że zszedł ze statku i ujrzał Kornelię w towarzystwie niedużej dziewczuszki. A teraz ta osóbką o smutnych czarnych oczach stała w atrium jak ktoś obcy, nie jak jego córka, która biegła do niego z każdym problemem.

- Julio, na Kastora, co się stało? - zaniepokoił się. - Czy Pompejusz coś ci powiedział?

- Nie, ojczy - odparła Julia z bladym uśmiechem. - Chciałam z tobą pomówić. Właściwie mam dobre nowiny.

Zjawiała się Kalpurnia, zapraszając pasierbicę na poczęstunek. Julia pozwoliła poprowadzić się do triclinum, gdzie położyła się na sofie. Nie chciała pić wina, za to sięgnęła po oliwki i winogrona. Do picia chciała tylko wodę.

- Jestem brzemienna - oświadczyła po wstępnej rozmowie.  
- Wiem o tym już od jakiegoś czasu, ale boję się powiedzieć Pompejuszowi. Nie chcę, żeby przeżył kolejne rozczarowanie, jeśli stracę dziecko.

Cezar spojrział na swoją córkę uważnie.

- Dlaczego miałabyś je stracić? - zapytał. - Skoro jesteś w ciąży, to chyba znaczy, że nie stało się to za wcześnie po tamtym.

Kalpurnia skierowała wzrok na Julię. Błękitne oczy dziewczyny patrzyły na nią dziwnie puste i nieobecne.

- Jeżeli opuścisz Italię, Julio, nic ci się nie stanie - powiedziała powoli. - Jednak musisz powiedzieć o wszystkim mężowi i nakłonić go do wspólnego wyjazdu.

Cezar rzucił żonie zdumione spojrzenie.

- Kalpurnio, co ty wygadujesz? - zapytał. - Czy ktoś nastaje na życie mojego wnuka albo córki? Zabiję tego człowieka gołymi rękami, dobrze o tym wiesz.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami. Jej wzrok stał się znów przytomny.

- Gajuszu, muszę ci coś wyznać - powiedziała cicho. - Nie mówiłam ci tego, bo nie pytałeś, a chwalenie się takimi sprawami nie uchodzi kobiecie z dobrego rodu.

- Jakimi rzeczami? - głos Cezara był złowroźbnie spokojny.

- Boskimi - odparła Kalpurnia. - Możesz to nazwać darem albo przekleństwem, jak chcesz. Może to Apollo mnie naznaczył, Diana albo czarna Prozepina, nie wiem.

- Mówże wreszcie - zażądał Cezar.

- Czasami widzę w snach pewne rzeczy, Gajuszu - wyznała Kalpurnia. - Dlatego ojciec chciał mnie oddać do westalek. Jakiś kapłan kiedyś mu powiedział, że nadaję się na wyrocznię i jestem przeznaczona do spraw boskich. Jednak matka nie zgodziła się na posłanie mnie do westalek, twierdząc, że mogę się bardziej nadać do dobrego małżeństwa. Po śmierci babki

i brata widziałam we śnie, jak mój ojciec zostaje konsulem. W moich wizjach pojawiały się różne rzeczy. One nie zawsze się sprawdzają, ale bardzo często. Zbyt często.

- I co teraz widziałaś? - zapytała Julia bladymi ustami. - Zobaczyłaś śmierć mojego dziecka?

Kalpurnia pokręciła głową.

- Widziałam, że Cezar płakał - szepnęła. - Płakał i przeklinał samego siebie. I widziałam ciebie, jak rodzisz dziecko, ale nie teraz. Za kilka lat. Wyjedź, Julio, proszę, jak najszybciej.

- Kalpurnio, na łeb Cerbera, dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś, że masz dar? - wykrzyknął Cezar.

Pokręciła ponownie głową i uśmiechnęła się smutno.

- Nie dajesz mi zbyt wielu okazji do poważnej rozmowy, panie - powiedziała szczerze. - Jesteś mym mężem, a nie ojcem.

Cezar spojrział na nią i stwierdził, że w jego duszy coś pęka. Zrozumiał tego dnia, że Kalpurnia, jakkolwiek młoda, niedoświadczona i wychowana w konwencjonalny sposób, kocha go z całą mocą swego młodego serca. Dotarło do niego, że miłowała go tak bardzo, iż przyznała się do skazy, którą wedle swego mniemania posiadała. Coś, co według niej hańbiło ją, o czym bała się mówić, ukazała teraz przed nim, by zapobiec nieszczęściu jego córki. I nieważne, czy ten dar posiadała, czy nie, chciała dobrze - nawet kosztem utraty i tak już niewielkiej atrakcyjności w oczach męża.

Przypomniawszy sobie oczy Kornelii, kiedy odchodziła. „Ożeń się, Gajuszu. Julia potrzebuje matki”. Kalpurnia była zbyt młoda na matkę dla Julii, zbyt młoda, by być choćby jej siostrą, ale poczuła się w obowiązku chronić potomstwo męża, nawet jeśli zagrożenie nie istniało.

Przypomniawszy sobie oczy dziewczyny w dniu ich ślubu.

- Pomówię dziś z Pompejuszem - obiecała Julia uspokojona. - Chyba bogowie mnie tu skierowali.

Kalpurnia spuściła oczy. Nie powiedziała całej prawdy. Jej wizje bowiem zawsze się sprawdzały, jeśli ktoś nie posłuchał jej rady i nie zapobiegł przeznaczeniu. A ona miała złe przeczucie, że Julia zignoruje fatum.

\*

Julia była w trakcie pakowania, kiedy oznajmiono jej o odwiedzinach Attii.

- Ale mi to teraz potrzebne - mruknęła sama do siebie, zastanawiając się, czego kuzynka może teraz chcieć. - Prosić ją - wydała polecenie.

Pompejusz dość chętnie zgodził się, kiedy powiedziała, że chciałyby wyjechać. W jego oczach wyczytała radość, a przede wszystkim troskę. Otoczył ją opiekuńczo ramieniem.

- Oczywiście, że wyjedziemy, jeśli tego sobie życzysz - powiedział. - Jeżeli nie czujesz się teraz dobrze w Italii, udamy się do Aten i tam urodzisz dziecko. Nie muszę tkwić bez przerwy w senacie. Mogę sobie zrobić wolne na pół roku.

Julia odetchnęła z ulgą. Wzięła sobie do serca słowa Kalpurni. Oczy małżonki Cezara lśniły dziwnie, kiedy wypowiadała przepowiednię. Zadowolona z takiego obrotu sprawy Julia po raz pierwszy pozwoliła sobie na uśmiech, myśląc o kolejnej ciąży. „Kalpurnia przepowiedziała mi, że na pewno urodzę. Wiem, że to nastąpi teraz. Ona się myli, źle widziała albo specjalnie mi to powiedziała, żebym o siebie zadbała. Tak, Attia też mi poradziła, żebym wyjechała z miasta. Jak to dobrze, że mam wokół siebie osoby, które dbają o moje dobro”.

Attia nie sprawiała wrażenia zdziwionej decyzją Julii.

- Słyszałam, że wyjeżdżasz. Przyszłam się pożegnać - powiedziała, wysuwając ręce z zagięcia stoli. - W końcu nie będzie cię przez pół roku, o ile nie dłużej. Dokąd chcesz jechać?

- O, to jeszcze nieustalone - powiedziała Julia. - Może do Grecji, a może po prostu do Kampanii, jak mi radziłaś.

Sama nie wiedziała, dlaczego kłamie. Coś w tonie głosu kuzynki kazało jej zachować czujność. Attia uciekała wzrokiem, ilekroć napotkała spojrzenie Julii, i odwracała głowę, kiedy mówiła. Może czuła się źle albo po prostu było jej smutno. Znały się w końcu całe życie i lubiły bardzo.

- Będzie mi ciebie brakowało - odparła cicho Attia. - Jednak pokaż mi, co ze sobą zabierasz. Ciekawa jestem, w jakich

strojach będziesz paradować w Grecji czy Kampanii.

Powiedziała to ze śmiechem, rozładowując napięcie. Julia roześmiała się i wyszła, by wydać stosowne polecenie niewolnicy. Miała do kuzynki pełne zaufanie, dlatego nie bała się zostawić jej samej w triclinum.

Attia czuła, jak drżą jej ręce. Wyciągnęła zza paska niewielką fiolkę i odkorkowała ją. Mdły zapach omal nie przyprawił jej o torsje, ale przemogła się i wlała kilka kropel do naparzu Julii. Miała tylko nadzieję, że kuzynka niczego nie poczuje.

Zrobiła to. Myślała o tym przez ostatnie tygodnie i nienawidziła samej siebie. Ilekroć jej wzrok padał na Oktawiusza, napełniała ją dzika, złośliwa radość. Gdy tylko myślała o Julii, jej serce ścisnęło się z żalości i wyrzutów sumienia. Sumienie Attii i tak było już ciemne jak noc i ciężkie jak worek brytyjskiego ołowiu. Jakże sobą pogardzała i jak wielką miała nadzieję, że jej się uda! A jeśli plan się nie powiedzie? Wtedy mogłaby winą obarczyć bogów i nie próbować więcej. Byłaby usprawiedliwiona, mogłaby z czystym sumieniem umyć ręce. Nie udało się. Trudno. Jednak wiedziała, że wówczas uczyniłaby coś znacznie gorszego. Może nie od razu, za kilka lat, za dwie dekady, ale zrobiłaby to. Zabiłaby syna Julii. Może nie pierworodnego, potomka i dziedzica Pompejusza. Córkę też by oszczędziła. Jednak drugie dziecko, przeznaczone dla Cezara, uśmierciłaby z zimną krwią. Wiedziała to. Znała już siebie na tyle, by to wiedzieć. Poznała drzemiące w niej mordercze instynkty i bała się ich, ale jednocześnie uwielbiała tę nieznaną, straszną siłę, o której istnieniu poinformował ją Cezar, a której porywy dotychczas w sobie tłumiała.

Tak, była złą kobietą. Niegodną rodu Juliuszów. Była splamiona, zhańbiona, okryta klątwą bogów na zawsze. Furie będą ją ścigać przez resztę życia, przez resztę wieczności, przez całe wieki. Każdego dnia na nowo będą rozrywać jej ciało i duszę na strzępy, tak jak orzeł każdego ranka wydziobywał wątrobę Prometeusza. Wiedziała to i zaryzykowała.

A jej syn? On nigdy się nie dowie, że pozycję w świecie

i bogactwo zapewniła mu matka. Że poświęciła się dla niego, oddała własną duszę i spokój sumienia. Uśmiech Julii, taki radosny, jej zapał, jej miłość, jej radość, jej życie... Wszystko to Attia zniszczy kilkoma kroplami wywaru, który zabije dziecko w łonie matki.

Na chwilę się zawahała i gotowa była wyrzucić puchar na ziemię, byle tylko Julia z niego nie piła. Takich rzeczy nie wolno robić, nie krewnym, w ogóle nie wolno. Dziecko przecież nie zawiniło, nie zrobiło nic złego, nie zdążyło! I nie zdąży.

Złe instynkty zwyciężyły, o ile to były one, a nie chęć ochrony własnego potomka. Ochrony przed czym? Przecież Oktawiusz był bezpieczny, miał zapewnioną przyszłość bez protekcji Cezara. Nie musiała pozbywać się jego kuzynów i rywali. Dlaczego to zrobiła?

Julia zarumieniona wróciła do triclinum i jednym haustem opróżniła puchar z wywarem i wodą. Skrzywiła się.

- Odkąd jestem w ciąży, nie potrafię dobrze wyważyć proporcji - wyjaśniła z zażenowaniem. - Chyba przesadziłam z goryczką.

Attia uśmiechnęła się sztywno. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, co tak naprawdę zrobiła. Śmiercionośny płyn już krążył w żyłach kuzynki, docierał do żołądka, przenikał przez błony i ścianki, trafiał do wątroby i serca. I razem z krwią miał popłynąć do malutkiego serduszka tej istoty, która dopiero zaczynała przybierać ludzkie kształty. O bogowie!

W noc poprzedzającą wizytę u kuzynki Attia modliła się do Diany, straszliwej bogini o trzech twarzach, by jej misja się powiodła. Diana była boginią dobra i zła, opiekunką ciężarnych, protektorką dziewic i mistrzynią czarownic, cichą morderczynią, jak jej brat Febus. Dawała i odbierała życie według uznania.

Dzisiaj zaś Attia modliła się do Junony, opiekunki małżeństw, by trucizna nie zadziałała.

- Są trucizny, które działają powoli. Efekty widać po kilku dniach.

Przeklęte słowa. Przeklęte wywary. Przeklęte decyzje.

Attia przymknęła oczy. Wiedziała, że wkroczyła na drogę

występku i teraz nic jej już z tej drogi nie zawróci.

---

<sup>1</sup> Łacińska gra słów: słowo *patronus* oznacza opiekuna, słowo *pater* oznacza ojca.

## X

Gwynn, siedząc przed domem, miała wspaniałą wręcz widok na swego syna Drusta, który siedział w objęciach piastunki. Jednak to nie on przyciągał całą jej uwagę, lecz Cynnus. Mężczyzna udawał, że prowadzi rozmowę z klientem, a tak naprawdę kątem oka cały czas obserwował czyszczącego tarczę Galvana.

Kiedy Scatah i Uatah odjechały, zabierając ze sobą Morgwynn, stosunek Galvana do Gwynn zmienił się. No, może nie tak znowu bardzo, bo wcześniej okazywał jej przecież dużo sympatii i czułości, a także szacunku, jednak w jego zachowaniu trudno było dopatrzeć się tego żalu, który cechował go po powrocie z doliny Scatah. Gwynn miała wrażenie, że to nie ten sam Galvan. Tak jakby ktoś inny narodził się wraz z przyjściem na świat bliźniaków.

O córeczce, Morgwynn, nic nie mówił. Nawet jej nie wspominał. Natomiast synowi poświęcał ogromnie dużo uwagi, naturalnie, w domowym zaciszu, bo nie uchodziło, by ojciec zajmował się małym synem publicznie. Ludzie i tak wiedzieli, że trzy miesiące temu na świat przyszedł wnuk Celyllusa. Pchali się drzwiami i oknami, by go ujrzeć. Rzecz jasna, pod odpowiednimi pretekstami, takimi jak chęć wymiany materiałów albo pożyczanie mąki. Galvan chętnie prezentował swojego potomka i dosłownie pękał z dumy, kiedy ktoś wychwalał niezaprzeczalną urodę chłopca.

Tak, Gwynn, patrząc na swego synka, musiała przyznać, że w rzeczy samej był on ładnym dzieckiem. Kiedy zeszła mu z buzi opuchlizna po porodzie, a zaciśnięte powieki wygładziły się nieco, wszyscy mogli stwierdzić, że Drust podobny jest



do Galvana, a w miarę upływu czasu chłopiec wyglądał jak skóra zdjeta z ojca. Nikt nie mógł mieć wątpliwości co do pochodzenia dziecka.

Wszystko wskazywało na to, że Drust będzie jasnowłosy. Kiedy czarne włosy, które rosły mu na główce po urodzeniu, wytarły się, pojawił się jasnozłoty puch. Tak, Drust był ładnym niemowlęciem i Gwynn już była z niego dumna.

Właściwie mogła być szczęśliwa, ale dwa cienie kładły się uporczywie na jej dobrym nastroju. Pierwszym z nich była wyraźna niechęć Cynnusa do nowo narodzonego dziecka. Oczywiście, kiwał głową z uznaniem dla syna swego bratanka, wygłaszał peany na cześć noworodka, ale jego oczy pozostawały zimne i wrogie. Nigdy też nie brał dziecka na ręce, jak to czyniła jego zachwycona babka Geillis. Nie, widziała wyraźnie nienawiść kipiącą w każdym spojrzeniu Cynnusa, w każdym przesyconym słodyczą słowie, w każdym geście. Kiedy powiedziała o tym Galvanowi, odparł z niechęcią, że Gwynn przesadza.

- Jesteś przewrażliwiona jak każda matka, moja droga - stwierdził. - Drust nie jest dzieckiem Cynnusa, więc stary może jedynie pozazdrościć. Pewnie właśnie to widzisz w jego oczach, Gwynn.

Nie skomentowała wypowiedzi męża, ale myślała swoje.

Widziała też wyraźną niechęć w spojrzeniach Cynnusa kierowanych do Geillis. Znała tego przyczynę. Matka Galvana przekroczyła już trzydziestkę. Urodziła Celyllusowi troje dzieci i nic nie wskazywało na to, by miała dać potomstwo Cynnusowi. Najwyraźniej jej płodność dobiegała kresu, chociaż po samej Geillis nie było tego widać. Swoje córki po wyjściu za Cynnusa przezornie odesłała na wychowanie do brata. Nie chciała drażnić męża widokiem potomstwa Celyllusa. Bo Geillis też wiedziała swoje, ale milczała, czekając na właściwy moment.

Drugim cieniem na szczęściu Gwynn był brak córki. Tęskniła za dzieckiem ogromnie, chociaż po trzech miesiącach tęsknota i ból nieco złagodniały. Martwił Gwynn natomiast fakt, że bardzo szybko straciła pokarm dla dziecka i musiała je powierzyć mamce i piastunce. W ten sposób zwiększała

szansę na ponowne zajście w ciążę, a tego na razie nie chciała.

Cynnus... Nie podobał się jej ten człowiek. Nienawidziła go z każdym dniem coraz bardziej. Nie miał najmniejszego zamiaru oddać młodym władzy nad domostwem, wprost przeciwnie, podkreślał, że ma do posiadłości brata niezaprzeczone prawa. Jednak to Galvan był właścicielem ziemi, domu, pól i niewolników. Cynnus marnotrawił wszystko, sprzedawał bydło po niskich cenach i nie szanował swojej klienteli. Był zapatrzony w siebie, chciał szybko zbić majątek. Nie liczył się z nikim. Zaś spojrzenia, które słał bratankowi, doprawdy nie wróżyły niczego dobrego.

Galvan wydawał się trwać w uśpieniu i czekać na ruch tamtego. Tak, Gwynn doskonale wiedziała, o co chodzi. Jako bratanek Cynnusa Galvan nie mógł go zabić bez pretekstu, a na razie stryj trzymał się w ryzach. Gdyby jednak miał odpowiedni powód, wolno by mu było przynajmniej przepędzić intruza z posiadłości. Obecnie niewiele mógł zdziałać bez wystąpienia zbrojnego przeciwko bratu swego ojca.

Geillis wyszła na podwórze. W jesiennym słońcu jej włosy lśniły jak złoto. Gwynn zdumiała się, że jej teściowa jest tak piękna i młoda, jednak zaraz uświadomiła sobie, że wydała na świat Galvana, mając szesnaście lat. Teraz nie skończyła jeszcze czterdziestu.

Geillis podeszła do niej i usiadła obok.

- Twój syn rośnie niesamowicie - rzekła. - Jeszcze trochę, a będziesz musiała oddać go do adopcji.

Gwynn zasepiła się.

- Może gdzie indziej będzie bezpieczny - mruknęła. - Bo tutaj czyha na niego niebezpieczeństwo.

Niebieskie oczy Geillis zwróciły się w stronę Cynnusa, który zapamiętale gestykułował.

- Tak. Myślałam o tym samym - powiedziała powoli. - Rozumiem cię doskonale.

Gwynn poczuła pewny grunt pod stopami. Odłożyła suknię, którą właśnie wyszywała, i zwróciła się do matki swego męża:

- Dlaczego Galvan jest taki ślepy i niczego nie dostrzega? - zalała się. - Czasami wydaje mi się, że u tej wiedzmy z gór

stracił cały rozum. Cynnus gotuje się na jego syna i na niego samego, a Galvan nic, tylko głupio się uśmiecha. Czy on nie widzi, co się dzieje?

Geillis uśmiechnęła się. Oczywiście, wiedziała, że Gwynn nadal jest zazdrosna o pierwszą żonę Galvana, ale co do pozostałych spraw dziewczyna niekoniecznie musiała mieć rację. Była taka zabawna i wzruszająca w oddaniu Galvanowi. On chyba naprawdę nie doceniał żony. Marzył o Uatah i nocach spędzonych w jej ramionach, nie widział zaś, że obok ktoś darzył go gorącym uczuciem, ogromną miłością i troską.

- To nie do końca tak, Gwynn - odezwała się Geillis. - Galvan nic nie może zrobić, jeśli Cynnus nie wykona pierwszy ruchu. Czy chciałabyś, by ucięto mu głowę?

- Galvanowi? Nigdy w życiu.

- Sama wiele razy myślałam, żeby się go pozbyć, ale wtedy spalono by mnie na stosie przy pierwszym święcie Samain. Nie mam ochoty ginąć jako morderczyni męża.

Błękitnozielone oczy Gwynn zalśniły.

- Dlaczego za niego wyszłaś? - zapytała. - Miałaś przecież wybór.

- Niewielki - odparła Geillis. - Jeślibym chciała zostać w domu Celyllusa, musiałam poślubić jego brata. Galvan miał wówczas siedem lat i nie byłby w stanie zająć się domem.

- Jednak teraz chyba możesz go opuścić?

- No pewnie - zaśmiała się Geillis. - Musiałabym odejść, a wtedy Cynnus sprowadziłby sobie drugą żonę, która urodziłaby mu syna. Nie, Gwynn, jego trzeba się pozbyć w inteligentny sposób. Jestem pewna, że uczestniczył w spisku na mego męża, ale nie mogę mu tego udowodnić. Galvan popełnił głupstwo, zabijając morderców, nie wypytawszy ich o członków spisku. Ale rozumiem go, powodowały nim gniew i chęć zemsty. Galvan jest młody i porywczy. Z czasem się to zmieni.

Geillis uśmiechnęła się. Pamiętała wybuchy złości u małego Galvana. Wszyscy mu to wybacжали, bo był śliczny i słodki, ale Celyllus, jego ojciec, wielokrotnie powtarzał, że z tego chłopca wyrośnie potężny wojownik. Jaka szkoda, że nie mógł tego

zobaczyć.

Gwynn myślała intensywnie. Pozbycie się Cynnusa w legalny sposób nie będzie prostym zadaniem. Jednak ona coś wymyśli. Upora się z problemem. Dom Celtyllusa musi stać się własnością Galvana, a co za tym idzie, Drusta. Nie pozwoli, by Cynnus zagarnął wszystko w imię pokrewieństwa czy prawa do władzy.

Musiała tylko wymyślić sposób.

\*

Sposób znalazł się sam.

Na wyspie Sein Uatah zerwała się z krzykiem z pośłania. Długo oddychała ciężko w nocnej ciemności, usiłując wybudzić się z koszmaru. Potem przez wiele godzin leżała, tuląc do siebie Morgwynn, małą córeczkę Galvana, i wsłuchując się w spokojny oddech Aife za plecami.

Następnego dnia udała się do przełożonej i oznajmiła, że chce na jakiś czas opuścić Sein.

- Muszę udać się do mojej matki - powiedziała. - To nie potrwa długo. Przed Samain wrócę.

Przełożona kapłanek, kobieta o siwych włosach i spojrzeniu naznaczonym doświadczeniem, przyglądała się uważnie dziewczynie. Kiedy Uatah przybyła tu przed rokiem z nowo narodzoną córeczką, Braidad doskonale wiedziała, że w sercu córki Scatah tli się nieugaszony płomień miłości do Wercyngetoryksa, syna Celtyllusa. Uważała też, że znakomitą próbą cierpliwości było powierzenie dziewczynie córki ukochanego na wychowanie. Jednak Uatah miała zajmować się Morgwynn tylko do czasu, gdy mała ukończy pięć lat. Wtedy zostanie odesłana na Albion, gdzie zaręczą ją z brytyjskimi władcami. Morgwynn miała zostać oddana Brytom nie bez powodu. Jednak Braidad nie mogła oczywiście zdradzić tajemnicy powierzonej jej przez Scatah.

- Chcesz jechać na ląd? - zapytała. - Teraz, kiedy zima za pasem?

- Do zimy jeszcze daleko, a ja potrafię znakomicie o siebie

zadbać – odparła Uatah.

Tak, Braidad o tym wiedziała. Spoglądała na płaskie, silne mięśnie Uatah, na jej pełną sprężystości sylwetkę i ani przez moment nie wątpiła, że ta dziewczyna jest w stanie pokonać najgorszego nawet wroga. Była śmiertelnie niebezpieczna. To fantastycznie wyszkolona wojowniczką.

– Miałam sen – wyjaśniła wreszcie Uatah. – Ale nie potrafię go odczytać. Muszę jechać do matki i naradzić się z nią.

– Co widziałaś? – zapytała Braidad.

– Zdradę i krew.

Braidad nie pytała o nic więcej.

Dwa dni później Uatah siedziała na końskim grzbiecie i zastanawiała się, jak najszybciej dostać się do doliny matki. Wiedziała, że czas ją goni. Zdawała też sobie sprawę, że tego roku Samain przypada podczas czarnego księżyca, co nie pozostawało bez wpływu na magiczne rytuały. Miała to być noc z czwartego na piąty dzień tygodnia, a więc połączenie sił sprzyjało wizjom. Gdyby tylko poczynić odpowiednią ofiarę, znaleźć człowieka nadającego się do tych celów...

Nie to miało jednak największe znaczenie, lecz sen. Dotyczył on Galvana. Uatah widziała go otoczonego przez wrogów, bezbronny i zaskoczony.

– Przeklęty – mamrotała pod nosem. – Jak nie może zabić Cynnusa sam, to niechby wynajął do tego Swebów zza Renu. Już oni by sobie poradzili.

Jednak w głębi duszy wiedziała, że to niemożliwe. Gdyby nawet Galvan ściągnął rzymski legion na Cynnusa, zginąłby haniebną śmiercią w razie najmniejszego przecieku. A przecież Rzymianie też są tylko ludźmi i w obliczu śmierci wygadaliby się, kto ich najął. Tak samo Swebowie.

Nie, Uatah, jadąc konno przez niziny Galii, wiedziała, że Galvanowi trzeba pomóc w tej sprawie. Potem niech radzi sobie sam. Jednak tę przeszkodę należy usunąć mu spod nóg. Zresztą on potrafił sobie radzić, widziała to. Jako jedyny przeszedł wszystkie próby. Pozabijał morderców swego ojca i zaprowadził spokój w Gergowii. Ludzie się go bali. Szanowali go.

Cynnus. Uatah nie pałała zbyt dużą sympatią do brata

Celtyllusa, bo przypominał jej jadowitą żmiję. Woląca już ludzi złych, ale szczerych. Takich, którzy nie bawili się w podchody, tylko mieli odwagę wyzwać wroga na pojedynek i zadać mu honorową śmierć. A Cynnus był podstępny i fałszywy. Udawał miłość do brata, by po cichu się go pozbyć. Teraz stwarzał pozory przyjaźni w stosunku do Galvana. Jednak Uatah wiedziała, że cały czas knuł intrygi. Tak, należy się go pozbyć.

Gdy znalazła się w dolinie, poczuła się jak w domu. Teraz Sein było jej schronieniem, ale Uatah wiedziała, że nie zawsze tak będzie. Za jakiś czas opuści Sein i wróci tu, by służyć mądrością i szkolić nowych wojowników, kierować wojną i odpierać ataki, a w końcu stać się jedną z mądrych, jakie od wieków kształcił zakon. Już teraz nosiła w sobie sekretną wiedzę, którą przed tysiącami lat przyswoili sobie ludzie ze Wschodu i Południa. Misteria, jakie odgrywały się na długo przed pojawieniem się Celtów na ich terytorium, wszystkie te rytuały, które zasypał piasek pustyni w Egipcie, a potem narodziły się na nowo w Babilonii, przeniknęły do umysłów Celtów, gdy nowy rodzaj ludzki rodził się na pustkowiach Anatolii.

Prości ludzie zapomnieli o wiedzy sprzed wieków. Ale kapłanki z Sein pilnowały, by kaganek wiedzy nie zgasł.

Oczywiście, nie miała najmniejszego zamiaru pokazywać się Galvanowi na oczy. Nie po tym, co się ostatnio wydarzyło. Nie po jego słowach. Jakim prawem powiedział, że ona podporządkowuje się matce! Nie rozumiał, że nie była córką wielkiego pana, lecz kapłanką? Musiała być posłuszna matce jako kapłance wyższej rangi. Czy Galvan musiał być tak głupi? Czy musiał jej ubliżyć?

Uatah żał było przede wszystkim Gwynn. Ta biedna dziewczyna naprawdę była Galvanowi oddana, kochała go i nie zasługiwała na to, by jej mąż wzdychał po nocach do byłej żony. Nawet jeśli tą ostatnią była ona sama. Uatah miała na tyle rozumu, by to wiedzieć.

Rzuciła okiem na młode wojowniczkę szkolące kolejne pokolenie młodzieńców i uśmiechnęła się. Niedługo też będzie to robić. Kiedy nadejdzie czas, by urodziła następnego

potomka.

\*

Scatah wyszła jej na spotkanie. Dziewczyna z zaskoczeniem stwierdziła, że czas wyrył jednak ślady na twarzy matki. Nie żeby Scatah przeistoczyła się w staruszkę albo kobietę w wieku średnim, którą przecież de facto była, ale wzdłuż jej ust rysowały się głębokie bruzdy, których wcześniej chyba nie było, a między brwiami pojawiła się pionowa kreska. Najwyraźniej Scatah w samotności miała mnóstwo czasu na rozmyślanie.

- Spodziewałam się ciebie - powitała córkę. - Nie sądziłam jednak, że przybędziesz tak szybko.

- Spieszyłam się - odparła Uatah.

Scatah kazała podać córce posiłek i przygotować kąpiel. Kiedy Uatah już się najadła i odświeżyła, matka poprowadziła ją do komnaty z paleniskiem i wielkim dębowym stołem, zawalonym drogocennymi papirusami z dalekiego południa, tabliczkami z wosku i rylcami. Na stole panował bałagan, świece były na wpół dopalone, klepsydra przewrócona, a wszystko inne porzrzucone w nieładzie.

- Galvan nie jest moim jedynym problemem - powiedziała Scatah. - Rzymski informator nie przynosi najpomyślniejszych wieści.

- Wiemy, że Cezar został wybrany konsulem, matko - odparła Uatah spokojnie. - A ty miałaś wizję dotyczącą niego.

Scatah zacisnęła na moment usta.

- Wielki wojownik rodzi się raz na sto lat albo i więcej - powiedziała. - Wielki, niepokonany żołnierz, wybitny władca, przepełniony ambicją, genialny strateg. Czytałaś zapisy Hellenów i egipskie papirusy, moje dziecko. Wiesz o tym.

Znajomość czytania i pisania była Celtom nieznaną. W większości. Wtajemniczeni i wysoko urodzeni, którzy mogli sobie pozwolić na konszachty z druidami, potrafili pisać. Używali do tego run albo pisma greckiego, które tamci odziedziczyli po Fenicjanach. Obecnie Fenicjanie niemal przestali istnieć, w Tyrze panoszyli się Rzymianie, Arabowie

z dalekich pustyń, Żydzi i Persowie. Ostatnią fenicką kolonię – potężne państwo Kartaginę – Rzymianie zniszczyli ponad sto lat temu. Jednak litery Fenicjan i ich wiedza przetrwały, przekazane najpierw Kreteńczykom, tajemniczemu ludowi, nie wiadomo skąd przybyłemu, następnie Grekom, a za ich pośrednictwem Etruskom, których pochodzenie także było tajemnicze. Od Etrusków i Greków pismo przejęli Rzymianie i Celtowie. Każdy naród przystosował je do swoich potrzeb. Rzymianie na przestrzeni pięciuset lat całkowicie zmienili pismo, uczeni Celtowie posługiwali się dalej alfabetem greckim.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – mruknęła Uatah.

Scatah jej nie słuchała, pogrążona w swoim wewnętrznym transie.

– Totmes – zaczęła wyliczankę. – Ramzes, Nabuchodonozor, Jozue, Dawid, Cyrus, Dariusz, Temistokles, Aleksander... Wielcy wojownicy Wschodu. Każdy z nich równał się bogom. A potem Hannibal, Scypion, Mariusz... Kiedy rodził się jeden, podbijał znany mu świat, tak jak egipski Ramzes, który uczynił swe państwo najpotężniejszym w Afryce i Azji. Tak jak Aleksander, z którym nikt nie mógł się równać. Tak jak Cyrus Wielki, który pustoszył Babilon ogniem i mieczem. Kiedy jednak rodzili się parami, dochodziło do konfliktów i rzezi. Hannibal i Scypion, dwaj niepokonani, z których jeden musiał zostać zdradzony, by zginąć. Mariusz i Sulla, zbyt silni, by stać obok siebie. Cezar...

Zielone oczy Scatah zaszklily się. Uatah wiedziała, że matka studiowała starożytne wschodnie teksty. Nie było to dla niej niczym niezwykłym, wiedzę tę od wieków pielęgnowali druidzi i przekazywali wtajemniczonym. Podczas gdy prosty lud wiedział o celtyckich bohaterach, kapłanki na Sein posiadały wiedzę o archaicznych władcach, którzy zmieniali losy świata, tak jak tama na rzece odwraca bieg wody.

– Cezar to potężny wróg – mówiła Scatah. – Wielki wódz, chociaż nie miał jeszcze swojej szansy. Właśnie ją otrzymał. Ten człowiek stanowi zagrożenie, bo jest inteligentny i ambitny. Nie podda się łatwo. Będzie szukał i drażył, aż nadejdzie właściwy moment. Galvan powinien być urodzić się wcześniej,



by przygotować Celtów na zjednoczenie. Ale przyszedł na świat teraz, kiedy tamten już się szykuje, by tu wkroczyć.

- Matko, nie możesz wiedzieć, czy on tu wkroczy - przerwała jej Uatah. - Poza tym to jest jeszcze osnute mgłą przyszłości. Mówię o Galvanie i jego stryju, który tylko czeka na właściwy moment.

- Uatah, nie nauczyłaś się jeszcze dalekowzroczności, jak widzę - westchnęła Scatah. - Musimy wypchnąć Galvana na najwyższą władzę w państwie, żeby pokonał Rzymian. By to jednak osiągnąć, musimy pozbyć się Cynnusa. A ja potrzebuję ofiary na Samain.

Uatah zamarła. Myśli jej i matki biegły tym samym torem.

- Ofiara, powiadasz - szepnęła.

- Chcę złożyć ofiarę Disowi - odparła Scatah poważnie.

Uatah przełękła się.

- Matko, nie wolno ci. Wiesz przecież, co to oznacza. Ofiara złożona Disowi w Samain z czwartej na piątą noc, przy czarnym księżycu...

- Pozwala widzieć - przerwała jej Scatah. - Otwiera bramy podświadomości, Uatah. Dzięki temu będę wiedziała, na co się ważymy, przygotowując Galvana do jego misji.

- Matko, to ciebie zabije! - krzyknęła Uatah. - Ofiara dla Disa zawsze odbiera życie temu, kto ją składa! Niech to robią druidzi, a nie ty. Ty się jeszcze przydasz tutaj.

- Nie dramatyzuj - powiedziała Scatah zmęczonym tonem. - Przesadzasz jak zwykle. Nic mi nie będzie.

Uatah patrzyła na nią ze złością, ale nie sprzeciwiła się więcej. Specjalna ofiara dla Disa, boga podziemi, składała się z jednego tylko człowieka i była tak potworna, że dziewczyna nie chciała nawet o tym myśleć. Podczas gdy normalnie palono złoczyńców w słomianych kukłach i ofiarowywano plony oraz pierwociny publicznie, w tym przypadku było zupełnie inaczej. Kapłanka przed rytuałem musiała długo pościć, oczyszczać się i przygotowywać umysł na ostre, jasne wizje, które miały nadejść, kiedy bóg podziemi w nią wstąpi. Żeby to jednak uczynił, należało rozciąć nieszczęśnikowi brzuch i za jego życia wyciągać wnętrzności. Wróżono z nich, pilnując jednocześnie,

by człowiek nie umarł przed wyjęciem serca. Uatah na samą myśl o tym robiło się słabo. Nie słyszała, by ktokolwiek przeżył ingerencję boga podziemi w swoją duszę.

Cynnus, to jego Scatah przeznaczala na dar dla Disa, najpotężniejszego z piekielnych bóstw. Należało pochwycić go żywcem, żeby ofiara mogła się dokonać.

- Nie martw się - odezwała się Scatah. - Rozwiązanie samo się nasunie. Jutro jadę do Gergowii. Wiem, kto z całego serca pragnie się pozbyć Cynnusa. I zobaczysz, że mój plan się powiedzie.

- Tak, ale za jaką cenę - mruknęła Uatah.

Tego Scatah nie chciała jej powiedzieć.

\*

- Nigdy nie sądziłem, że będę kogoś darzyć tak głęboką nienawiścią jak brata mego ojca - wyznał Galvan, popijając piwo roboty Aman.

Siedział u Gobannicjona i podziwiał zakupione przez niego konie z Hiszpanii, najlepsze okazy, które miał wuj zamiar przehandlować w Eborakum. Poświęcił na wyprawę po te zwierzęta całe lato. Sprowadzenie ich drogą morską kosztowało go niemało nerwów, ale nie mógł sobie pozwolić na transport tak cennych koni przez Alpy.

- Nikt nie darzy twego stryja zbyt głęboką miłością - parsknął śmiechem po wyznaniu siostrzeńca. - A już moja siostra najmniej.

- Dlaczego go poślubiła? - zachodził w głowę Galvan.

- No, ty nie powinienesz zadawać akurat takich pytań - odparł Gobannicjon. - Ze względu na twoje dobro, to chyba jasne. Nie mogła przecież pozwolić, żeby twoje dobra przeszły na ewentualnego potomka Cynnusa.

Galvan zasepił się. Czerwone liście klonów odbijały się od intensywnie błękitnego nieba. Trawa była soczystozielona. Jesień rozkwitła w pełni.

- Nie sądzę, by miała z nim dziecko - powiedział powoli. - Są małżeństwem już wiele lat, a jakoś nie urodziła mu potomka.

- Kobiety mają swoje sposoby - mruknął Gobannicjon. - Sam ledwo się w tym orientuję. Jednak jest inna sprawa, o której ci nie wspominaliśmy.

- Jacy „my”?

- Ja i twoja matka.

Galvan niecierpliwym ruchem odsunął do tyłu jasne włosy i intensywnie wpatrywał się w wuja.

- Dlaczego, na miłość boską, mielibyście coś przede mną ukrywać?

- Bo jesteś zbyt młody i porywczy, by zapanować nad emocjami - odparł wuj spokojnie. - Podejrzewaliśmy, słusznie zresztą, że gdybyś się dowiedział, zabiłbyś Cynnusa gołymi rękami, a tego nie wolno ci uczynić ze względu na pokrewieństwo.

- Co sugerujesz? - zapytał Galvan pobladłymi ustami, choć w głębi ducha przeczuwał odpowiedź.

- Ja i Geillis podejrzewamy, nie my jedni zresztą, że Cynnus był przywódcą spisku mającego na celu odsunąć twojego ojca od władzy - powiedział Gobannicjon.

Na twarzy Galvana odmalowało się niedowierzanie.

- Chcesz powiedzieć, że on zabił mojego ojca?

Niedowierzanie przerodziło się w furję. Piękna twarz chłopaka wykrzywiła się w grymasie nienawiści. Galvan zrobił ruch, jakby chciał wstać i rzucić się na Cynnusa, ale silne ramiona Gobannicjona posadziły go na miejscu.

- Takiej reakcji się obawialiśmy - powiedział. - Siedź spokojnie i nie daj się ponieść emocjom.

- Zabiję tego sukinsyna - mamrotał Galvan wściekle. - Zamorduję go.

- Nie zrobisz tego, bo utną ci głowę - osadził go wuj na miejscu. - Nie możesz go zabić, rozumiesz chyba.

- Ale on zabił mojego ojca! - wrzasnął Galvan.

- Nie masz na to żadnych dowodów.

- To skąd wiesz, że on to zrobił?

Na twarzy Galvana malowała się teraz rozpacz. Gdy ojciec zginął, chłopiec był zbyt mały. Nie pamiętał Celtyllusa. Nie mógł jednak wybaczyć zabójcom, że pozbawili go możliwości

poznania ojca po okresie szkolenia. Jego brat Celtillognatos miał przynajmniej tę radość, że widział Celyllusa za jego życia. A co pozostało Galvanowi? Niejasne wspomnienia o potężnym mężczyźnie, na wpół zamazane, osnute mgłą niepamięci.

Ramiona młodzieńca unosiły się i opadały w bolesnym oddechu. Gobannicjon doskonale go rozumiał.

- Galvanie, posłuchaj - zaczął. - Zemsta dokonana w taki sposób nic ci nie da. Musimy umiejętnie sprowokować Cynnusa, podburzyć go, rozumiesz? Musisz mieć świadków, którzy potwierdzą, że stryj cię wyzwiał, że walczysz z nim w samoobronie. Nic innego nie wchodzi w rachubę.

Galvan miotał się między chęcią zabicia Cynnusa a koniecznością przyznania Gobannicjonowi racji. Nie miał wyjścia. Nie chciał skończyć jako zabójca własnego stryja. To by nic nie dało ani jemu, ani jego dzieciom. No właśnie, dzieci. O nich powinien pomyśleć jak najszybciej. Czy były bezpieczne, przebywając pod jednym dachem z tym człowiekiem?

- Co zrobimy zatem? - zapytał cicho.

- Doprowadzimy do tego, by wyzwiał cię na pojedynek. Wówczas go zabijesz - odparł Gobannicjon.

Nie wiedział, że w głowie jego siostry wykluwał się podobny plan, choć różnił się w szczegółach.

- A potem? - dopytywał się Galvan.

- Potem rozejrzemy się za rodziną nadającą się na adopcję Drusta. Następnie zaś przyjdzie czas na zawiązywanie silnych sojuszków.

Galvan patrzył na niego spod oka.

- Ale ja nie chcę być królem, nie mam takich aspiracji jak mój ojciec - mruknął. - Nie pociąga mnie to ani trochę.

- Nie rozumiesz - westchnął Gobannicjon. - Tylko silnym sojuszem jesteś w stanie zapewnić sobie nietykalność. Kto mówi o jedynowładztwie? Na razie - dodał cicho.

Galvan miał okropne wrażenie, że Gobannicjon usiłuje nim kierować, jednak w głębi ducha zgadzał się z wujem. Musiał mieć silne zaplecze polityczne, zgromadzić jak najwięcej klientów i sojuszników, by być potężnym jak Celyllus w swoim

czasie. Cynnus osłabił pozycję nie tylko brata, lecz także Galvana. A teraz otwarcie z niego drwił.

- Pomyśl, kto jest teraz najsilniejszym narodem? - podpowiadał Gobannicjon.

- Rzymianie - odparł Galvan. - Ale nie myślisz chyba o tym, żeby...

- Spokojnie - przerwał mu Gobannicjon. - Wcale cię nie proszę, żebyś kochał Rzymian. Ale pomyśl, kto w Galii jest nietykalny?

- Ten, kto ma przymierze z Rzymem. Kto ma tytuł przyjaciela narodu rzymskiego.

- Strzał w dziesiątkę, mój chłopcze. O to masz się postarać.

- Mam się sprzymierzać z Eduami? Czy ty zupełnie oszalałeś?

- Nie z Eduami. Za Renem mieszka Ariowist. Twój ojciec chciał się z nim sprzymierzyć piętnaście lat temu, ale nie zdążył. Ariowist był wtedy mało znaczącym książątkiem, rozumiesz, ale już wówczas znać po nim było, że stanie się kimś znaczącym w świecie. A teraz ma otrzymać tytuł przyjaciela narodu rzymskiego od samego Cezara, gdy tylko ten zostanie konsulem.

- Skąd to wiesz? - zdumiał się Galvan.

Gobannicjon zaśmiał się.

- Mój drogi, jesteś inteligentny, silny i zdolny, to prawda, ale nieszczęśliwa miłość do Uatah zasłoniła ci oczy i rozum. Aby być dobrym wodzem, trzeba mieć oczy i uszy otwarte na wszystko dookoła. Mam informatorów w Rzymie i wiem, co się dzieje. Wysłałem szpiegów za Ren i do Albionu. Mój ojciec wzbogacił się niezmiernie, wykorzystując wojnę domową w Rzymie, kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było. Sprzedawał Rzymianom konie i broń.

Galvan kiwał zrezygnowany głową.

- Więc sam widzisz, że nie nadaję się na wodza - stwierdził.

- Tego nikt nie powiedział. Uspokój się. Dopiero co skończyłeś dwadzieścia dwa lata. Ja w twoim wieku też byłem niepokorny i nie baczyłem na szczegóły. Za dziesięć lat, mój chłopcze, będziesz znakomitym wodzem. Nikt nie rodzi się

przywódcą, pamiętaj o tym.

Galvan westchnął tylko i upił kolejny łyk piwa. Tak, wuj miał rację, że miłość do Uatah i cierpienie po jej stracie przesłoniły mu wszystko. Zamiast zająć się rodziną i planami na przyszłość, siedział i pogrążał się w tęsknocie za tym, co już i tak było dla niego stracone. Mało tego, gotów był zaprzepaścić szansę na godne życie - chciał uciec razem z Uatah do Rzymu. Być może byliby szczęśliwi, ale za jaką cenę? Czy on wtedy o tym pomyślał? Byłby zhańbiony na zawsze, ale ona, Uatah, za zdradę kapłańskiego stanu musiałaby zapłacić śmiercią. Świat nie był znowu taki ogromny i pewnego dnia siepacze z Sein mogliby ją dopaść. Nieważne, czy mieszkaliby w Rzymie, czy pożeglowali do niepodległej Krety. Wreszcie musieliby zapłacić za swoją samowolę.

A Gwynn? Co by się z nią stało? Ta dziewczyna nie uczyniła nic złego, zakochała się tylko w nieodpowiednim człowieku. Ofiarowała mu ufnie swoją miłość, wiedząc, że jego serce bije dla innej. Ale inna, Uatah, posłuszna była rozkazom swej matki, zakonu i druidom. Nie uczyniłaby nic, czego by pragnął. Nie sprzeciwiłaby się twardym prawom, jakie na nią nałożono. Nie, Uatah była kapłanką od początku do końca.

I co, warto było pogrążyć się w smutku i bóleści po niej? Owszem, było cudownie w dolinie Scatah, gdzie żyli w odosobnieniu, mogli cieszyć się sobą, a wszelkie problemy życia codziennego odsuwano od nich, by mogli skoncentrować się na poczęciu dziecka. Tylko o to chodziło i Galvan miał teraz tego bolesną świadomość. Z Uatah mieszkał w nierzeczywistym świecie. To z Gwynn dzielił troski i smutki, żył z dnia na dzień w szarej monotonii i pośpiechu zmieniających się pór roku. Między nimi nie było poezji ani tkliwości, jakie cechowały związek z kapłanką. Łączyły ich troska o posiadłość, o dzieci, obawa przed srogimi zimami, zwykłość, codzienność, chłodne poranki, upalne popołudnia, ciemne noce. Zwyczajne życie.

A czego on się spodziewał? Że małżeństwo to patrzenie sobie w oczy i wzdychanie do księżyca? Poważny związek okazał się o wiele trudniejszy, niż sobie wyobrażał. Niczym niezwykłym było wielbienie ukochanej w nierzeczywistym

świecie. O wiele gorsze było wytrwanie przy dziewczynie, która codziennie rano wstawiała zaspana, potargana i ziewająca. Która w ciąży snuła się z wielkim brzuchem między paleniskiem a stołem, której opuchnięta twarz wręcz go odstręczała. Gwynn się nie oszczędzała, jej piękne, smukłe dłonie były stworzone do przyrządzania posiłków, pręczenia, prania, sprzątania, pielęgnowania dzieci i innych kobiecych spraw. Nie miały nigdy zgrubieć od miecza. Zniszczy je codzienny, zwykły wysiłek.

I to właśnie w prozie życia o wiele trudniej było wykrzesać z siebie miłość. Ale z drugiej strony czuł się związany właśnie z Gwynn, nie z Uatah. To, co w nim się budziło i narastało, nie miało nic wspólnego z uwielbieniem i westchnieniami. To była chęć uczynienia życia żony lżejszym, brania obowiązków na siebie, by nie męczyła się tak bardzo. Rozumiał jej codzienne zmagania z gospodarstwem, z Drustem, z klientami, ze służbą, z całą tą machiną, jaką była wiejska posiadłość. Przywiązywał się do niej szybciej i mocniej, niż sobie to uświadamiał.

Uatah? Niewątpliwie była wspaniała, ale jej świat rządził się odmiennymi prawami. Miała inną misję do spełnienia niż Gwynn. Jej posłannictwo jeszcze się nie zaczęło.

Galvan spojrział na swego wuja i stwierdził, że Gobannicjon ma rację. Nie warto było mydlić sobie oczu nadziejami, że wróci do Uatah. Musiał żyć rzeczywistością, z dnia na dzień, a nie wracać niepotrzebnie do wspomnień i rozplływać się w słodkim bólu niespełnionej miłości. Nic mu to nie dawało.

Cynnus, to na nim powinien się teraz skupić. Stryja należało wyeliminować, by piąć się dalej po stopniach zaszczytów. Siedząc tak przy stole Gobannicjona, Galvan doszedł do wniosku, że chce stać się wodzem, pójść w ślady ojca. Czy jego życie ma polegać tylko na pozostaniu nikim? Synem potężnego Celtyllusa? A niech to licha, on chciał być sławny ze względu na własne czyny, a nie imię swego ojca. Postanowił, że przyćmi imię Celtyllusa, a rozsławi swoje, choćby miał za to zapłacić najwyższą cenę.

Dopił swoje piwo i wstał.

- Cokolwiek masz zamiar zrobić w sprawie Cynnusa, myśl prędko - odezwał się. - Bo ten człowiek coraz bardziej działa

mi na nerwy i pewnego dnia nie wytrzymam. Ja też się zastanowię, jak moglibyśmy szybko się go pozbyć.

Gobannicjon spojrział na siostrzeńca ze zdumieniem. To było tak, jakby nowy Galvan odszedł od jego stołu. Piękny, postawny, o pszenicznoblond włosach opadających mu na plecy, wyrazistych, regularnych rysach twarzy, wyglądał jak grecki bóg.

- Nie pozwolę przecież, by roztrwonił majątek mojego ojca - usprawiedliwiał się Galvan. - Przecież to skandal, jak ten człowiek sobie poczyną. Już i tak jest źle, a nie pozwolę, żeby było jeszcze gorzej. Dużo mnie będzie kosztowało doprowadzenie wszystkiego do stanu, w jakim było za życia Celyllusa.

Gobannicjon uśmiechnął się szeroko.

- No, nareszcie zaczynasz rozmawiać jak człowiek - powiedział i klepnął siostrzeńca po plecach. - Już myślałem, że ta dziewczyna do reszty zasnęła ci bielmem oczy. Znajdziemy sposób na Cynnusa, nie martw się. Już moja w tym głowa, żeby go poskromić. A ty udawaj, że o niczym nie wiesz, i trenuj walkę.

Galvan kiwnął głową. Nie wiedział tylko, podobnie zresztą jak jego wuj, że inicjatywę w pozbyciu się żyjącego w błogiej nieświadomości Cynnusa przejmą kobiety. Nie on jeden nienawidził stryja. Jego matka Geillis i żona Gwynn także nie mogły znieść widoku tego człowieka, który z roku na rok coraz bardziej panoszył się na cudzych włościach i nie starał się nawet stwarzać pozorów kochającego ojca rodziny. Gdyby Cynnus o tym wiedział, z pewnością zmieniłby swój sposób bycia.

Galvan wracał do domu przepojony nową, nieznaną wcześniej siłą. Czuł się, jakby ktoś wlał mu w umysł nowe myśli. Po raz pierwszy od rozstania z Uatah czuł się silny i chętny do działania.

- Ja ci pokażę - mamrotał ze złością. - Przekonasz się, jak traktuje się wyżej postawionych od siebie. I gdzieś mam wzgląd na więzy krwi. Ciebie ta reguła nie dotyczy.

Tłumiąc w sobie złość, ruszył dalej. W duchu zaś cieszył się,



że dni Cynnusa w domu jego brata są już policzone.

\*

Gdyby Cynnus wiedział, co kluje się w umyśle jego bratanka, bez wątpienia by go zabił. Mąż Geillis nie należał do ludzi, którzy się wahają. Nic by go nie powstrzymało, nawet więzy krwi. Zresztą na te ostatnie już raz nie baczył. Trudno powiedzieć, by Cynnus darzył miłością swego idealnego braciszka. Fakt, że był młodszy, odczuwał jako olbrzymią krzywdę. Ich ojciec, Brennus, zawsze wyróżniał Celtyllusa, pomijając przy tym Cynnusa i pozostałych braci, którzy na swoje szczęście zmarli w dzieciństwie. Na córki wcale nie zwracał uwagi. Dla Brennusa liczył się tylko Celtyllus, jego oczko w głowie.

Chłopcy zostali oddani na wychowanie, rzecz jasna, a kiedy nadszedł odpowiedni czas, wysłano ich na nauki do Aife. Czarownica z gór oczywiście musiała wybrać na swego osobistego ucznia Celtyllusa, bo kogóż by innego? On, Cynnus, właściwie się nie liczył. Był gorszy. Zawsze.

Nie był brzydkim dzieckiem, a potem wyrósł na całkiem urodziwego młodzieńca. Jednak ludzie zachwycali się mięśniami i postawnym ciałem Celtyllusa, a nie delikatnymi rysami twarzy Cynnusa, jego smukłością, zwinnością i sprężystością. Być może gdyby obecny mąż Geillis urodził się jako dziewczyna, byłby bardziej doceniony, ale w tych okolicznościach naturalne było, że ludziom podobał się jego starszy brat.

Cynnus miał ciemnoblond włosy, które potem farbował na jasny blond, szare, wąskie oczy i delikatne jak dziewczyna rysy twarzy, które dopiero po dwudziestym piątym roku życia nabrały męskich cech. Dlatego stryj Galvana też długo się nie żenił. Z pierwszą żoną rozszedł się dość szybko, a potem zawierał małżeństwa na rok, bo żadna kobieta nie chciała młodszego brata bohatera. Geillis też nie. Jednak zanim ta kobieta pojawiła się w życiu braci, były niespełnione marzenia o chwale wojennej. Oczywiście, we wszystkich

bitwach wyróżniał się Celtyllus. Cynnus nawet wówczas pozostawał w cieniu starszego brata. Nawet syna nie potrafił spłodzić, podczas gdy Celtyllus miał ich trzech. Na Celtillognatosa Cynnus patrzył przez palce. To był bękart, Celtyllus nawet nie pojął za żonę jego matki. Była jego oficjalną konkubina i na tym koniec. Cynnus nie musiał więc czuć się gorszy.

W tym samym czasie, kiedy Celtyllusowi urodził się pierwszy syn, Cynnus został ojcem słabowitej dziewczynki, która niebawem zmarła. Jedna tylko córka przeżyła i została odesłana na Sein, by tam pobierać tajemne nauki. Cynnus nie płakał bynajmniej po jej wyjeździe, bo nie darzył swoich dzieci ogromnym uczuciem. Była, bo była, ale naprawdę by się przejął, gdyby urodził mu się syn. Córka nie miała wielkiego znaczenia.

Oczywiście, Celtyllus miał prawo chełpić się swoim synem, którego przeznaczył do kolegium druidów. A potem, kiedy już umocnił swoją pozycję i zdołał stać się pierwszym naczelnikiem w kraju, kiedy pokonał Eduów w wielu potyczkach, kiedy omal nie zawarł sojuszu z tym gówniarzem Ariowistem, postanowił oświadczyć się Geillis. Siostra Gobannicjona podobała się Cynnusowi od niepamiętnych czasów. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział. Po prostu cudna! Złote włosy opadały jej na ramiona i plecy jak płaszcz. Twarz miała jak wyrzeźbioną z kości słoniowej. Cynnus widział taką figurkę chyba raz w życiu, kiedy do Gergowii przybyli kupcy z dalekiego Południa. Geillis w wieku lat szesnastu była tak śliczna, że jej widok zapierał dech w piersiach. Wdzięk tej młodej kobiety nie miał sobie równych. Żadna dziewczyna nie dorastała jej do pięt. Śmiech Geillis brzmiał jak muzyka, jej oczom barwy mogło zazdrościć niebo. Była jak zjawisko, bogini, Cynnusowi słów nie starczało, by ją opisać.

Sam miał wtedy blisko trzydzieści lat, ale uważał, że to żadna przeszkoda. Najważniejsze, by go zechciała. A jako młodszy syn naczelnika Gergowii był majątny. Nie musiałaby się go wstydzić.

I co? Oczywiście, Celtyllus musiał wmieszać się

we wszystko. Jak zwykle. Cynnus nie dowiedział się już nigdy, czy brat wiedział o jego afekcie do Geillis, czy też sam wpadł na pomysł poślubienia jej. Faktem było, że Gobannicjon przystał na propozycję małżeństwa, a dziewczyna nie odmówiła. Widać miała ambicję poślubić naczelnika z widokami na jeszcze wyższe i wspanialsze zaszczyty.

Wtedy to nienawiść w sercu Cynnusa rozgorzała na dobre. Bogowie, jak on nienawidził swego brata! Ilekroć widział Geillis w jego pobliżu, miał wrażenie, że nóż przeszywa mu serce. A gdy widział uśmiech na twarzy tej kobiety, rosła w nim nienawiść do niej. Jednak niczym to było w porównaniu z piekłem nienawiści, jakie rozpętało się w duszy Cynnusa, kiedy Geillis zaszła w ciążę. Celtyllus chodził dumny jak paw, powtarzał wszem i wobec, że to będzie jego pierwszy legalny syn, potomek, spadkobierca, przyszły naczelnik, namiestnik – i podobne brednie. A Geillis dumnie wypinała coraz większy brzuch, choć dla jej drobnego ciała musiało to być brzemie nie do zniesienia, i wodziła wokół wzrokiem królowej. Na Cynnusa ledwie zwracała uwagę.

Galvan był tak ślicznym dzieckiem, że złość i zazdrość po prostu dławily Cynnusa. Czy to nie było niesprawiedliwe, że jego brat ma wszystko, a on nic? Dlaczego Celtyllus dostał urodę, bogactwo, władzę, zaszczyty, stanowisko, piękną żonę i pięknego ślubnego syna, a on musi pozostawać w jego cieniu i czekać na resztki, jakie mu łaskawie spadną ze stołu potęgi brata?

Idealna okazja nadarzyła się, gdy Celtyllus zaczął nierozważnie gadać o przejęciu władzy. Zawsze miał za długi język i był zbyt pewny swego. Cynnus to wykorzystał. Zagrał właściwie. Nie musiał długo szukać. Ludzie sami chcieli się pozbyć Celtyllusa, który zaczynał się zachowywać jak jakiś władca z Persji. Cynnus zapomniał tylko, że do potęgi Aleksandra z Macedonii trochę mu brakowało. A właściwie nie trochę, lecz dużo.

Nikt się nie zorientował, że to własny brat otruł Celtyllusa. No, może nie dosłownie, ale to on najął ludzi, którzy rozprawili się z panem i władcą. Nikt nie podejrzewałby pogrążonego

w żalobie Cynnusa o morderstwo. Nawet Geillis, która dostała mu się niejako w spadku.

Jednak wdowa po Celtyllusie i Gobannicjon byli przebiegli. Wysłali dzieciaka od razu do Scatah, by nikt nie mógł się go pozbyć. No trudno, Cynnus poślubił Geillis z nadzieją, że da mu ona legalnych synów. Niestety, tak się nie stało. Niechęć Cynnusa do pięknej małżonki rosła z roku na rok, podobnie jak jego nienawiść do tego cholernego szczeniaka, który wrócił piękny jak młody bóg i rozprawił się z zabójcami ojca.

Galvan był wspaniały pod każdym względem, to musiał przyznać nawet Cynnus. Robił to z ogromną niechęcią i gorzką satysfakcją zarazem. Sam nie wiedział, co nim kieruje w większym stopniu, ale wiedział, że gdyby mu było wolno, Galvan i jego bękarty już by nie żyli. Cynnus nienawidził bowiem młodzieńca tak mocno, jak nienawidzić może ktoś mający kompleks niższości. Cynnus przez całe życie traktowany był gorzej i uważany za gorszego od brata. Swoją nienawiść skierował na jego syna. Nic w tym dziwnego, skoro Celtyllusa już zgładził.

Cynnus nie obnosił się ze swoimi uczuciami. Tłamsił je w sobie, ale nie potrafił zapanować nad wyrazem oczu czy twarzy. Wściekła niechęć wyzierała z jego oblicza tak silnie, że każdy mógł się domyślić, jakie emocje te człowiek nosi w swoim sercu. Cynnus był niebezpieczny również dlatego, że nie chciał otwartej konfrontacji, lecz stosował presję psychiczną. Swoją żonę poniżał, a teraz zaczął postępować podobnie wobec bratanka. Oczywiście, mylił się, sądząc, że nikt nie jest świadomy jego afektów i niechęci. Wszyscy domownicy o tym wiedzieli. Jad sączący się z każdego słowa Cynnusa skierowanego do bratanka nie mógł umknąć niczyjej uwagi. Toteż ludzie mimowolnie zwracali się do niego z niechęcią, a życzliwie do Galvana, który był młody, uprzejmy i odznaczał się większą urodą niż Cynnus. Ci dwaj zresztą ani trochę nie byli do siebie podobni, bo Cynnus przejął wygląd po matce, Galvan zaś odziedziczył urodę po Geillis. Między innymi za to Cynnus tak bardzo go nienawidził – za podobieństwo do kobiety, którą kiedyś kochał, ale została mu podstępnie

odebrana. Był o tym przekonany, choć wszystko wskazywało na to, że sama dość chętnie przystała na ten układ. I za to oczywiście Cynnus jej nienawidził.

Na szczęście dla samego siebie nie miał pojęcia, że bratanek i żona postanowili się go pozbyć. Bo wściekłość Cynnusa, tłumiona długo, mogła w każdej chwili wybuchnąć z całą siłą, a wówczas ambitne plany Geillis i Galvana byłyby zagrożone.

\*

Scatah przyjechała do Gergowii jak gdyby nigdy nic na tydzień przed świętem Samain.

Jesień powoli się kończyła. Większość drzew nie miała już liści, może jeszcze tu i ówdzie lśniły czerwienią ostatnie gałązki. Brunatnozłote liście zalegały drogi, trawy i lasy, a nagie gałęzie wznosiły się uparcie do chłodnego turkusowego nieba.

Jak zwykle na widok Scatah Geillis przeniknął dreszcz strachu. Ta kobieta, niewiele starsza od niej, emanowała siłą i mocą, od której Geillis robiło się słabo. Nawet jeśli wiedziała, że tamta nie jest do niej źle nastawiona, truchlała pod samym spojrzeniem zielonych oczu kapłanki.

Jednak tego dnia Geillis ze zdumieniem stwierdziła, że ze Scatah coś się stało. Rude włosy nie straciły co prawda ani odrobiny ze swej intensywnej barwy, a kapłanka trzymała się jak zawsze prosto, ale coś w jej twarzy i spojrzeniu kazało zastanowić się nad wiekiem kobiety. Scatah wyglądała, jakby zestarzała się w ciągu jednej nocy. Na jej twarzy nie było tego tak mocno widać. Kapłanka nie wyglądała jak kobieta, która przekroczyła czterdziestkę. Spojrzenie jednak miała niczym osiemdziesięciolatka.

- Nie przyjeżdżam w odwiedziny - zaczęła szybko i odmówiła, kiedy Geillis zaproponowała jej piwo. - Przybywam w ważniejszej sprawie, Geillis. Czas już, byś przejęła należną ci schedę po mężu.

Geillis drgnęła. Oczywiście, wiedziała, że Scatah jest

czarownicą, czy jak ją tam jeszcze zwano. Znała się na wielu sprawach, które dla niej i dla innych ludzi owiane były tajemnicą. W jej oczach kryły się wszystkie sekrety świata. Głos kapłanki miał moc pokonywania śmierci. Aż dziw brał, że była zwykłą śmiertelnicą, podległą prawom czasu i życia.

- Gdzie jest Gwynn? - zapytała Scatah. - To dotyczy jej w takim samym stopniu jak ciebie.

Geillis szybko zawołała synową, która cokolwiek niechętnie wyszła na spotkanie byłej teściowej swego męża. Nadal nie mogła przejść nad pewnymi sprawami do porządku dziennego.

- Mów - poprosiła Geillis. - Niezwykłym jest, że przyjeżdżasz przed Samain.

- Mam swoje powody - odparła Scatah i uśmiechnęła się pod nosem. - A właściwie jeden powód. Czy twój mąż jest w domu?

Cynnus na szczęście pojechał w pilnej sprawie do miasta. Geillis nie pytała o szczegóły, rada, że pozbyła się męża na cały dzień.

- To jego dotyczy? - odgadła Gwynn. - Czy czas już nadszedł, by się go pozbyć?

- Właśnie.

Wszystkie trzy jak konspiratorki weszły do domu. Geillis uznała, że niekoniecznie muszą taką sprawę załatwić na podwórzu. Postawiła przed Scatah piwo i placki, które ta przyjęła z wdzięcznością. Widać posłanniczka bogów porządnie zgłodniała w trakcie długiej podróży.

- Przyjechałam przed Samain, bo potem będzie za późno - zaczęła kapłanka. - Musicie sprowokować Cynnusa, by Galvan miał prawo wyzwać go na pojedynek.

- Co? - wyrwało się Geillis. - Przecież Cynnus go zabije!

- Nie - machnęła ręką Scatah. - Nie chodzi mi o pojedynek na śmierć i życie, lecz do pierwszej krwi. Ja będę sędzią i zadecyduję, co się stanie z przegranym.

- A co się stanie? - zapytała Gwynn.

- Nie chcecie tego wiedzieć - odparła Scatah. - Powiem wam tylko, że nie czeka go potem zbyt długi żywot. Ale najważniejsze, że się go pozbędziecie, a Galvan nie będzie

winny jego śmierci. Tak przecież chcieliście zrobić, nieprawdaż?

Obie tylko kiwnęły głowami, nie mając pojęcia, skąd Scatah wie takie rzeczy. Jednak żadna z nich nie miała odwagi zapytać.

- Geillis, wiem, że twój brat zamierza to samo - mówiła dalej Scatah. - Odwiedź go od tego. Pomów z nim. To ty i Gwynn macie sprowokować Cynnusa, by śmiertelnie was znieważył w obecności Galvana i wielu osób. Wykorzystajcie fakt, że zawsze się czuł poniżany przez Celtyllusa.

- Ale Galvan się na niego rzuci - stwierdziła Gwynn.

- Niekoniecznie, jeśli wydadcie wielką ucztę i zaprosicie wielu gości - podpowiadała Scatah. - Tak się składa, że będę w Gergowii do końca Samain.

- Więc mamy i ciebie zaprosić? - zaśmiała się Geillis. - Dobrze, niech będzie. Obawiam się jednak, że Cynnus się zdziwi. Nie będzie wiedział, co to za uczta.

- Och, powodów może być cała masa - podsuwała Gwynn. - Udane zbiory, sprzedaż koni przez Gobannicjona, ostatnia uczta przed zimą... Pomyśl, matko, a coś znajdziesz.

- Bystra jesteś - pochwaliła Scatah, a dziewczyna poczuła skurcz w sercu. Ta kobieta odebrała jej córkę. Tak po prostu zabrała jej z ramion Morgwynn i oddała Uatah na wychowanie.

„Skup się na czymś innym!” - nakazała sobie. „Nie myśl teraz o Morgwynn, bo cały plan na nic”.

- Cynnus nie jest porywczy, ale zbyt dużo się w nim nagromadziło goryczy i nienawiści - powiedziała Scatah. - Jeśli go odpowiednio rozdrażnicie, możecie być pewne, że straci kontrolę nad sobą. I jeżeli będziecie podkreślać, że obie pochodzicie z lepszych rodów niż on, wpadnie we wściekłość. Galvan zaś jest w gorącej wodzie kąpany. Wpadnie w złość i zareaguje. Może wyzwąć stryja na pojedynek do pierwszej krwi i zażądać okupu. Wtedy wkroczą do akcji.

Geillis patrzyła na Scatah spod oka.

- W jaki sposób zyskasz na jego upadku? - zapytała. - Dotąd Cynnus cię nie interesował.

- Nie miałam powodów, by się mieszać, skoro Galvan był u mnie - odparła Scatah spokojnie. - Jednak z dala od niego nie

jestem w stanie zapewnić bezpieczeństwa ani jemu, ani jego synowi. Skoro nie potrafiłam ustrzec Celyllusa przed jego losem, jak mogłabym obronić Galvana przed jego stryjem?

Zapadła cisza. Gwynn spuściła wzrok. Wiedziała, że Scatah zabrała Morgwynn również po to, by ją chronić, ale nigdy w ten sposób o tym nie pomyślała. Spychała ten fakt w zakamarki swojej podświadomości, by karmić nienawiść do Uatah myślą, że trzyma ona jej dziecko.

Jednak teraz nie Scatah ani Uatah były najważniejsze. Chodziło o pozbycie się zagrożenia, jakie bez wątpienia stanowił Cynnus. W tej kwestii Gwynn gotowa była na zawieszenie broni.

- Pozbędziemy się go - powiedziała z pasją. - I to na dobre.

Scatah w odpowiedzi uśmiechnęła się. Dwie kobiety w izbie zdrętwiały z przerażenia na ten widok. Zrozumiały, że uśmiech kapłanki zwiastuje śmierć.



## XI

Nawet jeżeli Galvan był zdumiony nieoczekiwanym pomysłem matki, by teraz organizować ucztę, to nic nie powiedział.

- Ostatnia jesienna biesiada, Galvanie - przekonywała Geillis. - Za siedem nocy będzie Samain, a wówczas skończy się czas uczt. Zapadną ciemności na kolejne pół roku.

- Nie dramatyzuj, matko - mruknął Galvan. - Jakoś nie zauważyłem, żeby u nas ciemności trwały pół roku. Skończą się szybciej, niż myślisz.

Geillis nie odpowiedziała na tę uwagę. W rzeczy samej dnia ubywało w zasadzie jeszcze jakieś trzydzieści nocy po Samain, po czym ciemności powoli ustępowały. Na święto Imbloc w połowie zimy było już zupełnie jasno.

Ale oczywiście Geillis nie chodziło o ciemności ani zimę. Musiała wymyślić dobry pretekst, by urządzić ucztę, na której miało dojść do prowokacji. Na samą myśl o tym trzęsła się ze strachu, chociaż naturalnie nigdy by się do tego nie przyznała.

- Nie uczciliśmy nawet narodzin twojego syna - starała się przekonać Galvana.

- Chciałaś powiedzieć: moich dzieci - odparł Galvan ponuro. - Jeżeli chcesz świętować to, że Scatah zabrała nam Morgwynn, to proszę bardzo.

- Galvanie, nie twoja córka jedna na świecie trafiła na Sein - stwierdziła Geillis trzeźwo. - Tyle tylko, że zabrano ją tam zaraz po urodzeniu. Mało znasz ludzi, którzy oddają córki do kapłanek?

Po namyśle Galvan musiał, aczkolwiek niechętnie, przyznać matce rację.

- Tak, ale o tym decydują ich rodzice - dodał ze złością. - Nie przychodzi żadna Scatah i nie żąda ich córek jako rękojmi posłuszeństwa. Na Teutatesa, matko, widziałaś kiedyś tak podłą bezczelność? Jak można w ten sposób traktować ludzi? To się nie godzi. Nie jestem małym chłopcem, którym można pomiatać. Jak nie Scatah, to Cynnus.

Geillis miała już na końcu języka, że jeśli chodzi o Cynnusa, to sprawa będzie niebawem załatwiona. Powstrzymała się w ostatniej chwili. Obserwowała syna spod oka, zajmując się jednocześnie nastawianiem piwa. Scatah chciała, by uczta odbyła się dwie noce przed Samain. Musiała bowiem zdążyć przetransportować Cynnusa do swojej doliny. Ciekawe, na cóż on jej był potrzebny...

Weszła Gwynn i Galvan się rozjaśnił. Geillis westchnęła cicho. Jej nierozumny syn dawno już oddał młodej żonie serce, tylko jeszcze nie potrafił sobie tego uświadomić. A jeżeli teraz tego nie zrobił, to kiedy miał zamiar przejrzeć na oczy? Geillis bała się, że pewnego dnia Galvan zrobi jakieś głupstwo, a wtedy będzie za późno na skruchę.

- Wszystko gotowe, matko - poinformowała Gwynn. - Wydałam polecenia. Wybrałam dwa najdorodniejsze barany, chociaż żal mi było, bo są takie piękne. I myślę, że jednego wołu też możemy poświęcić na ucztę. W końcu mamy świętować narodziny naszego syna.

- Ty też oszalałaś? - zdumiał się Galvan. - Co wy knujecie? Uczta na sam koniec lata?

- Zima za pasem - stwierdziła Gwynn. - Do Imbloc jeszcze daleko. Nieprędko trafi się okazja do ucztowania, chyba że jesteś Rzymianinem i masz zamiar ucztować z okazji tego ich święta odrodzenia słońca, czy jak oni to tam zwą...

Galvan zaśmiał się pod nosem. Odkąd Gwynn wróciła z Italii, wzrosło jej zainteresowanie Rzymem i wszystkim, co rzymskie. Ale rozumiał ją. Kiedy po raz pierwszy pojechał do tego miasta z marmuru i bruku, też wpadł w zachwyt i długo nie mógł się otrząsnąć. Rzym różnił się całkowicie od Gergowii, Eborakum, Lutecji czy innych grodów. Drogi w tym mieście nie były gliniane, lecz brukowane. Nie znaczyło to, oczywiście, że

dzięki temu były mniej brudne, bo nieczystości wylewano z czynszowych kamienic wprost pod koła wozów. Jednak w przeciwieństwie do miast celtyckich Rzym posiadał kanalizację. Najgorsze brudy odpływały do morza.

No a dzielnice bogatych utrzymywane były w czystości. Forum ze swoimi marmurowymi posągami, świątyniami i innymi budowlami, których przeznaczenia Galvan nie znał, było wprost porażające. Gobannicjon, który podróżował sporo po świecie i zahaczył między innymi o Ateny, opowiadał potem, że Rzymianie sztukę ozdabiania miast przejęli od Ateńczyków, twórców Akropolu i pierwszych rzeźbiarzy w marmurze. Ponoć te dwa miasta były najpiękniejsze na świecie, nie licząc Aleksandrii w Egipcie, ale tak daleko Gobannicjon nie dotarł. Na podróż do tamtego kraju trzeba było poświęcić co najmniej rok.

Święto odradzającego się słońca, tak, Galvan wiedział, że Rzymianie mają coś takiego. Ponoć ich astronomowie wyliczyli, że w tym konkretnym dniu słońca przestaje ubywać, a ciemności ustępują. Ciekaw był, jak też na to wpadli, ale coś w tym musiało być. Pamiętał nudne wywody druidów na temat najdłuższej nocy w roku. Co go to jednak obchodziło? Uatah mogła gadać na ten temat godzinami i nigdy nie miała dość. Powiedziała Galvanowi, że w Albionie w pewnym miejscu znajduje się krąg z kamieni, który starożytnym służył za kalendarz. Tacy byli sprytni ci ludzie z Albionu. Natomiast któryś z egipskich władców mniej więcej tysiąc lat temu miał zbudować świątynię na środku pustyni, do której dwa razy do roku wpadało słońce i oświetlało konkretny posąg króla. I tylko ten posąg. Nic innego. Słyszał te opowiadki w nemetonie Maerina, ale po dziesięciu latach prawie ich nie pamiętał.

Patrzył teraz na szczupłą sylwetkę Gwynn, która szybko wróciła do formy po narodzinach bliźniaków, i poczuł dziwne ciepło rozchodzące się po ciele. Jego żona była piękna, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Po wydaniu na świat dzieci zniknął gdzieś jej dziewczęcy urok, a pojawiła się nieśmiała dojrzałość. Zupełnie jakby z pąka Gwynn przeistoczyła się w kwiat. Żadna

inna nie mogła się z nią równać. Nawet Uatah.

Coś boleśnie zakłuło Galvana w piersi. Uatah. Ona ze swoim gibkim ciałem, z burzą miedzianorudych włosów, z twarzą o regularnych rysach, ze swoim temperamentem, z miłością w złocistozielonych oczach... Nigdy do końca nie był pewien, czy jej oczy są bardziej żółtawe, czy zielone. Ale wśród Celtów taki odcień tęczy nie był niczym niezwykłym. Scatah też miała zielone oczy, tyle że w zupełnie innym kolorze niż jej córka.

Uatah i Gwynn różniły się jak noc i dzień. Uatah ze swoją odwagą, Gwynn z ciepłem kobiety i matki. Uatah była stworzona do walki, Gwynn do prowadzenia domu. Uatah dawała rozkosz i pożądanie, Gwynn ciepło i miłość.

Głos matki wyrwał go z zamyślenia.

- Galvanie, ocknij się. Słyszałeś chyba, że trzeba zaszlachtować zwierzęta. Dwa barany, wołu i prosiaka. Myślę, że to by było na tyle. Piwo będzie gotowe na ucztę, ale trzeba przygotować wielką sień. Będziesz tak siedział i dumiał czy weźmiesz się do roboty i nam pomożesz? Służący nie dadzą rady ze wszystkim.

Tak, Galvan wiedział, że kiedy Geillis urządzała ucztę, wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik. Mógł już zacząć szorować ściany wielkiej sieni i polerować wiszące na ścianach tarcze. I bez tego wiedział, że zostanie zagoniony do roboty.

- Ciekawe, czy ktoś przyjdzie o tej porze roku - mamrotał, podnosząc się z miejsca.

- O, już ty się o to nie martw - odparła Geillis. - Wystarczy, że wspomnisz o wielkiej uczcie u Cynnusa.

- A czy on o tym wie? - zapytał Galvan.

- Nie. A musi?

Galvan usiadł z powrotem na swoim miejscu. Zatkąło go z wrażenia. Pan domu nie miał pojęcia, że kobiety szykują biesiadę? Można było się spodziewać, że wpadnie w złość, kiedy wróci z Gergowii.

- Matko, ależ on wpadnie w szal - stwierdził Galvan. - Zabije i ciebie, i Gwynn.

- Niech no tylko spróbuje - odezwała się Gwynn ze swego

miejsca przy krosnach. – Dam ja mu!

Galvan stłumił uśmiech.

– Chciałbym to zobaczyć.

Nagle zbladł. Geillis, patrząc na niego, uświadomiła sobie nagle, że zrozumiał ich intencję.

– Matko, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że urządzenie tę ucztę po to, by go rozsierdzić? – wykrztusił. – Czy ty rozum straciłaś?

– Galvanie, uspokój się. Nic takiego się nie stanie. Ten dom jest tak samo mój jak jego. I jeżeli chcę uczcić narodziny mego wnuka, mam prawo to zrobić.

Galvan nie wyglądał na przekonanego. Miał ochotę rąbnąć pięścią w stół i nakazać odwołać to wszystko, ale jego wzrok padł na Gwynn. Dziewczyna patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widział. Czy to wściekłość się na niej malowała, czy po prostu światło tak padało, uwydatniając nagle kości policzkowe i oczy, a ocieniając resztę? Oczy dziewczyny błyszczały jak nigdy przedtem, a nozdrza drgały jak u wściekłego zwierzęcia.

– Niech wam będzie – mruknął Galvan. – Jak chcecie mieć kłopoty, to proszę bardzo. Ale ja wam mówię, że on się wścieknie.

– Dobrze, dobrze – Geillis odetchnęła z ulgą, zadowolona, że syn nie przejrzał ich do końca. – Powiedzmy, że to wytrzymam, podobnie zresztą jak każdy jego wybuch złości.

Galvan posłał matce wiele mówiące spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem. Zastanawiał go wyraz twarzy Gwynn, tej potulnej, posłusznej dziewczyny, która nigdy nie odważyłaby się patrzeć na niego w ten sposób. Może było w niej więcej ognia i przekory, niż sądził? Może powstrzymywała się przed ujawnieniem swego oblicza ze strachu, że nie zasłuży na jego... No właśnie, jego co? Miłość?

Po raz pierwszy w Galvanie zrodziło się podejrzenie, że Gwynn jest o wiele bardziej skomplikowana i twarda, niż myślał. Doszedł do wniosku, że nie jest ona głupiutką dziewczyneczką, którą pojął za żonę, lecz dojrzałą, myślącą kobietą, a w każdym razie ma na to spore zadatki.

Westchnął i wyszedł z domu. Uczucia, które nim zawładnęły, były jeszcze zbyt zagmatwane i skomplikowane, by potrafił je sobie szybko i w prosty sposób wytłumaczyć.

\*

Nie było chyba osoby, która odmówiłaby udziału w wielkiej uczcie wydawanej przez Geillis na cześć jej wnuka. Co prawda dumna babcia urządzała biesiadę cztery miesiące po narodzinach Drusta, ale to oczywiście w niczym nie przeszkadzało.

Kiedy Cynnus wrócił z Gergowii i dowiedział się o wszystkim, wpadł we wściekłość.

- Co ty sobie wyobrażasz, Geillis, że kim jesteś? - wrzeszczał w dniu, w którym miała się odbyć uczta. - To mój dom i ja tu rozkazuję! Nie życzę sobie żadnych przeklętych uczt! Masz to wszystko jeszcze dziś odwołać!

Galvan stał na dziedzińcu i spoglądał spod oka na stryja. Wiedział, że będzie się złościł, ale mimo to uważał, że tym razem Cynnus posunął się za daleko. Nozdrza Galvana drgały niespokojnie, ręka zaciskała się na rękojeści noża, który miał zatknięty za pas.

- Już za późno, żeby cokolwiek odwoływać - powiedziała Geillis spokojnie, świadoma gniewu swego małżonka. - Ludzie zostali zaproszeni, Scatah też.

- Co mnie obchodzi ta piekielna dziwka! - parsknął Cynnus. - Jeżeli o mnie chodzi, może iść prosto do Disa. Tam jej miejsce!

- No, nie wiem, czy dwadzieścia lat temu powiedziałbyś coś takiego - zakpiła Geillis. - Wtedy pewnie śliniłeś się do córki Aife i dogadzałeś sobie po kryjomu w nocy.

Cynnus na te słowa zrobił się purpurowy. Zamachnął się, jakby chciał uderzyć Geillis, ale ona stała spokojnie. Galvan zaś zgrzytnął zębami ze złości i podszedł do nich.

- Niech jeszcze raz zobaczę coś takiego - warknął - to zabiję cię gołymi rękami. Nie waż się podnosić łapska na moją matkę.

Cynnus spojrział w oczy młodemu bratankowi i stwierdził,

że ten nie żartuje. Twarz Galvana była kredowobiała, a szczęki zaciśnięte. Widać było, że młodzieniec z najwyższym trudem opanowuje chęć uderzenia stryja.

- Spróbuj tylko, szczeniaku - syknął. - Dopiero będzie przedstawienie.

- Zamknij się i wynocha z mojego podwórza - odgryzł się Galvan. - Idź wydawać rozkazy w chlewie. W tym jesteś lepszy.

Cynnus byłby nie wytrzymał i rzucił się na chłopaka, gdyby w tym momencie nie zaczęli wchodzić słudzy z tacami pełnymi mięsa. Mąż Geillis miał dość rozumu, by wiedzieć, że doszłoby do zbyt wielkiego marnotrawstwa, gdyby całe pieczone wylądowało na ziemi.

Po ostatnim słonecznym tygodniu niebo zasnuło się chmurami i siąpił drobny, ale zimny i dokuczliwy deszcz. Galvan zadrżał nagle w swej haftowanej szacie. Promienie słońca, które na moment przedarły się przez chmury, odbiły się od jego torques i oślepiły Cynnusa. Galvan wszedł do domu. „Nieźle się zaczyna” - pomyślał ze złością. „Jeżeli tak to ma wyglądać, to ja dziękuję za tę całą ucztę”.

Widział, że Geillis podeszła do Gwynn i razem coś omawiały. Dziewczyna kiwała głową, ale wyglądała na zdenerwowaną. Czyżby bały się Cynnusa? Tego tchórza? Gdyby Galvan mógł, już dawno by się z nim rozprawił. Stryj stawał się z dnia na dzień coraz bardziej uciążliwy, dawał dowody swojej niechęci, nienawiści, a nawet traktował Galvana jako rywala.

„Ale to wszystko przecież jest moje” - myślał Galvan z buntem. „Dom, ziemia, nasz miejski dom w Gergowii, stada, bydło, konie, łąki i pola, sady - wszystko to jest moje, a nie Cynnusa. To ja odziedziczyłem to po ojcu i nie wiem, doprawdy, co sobie stryj myśli, siedząc tutaj jak pan na włościach. Scatah kazała mi siedzieć cicho, dopóki nie ożenię się i nie spłodzę syna. No i Drust właśnie skończył cztery miesiące, a ja dalej mam siedzieć cicho i nie podpadać Cynnusowi. W dodatku oni uważają, że to stryj zlecił zabójstwo mojego ojca. Co ta Scatah sobie myśli? Że jestem kim? Małym dzieckiem? Niech sobie chroni innych, już dawno powinienem wypędzić Cynnusa”.

Jednak Galvan nie miał więcej czasu na rozmyślanie, bowiem ściemniło się. Musiał dopilnować rozpalenia pochodni. Nagle poczuł się tak samo jak w dzień zaręczyn z Gwynn. Jak żywy stanął przed nim tamten obraz, oni sami wtapiający się w ciemność i zapalone pochodnie na podwórzu Rutena. „Gwynn, dlaczego twoje imię wciąż ciśnie mi się na usta? Dlaczego muszę o tobie stale myśleć? Jaka siła każe mi bez przerwy się tobą zajmować?”.

Goście zaczęli się schodzić. W domostwie zapanował rozgardiasz. Wszyscy możni ściągali na wielką biesiadę u Cynnusa. Większość gości wiedziała, że nie on zorganizował ucztę; był zbyt skąpy. Jednak w niczym to nie przeszkadzało, skoro można było się najęść, napić i zabawić.

Scatah przyszła w pięknej zielonej sukni. Galvan zastanawiał się, z czym kapłanka zmieszała urzet, że otrzymała tak piękną morską barwę. Kolor znakomicie podkreślał pyszną barwę jej włosów i harmonizował z kolorem oczu. Tak, Scatah była piękna, oszałamiająco piękna. Wspaniała.

Przyszli grajkowie specjalnie zamówieni na ten wieczór.

Gwynn prezentowała się nie mniej pięknie w swojej sukni koloru purpury. Galvan widział, jak farbowała wełnę przeznaczoną na ten strój. Zresztą sam sprowadzał dla niej barwniki z Ilirii. A raczej prosił o to Gobannicjona, wiedząc, jak cenna jest purpura, ile trzeba za nią zapłacić w Rzymie.

Sam nie wiedział, co go wtedy podkusiło. Czy zrobił to pod wpływem impulsu, wiedziony radością, kiedy Gwynn wyznała mu, że spodziewa się dziecka? W każdym razie zapłacił ogromną cenę za te barwniki. Jednak warto było. Widział radość na twarzy Gwynn, kiedy otrzymała te skarby, a teraz była najpiękniejsza na ucztach. Urodą przyćmiła wszystkie kobiety, nawet Geillis i Scatah.

Obok Gobannicjona siedziała Aman, jego obecna żona. I znowu Galvan zastanowił się, jak kobiety to robią, że udaje im się zachować urodę. Chociaż Aman była co najmniej w wieku jego matki, a południowa karnacja sprawiała, że starzała się szybciej, prezentowała się wspaniale. Tylko na skroniach pojawiły się pierwsze ślady siwizny, a pod oczami



rysowały się zmarszczki. Jednak Aman z jej pełnymi kształtami, potomkini greckich kolonizatorów, była piękna i pełna wdzięku. Oczywiście, nie mogła dorównać Gwynn. A co on znowu? Cały czas myślał tylko o żonie...

Wniesiono półmiski i tace z mięsem. Wieprzowina i baranina parowały, wydając aromatyczne zapachy. Jedno prosię podano w całości, nafaszerowane warzywami i ciastem, z pieczonym jabłkiem w pysku, a podane na tacy przybranej jesiennymi owocami. Wino lało się strumieniami, podobnie jak piwo. Po wodę mało kto sięgał. Pochodnie wetknięte w uchwyty na ścianach rozświetlały sień. Płomienie pełgały po wypolerowanych tarczach i mieczach. Głosy ludzi mieszały się ze śpiewem bardów. Wszystko zlewało się w jedną wielką wrzawę.

Jednak do czasu. W pewnym momencie Galvan, który akurat rozmawiał z jednym z biesiadników, usłyszał pełen szyderstwa głos Geillis:

- Oczywiście, mój syn powinien zajmować poczesne miejsce po swoim ojcu Celyllusie - powiedziała Geillis. - Mój syn Wercyngetoryks, za którego potomka zdrowie pijemy dzisiaj.

Młodzieniec z daleka widział furię malującą się na twarzy Cynnusa.

- Szkoda tylko, że niektórzy zapominają, kto jest faktycznym panem tego domu - kontynuowała Geillis, całkowicie ignorując męża. - I po tym, jak Wercyngetoryks oficjalnie został uznany za pana domu, nadal zachowują się, jakby byli u siebie.

Geillis wiedziała, co robi. Cynnus oczywiście nie wytrzymał i rąbnął pięścią w stół.

- Do czego ty pijesz, kobieto? - warknął. - Nie dość, że mi się sprzeciwiasz, to jeszcze wygadujesz takie głupoty na ucztę, na którą nie otrzymałaś zgody!

- A od kiedy to wolna kobieta z kraju Arwernów potrzebuje zgody, by urządzić ucztę, jeśli chce? - zdumiała się Evar. - Ilekroć zamierzałam zrobić biesiadę, mówiłam o tym z Rutenem i zabawa odbywała się.

- Problem w tym, że Geillis nie zapytała mnie o zdanie -

odparł Cynnus z przekąsem.

- Galvan nie miał nic przeciwko temu - wtrąciła się Geillis.  
- A to jego dom, zaś ucztę wydałam na cześć jego syna.

- To nie jest dom Galvana, tylko jego ojca. To ja zarządzam posiadłością - rozzłościł się Cynnus.

- Celtyllus nie żyje od piętnastu lat - odezwała się Scatah ze swego miejsca. - A twój bratanek jest pełnoletni i w obecności starszyny przejął majątek w swoje ręce.

Ludzie kiwali głowami. Większość z nich nie miała pojęcia, jak sprawy stoją. Goście myśleli, że Galvan wspaniałomyślnie pozwala mieszkać w domu swojemu stryjowi.

- Dlaczego wobec tego Galvan na to pozwala? - zapytał jakiś starzec, do którego należały rozległe pola na południe od Gergowii.

- A miałyby się sprzeciwić człowiekowi, który czyha na jego najmniejszy błąd? - mruknął Ruten.

- Człowiekowi, który przyczynił się do śmierci jego ojca? - zapytała Geillis.

Cynnus poczerwieniał na twarzy i poderwał się z miejsca.

- Co powiedziałaś? - wykrztusił. - Odszczekaj te słowa, ty suko! Nikt nie nazwie mnie mordercą Celtyllusa!

- Ja nazwę - odezwał się Celtillognatos, który do tej pory jedynie obserwował zajście. - Wszyscy wiedzą, że najwięcej skorzystałeś na jego śmierci.

- Jak nazwałeś moją matkę? - wrzasnęła Galvan. - Miałeś czelność nazwać ją suką? Zamorduję cię! Zabiję gołymi rękami!

Chciał się rzucić w stronę stryja, ale mocne ręce powstrzymały go.

- Puście mnie! - krzyczał Galvan ze złością, miotając się w ramionach mężczyzn. - Zamorduję tego bydlaka!

- Grozisz mi śmiercią, szczeniaku? - pieklił się Cynnus. - I myślisz, że ci to podaruję? Taką zniewagę w środku uczyty?

- Zamknij się, bratobójco! - huknął ze swego miejsca Brennus, syn Aman. - Gdybyśmy mogli tknąć cię palcem bez narażania się na śmierć ze strony starszych, już dawno byś wisiał!

- Nie odzywaj się niepytany, ty pomioście Celtyllusa

i greckiej dziwki!

- Nie waż się obrażać mojej matki! - wrzasnął Brennus.

- Za tę zniewagę osobiście cię wykastruję - odezwał się Gobannicjon.

- Za jaką zniewagę? - zarechotał Cynnus. - Ona, ta czarnooka suka, moja żona, dwie dziwki Celtyllusa, z którymi się gził w jednym łożu, nie zasługują na krzywną szacunek. Widziałem, jak mój braciszek sobie z nimi poczynił. Ha, ha, Gobannicjonie, ty idioto, liżesz resztki po Celtyllusie! Wszyscy to robicie. Zbieracie odpady po wielkim Celtyllusie! Oby zgnił w piekle.

- Za to, że nazwałeś moją matkę dziwką i suką, zginiesz marnie, nędzny szubrawco - wycedził Galvan. Jego oczy miały skry, a twarz wykrzywił grymas największej wściekłości. - Niech tylko cię dopadnę, a zabiję jak psa!

Wyrwał się mężczyznom i wskoczył na stół, rozwalając po drodze półmiski z jedzeniem, by dostać się do Cynnusa, który wykrzykiwał dalej swoje obelgi.

- Tę szmatę nazywasz swoją matką? - śmiał się. - Tę wywłokę, która nawet nie potrafi urodzić porządnego syna, tylko taką pokrakę jak ty? Twoje pochodzenie też nie może być pewne, bo takie jak ona zadają się z każdym!

Geillis siedząca obok niego wymierzyła mu siarczysty policzek. Cynnus chwycił ją za nadgarstki i byłby uderzył, gdyby nie Galvan, który dopadł go jednocześnie z Brennusem. Zapanowało zamieszanie, ale zanim doszło do rękoczynów, goście rozdzielili walczących.

- Śmiesz twierdzić, że jestem bękartem? - krzyczał Galvan doprowadzony do ostateczności. - Ty świński ryju, nazywasz mnie bękartem, a moją matkę dziwką? Zapłacisz mi za to! Scatah! Scatah, gdzie jesteś, do cholery?

Kapłanka spokojnie wstała ze swego miejsca. Wydała się nagle majestatyczna i dostojna, a wrażenie wywarła na biesiadnikach tak ogromne, że wszyscy w jednej chwili umilkli.

- Wzywałeś mnie, Wercyngetoryksie, synu Celtyllusa - odezwała się mocnym głosem.

- W twojej obecności wyzywam Cynnusa na pojedynek - powiedział Galvan już spokojniej. - Ciebie wyznaczam jako sędziego. Podyktujesz warunki pojedynku. Ten nędzny pies zginie za te obelgi, jakimi obrzucał mnie i Geillis.

Scatah patrzyła na niego przez moment, a zebranych w sieni ciarki przebiegły po plecach. Ogień płonący na palenisku odbił się od jej oczu, barwiąc je na złoto. Włosy kapłanki zdawały się płonąć.

- Pojedynek do pierwszej krwi odbędzie się jutro w południe - zarządziła. - Będzie to walka na miecze. Przegrany opuści ten dom i stanie się moim zakładnikiem. Takie są moje warunki.

Galvan uspokoił się, nie na tyle jednak, by kontynuować biesiadę. Podczas gdy wszyscy usiedli na swoich miejscach, gdyż takie rzeczy nierzadko miały miejsce na ucztach, młodzieniec demonstracyjnie opuścił sień i wyszedł w czarną jesienną noc.

- Idź do niego, jeśli chcesz - szepnęła Scatah do Gwynn. - To dobry moment, by zyskać do reszty jego miłość, nawet jeśli on sobie tego nie uświadomi.

Dziewczyna popatrzyła na nią.

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Wiem.

- A Cynnus?

- Spokojnie. Nie obawiaj się. Idź teraz. Cynnus zostanie tutaj. Będzie się chełpił wygraną w jutrzejszym pojedynku. Tak, niech się śmieje. To jego ostatnia okazja do śmiechu.

Gwynn dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa. Nie patrząc na nikogo, wstała i wymknęła się za Galvanem.

- Jutro ten szczeniak będzie inaczej śpiewał! - wykrzykiwał Cynnus.

Więcej Gwynn już nie słyszała, biegnąc w ciemność przed siebie.

\*

Ciemność otuliła ją niczym chłodne ramiona. A może

to rzeczywiście były ramiona? Oddech Galvana ogrzewał jej włosy, kiedy tak stali przytuleni w milczeniu. Gwynn nie pamiętała, by kiedykolwiek znalazła się w takiej sytuacji z mężem. Poza nocami Galvan raczej nie obdarzał jej czułością, już bardziej szacunkiem należnym żonie. Stała spokojnie, drżąc ze strachu, że zaraz ją odepchnie. Jednak Galvanowi taka myśl nie przyszła do głowy. Tulił po prostu żonę, spragniony jej ciepła i bezpieczeństwa.

- Gwynn, mało brakowało, a byłbym cię od siebie odsunął w moim egoizmie - szeptał. - Nie myślałem o tobie, przejmowałem się jedynie Uatah i naszą tragedią.

- Nic nie mów, Galvanie - szepnęła. - Nie trzeba, ja rozumiem.

- Muszę. Moje sumienie jest czarne jak noc. A jutro stanę do pojedynku z Cynnusem i bogowie jedni wiedzą, jak to się skończy. Zanim to się stanie, Gwynn, musisz wiedzieć, jak bardzo mi na tobie zależy. Jak bardzo cię... Ja ciebie kocham, Gwynn.

Dziewczyna miała wrażenie, że zaraz rozplynie się ze szczęścia. Po całym roku udręki związanej ze wspomnieniami o Uatah, po roku chłodu, po tym, jak Galvan spędzał noce w ramionach nałożnic, kiedy ona była w ciąży, usłyszała wreszcie upragnione słowa! Jednak jakiś głos w jej umyśle szeptał, że to jeszcze nie wszystko, że w jego sercu nadal chowa się cień zwany Uatah. Czuła, że długo będzie go dręczyć wspomnienie tamtej, a miłość nie przychodzi sama z siebie, lecz rodzi się z dnia na dzień, powoli.

- Tamtej nocy, kiedy rodziłaś bliźniaki, byłem jak oszalały - mówił dalej Galvan. - Modliłem się do wszystkich bogów, jakich tylko znam, by cię ocalili. Nie zniósłbym myśli, że mogłoby cię zabraknąć. Kiedy jednak rano ona się zjawiła w naszym domu... Mnie jakby wszystkie demony piekieł opętały, Gwynn. Czy kiedykolwiek mi to wybaczysz? Gdybyś wiedziała, jaką walkę musiałem toczyć sam ze sobą, żeby zapomnieć o Uatah. Jednak nie tak łatwo nie pamiętać o kobiecie, z którą ma się dziecko.

Gwynn zacisnęła ręce na jego ramionach. Było jej tak rozkosznie ciepło, słodko i cudownie, świat kołysał się wokół,

ciemny, niewidzialny, zdradzający swą obecność jedynie zapachem zgnilizny i jesieni. Rzeczywistość gdzieś się ulotniła. Gwynn nie wiedziała, gdzie jest ani co robi. Zorientowała się tylko, że Galvan szuka ustami jej ust, i przywarła do niego w głębokim pocałunku. Nikogo nie było na zewnątrz, nikt nie mógł ich widzieć. W bolesnym uniesieniu pozwalała, by znajdował do niej drogę, nie z konieczności małżeńskiej, lecz z własnej woli. Oplotła nogami jego biodra i westchnęła z ulgą, kiedy poczuła go w sobie. Fakt, że za ścianą, o którą się opierali, siedziały trzy tuziny ludzi, nie wywierał na niej żadnego wrażenia.

- Kocham cię, Gwynn, kocham cię, kocham cię - szeptał Galvan.

Nie miała na to odpowiedzi. Nie była w stanie nic odpowiedzieć.

Kiedy kilka lat później spoglądała na swego średniego syna, musiała uśmiechnąć się z pewnym bólem na wspomnienie tamtej nocy. Wtedy Galvan po raz pierwszy tak naprawdę do niej należał, a dziecko poczęte pod ścianą domu było owocem prawdziwej miłości, nie zaś wymogiem czy koniecznością przedłużenia rodu.

Gdy po wielu latach przypominała sobie tamtą noc, musiała przyznać, że była to jedna z najpiękniejszych chwil w jej niełatwym życiu, szczególnie godna wspomnień w obliczu tego, co stało już za progiem i miało niebawem wkraść się w ich terażniejszość.

Jednak wtedy, tej jesiennej nocy, dwa dni przed Samain, Gwynn nie wiedziała, co przyniesie przyszłość. Przyjmowała pożądanie swego męża i jego miłość ze łzami uniesienia i radości w oczach. W duchu dziękowała Scatah, że wyprawiła ją w drogę za Galvanem, bo gdyby nie to, pewnie nigdy nie doszłoby do takiego zbliżenia.

Zdyszani opierali się o ścianę. Gwynn w ciemności zorientowała się, że Galvan się uśmiecha.

- Gdybym miał jutro popaść w hańbę i niedolę, to przynajmniej zostanie mi to wspomnienie - szepnął.

Gwynn ujęła jego twarz w dłonie.

- Nie popadniesz w niedolę - powiedziała. - Pokonasz Cynnusa.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zaśmiał się Galvan. - On ma dwadzieścia pięć lat przewagi nade mną.

- Ale ty jesteś najlepszy - stwierdziła Gwynn. - Cynnus nie może się z tobą równać. Do pięć ci nie dorasta. Potrafi się tylko puszyć i udawać, że cokolwiek znaczy. Tak naprawdę jest pusty, próżny i głupi. Och, Galvanie, nienawidzę tego człowieka z całego serca.

Gładził smukłymi palcami jej twarz, a ona czuła, że znowu rośnie w niej pożądanie. Stłumiła gwałtowną potrzebę zarzucenia mu rąk na szyję i przytulenia się doń całym ciałem.

- Galvanie, Scatah uważa, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy - powiedziała cicho. - Ty nie możesz przegrać, bo masz coś innego do zrobienia.

- Scatah! - prychnął Galvan. - Scatah ma swoje wizje i swoje czary. Żyje w swojej dolinie i odurza się różnymi środkami, by widzieć.

Umilkł. Prawdą było, że jego stosunek do Scatah zmienił się po tym, jak zabrała Morgwynn na wychowanie. Tak naprawdę Galvan podziwiał kapłankę i bał się jej tak samo jak w tamten wieczór, kiedy podała mu jego własną krew do picia. Scatah, przerażająca, piękna i straszna, zmysłowa i potworna zarazem. Ta sama, której silne ramiona przyciskały go do wymoszczonego futrami łoża, której mocne, zgrabne uda oplatały jego biodra, aż zachłystywał się własną żądzą. Scatah...

Tamte siedem nocy z kapłanką napełniło go wiedzą, której dotąd nie wykorzystał. Zdawało się, że zakłęta w nim moce, które miały się dopiero ujawnić. Dała mu siłę zarezerwowaną na przyszłość. Czasami budził się w środku nocy z uczuciem, że Scatah jest obok niego. Długo trwało, nim zrozumiał, że są ze sobą w jakiś magiczny sposób połączeni. Nie cieleśnie, to było sprzężenie umysłów, jakby jej duch połączył się z jego duchem i nie mógł się już więcej rozłączyć. Ale jak to było możliwe?

Scatah kierowała jego snami, ukazywała mu fragmenty

przyszłości, uczyła go i podpowiadała drogę. Dała mu najcenniejszy skarb i zraniła go najboleśniej w życiu.

A on gardził nią, podziwiał ją i bał się jej jednocześnie. Te trzy uczucia splatały się w nim, nie dając mu możliwości obiektywnego spojrzenia na Scatah. Była zbyt potężna, miała za silną osobowość, by przejść obok niej obojętnie. Była potężniejsza od niego, od jego ojca, chyba od wszystkich ludzi, jakich znał.

- Nie chcę o niej mówić - mruknął. - Ta kobieta mnie przeraża.

- Myślę, że ona przeraża większość ludzi, Galvanie - stwierdziła Gwynn. - Wszyscy się jej boją, ale za tym strachem kryje się coś więcej.

- Tak. Szacunek - powiedział Galvan sucho.

Przymknął oczy i przyciągnął Gwynn do siebie. Jutro będzie musiał stoczyć pojedynek z Cynnusem na oczach swej nauczycielki, mistrzyni i kochanki. Jeżeli mu się nie powiedzie, skompromituje się przed nią na wieki. Musi mu się udać. Musi.

Nad ich głowami migotały gwiazdy. Galvan wziął głęboki oddech i schował twarz we włosach żony. Teraz nie było już żadnej Uatah, która pomoże mu przed próbą. Musiał radzić sobie sam. I nie wolno mu było zawieść tych, którzy w niego wierzą. To było znacznie gorsze niż niepowodzenie w dolinie Scatah.

\*

Pogoda tego dnia nie sprzyjała walce. Słońce to chowało się za chmury, to przedzierało przez nie i raziło ludzi w oczy. Było chłodno i nieprzyjemnie, wiatr targał nagimi koronami drzew i wszyscy wiedzieli, że ostatnia pieśń tej jesieni już przebrzmiała i lada moment zima weźmie świat w swoje lodowate objęcia. Z ust ludzi unosiła się para, w powietrzu dominował zapach zgniłych liści i zmarzniętej ziemi.

Właśnie zaczynała się najciemniejsza część roku. Trudno było ustalić, kiedy nadeszło południe, bo słońce nie rzucało cienia na ziemię. Matowe i blade spoglądało na zgromadzonych



niechętnym okiem. Jeszcze kilka tygodni wcześniej oślepiało oczy radosnym jesiennym blaskiem, a teraz przybrało zimowe tony i niezwykle skąpo użyczało światła.

Cynnus i Galvan stali naprzeciwko siebie, każdy z mieczem w dłoni, i spoglądali sobie w oczy z nienawiścią. Gwynn zajęła miejsce z boku z synem na rękach. Była przekonana o wygranej Galvana. Po prostu nie dopuszczała do siebie innej możliwości. Przegrana w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Drzewa szumiały żałośnie. Dopiero teraz Gwynn zdała sobie sprawę, jak różni się letni szum drzew od posępnej jesiennej pieśni.

Mężczyźni na otrzymany przez Scatah znak przystąpili do pojedynku. Szczęk broni wyrwał Gwynn z odrętwienia. Scatah stała nieruchomo z dziwnym, pełnym triumfu uśmiechem na ustach. Ona wiedziała, znała wynik tej bitwy, zanim się zaczęła.

Atak, unik, starcie, wyprowadzenie ciosu... Cynnus był bardziej doświadczony, Galvan – młodszy i zwinniejszy. Nie na darmo uczyła go Scatah, a po niej jej córka. Ruchy młodzieńca były błyskawiczne, ataki silne i precyzyjne, uniki natychmiastowe. Cynnus nie zdołał żadnego wyjścia zakończyć powodzeniem. Tylko stal szczekała o stal, a oddechy walczących stawały się coraz bardziej chrapliwe. A raczej tylko oddech Cynnusa. Galvan zdawał się tańczyć na udeptanej ziemi. Jego stopy niemal nie dotykały podłoża, na ugiętych kolanach podchodził do przeciwnika, by natychmiast się wycofywać, kiedy Cynnus przystępował do ataku. Młodzieniec walczył jak dziki kot. Płynność ruchów Galvana wprawiała patrzących w zachwyt, a jego stryja pozbawiała z każdą upływającą minutą pełnego pogardy uśmiešku i znudzonego wyrazu twarzy.

Cynnus stawał do tego pojedynku tak pewny swej wygranej, że nawet się nie starał. Teraz zaczął. Galvan był dobry, straszliwie dobry, za dobry! Potrafił przewidzieć cios Cynnusa, zanim ten o nim pomyślał. Jego ataki były tak szybkie i podstępne, że trwało dobrą chwilę, nim Cynnus się zorientował, że Galvan po prostu bawi się z nim jak kot

z myślą. Walka sprawiała mu przyjemność, nie męczyła go.

Kiedy oddech Cynnusa stał się już świszczący, Galvan nieoczekiwanie podkręcił tempo. Teraz zaczęli ścierać się naprawdę, to nie była już zabawa. Świadczyły o tym choćby wyraz twarzy Galvana, pełen zaciętości i pasji, nienawiść lśniąca w jego niebieskich oczach, pełen złości oddech i uniesiona w grymasie górna warga.

Cios. Cynnus zorientował się, że klęczy na ziemi, a po jego ramieniu płynie krew. Galvan wykorzystał chwilę nieuwagi, kiedy stryj chciał się zasłonić. Ponieważ nie była to walka na śmierć i życie, lecz do pierwszej krwi, w ostatniej chwili odwrócił ostrze w taki sposób, że prześlizgnęło się po ramieniu w dół, zostawiając po sobie długą krwawiącą ranę.

Galvan stał nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach i wpatrywał się w stryja oczami pałającymi zwycięstwem. Wśród tłumu rozległ się jęk. Nikt nie widział, w którym momencie młodzieniec wyprowadził cios. Po prostu zrobił to i już. Cynnus nie miał żadnych szans.

„Co to będzie, jeśli temu chłopakowi przyjdzie zabijać na polu bitwy?” – pomyśleli zgromadzeni ludzie.

- To nie może się liczyć – warknął Cynnus. - Ten chłopak ma konszachty z demonami! To niemożliwe, żeby tak walczyć!

Scatah patrzyła na niego w niemej pogardzie.

- To ja uczyłam go walki, Cynnusie – odezwała się. - Czy masz może coś do zarzucenia moim umiejętnościom?

Zapytany zwiesił głowę.

- Tak myślałam – odparła kapłanka. - Cynnusie, synu Brennusa, ogłaszam, że przegrałeś w tym pojedynku. Odtąd jesteś moim zakładnikiem i tracisz wszelkie prawa do domu Celtyllusa, którego panem jest Wercyngetoryks.

Powiedziała to głośno, by wszyscy słyszeli. Galvan oddychał głęboko, jakby nadal nie wierzył, że to już koniec pojedynku i że zwyciężył.

Scatah podeszła do Cynnusa i pochyliła się nad nim.

- Pakuj manatki – szepnęła mu do ucha takim głosem, że zadrżał ze strachu. - Jedziesz ze mną.

Cynnus nigdy w życiu nie czuł podobnego strachu. W głosie

Scatah nie czaiła się żadna groźba, wyraz jej twarzy był zupełnie obojętny, ale sposób mówienia czy też natężenie głosu sprawiły, że trząsał się jak osika.

„Nigdzie nie pojedę z tą przeklętą babą” – pomyślał. Po chwili jednak doszło do niego, jak bardzo się myli. Nie wiadomo skąd pojawiły się nagle młode, silne wojowniczkę. Obstały go. Pomogły mu wstać z ziemi, ale nie odstępowaly go na krok. Cynnus zrozumiał, że będą mu towarzyszyć, dokadkolwiek się uda. Jego nienawiść do Galvana wzrosła jeszcze bardziej, o ile to możliwe. I tak już przekraczała wszelkie granice.

Zielone oczy Scatah zalśniły.

– Po Samain odbędzie się rada starszych – powiedziała. – Wtedy zadecydujemy, czy Wercyngetoryks zostanie mianowany naczelnikiem Gergowii w miejsce Cynnusa.

W jej wzroku pojawiło się coś, co sprawiło, że Cynnus przeraził się jeszcze bardziej. Zrozumiał bowiem w ułamku sekundy, że walka została ukartowana przez Scatah, żeby się go pozbyć. Kiedy posadzi Galvana na naczelnikowskim krześle, będzie mogła rządzić Arwernami, jak tylko jej się spodoba. A w każdym razie da władzę swemu popiecznikowi, który przesycony jej obłądnymi ideami będzie niszczył wszystko, co kiedykolwiek przedsięwziął Cynnus.

Owładnął nim potężny gniew, ale nic już nie mógł poradzić. Został odprowadzony do domu Celtyllusa, z którego niebawem miał odejść na zawsze. O tym jednak nikt nie wiedział, nawet Galvan, który z poczuciem triumfu zasiadał wreszcie na upragnionym poczesnym miejscu w domu swego ojca.

\*

Wąziutki, blady sierp księżycy wisiał na czarnym niebie nad doliną Scatah, kiedy Cynnus stanął na szczycie przełęczy. Upiorny to był widok i napawający strachem, ale do tak niskich uczuć Cynnus by się nie przyznał. Przez całą drogę na północ nie opuszczał go strach, który momentami zmieniał się w piekielną trwogę. Cynnus bał się tak bardzo, że aż koń,

na którym jechał, denerwował się i tańczył niespokojnie pod jeźdźcem.

- Co ze mną zrobisz? - zapytał Cynnus, kiedy znaleźli się na dnie doliny.

Zimny, mdły blask księżyca, który już następnej nocy miał zniknąć, przyprawiał go o dreszcze. Tajemnicze amazonki Scatah, jej uczennice, zniknęły w ciemnościach. W dolinie zostali tylko on i ona.

Scatah wyglądała jak istota nie z tego świata. Może to przez ten upiorny blask księżyca albo wyobraźnia Cynnusa zaczynała szwankować.

- Jutro jest noc Samain - odezwała się Scatah. - Wtedy złożę ofiarę Disowi.

Cynnus poczuł, jak włosy mu się jeżą na karku. Ofiara dla Disa?

- Chyba oszalałaś - wydusił z siebie. - Od niepamiętnych czasów nikt nie odważył się tego zrobić.

- Owszem, moja matka, Aife, dokonała tego - odparła Scatah spokojnie. - Złożyła ofiarę z ojcobójcy, żeby wzmocnić zaklęcia.

- Ale czy ona nie zmarła w kwiecie wieku? - zapytał Cynnus.

- Owszem. Mogła jeszcze żyć.

Scatah popchnęła Cynnusa w stronę swego domostwa wzniesionego na zboczu góry. Przed budynkiem paliły się długie pochodnie wetknięte w ziemię, ale dom sprawiał wrażenie wymarłego. Oprócz tych pochodni nie było w dolinie innego źródła światła.

Naraz Cynnus coś sobie uświadomił.

- Z ojcobójcy? - powtórzył. - Ty oszalałaś? Chcesz poświęcić mnie Disowi?

Zimny pot oblewał mu teraz skórę, bo Cynnus wiele lat temu też był na naukach u druidów i pamiętał co nieco o ofiarach i rytuałach. Ofiara dla Disa była tak ohydna, że nie chciał wtedy słuchać o tych wszystkich wnętrznościach wywlekanych i palonych w świętym ogniu. A teraz ona miałaby zrobić to z nim?

- Nie! - wrzasnął. - Oszalałaś? Jesteś niespełna rozumu!

Chciał uciec, ale nagle ciemność ożyła i przytrzymała go w miejscu niezliczoną ilością silnych kobiecych ramion.

- Zabiłeś rodzzonego brata, Cynnusie - głos Scatah był lodowaty. - Z zimną krwią wydałeś polecenie otrucia go. Celtyllus przed śmiercią cierpiał okropnie. A potem chciałeś zabić jego syna, siedmioletnie niewinne dziecko. Gdyby nie Gobannicjon, który przyjechał przed czasem do nemetonu Maerina, chłopiec też by już nie żył. W imię czego, Cynnusie? Zżerała cię zazdrość i chora ambicja, i dlatego musiałeś zabić najlepszego wodza, jakiego mieli Arwernowie od dwustu lat?

Nic więcej nie powiedziała, odwróciła się tylko i ruszyła w stronę domu. Cynnus chciał się wyrwać przytrzymującym go ramionom, ale nie zdołał. Został zmuszony do pójścia śladem kapłanki w stronę domostwa na skale. Kiedy znalazł się w środku, ujrzał młodą kobietę z pucharem w ręku. Była piękna, smukła i rudowłosa, odziana w białą suknię z szerokimi rękawami. Podążyła mu puchar.

- Pij i odpocznij przed Samain - odezwała się.

Cynnus za żadne skarby nie chciał pić napoju, ale i do tego zmusiły go adeptki Scatah. Jedna zatkała mu nos, druga rozwarła szczękę i chcąc nie chcąc musiał przełykać słodko-gorzki płyn, ani chybi wino z ziołami nasennymi. Więcej nie pamiętał, bo postacie wokół niego zawirowały i otoczyła go miłosierna ciemność.

Scatah patrzyła na leżącego z najgłębszą pogardą.

- Szkoda moich koni i moich sług do transportu tego śmiecia - mruknęła ze złością.

Uatah odstawiła puchar na stolik i spojrzała na matkę wyczekująco.

- Czyli Galvan zwyciężył? - upewniła się.

- Naturalnie - uśmiechnęła się Scatah. - Ten chłopak ma w sobie więcej siły i zapału, niż mu się wydaje. Świetnie go wyszkoliłyśmy, moje dziecko.

Scatah zauważyła, że oczy jej córki zasnuły się mgłą, więc szybko zmieniła temat i chłodnym tonem kazała jej przygotować komnatę na odprawienie rytuału.

- Trzeba mu będzie dać środki znieczulające, bo inaczej zacznie się tak wydzierać, że usłyszą nas sami Rzymianie - mamrotała ze złością.

- Ciekawe, czy ciebie by to nie bolało - burknęła Uatah.

Scatah nie komentowała wypowiedzi córki. Udała się do pokoju kąpielowego, gdzie służdy przygotowali już gorącą wodę z olejkami. Zrzuciła przesiąkniętą zapachem konia szatę i z błogością zanurzyła się w wodzie. Zamknęła oczy i przez chwilę nie myślała o niczym.

Zaraz jednak myśli powróciły jak uderzenie obuchem. Ofiara dla Disa zawsze oznaczała śmierć. Prędzej czy później składający ją umierał, zazwyczaj prędzej, gwałtowną i okrutną śmiercią. Dis niczego nie dawał za darmo, nawet ofiara musiała być okupiona.

Scatah wodziła palcami po drewnie bali. Zrobiła, co do niej należało. Od dzieciństwa matka, Aife, przygotowywała ją do życiowej roli. Scatah dowiedziała się stosunkowo wcześnie, że jej ojciec pochodził z królewskiego rodu Albionu. Aife także wywodziła się z wysokiego rodu. Jej matka była kapłanką na Sein, babka także. Natomiast praprababka Scatah pochodziła z Eire, gdzie jej ojciec był królem. Jednak to nie pochodzenie uczyniło z niej kapłankę o tak wysokiej randze, lecz zdolności i niezaprzeczalna moc, którą posiadała. Tak, od zawsze ją czuła. Moc, która przepęłniała ją już wtedy, gdy była niesfornym dzieckiem na Sein.

Aife nie musiała przeznaczać córki na kapłankę, równie dobrze mogła wydać ją za męża za któregoś ze swoich kuzynów z Albionu. Czyniono tak. Mogła oddać ją jakiemuś druidowi, by płodziła z nim szlachetnie urodzonych potomków. Jednak Aife, upewniwszy się co do zdolności swojej córki, przeznaczyła ją na powiernicę wiedzy. Scatah to odpowiadało. Lubiła uczyć się walki i jednocześnie czarów, jak to określała trzydzieści lat temu. Mądre kobiety z zakonu uczyły ją, jak operować mocą i korzystać z wiedzy. W wieku piętnastu lat Scatah poszła na święto Beltaine, z którego wróciła z pełnym łonem. Potem wielokrotnie rodziła dzieci druidom, których imion nie znała, dopóki los nie zetknął jej z ojcem Uatah. Scatah kochała jeden

jedyny raz w swoim życiu. Miała wtedy dwadzieścia lat i nigdy przedtem nie poznała smaku miłości ani gorzkiej cierpienia. Owszem, była szczęśliwa lub smutna, wesoła, beztroska lub skupiona, samotność jednak nigdy jej nie doskwierała.

Aż do tamtego dnia. Wiedziała, że on odejdzie. Że spłodzi z nią dziecko i odjedzie na zawsze. Taki los był nieunikniony. Scatah była wtedy już w pełni wyszkoloną wojowniczką, kapłanką wysokiej rangi i wiedzącą. Wykorzystywano jej moc, zwracano się do niej w potrzebie, była niczym najwyższy druid, tyle że kobiety.

Aife odeszła wkrótce potem, po złożeniu ofiary Disowi, w której ukazał się jej chłopiec o jasnych włosach, który doprowadzi do zjednoczenia państwa Celtów. Scatah dopiero kilka lat później dowiedziała się, że ojcem tego dziecka jest Celtyllus. I była pewna, że połączenie obojga dzieci zaowocuje potomkiem z dwóch królewskich linii. Potomkiem, którego będzie można oddać władcom Albionu. Jednak to przyszło znacznie później, kiedy już Scatah wyplakała wszystkie łzy, a jej serce stało się twarde i niedostępne.

Urodziła pięcioro dzieci, z których najbardziej kochała Uatah. Przeznaczyła ją na kapłankę, bo widziała w niej tę samą siłę, która ją samą rozpierała w latach młodości, a którą potem nauczyła się okiełznywać. Ale ilekroć patrzyła na Galvana, czuła bolesne ukłucie w sercu na myśl, że mało brakowało, a byłby jej synem.

A teraz miała w swoim lochu człowieka, który zabił Celtyllusa. Czekala na to cierpliwie wiele lat. Wiedziała, że pewnego dnia dokona zemsty. Gdyby nie głupota i zaślepienie Cynnusa, Celtowie już teraz byłiby potężnym państwem z jednym władcą. A tak ona, Scatah, musiała od nowa szkolić młodzieńca, który niebawem miał się zmierzyć z siedemsetletnią potęgą Rzymu.

Scatah wbiła ze złością paznokcie w ściankę wanny. Do licha, jak ona nienawidziła Cynnusa. Wcale nie miała zamiaru podawać mu odurzających ziół. Niech cierpi. Niech wie, co się z nim dzieje, zanim wyzionie ducha. Niech widzi własną wątrobę poświęcaną Disowi i niech żyje, dopóki ona,

kapłanka, nie wytnie mu serca. A właściwie wyrwie. Gołymi rękami.

Odetchnęła głęboko. Za tę nienawiść przyjdzie jej ciężko zapłacić. Ofiara będzie mocniejsza, ale złożona w afekcie obróci się przeciwko składającemu. To była obosieczna magia, zabijała i ofiarę, i ofiarodawcę. Scatah, przejmując życie tego człowieka, odda jednocześnie własne. Prędzej czy później. Oby szybciej. Jak najszybciej, żeby nie musiała dłużej się męczyć. Niespełniona miłość, tamten jeden poryw serca, zamienił jej życie w pustynię żalu. Oczywiście, nigdy nie okazywała uczuć. Czerpała radość z życia, na ile mogła. Mnóstwo rzeczy sprawiało jej przyjemność, doznała też wielu miłych chwil. Jednak nigdy już, nigdy nie była tą samą radosną dziewczyną, odkąd ukazano tego człowieka. I mogła mieć tylko nadzieję, że Uatah otrząśnie się z zadurzenia w Galvanie, że minie jej ten bezsensowny obłęd, bo miłość nie istniała dla niej, tak samo jak ona nie została stworzona do miłości.

- A jednak - szepnęła Scatah do siebie. - A jednak nie ma od tego ucieczki. Cerwiden, która miesza w kotle życia, wkłada do niego różne składniki.

Nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęła się śmiać. Zaraz jednak śmiech zmienił się w pełen żalu szloch.

- Bogowie, dlaczego daliście mi tak ciężkie życie? - łkała. - Dlaczego nie mogłam być jedną z tych głupiutkich, nieświadomych dziewczynek, a zamiast tego otrzymałam dar, o który wcale nie prosiłam?

Jednak jej skargi szybko ucichły, bo Scatah wiedziała, że nigdy w życiu nie wyrzekłaby się tego, co przez ponad czterdzieści lat nosiła w sercu i umyśle.

\*

Cynnus ocknął się pod wpływem bólu w nadgarstkach. Nie było to przyjemne obudzenie. Czuł zawroty głowy i obrzydliwy smak w ustach. Zaraz też zorientował się, że jest przywiązany za ręce i nogi i rozłożony na czymś, co mogłoby być stołem.

Na palenisku płonął ogień. Pochodnie zatknięte na ścianach



rozjaśniały komnatę. Była noc, co do tego Cynnus nie miał wątpliwości. Ktoś stał nad nim, w komnacie rozlegały się mamrotania i szmery.

- Scatah! - krzyknął.

Czyjeś ręce chwyciły jego głowę i skutecznie ją unieruchomiły. Strach podpełzał mu do gardła. Jego oczom ukazała się ubrana na biało kapłanka. Dlaczego na biało? Żeby było widać plamy krwi na jej szatach?

Cynnus już miał ochotę wyć z bólu, chociaż jeszcze nic mu nie zrobiono. Jednak wiedział, co się stanie. Sama myśl o tym napełniała go przerażeniem.

Zielone oczy kapłanki lśniły jak u drapieżnego zwierzęcia. Twarz pomalowana była urzetem w upiorne znaki, które jeszcze podkreślała gra światłocienia w komnacie, nadając obliczu straszny wyraz. Scatah wyglądała niczym demon podziemi. W jej dłoni Cynnus dostrzegł długi nóż o szerokim ostrzu. Poczul nową falę strachu, a zimny pot oblał jego ciało.

Dopiero teraz zorientował się, że jest nagi. Chłód jesiennej nocy owiewał jego ciało. Było mu zimno pomimo ognia tłącego się na palenisku i pochodni płonących na ścianach.

- Scatah! - krzyknął znowu.

Jednak kobieta, która do niego podeszła, nie była już Scatah. To było boskie naczynie, tyle mógł zrozumieć. Jej źrenice były nienaturalnie powiększone. Cynnus pojął, że przyjęła jakieś zioła, zapewne na wyostwienie zmysłów.

- Disie, ojczy piekieł, ojczy bogów, ojczy Celtów - zaczęła kapłanka. - Disie, ojczy śmierci, ojczy czasu, ojczy świata! Wzywam cię! W noc Samain, w noc umarłych, wzywam cię, abys wyjawil mi tajemnice przyszłości!

Cynnus wił się jak piskorz, ale nic nie mógł zrobić. Scatah stała nieruchomo zwrócona w stronę ognia. Cynnus ze swego miejsca dostrzegł, jak płomienie buchają w górę, aż iskry sypią się na ziemię.

Koncentracja Scatah była tak silna, że na jej skroniach perlił się pot, a na czole uwydatniła się pulsująca żyła. Ile wysiłku musiało ją kosztować nawiązanie kontaktu z siłami pozaziemskimi, tego Cynnus nie mógł odgadnąć.

Na moment udzieliła mu się atmosfera panująca w komnacie. Jednak w następnej chwili strach pochwycił go znowu w swe szpony, bo oto wyraźnie usłyszał głos, ochrypliwy i mocny, rodem z piekieł.

- Co mi ofiarujesz, córko ludzi śmiertelnych?

Czy tylko jemu się tak wydawało? Kapłanki mruczące coś pod nosem też wyglądały na oszołomione. Sam też musiał dostać jakiś środek, bo w głowie mu się kręciło, a komnata wirowała mu przed oczami.

- Ofiaruję ci przestępcę - odparła Scatah. - Bratobójcę, nędznika, najpodlejszego z podłych. Ofiaruję ci jego wątrobę, siedlisko zła, byś mógł mi odsłonić to, co zakazane. Ofiaruję ci jego żołądek i jelita, byś się nasycił ludzkim pokarmem. Ofiaruję ci jego oczy, byś widzieć to, co niewidzialne. Ofiaruję ci jego serce, by wiedza żyła we mnie wiecznie.

Cynnus zadrżał. Ona mówiła o tym, co mu wytnie, kiedy będzie jeszcze żył? Czy ona jest szalona? Bogowie! Trzeba przerwać te bezeceństwa. Powiedzieć jej, żeby przestała! Nie, przecież ona jest niespełna rozumu!

Jednak Cynnus słyszał o potwornych ofiarach dla Disa. Żadna inna, nawet całopalna z człowieka, od której zresztą już odchodzono, nie była tak okrutna. Kiedy ofiarowano pierwociny, zabijano najpierw ludzi jednym szybkim ciosem, a dopiero potem palono ich na stosie ofiarnym. Jedynie ofiary dla Epony, Teutatesa i Disa były tak okrutne. No i ofiara dębu. Kara za zdradę kraju.

Ofiarowani Eponie byli rozrywani końmi, by uhonorować zwierzęta poświęcone bogini. Składanych Teutatesowi palono w słomianych kukłach. Kary dębu polegały na wepchnięciu w pień dębu żywcem odartego ze skóry zbrodniarza. Ale Dis...

Cynnus chciał krzyczeć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Patrzył, jak Scatah kłania się ogniewi, po czym podchodzi do niego z rzeźnickim nożem. Nie, to niemożliwe! Ona nie może!

- Zakneblować go - wydała rozkaz kapłanka.

Cynnus poczuł, jak wpychają mu coś w usta.

- Ojciec Disie, zdradź mi tajemnicę przyszłości - mamrotała

Scatah. – Nasyć się tym, co mają śmiertelni, i odnów swoją siłę.

Cynnus zamknął oczy. Nie chciał jej oglądać.

Scatah spoglądała na skrępowanego mężczyznę, którego przeniesiono tutaj nieprzytomnego. Wcześniej Cynnus dostał wywar z ziół, który miał stępić jego reakcję i otumanić zmysły. Scatah nie była do tego stopnia okrutna, by szlachtować go całkowicie na żywca. Jednak nie mogła go zabić. Jeżeli umarłaby, zanim zdążyłaby wyjąć bijące serce, ofiara na nic, a ona nie pozna przyszłości i zginie na miejscu. Dis weźmie ją zamiast jego.

Scatah nigdy wcześniej nie odprawiała tej ofiary. Jedynie o niej słyszała. Była to najpotężniejsza ofiara. Najmocniejsza. I śmiertelna. Już samo wprowadzenie się w trans, w którym kapłanka mogła kontaktować się z bóstwem, było długie i bolesne. Całą noc musiała spędzić na czuwaniu, odurzaniu się narkotycznymi ziołami i modlitwach. Czuła siłę bogów, ich obecność, widziała, że oczy Uatah stojącej w rzędzie kapłanek otwierają się szeroko ze zdumienia i strachu. Czy one też słyszały głosy? Pewnie tak, bo bóg przemawiał przez nią samą tym ochryplym, nieludzkim głosem.

Pewniej ujęła nóż. Musiała zrobić nacięcie wzdłuż całego ciała, na tyle głębokie, by rozewrzeć skórę, i na tyle płytkie, by nie uszkodzić żadnego organu. Pot zalewał jej oczy. Wycelowała w podstawę szyi i wbiła nóż. Ciało Cynnusa, gdyby mogło, wygięłoby się w łuk, ale było skrępowane i trzymane przez wiele par rąk. Krew trysnęła momentalnie, a Scatah przeciągała nóż w dół. Z gardła więźnia wyrwał się tłumiony wrzask. Jego ciało momentalnie zrobiło się mokre i lepkie od potu. Jednak dla Scatah Cynnus nie był już człowiekiem, był ofiarą bogów.

Uatah stojąca pod ścianą czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Słyszała, rzecz jasna, o ofiarach tego rodzaju, wiedziała też, że Etruskowie swego czasu prowadzili takie wiwisekcje, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że kiedyś będzie uczestniczyć w otwieraniu żywego ludzkiego ciała.

Scatah wyciągnęła nóż. Kapłanki pomogły jej odciągnąć skórę na bok. Cynnus wierzgał nogami, na ile mógł, i darł się,

zagryzając knebel w potwornym cierpieniu. W umyśle Scatah z wolna zaczęła się klarować jakaś myśl. Jakby głos wdzierał się w jej uszy i szeptał.

Ujrzała wnętrze człowieka. Drabina żeber napinała się i opadała w bolesnych oddechach. Scatah ujęła piłę i przecięła mostek. Rozciągnęła go i jej oczom ukazało się serce Cynnusa. Biło zatrważająco szybko, przepełnione strachem.

- Disie, ofiaruję ci wnętrzności śmiertelnika, abys nakarmił swą nieśmiertelną postać - powiedziała, po czym sprawnym ruchem odcięła żołądek mężczyzny.

Wrzask tłumiony przez knebel był zbyt głośny, by można było go zlekceważyć. Krew płynęła strumieniem. Scatah przełożyła narząd Cynnusa do ofiarnej misy, po czym podeszła do ognia i wrzuciła w płomień zawartość naczynia, mamrocząc pod nosem modlitwy. To samo zrobiła z jelitami kłębiącymi się w jej rękach. Prawdę mówiąc, miała ochotę wymiotować, ale to była ostatnia rzecz, jaką mogła zrobić. Wnętrzności były gorące i parowały w jej dłoniach, toteż uwinęła się z nimi szybko. Wiedziała, że Cynnus długo już nie pożyje.

Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał w twarz Scatah. Obrazy tańczyły mu jednak przed oczami, zamazywały się, a wszystko nikło w oparach krwi i bólu. Miał wrażenie, że traci przytomność, ale tak nie było. Doskonale wiedział, co się z nim dzieje. Jednak, o dziwo, kiedy ta makabra już się zaczęła, strach zdawał się maleć. Organizm koncentrował się na cierpieniu, uruchamiając mechanizmy śmierci. Tu nie było miejsca na strach i adrenalinę.

- Disie, ofiaruję ci śmiertelne oczy, bym mogła widzieć twoim wzrokiem - powiedziała Scatah, która pragnęła jak najszybciej zakończyć składanie ofiary.

Cynnus miał wrażenie, że już umiera, kiedy kapłanka pozbawiła go oczu. Ból, jaki wtedy poczuł, na dobrą chwilę pozbawił go świadomości.

Scatah pociła się. W jej umyśle kształtowała się wizja. Serce waliło z wysiłku. Bolesne skurcze w żołądku stawały się nie do wytrzymania. Wiedziała, że umiera razem ze swą ofiarą.

Nienawiść była zbyt silna, sprzężenie zbyt mocne.

- Disie, ofiaruję ci wątrobę, siedlisko wszelkiego zła, byś nasycił swą nienawiść i oczyścił ofiarę z jej przewiny - powiedziała.

Ręce jej drżały, gdy wycinała wątrobę Cynnusa. Mężczyzna, pogrążony w błogiej nieświadomości, na skutek jej poczynań odżył i znowu wydierał się wniebogłosy, czując upiorny ból. „Umieram” - tłukło się w jego głowie. „Umieram”.

Jednak serce wciąż biło, pompując krew do okaleczonego ciała. Podłoga, na której stała Scatah, była czerwona i śliska od krwi. Na jej sukni nie pozostało już niemal ani jedno suche miejsce.

Słabła. Wycinanie pracujących narządów nie należało do rzeczy łatwych i przyjemnych. Potem miała już tylko sekundy na wyrwanie serca. Cynnus umierał, po ostatnim wrzasku nastąpiła agonia, tlen przestał docierać do mózgu. Właściwie cud, że jeszcze żył. Oprócz płuc, przepony, przełyku i trzustki nie pozostało już nic w jamie brzusznej. Tylko serce uparcie biło, ale to już był koniec, ostatnie drgania.

Scatah wyrzuciła okrwawione wnętrzności do ognia i wróciła do Cynnusa, który charczał na stole. Powinien wedle wszelkiej logiki umrzeć w momencie, w którym pozbawiła go żołądka. Jednak bez wnętrzności człowiek może całkiem długo żyć. Scatah wiedziała, że Egipcjanie nabijali ludzi na pal i zostawiali na śmierć w piekącym słońcu Sahary. Takie osoby umierały w potwornych męczarniach wiele godzin po tym, jak ich żołądki i jelita suszyły się na piasku.

Jednak Egipcjanie przekazali cywilizacji coś jeszcze innego: umiejętność balsamowania zwłok. Scatah czytała starożytne zwoje historyka z Jonii, Herodota, który opisał te czynności. Potrafiłaby dokonać tej sztuki, gdyby tylko musiała. Uważała jednak rytuał Disa za wystarczająco okropny.

- Disie, ofiaruję ci serce śmiertelnika - wydyszała. Wizje w jej głowie były już zupełnie wyraźne. Widziała maszerujące legiony, buty deptające kamienie i trawę w rytm wojennej pieśni. Na czele oddziałów szedł postawny, dumny mężczyzna o przenikliwych czarnych oczach.

Świadomość nieuniknionego przeniknęła ją jak ostrze noża serce Cynnusa. Ostatnie cięcie i bijące, drgające serce znalazło się w jej rękach.

Cynnus zacharczał i wyzionął ducha. Scatah wrzuciła bijące serce w ogień. Płomienie buchnęły w porażającą mocą. Kapłanka czuła ból w całym ciele, jakby to jej wycięto życie z ciała. Przez kilka sekund wpatrywała się w płomienie, aż zatańczyły przed jej oczami, a w umyśle zaczęła narastać niewysłowiona jasność.

Jakaś siła rzuciła nią o ścianę. Scatah znalazła się w przestrzeni, widziała pod sobą palone wsie i miasta, płonące zboża na polach, pożogę ogarniającą lasy i sady. Moc, potęga zdawała się rozsadzać jej ciało. Każdy jej nerw drgał, dusza śpiewała, ogień ogarniał ciało i umysł, myśli były czyste. To było silniejsze niż kiedykolwiek z jakimkolwiek mężczyzną w czasie zespolenia. Ona była naczyniem, w którym objawił się bóg, moc, potęga.

Widziała! Jasność ogarnęła jej umysł, myśli stały się klarowne i przejrzyste jak jeszcze nigdy. Napięcie w jej ciele narastało, potworne i nieodwołalne. Gdzieś w zakamarkach świadomości tłukła się myśl, że ona też umiera, ale to jeszcze nie było to. Słyszała szepty przerażonych kapłanek. Jednak koncentrowała się na wizji.

Śmierć i zniszczenie. Widziała zastęp Celtów maszerujący przez wąwóz w stronę rzymskiej prowincji. Jęknęła w duchu. Wiedziała, od dawna przypuszczała, że Helwetowie staną się zarzewiem wojny. To oni dadzą znak nieprzyjacielowi. Tam zacznie się ten pożar, który opanuje najdalsze krańce Galii.

Widziała łodzie płynące po morzu. Szpony strachu zaciskające się na wybrzeżach Albionu. Tam też dotrą? Tak daleko sięgnie ich żądza mordowania i podbijania?

„Dzieci” – myślała w popłochu. „Trzeba odesłać je na Sein. Nie wolno mi teraz...”.

Widziała kolejne legiony wychodzące z górskich przełęczy. Przejdą przez Alpy. I będzie ich wiele. Jeden za drugim oddziały niosące śmierć i chwałę orłom maszerowały przez górskie ścieżki i schodziły w celtyckie doliny. Każdy krok chrząścił

ciężko.

Unus, duo, tres, quattuor.

Śmierć. Śmierć. Śmierć. Śmierć.

Jak ciemne chmury Scatah widziała wojsko rzymskie. Od samego początku. Zajmowali miasto po mieście, podpalali wieś po wsi, mordowali, gwałcili kobiety, zabijali dzieci, resztę brali do niewoli.

Huk w jej myślach potęgował się z minuty na minutę. Serce biło jak oszalałe. Łzy płynęły po jej twarzy, gdy zobaczyła tę masakrę. Nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że może istnieć tyle śmierci w jednym miejscu. To oczywiste, że ludzie prowadzą wojny, jednak to, co ujrzała, przekroczyło granice jej wyobraźni.

Rok po roku, miesiąc po miesiącu przesuwają jej się przed oczami czasokresy wojny. Zimowe leże, rozstawiane obozy wojskowe, narady wojenne w celtyckich miastach...

I Galvan. Widziała, jak odbiera z rąk rzymskich tytuły i honory, a potem odrzuca je z pogardą, chwyta za broń i rusza do ocalałych jeszcze celtyckich bastionów, by tam nieść posłanie nadziei.

Ujrzała Gwynn w objęciach Rzymian, uległą i zrozpaczoną, noszącą pod sercem dziecko obcej krwi, gwarancję życia, obietnicę odkupienia. Widziała Uatah kładącą się z wodzem Celtów przed ostatnią bitwą. Uatah, namaszczająca kapłanka, prowadziła wybranego do starcia.

Widziała ufortyfikowane wzgórze. W morzu krwi i trupów, wśród rzeki stali i ognia wносиło się wzgórze, a wokół niego rozciągała się podwójna linia umocnień. I ujrzała wszystkie plemiona celtyckie ciągnące w to miejsce, by zjednoczyć się pod jednym sztandarem i jednym wodzem.

Potem w jej myślach pojawił się zamęt. Widziała to wszystko już wcześniej, ale nie potrafiła wskazać momentu rozpoczęcia wojny. Teraz już to wiedziała. Dziesięć lat ukazało jej się jako moment, jak migawki. Łzy spływały jej po twarzy, życie uchodziło z niej jako dar dla Disa.

Teraz wszystko stało się jasne. Scatah mogła precyzyjnie określić datę przemarszu legionów przez Alpy. Jednak czy oni

jej posłuchają? Celtowie, skłóceni, poróżnieni, zwaśnieni i głupio dumni. Ściągający na siebie śmierć w swym umiłowaniu zwady i wojny.

Scatah otworzyła oczy. Pot zalewał jej czoło i twarz. Miała wrażenie, że ma ramiona i nogi z ołowiu. Nie mogła się ruszyć. Nigdy nie sądziła, że przyjdzie jej ginąć w ten sposób. Myślała, że umrze podczas walki, prowadząc wojska do zwycięstwa.

A jednak to nie siebie widziała umierającą podczas bitwy. To Uatah miała zginąć, niosąc przesłanie. Jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę życia w niej zostało. Wystarczająco, by przygotować Aife do roli kapłanki. Aife, która nie będzie mieszkała w dolinie. Aife, która swą mądrość przeniesie do Albionu i tam ustanowi nową siedzibę dla pradawnej wiedzy.

Na ofiarnym stole leżało rozplątane ciało. Kapłanki trzęsły się ze strachu. Jednak ta siła, ta potężna siła, która cisnęła Scatah o ścianę tak mocno, że pogruchotało jej kości, ta siła odeszła już do swoich tajemnych źródeł. Kapłanka poznała przyszłość.

Zamknęła oczy.

Uatah poruszyła się na swoim miejscu.

- Uatah! - z ust Scatah wydobył się szept. - Słuchaj mnie teraz. Rzymianie napadną na Helwetów po następnych żniwach. Rozejdą się po Celtyce jak ogień, jak stado wilków, jak powódź. Dojdą na Albion. Musisz przygotować Galvana. On sprzymierzy się z Rzymem, ale potem go zdradzi. To on zjednoczy wszystkich Celtów, pociągnie ich do walki. Widziałam, jak namaszczasz go przed bitwą. Tylko on jest w stanie poprowadzić ludzi do zwycięstwa. To on jest wybranym.

Oczy Scatah zapadły się, a jej ciało znieruchomiało. Osunęła się bezwładnie na ziemię.

Ofiara dla Disa powiodła się. Kapłanka ujrzała przyszłość.

Scatah przypłaciła to życiem.



## XII

Styczniowy chłód wdzierał się przez okiennice do cubiculum. Cezar zadrżał i szczelniej okrył się wełnianą narzutą. Nie miał ochoty podnosić się z łóżka, tym bardziej że dzień był pochmurny i nieprzyjemny. Zima w Rzymie nie należała do miłych pór roku. Deszcz siąpił nieprzerwanie, czasami zdarzał się śnieg z deszczem, choć bardzo rzadko. Wiatry z północy hulały po ulicach, niebo było zaciągnięte chmurami, szarosine.

Nie, Cezar zdecydowanie wolał zimy w Alpach, gdzie śnieg chrzęścił pod nogami, albo w Górach Sabińskich. Najbardziej zaś lubił spędzać zimę na południu, w Kampanii, gdzie nie doskwierał tak dotkliwy chłód.

Nie chciał wstawać, niestety, musiał udać się do kurii na posiedzenie senatu. W zasadzie powinien się cieszyć. Były Kalendy Styczniowe i właśnie rozpoczynał swoje urzędowanie jako konsul. Gdyby jednak mógł zostać w domu, czułby się o wiele lepiej.

Spojrzał na złocistoblond włosy Serwilli rozrzucone po poduszce i ogarnęła go nagła złość. Dlaczego, u licha, ta kobieta stawała się coraz bardziej irytująca? Była zaborcza, traktowała go nie jak kochanka, lecz męża, a nawet gorzej. Chciała, by nieustannie przy niej był, spełniał każdą jej zachciankę. Myślała, że kim on jest, Krezusem?

Ostatnią noc też spędził u niej zamiast u boku Kalpurni. To biedne dziecko pewnie się o niego zamartwiało, jednak on, upojony winem i radością, dał się znowu omotać i poszedł z Serwillą do jej domu. Dobrze, że syna kobiety nie było. Brutus nie byłby zachwycony faktem, że matka sypia z jego najlepszym

przyjacielem i protektorem. I tak o tym wiedział, ale odkąd skończył dziesięć lat, nigdy nie widział ich razem w jednym domu. No, chyba że chodziło o kolację lub spotkanie towarzyskie.

Cezar usiadł i podkulił nogi. Serwilla odwróciła się, ukazując swoje pełne kształty. Ta kobieta pomimo skończonych czterdziestu lat nadal była piękna i zmysłowa. Taka pewnie byłaby Kornelia, gdyby śmierć jej nie zabrała.

Cezar zacisnął zęby. Nie czas był teraz na myślenie o pierwszej żonie. Trzeba było przygotować się do mowy w kurii. Nie miał na to ochoty. Teraz, gdy uzyskał to, czego chciał, czuł się rozczarowany. Być może dlatego, że uświadomił sobie, jakie trudności przed nim stoją. Dobrze, że Pompejusz ze swoimi poplecznikami jest po jego stronie. Będzie skutecznie blokował głupie ustawy Bibulusa, kolegi Cezara z konsulatu. Inaczej byłoby nie za wesoło. Ten idiota Katon, notabene przyrodni brat kochanki Cezara, już wczoraj, na ostatnim posiedzeniu senatu w starym roku musiał wtrącać co chwila swoje trzy grosze. A Cezar nienawidził go z całego serca za głupotę, krótkowzroczność i bezsensowne decyzje. Czy ten idiota nie widział, że republika w takim stanie długo się nie utrzyma? Kraj był wyniszczony ciągłymi wojnami domowymi, które wlokły się od momentu zamordowania Grakchów. Co i raz jakiś pyszałek dążył do jedynowładztwa. Ale ci napuszeni optymaci nic nie widzieli, interesując się tylko sprawami ich willi, posiadłości i ogrodów ze sztucznymi stawami. Co jeden, to głupszy. Powstanie Spartakusa sprzed kilkunastu lat niczego tych ludzi nie nauczyło. Niepotrzebnie wydawali pieniądze na wojnę z Partami na Wschodzie, kiedy należało skierować uwagę najpierw gdzie indziej. Jakim cudem jedna Sycylia miałaby dostarczyć pożywienia dla tych biednych żołnierzy? To nie na Wschód należało teraz patrzeć, lecz na Południe, na Egipt z jego bogactwami i skłóconą rodziną panującą. Na Hiszpanię z jej polami i minerałami! Na Galię z bogactwami naturalnymi! Do licha, a ci zidiociali bogacze zamiast nabijać kasę, trwonili pieniądze państwowe.

Jednak to jeszcze nic. Gdzie ustawa agrarna? Co mieli robić

żołnierze wracający ze służby? Gdzie ziemia dla nich? Czy arystokracja, która sama sobie zabraniała bogacić się na kupiectwie, nie widziała, że pod jej nosem rośnie nowa grupa społeczna? Czy sama dążyła do osłabienia swojej roli w państwie kosztem rosnących w siłę kupców?

No i miasto! Rzym wyglądał jak śmietnik, rynsztok. Należało przebudować Forum, wyburzyć niektóre domy i postawić inne, wytyczyć nowe mury miejskie, bo miasto pękało w szwach. Tego też nie widzieli, zajęci wznoszeniem na przedmieściach swoich idiotycznych willi.

Cezar westchnął ciężko. Wiedział, że nikt się nie zgodzi na jego plany urbanistyczne. Jednak ustawę agrarną musiał przeprowadzić. Do trzech Furi, weterani Pompejusza czekali. Tysiące zubożałych właścicieli ziemskich czekało. I co, on miał iść do senatu i przemawiać? Miał udowadniać Katonom, Cynceronom, Ahenobarbusom, Lukullusom i innym, że są idiotami i mylą się w każdej dziedzinie polityki? Na Fortunę, a Katylina? Toż on omal nie wywołał rebelii pod samym nosem tych czujnych ojców ojczyzny!

Cezara pusty śmiech ogarniał, ilekroć pomyślał o dniu, w którym Katylina spokojnie przyszedł do niego z propozycją zawiązania spisku. Niechby w Sparcie swego czasu coś takiego miało miejsce! Ha, ha, przecież taki Katylina nie przeżyłby doby. Gdyby w starożytnej Persji za panowania Cyrusa, Dariusza czy Kserksesa ktoś choćby słówkiem wspomniał o spisku... No, biedak długo by nie pożył, bo darliby z niego pasy na krzyżu, tak jak z tego biedaka, co naraził się Parysatydzie i zgładził jej ukochanego synka Cyrusa Młodszego. Jednak w Rzymie, stolicy świata, gdzie ludzie uważali się za takich światłych, mężowie stanu za niepokonanych, gdzie Cynceron chodził napuszony jak paw, a Katon za nim na podobieństwo wrony w tej swojej upiornej czarnej tunice, tam pospolity bandyta, którego notabene omal raz nie złapano na gorącym uczynku, przychodził sobie do pretora w dzień powszedni i proponował mu zgładzenie urzędującego konsula! No, to dopiero byłoby widowisko, gdyby Cezar w porę nie interweniował. A teraz Cynceron pisał o sobie książkę. O jego

konsulacie, he, he. To było jeszcze lepsze.

Cezar poczuł nagle ogarniające go przygnębienie. Gdyby tak dano mu miotłę, żeby wygarnął całe to śmietnisko z miasta! Gdyby Rzym był taki jak sto lat temu, jak przed całą tą zawieruchą z Kartaginą, wierny prostym obyczajom i prawom ojców! Jednak teraz republika była tylko słowem, bo obywatele wcale ze sobą nie współpracowali, natomiast każdy chciał tylko dochrapać się swego. Byle dojść do żłobu. Jak osły. Jak woły.

Cezar poruszył się i obudził Serwille. Otworzyła swoje piękne niebieskie oczy i spojrzała na niego z uśmiechem kobiety, która wie, czego jest warta.

- Dzisiaj twój wielki dzień, Gajuszu - powiedziała melodyjnym głosem. - Wygłosisz swą pierwszą mowę jako konsul. Czekaleś na ten dzień długo, a ja razem z tobą.

Jej wypiełęgnowana dłoń sunęła po nodze Cezara, kierując się w wiadomym kierunku, ale nie miał najmniejszej ochoty na miłosne igraszki. Zdecydowanym ruchem odsunął się od Serwilli.

- Co się stało? - była urażona. - W jednej chwili zrobiłeś się wyniosłym konsulem?

Cezar zmęczony wstał i ubrał tunikę.

- Nie, Serwillo - odparł. - Jednak w tej chwili nie mam zupełnie nastroju ani ochoty na dyskusje. A na pójście do senatu jeszcze mniej.

Serwilla przyjrzała się mu w zamyśleniu. Cezar prezentował się wspaniale, był też świetnym kochankiem, ale nie to ją zastanowiło. Najwidoczniej zmagął się sam ze sobą. Rozterka była wprost wypisana na jego twarzy. Albo pozostanie wierny swoim zasadom, będzie walczył o swoje przekonania i ustawy, poróżni się z całym senatem i przysporzy sobie masę wrogów, albo zacznie ustępować kosztem świętego spokoju. W tej chwili wyraźnie miał ochotę na to drugie.

- Mam przed sobą rok walki z opornymi głupcami, Serwillo, których tak naprawdę Rzym nic nie obchodzi - wyznał. - Interesują ich jedynie własne majątki, dobro, plotki, pozory i sława. Nic poza tym. Dla twego najdroższego brata zaś liczy się tylko to, by mnie upokorzyć i unicestwić, zablokować każdą

moją ustawę, choćby była najlepsza. Doprawdy, mam nadzieję, że Gnejusz się spręży i będzie służył mi pomocą.

- Militarną? - uśmiechnęła się Serwilla.

- A jakże. Muszę iść. Mam do ułożenia mowę w senacie. Nie chcę wyjść przed tymi skostniałymi staruchami na ostatniego durnia.

Serwilla uspokoiła się nieco i łaskawie pozwoliła mu się oddalić.

Cezar szedł długimi żołnierskimi krokami. Konsulat nie zaspokajał jego ambicji ani trochę. To było chwilowe rozwiązanie, etap przejściowy w jego dążeniu do władzy i sławy. Ambicje Cezara w tej dziedzinie były nienasycone. Udowodnić tym idiotom w togach, jak bardzo się mylą, jakie skostniałe poglądy wyrażają! To był cel wart zachodu.

Jednak w głębi duszy Cezar wiedział, że chodzi mu o znacznie wyższą stawkę. To nie im chciał tak naprawdę udowodnić swoją wartość. Sobie zamierzał pokazać, że potrafi dojść na sam szczyt.

„Będę cię obserwować, Gajuszu”. Tak, obserwowała go. Czuł jej obecność przy sobie. Chciał czuć jej obecność. Pamiętał, w jakie długi wpadł po jej śmierci. Jak przed wyjazdem do Hiszpanii tłumy dobijały się do jego drzwi. Jak stwierdził, że musiałby mieć miliony, by nie mieć nic. Upokorzenie i wstyd, jakie odczuwał, gdy ludzie naśmiewali się z niego, nadal dławiły go w gardle, chociaż Krassus spłacał jego długi, a w końcu on sam wzbogacił się na swojej propreturze tak bardzo, że z powodzeniem mógł zlikwidować zadłużenie.

Ulice były tego dnia ciche i niemal wymarłe. Z powodu zimna nikt nie wystawiał nosa za próg, co najwyżej niewolnicy parali się codziennymi zajęciami. Cezar mógł dojść do domu prawie niepostrzeżenie. Nawet gdyby ktoś go zobaczył, nie rozpoznałby w byle jak odzianym człowieku konsula Gajusza Juliusza Cezara. I dobrze. Wcale nie chciał być w tym momencie rozpoznany.

Euforia wczorajszego wieczoru, kiedy razem z Serwillą świętowali jego konsulat, gdzieś się ulotniła tego ranka. Zamiast radości odczuwał brzemień odpowiedzialności.

Triumwirat i potajemne porozumienie to jedno, a realizacja planów kosztem własnego dobra – zupełnie co innego. I Cezar wiedział, że do celu będzie musiał iść po trupach. Nawet po trupach swoich własnych ideałów i swego dobrego imienia.

Jednak nie mógł zawieść ani Kornelii, ani samego siebie.

\*

Kalpurnia przywitała go milczeniem. Och, doskonale wiedziała, gdzie podziewał się jej małżonek tej nocy, ale nie miała prawa wypominać mu niewierności. Została znakomicie przygotowana do roli wiernej, posłusznej małżonki, która bez szemrania podporządkowuje się mężowi.

Cezar z ukłuciem irytacji pomyślał, że gdyby coś takiego zdarzyło mu się z Kornelią, ta od razu podniosłaby larum. Wrzeszczałyby ze złością, że Cezar ośmiela się ją zdradzać, urządziłaby awanturę, zażądałaby rozwodu, a wszystko skończyłoby się na łzach, przeprosinach i poczuciu winy.

Dlaczego nie miał poczucia winy w stosunku do Kalpurni? No, może w pewnym stopniu miał. Była w końcu jego żoną i pozostawała lojalna wobec niego. Nie miał jej nic do zarzucenia.

– Polec, proszę, by niewolnicy przygotowali mi kąpiel – zwrócił się do żony. – Jestem wyczerpany.

Kalpurnia zawahała się, ale zaraz odwróciła się i wyszła z atrium, by zarządzić kąpiel dla męża. Wiedziała, że Cezar nie przepada za publicznymi łaźniami i chadza tam jedynie w celach politycznych. W łaźniach zawsze pełno było senatorów, konsulów, pretorów, klientów, informatorów i innych podejrzanych typów z rzymskiego półświatka. Kiedy Cezar pragnął się zrelaksować i pomedytować w spokoju, szedł do prywatnej łaźni.

– Jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć – powiedział do niej, zanim wyszła. – Szczerze mówiąc, zależy mi na twojej obecności.

„Niby po co?” – pomyślała Kalpurnia ze złością. „Żeby wyszorować ci plecy, bo Serwillę bolały ręce?”.

Złość Kalpurni brała się oczywiście z zazdrości, a zazdrość z miłości, jaką darzyła męża. Istnienie kochanek było czymś naturalnym, a niewierność mężczyzn na dobre zakorzeniła się w umysłach ich żon. Kalpurni nie przyszłoby nawet do głowy awanturować się o to. Od niepamiętnych czasów mężczyznom było wolno mieć kochanki, za to kobiety musiały być wierne jednemu mężowi.

Kalpurnia w skrytości ducha pragnęła, by Cezar dochowywał jej wierności, jednak wiedziała, że nie może na to liczyć. Miała jedynie nadzieję, że mąż nie przyniesie nigdy do domu bękartą spłodzonego z jakąś dziwką albo, co gorsza, z obywatelką rzymską. Dziecko niewolnicy jakoś by jeszcze przyjęła. Takie rzeczy się zdarzały i nawet czcigodny Katon Starszy miał dzieci z niewolnicami, jednak sprowadzanie na świat pozamałżeńskiego potomstwa z cudzymi żonami było w najwyższym stopniu karygodne. Chociaż w ostatnim czasie, między jedną a drugą wojną domową, nikt się tym nie przejmował.

- Przyjdę - wydusiła z siebie. - Kiedy będziesz gotowy, mój panie.

Cezar uśmiechnął się pod nosem. Kiedy Kalpurnia była na niego zła, nazywała go panem lub mężem. Gdy jednak miała dobry nastrój, zwracała się do niego po imieniu. Lubił ją i szanował. To była dobra dziewczyna i z każdym dniem nabierała coraz większej godności żony. Gdyby tylko mogła zajść w ciążę! Niestety, od momentu poronienia pół roku temu nic nie wskazywało, by Kalpurnia była w odmiennym stanie. Momentami Cezar zastanawiał się, co z nim jest nie tak. Z Pompeją dzieci nie miał. Z Kornelią spłodził jedną tylko córkę, ale to była wina choroby Kornelii, która każdą kolejną ciążę kończyła w sposób drastyczny. Nie spłodził też dziecka z żadną ze swoich przelotnych i wieloletnich kochanek, tyle że tu akurat miał się na baczności. Dziecko z małżonką innego Rzymianina wywołałoby nie lada skandal.

Z niekłamaną ulgą i rozkoszą zanurzył się w wodzie. Para unosiła się niemal pod sufit. Niewolnicy dyskretnie usuwali się w cień, wiedząc, że nie są teraz potrzebni.

Cezar zatopił się w myślach. Czy naprawdę ledwie rok minął, odkąd zawarł potajemnie sprzymierzenie z Pompejuszem i Krassusem? Nic w republice nie mogło się wydarzyć bez wiedzy jednego z tych trzech mężów. Mieli wspólne interesy, wspólne dobro, wspólne intencje. Czy to rok temu oddał Julię Pompejuszowi? Cezar miał wrażenie, jakby setki lat minęły od tamtego dnia.

Zaśmiał się w duchu. Gdyby Katon nie był takim idiotą, sam nie ukreśliłby na siebie bicza. Gdyby nie blokował ustaw Pompejusza, nie odmawiał mu prawa do triumfu i nie zwlekał z zaanektowaniem ziem zdobytych na Wschodzie, teraz paktowałoby przeciw Cezarowi. Jednak ten głupiec, ten idiota niegodny imienia swego wielkiego przodka, nie spostrzegł w porę, co za idiotyzmy odprawia w stolicy. I teraz dostanie za swoje.

Cezar uśmiechnął się gorzko do siebie. Ten dzień przed dwoma niespełna laty, kiedy wrócił z Hiszpanii i czekał pod bramami miasta na odbycie triumfu, na zawsze wrył mu się w pamięć. Był lipiec, środek lata, wybory konsularne, a on czekał jak idiota, czy pozwolą mu wysłać posłańca, aby zgłosił jego kandydaturę. Katon gadał i gadał w senacie. Omal głosu nie stracił. Przyjaciele opowiadali mu potem, jak pod koniec dnia Katon ledwo już był w stanie mówić. Na dobre zatkało go jedynie wkroczenie Cezara do Rzymu.

Wkroczenie, dobre sobie. Wjechał w pełnym galopie i od razu skierował się do kurii. Zrezygnował z triumfu, wyrzucił pieniądze zdobyte w Hiszpanii w błoto. Jednak warto było zobaczyć głupkowaty wyraz twarzy Katona, kiedy Cezar zapisał swoje nazwisko na liście kandydatów.

I dzisiaj ujrzy po raz drugi ten wyraz twarzy, kiedy zasiądzie na krześle kurulnym. Z pomocą Pompejusza będzie blokował projekty ustaw tego idioty Bibulusa, który miał zasiadać razem z nim. Bibulus, drugi ciemniak spod znaku Katona. On i jego naiwna wiara w republikę. Ha, dobre! Tylko że pod płaszczykiem dobra państwa Bibulus i Katon dokonywali machinacji niezgodnych z głooszonymi przezeń hasłami. No bo trzeba było być naprawdę kretynem, żeby uznawać Pompejusza



za wroga narodu i doszukiwać się w żądaniu prawa do triumfu, który słuszenie należał się wodzowi, chęci sięgnięcia po jedynowładztwo.

Weterani Pompejusza czekali. Obiecano im ziemię na własność po zakończeniu kampanii na Wschodzie. A tymczasem Partowie zostali przynajmniej częściowo pobici, Palestynę przyłączono do Republiki, a żołnierze Pompejusza nadal rozbijali się po szynkach i urządzali niepotrzebne jatki, zamiast stać się przykładowymi obywatelami. Na Fortunę, czy ludziom po szesnastu latach prowadzenia wojen naprawdę nie należał się kawałek gruntu, który mogli z pomocą boską i niewolniczą uprawiać? Czy tak trudno było dać im pole i dom, w którym mogliby żyć jak ludzie? Ci mężczyźni, którzy naprawdę dość napatrzyli się na mordowanie, dosyć wycierpieli i nahulali się z dziwkami po burdelach, chcieli mieć wreszcie jedną żonę i gromadkę dzieci...

Przeklęty Katon i jego przeklęte pomysły. I jego przeklęta opozycja. Cezar aż się pienił ze złości na myśl o nim. Jednak poradzi sobie z tym nadętym pyszałkiem.

Julia. Wspomnienie ostatniej jesieni nappełniło Cezara nie tylko smutkiem, lecz także grozą. Wiedział doskonale, jak to się stało, że Julia, będąc w Bajach, poroniła. Sama przyznała potem, że przed wyjazdem odwiedziła ją Attia. Ta, której syna chciał Cezar adoptować w przypadku braku własnego potomstwa. Ta sama, która opłakiwała nienarodzone dziecko kuzynki. Jednak Cezar widział czujność w jej wzroku. Ta mała żmija pilnowała zawzięcie własnego interesu. A interes był duży. Cezar już teraz był potężny. Został konsulem. Z tym urzędem wiązały się pieniądze – i to niemałe. A jako prokonsul miał udać się na prowincję, do prawdziwej kopalni złota. Attia wiedziała, co robi.

Cezar jednak był sprytniejszy i kazał przeszukać jej dom. Miał do tego prawo jako opiekun Attii. Znalazł to, czego szukał. Syryjska niewolnica straciła życie. Attia otrzymała ostrzeżenie. Julia wyjechała do Aten. Na razie była bezpieczna. Jednak Cezar dostał nauczkę. Wiedział już, że nie wolno powierzać córce swojej siostry żadnych sekretów. To mogło się obrócić

przeciwko niemu.

Galia. Tak, tam właśnie miał zamiar jechać. Jednak był sprytny. Sprytniejszy, niż sądził nawet jego druh Pompejusz. Publicznie rozgłaszał wszem i wobec, że pragnie otrzymać jako prowincję Ilirię i udać się tam w poszukiwaniu szczęścia. Wiedział doskonale, że jego polityczni wrogowie zrobią wszystko, by mu tę Ilirię wybić z głowy, a może raczej dać ją komu innemu. Bibulusowi. A niech sobie Marek Bibulus, ten arcygłupiec, który nie potrafi samodzielnie myśleć, jedzie do Ilirii. Co on tam robi? Nic, oczywiście. A tymczasem Cezar udając niewymowny żal i smutek, pojedzie do Galii. W ciągu minionego roku zgromadził wystarczająco dużo informacji o tej krainie. Miał informatorów wśród Eduów. Nawiązał kontakt z Dywicjakiem, jednym z tamtejszych naczelników. Tak, wiedział, kto z kim jest skłócony, i potrafił wykorzystać te informacje. Jeżeli nie uda mu się w ciągu pięciu lat podbić tego kraju, dostanie przedłużenie namiestnictwa na taki sam okres. Wiedział o tym. Był gotowy tam jechać. Niech sobie senat przejmuje Ilirię, nieświadomy nawet strategicznego znaczenia tego kraju dla Rzymu. Oni nic nie wiedzieli. Te nadęte półgłówki. Gdyby tak Mariusz żył! Albo Sulla. Sulla głupio zrobił, że oddał władzę. Kiedy trzymał wszystko w garści rok temu oddał Julię Pompejuszowi? Cezar miał wrażenie, jakby setki lat minęły od tamtego dnia.

Zaśmiał się w duchu. Gdyby Katon nie był takim idiotą, sam nie ukręciłby na siebie bicz. Gdyby nie blokował ustaw Pompejusza, nie odmawiał mu prawa do triumfu i nie zwlekał z zaanektowaniem ziem zdobytych na Wschodzie, teraz paktowałiby przeciw Cezarowi. Jednak ten głupiec, ten idiota niegodny imienia swego wielkiego przodka, nie spostrzegł w porę, co za idiotyzmy odprawia w stolicy. I teraz dostanie za swoje.

Cezar uśmiechnął się gorzko do siebie. Ten dzień przed dwoma niespełna laty, kiedy wrócił z Hiszpanii i czekał pod bramami miasta na odbycie triumfu, na zawsze wrył mu się w pamięć. Był lipiec, środek lata, wybory konsularne, a on czekał jak idiota, czy pozwolą mu wysłać posłańca, aby zgłosił

jego kandydaturę. Katon gadał i gadał w senacie. Omal głosu nie stracił. Przyjaciele opowiadali mu potem, jak pod koniec dnia Katon ledwo już był w stanie mówić. Na dobre zatkało go jedynie wkroczenie Cezara do Rzymu.

Wkroczenie, dobre sobie. Wjechał w pełnym galopie i od razu skierował się do kurii. Zrezygnował z triumfu, wyrzucił pieniądze zdobyte w Hiszpanii w błoto. Jednak warto było zobaczyć głupkowaty wyraz twarzy Katona, kiedy Cezar zapisał swoje nazwisko na liście kandydatów.

I dzisiaj ujrzy po raz drugi ten wyraz twarzy, kiedy zasiądzie na krześle kurulnym. Z pomocą Pompejusza będzie blokował projekty ustaw tego idioty Bibulusa, który miał zasiadać razem z nim. Bibulus, drugi ciemniak spod znaku Katona. On i jego naiwna wiara w republikę. Ha, dobre! Tylko że pod płaszczykiem dobra państwa Bibulus i Katon dokonywali machinacji niezgodnych z głoszonymi przezeń hasłami. No bo trzeba było być naprawdę kretynem, żeby uznawać Pompejusza za wroga narodu i doszukiwać się w żądaniu prawa do triumfu, który słusznie należał się wodzowi, chęci sięgnięcia po jedynowładztwo.

Weterani Pompejusza czekali. Obiecano im ziemię na własność po zakończeniu kampanii na Wschodzie. A tymczasem Partowie zostali przynajmniej częściowo pobici, Palestynę przyłączono do Republiki, a żołnierze Pompejusza nadal rozbijali się po szynkach i urządzali niepotrzebne jatki, zamiast stać się przykładnymi obywatelami. Na Fortunę, czy ludziom po szesnastu latach prowadzenia wojen naprawdę nie należał się kawałek gruntu, który mogli z pomocą boską i niewolniczą uprawiać? Czy tak trudno było dać im pole i dom, w którym mogliby żyć jak ludzie? Ci mężczyźni, którzy naprawdę dość napatrzyli się na mordowanie, dosyć wycierpieli i nahulali się z dziwkami po burdelach, chcieli mieć wreszcie jedną żonę i gromadkę dzieci...

Przeklęty Katon i jego przekłete pomysły. I jego przekłeta opozycja. Cezar aż się pienił ze złości na myśl o nim. Jednak poradzi sobie z tym nadętym pyszałkiem.

Julia. Wspomnienie ostatniej jesieni napełniło Cezara nie

tylko smutkiem, lecz także grozą. Wiedział doskonale, jak to się stało, że Julia, będąc w Bajach, poroniła. Sama przyznała potem, że przed wyjazdem odwiedziła ją Attia. Ta, której syna chciał Cezar adoptować w przypadku braku własnego potomstwa. Ta sama, która opłakiwała nienarodzone dziecko kuzynki. Jednak Cezar widział czujność w jej wzroku. Ta mała żmija pilnowała zawzięcie własnego interesu. A interes był duży. Cezar już teraz był potężny. Został konsulem. Z tym urzędem wiązały się pieniądze – i to niemałe. A jako prokonsul miał udać się na prowincję, do prawdziwej kopalni złota. Attia wiedziała, co robi.

Cezar jednak był sprytniejszy i kazał przeszukać jej dom. Miał do tego prawo jako opiekun Attii. Znalazł to, czego szukał. Syryjska niewolnica straciła życie. Attia otrzymała ostrzeżenie. Julia wyjechała do Aten. Na razie była bezpieczna. Jednak Cezar dostał nauczkę. Wiedział już, że nie wolno powierzać córce swojej siostry żadnych sekretów. To mogło się obrócić przeciwko niemu.

Galia. Tak, tam właśnie miał zamiar jechać. Jednak był sprytny. Sprytniejszy, niż sądził nawet jego druh Pompejusz. Publicznie rozgłaszał wszem i wobec, że pragnie otrzymać jako prowincję Ilirię i udać się tam w poszukiwaniu szczęścia. Wiedział doskonale, że jego polityczni wrogowie zrobią wszystko, by mu tę Ilirię wybić z głowy, a może raczej dać ją komu innemu. Bibulusowi. A niech sobie Marek Bibulus, ten arcygłupiec, który nie potrafi samodzielnie myśleć, jedzie do Ilirii. Co on tam robi? Nic, oczywiście. A tymczasem Cezar udając niewymowny żal i smutek, pojedzie do Galii. W ciągu minionego roku zgromadził wystarczająco dużo informacji o tej krainie. Miał informatorów wśród Eduów. Nawiązał kontakt z Dywicjakiem, jednym z tamtejszych naczelników. Tak, wiedział, kto z kim jest skłócony, i potrafił wykorzystać te informacje. Jeżeli nie uda mu się w ciągu pięciu lat podbić tego kraju, dostanie przedłużenie namiestnictwa na taki sam okres. Wiedział o tym. Był gotowy tam jechać. Niech sobie senat przejmuje Ilirię, nieświadomy nawet strategicznego znaczenia tego kraju dla Rzymu. Oni nic nie wiedzieli.

Te nadęte półgłówki. Gdyby tak Mariusz żył! Albo Sulla. Sulla głupio zrobił, że oddał władzę. Kiedy trzymał wszystko w garści i rządził silną ręką, nikt nie ośmielił się podnosić łba i wyć. Ani popularzy, ani optymaci. Wszyscy siedzieli cicho, czując respekt i strach. „Niech mnie nienawidzą” – mawiał Sulla. „Byleby się bali”. Nie on pierwszy i nie ostatni wypowiedział takie słowa.

Potok jego myśli przerwało nadejście Kalpurni. Zdjęła piękny szlafrok i zanurzyła w wodzie swoje smukłe ciało. Jakkolwiek jej twarzy nie można było określić mianem pięknej, bo rysy miała zbyt ostre, o tyle ciało miała cudne. Ani grama zbędnego tłuszczu, a proporcjami zachwyciłby się sam Fidiasz.

„Fidiasz” – pomyślał Cezar cierpko. „Kolejny cudotwórca, który przypadkiem schował do swojej kieszeni złoto i kość słoniową potrzebną do wykonania posągu na Akropolu. Wszyscy oni węższą tylko za pieniędzmi. Nawet ja”.

- Jesteś zła na mnie, prawda, Kalpurnio? – zagadnął.

- Nie, mój panie.

- Ależ jesteś – roześmiał się Cezar. – Złość aż z ciebie kipi. To z powodu Serwilli, czyż nie?

- To nieistotne – mruknęła Kalpurnia.

- Być może. Nie mam zresztą zamiaru się tłumaczyć. To nie twoja sprawa, z kim spędzam noc. Przyznaję jednak, że głupio uczyniłem, szukając rozkoszy z tą tam, zamiast odnaleźć spokój z tobą.

Kalpurnia nie pierwszy raz słyszała, jak Cezar nazywa swą kochankę mianem tej tam, chociaż Serwilla nie zasługiwała na takie określenie. Była kobietą wykształconą, obytą w świecie i piękną. Kalpurnia musiała to przyznać. Wydawało jej się też, że Serwilla była dobrą przyjaciółką Cezara, którą ogromnie cenił. No cóż.

- Serwilla jest zbyt pewna swego – mruknął Cezar, jakby czytał w myślach żony. – Wydaje jej się, że mnie usidliła. Nie zdaje sobie sprawy, że służy mi za doskonałe źródło informacji.

- O, nie wmówisz mi, Cezarze, że jest ci ona potrzebna tylko do tego – parsknęła Kalpurnia.

Miała ochotę wyjść z basenu, ale Cezar chwycił ją za nadgarstek i zmusił do pozostania na miejscu.

- A jednak nie ożeniłem się z nią, tylko z tobą - powiedział dobitnie.

- Bo mój ojciec wsparł twoją kampanię wyborczą - stwierdziła Kalpurnia znużonym głosem. - Myślisz, że jestem aż taka głupia, by tego nie wiedzieć?

- Dzieckiem jesteś. Twój ojciec jest nie tylko wsparciem, lecz także przyjacielem. Serwilla myśli, że może mną rządzić i kierować, jak się jej podoba. I ma ambicje być pierwszą damą w Rzymie, co jest, oczywiście, niemożliwe. Sądzi, że może sterować polityką za moim pośrednictwem.

- Dlatego nazwałeś ją tą tam?

Cezar rzucił żonie niezgłębione spojrzenie.

- Kalpurnio, inteligencji tej kobiety nie mogę nic zarzucić. Tak samo jak nie mogę nie przyznać, że jest głupio naiwna w swojej chęci mieszania się w sprawy państwa. Myśli, że jak się z nią pokażę na jakimś przyjęciu, na którym wszyscy wiedzą, że mam ją co tydzień, ale udają, że o niczym nie wiedzą, zdobędzie szacunek, poklask i sławę. Nic bardziej bzdurnego i mylnego. Lud rzymski nie ma szacunku do kobiet pokroju Serwilli czy mojej byłej żony, Pompei. Nie myśl sobie, że ktokolwiek ją szanuje. Ona jednak uważa się za wielką damę.

- A mimo wszystko sypiasz z nią - burknęła Kalpurnia.

Cezar się uśmiechnął. Był jednak temperament w tej dziewczynie, tylko przykryty dobrym wychowaniem i wpojonym posłuszeństwem.

- Mam swoje powody - powiedział. - A jednym z nich jest chęć uzyskania informacji o wrogach politycznych. Mąż Serwilli, pokój niech będzie jego pamięci, należał do optymatów. Jej rodzina należy do optymatów, ona sama ma tam więcej znajomych niż ja włosów na głowie. Najlepszym sposobem na poznanie prawdy o wysoko postawionym urzędniku jest przespanie się z jego żoną. Jednak dzisiaj wieczorem, moja droga, odbędzie się przyjęcie u Pompejusza z okazji objęcia konsulatu. Pójdiesz tam ze mną.

- A jeżeli odmówię?

- To cię tam siłą zawlokę jak Rzymianie Sabinki - roześmiał się Cezar. Nagle spoważniał. - Tam będzie cała śmietanka

towarzyska Rzymu. Te sępy będą czekały na okazję, żeby mi coś wytknąć. Kiedy wiele lat temu Kornelia i moja matka mówiły mi, że konsulat to nie tylko władza, lecz balansowanie nad przepaścią, śmiałem się. Teraz widzę, że to jeszcze gorsze niż przepaść. To odpowiedzialność za państwo, nawet jeśli trwa tylko rok. Jednak potomni mnie z tego rozliczą. A ja nie mam zamiaru przez dziewięć miesięcy siedzieć na dupie jak Cynceron, po czym „odkryć” spisek i napisać o tym książkę.

- Widzę, że Cynceron coraz bardziej cię drażni, Gajuszu - stwierdziła Kalpurnia, przysuwając się do męża.

- Bo z roku na rok staje się coraz większym osłem - parsknął Cezar. - Terencja kręci nim, jak się jej podoba, a razem z nią Katon i jego stado tumanów. Cynceron był trzeźwo myślącym człowiekiem, dopóki nie związał się z optymatami. Cynceron! Syn rolnika z Arpinum!

Kalpurnia masowała mu kark i napięte mięśnie. Właściwie nie miała powodów, by uskarżać się na swego małżonka, pominąwszy fakt, że odwiedzał on cudze łóżka. Cezar dzielił się z nią problemami i zwierzał ze swoich myśli. Traktował Kalpurnię raczej jak przyjaciela, niż żonę. Nie ukrywał, że nie darzy jej miłością. Mogła jednak liczyć na jego szacunek i przyjaźń. A to znaczyło więcej niż gorące pożądanie, jakie wiodło go do sypialni Serwilli. Zresztą chęć prowadziła go często do sypialni żony. Bardzo często. Szkoda tylko, że ich zbliżenia nie owocowały jak dotąd ciążą. Kalpurnia bardzo chciała wreszcie być brzemienna. Niestety, od czasu poronienia nic z tego nie wychodziło.

- Tego wieczornego spotkania się nie obawiam - mrucał Cezar, poddając się jej zabiegom. - O wiele bardziej boję się dzisiejszego wystąpienia w kurii. Za dwie godziny muszę tam być, a nie mam przygotowanej mowy. Będę improwizował, ale w zasadzie wiem, o czym chcę mówić. Ciekaw jestem, co na to Katon powie.

- Nie przejmuj się nim, to głupiec - stwierdziła Kalpurnia. - Mój ojciec wielokrotnie wściekał się z jego powodu. Nazywał go osłem i marnym naśladowcą swego pradziada.

- Problem w tym, że on go świetnie naśladuje - mruknął

Cezar. – Tylko że nie widzi, ślepiec jeden, że czasy się zmieniły. On nadal tkwi w czasach wojen z Kartaginą i grzmi o moralności państwa, a nie widzi bieżących problemów. Nie dostrzega konieczności wprowadzenia zmian. Nie widzi, że potrzebna jest ustawa agrarna, że należy zająć się właściwą eksploatacją prowincji, że nie wolno zdzierać nie wiadomo ile z tamtejszej ludności, lecz trzeba dbać o nią, by dawała jak najlepsze daniny. Kiedy lud jest zadowolony z rządów, Kalpurnio, nie burzy się, nie spiskuje, nie dąży do powstań i stara się zadowolić panujących. Dlaczego w Hiszpanii nie miałem większych problemów z utrzymaniem porządku po podboju? Bo zostawiłem jej mieszkańców w spokoju, a nawet obiecałem wprowadzenie możliwych do naszego senatu. I mam zamiar to zrobić. Nadam Hiszpanom obywatelstwa rzymskie. Tak samo Galom z Prowincji. Niech się czują Rzymianami, a nie uciśnionymi Galami. Tylko Katon tego nie rozumie. On uważa, że podbite narody trzeba traktować tak, jak jego pradziad traktował niewolników. Jak narzędzia.

Kalpurnia milczała.

– Wiesz, na czym polegał sukces Aleksandra? – drążył temat Cezar. – Otóż on po podbiciu danego kraju zostawiał tam lokalną władzę, zachowywał prawa i okazywał szacunek pokonanym. Oczywiście, musieli go uznawać za króla, ale wszystko inne pozostawało bez zmian. Ani religia, ani obyczaje, ani urzędnicy, ani prawo, ani podatki się nie zmieniały. Kiedy przybył do Egiptu, złożył hołd tamtejszym bogom i został bez problemu obwołany królem, Amonem i bogowie wiedzą kim jeszcze. A Katon chciałby narzucić podbitym prowincjom rygor i dyscyplinę. Jak sądzisz, dlaczego niewolnicy zbuntowali się osiemnaście lat temu? Bo byli źle traktowani. Jeżeli będziesz szczyła psa, pogryzie cię. A jeżeli będziesz biła osła czy konia, to zwierzę odmówi współpracy, a nawet cię kopnie. Ech, szkoda mojego gadania. Katon to głupiec. I jego poplecznicy też. Oni nic nie rozumieją, a sposób rządzenia to tylko jedna sprawa, jeden mały problem. On nie widzi, że trzeba zreorganizować rządy tu, na miejscu. Republika umiera, Kalpurnio. I jeżeli ktoś się za nią porządnie nie zabierze, będziemy mieli kolejną wojnę.



Jego młoda żona nadal milczała. Mowa Cezara sprawiła, że poczuła się nieswojo. Momentami nie zdawała sobie sprawy z tego, jak przenikliwy umysł ma jej mąż. Cezar był panem domu, mężem stanu, ale ludzie się z nim nie liczyli. A kiedy zaczynali go doceniać, bywało za późno. Mąż opowiadał jej kiedyś historię o piratach, którzy uwięzili go na Farmakussie. Słuchając go teraz, miała wrażenie, że Cezar grozi Republice ukrzyżowaniem, jednak ci, którzy stoją u władzy, nie chcieli go słuchać.

- Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? - zapytała cicho.

- Bo to logiczne, moja droga. Tam gdzie nie ma silnej władzy, wkrada się zamęt. A tam gdzie władcy nie dbają o państwo, lecz o swoje kieszenie, nie może panować dobrobyt. Mnie często nazywano głupcem. Ciekawe, jakie dzisiaj otrzymam miano.

Kalpurnia patrzyła na jego twarz, na czarne oczy płonące wśród czarnych rzęs i poczuła podziw dla tego człowieka, choć nie uświadamiała sobie przyczyny tego uczucia. Miała niejasne wrażenie, że Cezar powinien urodzić się znacznie później, bo myśli inaczej niż reszta znanych jej ludzi. Nie pasuje do tych czasów, jego umysł wyprzedza rozumy tych, którzy stoją za sterami władzy. Postrzegał Rzym i prowincje jako jeden organizm, jedno państwo, nie jako miasto z podbitymi rejonami, z których można bezkarnie czerpać korzyści. Uważał niewolników za ludzi, którzy mogą stać się niebezpieczni, nie zaś za mówiące narzędzia. W kobietach dostrzegał coś więcej niż tylko piękne ciało i ręce stworzone do tkania. Uważał je za znakomitą broń w politycznych rozgrywkach. Pokonani przeciwnicy byli zaś dla niego świetnym materiałem na przyszłych popleczników, jeśli tylko odpowiednio się nimi pokieruje.

Tak, Cezar potrafił przekabacać wrogów. Czyż nie rywalizował swego czasu z Pompejuszem?

A teraz stawał przed swoim najważniejszym zadaniem - przed konsulatem. Miał dwanaście miesięcy na przeprowadzenie swoich wcześniejszych projektów i wizji. I całą rzeszę zaślepionych, tępych przeciwników, którzy daleko

za własną ambicją i chęcią pokonania Cezara mieli dobro Republiki.

- Och, Cezarze, w jaką sieć ty chcesz się zagmatwać - szepnęła.

Cezar spojrział na nią uważnie, ale nic nie powiedział. Ujął tylko twarz żony w dłonie i pocałował ją. Kalpurnia bez protestów zarzuciła mu ręce na szyję. Niewolnicy wyszli z pomieszczenia i dyskretnie zamknęli za sobą drzwi.

\*

Mowa Cezara w senacie wzbudziła powszechne zdumienie, ponieważ była niezwykle krótka i zwięzła. Posługiwał się zresztą stylem prostym, rzadko używał rozbudowanych figur retorycznych. Uważał, że dla wyrażenia swoich myśli niekoniecznie trzeba używać napuszonych zdań i stosować chwytę na wzór Cyncerona. Zresztą Cezar uważany był za drugiego po tym ostatnim mówcę w Rzymie. Ci dwaj oratorzy stosowali zupełnie odmienne style, jednak każdy był mistrzem w swojej dziedzinie. Ozdobny styl Cyncerona bardziej chwycił za serce i poruszał sumienie słuchających. Cezar jak urodzony żołnierz ograniczał się do suchych faktów.

Opozycja skupiona wokół Katona Młodszego siedziała w milczeniu na długo po tym, jak Cezar umilkł. Lukullus, Kurion, Cynceron, Katon i drugi konsul, Bibulus oraz inni senatorowie spośród obozu optymatów spoglądali na niego z niekłamaną nienawiścią. No, może jedynie Cynceron pozostawał bardziej obiektywny w swej ocenie. Pamiętał bardzo dobrze, jak pierwszy raz zobaczył Cezara na Forum, niedługo po jego powrocie z Bitynii. Został wtedy przez niego ostrzeżony o szykowanym przez Katylinę spisku. Nie był do końca przekonany, że ten człowiek rzeczywiście dąży do przewrotu w państwie. Gdyby jednak napotkał trudności w postaci senatu i jego nastawienia do planowanych przez siebie reform...

- Ten człowiek jest szalony - odezwał się Katon ze złością po dłuższym milczeniu.

Miał on wielką ambicję być tak sławnym i poważanym jak

jego pradziad. Był jednak głupi i krótkowzroczny, tak jak uważał Cezar. Katon nie potrafił dostrzec nieubłaganych zmian, jakie następowały wokół niego jedna po drugiej. Społeczeństwo nie przypominało ani trochę tego sprzed ponad stu lat. Rzym nie był już krajem rolników zaciąganych do wojska prosto od pług i orki. Zmienił się w naród arystokracji i obcokrajowców zamieszkujących miasta. To był kraj chłopów pracujących za bezcen na swoich polach, których upadku tylko wyglądali wzbogacający się na tym panowie. Potrzeby państwa były już zupełnie inne niż przed wojnami punickimi. Jednak Katon tego nie widział, zaślepiony chęcią sięgnięcia po ideał i dorównania mu. Cezara uważał za wywrotowca, chociaż ten niczego jeszcze nie przedsięwziął. Wystarczyły rewolucyjne i ambitne projekty obecnego konsula, by Katon postawił na baczność całe zgromadzenie optymatów.

- Należy blokować każdą ustawę, jaką ten głupiec zechce wprowadzić - perorował. - Ten bezwstydnik, który sypia z połową miasta, po prowincjach uwodzi dziewice, a na Wschodzie używa swoich miernych wdzięków królom i królowym!

Optymaci zarechotali na ostatnie zdanie. Cezar po dwudziestu latach nie mógł się pozbyć raz nadanego mu piętna płatnej królewskiej dziwki.

- Nie wydaje mi się, by jego plany reform były aż takie straszne do zaakceptowania, drogi Katonie - odezwał się Cynceron. - Dochodzę raczej do wniosku, że konsul chce stanąć po stronie ludu rzymskiego.

- Co? - parsknął Katon. - Po stronie ludu? Naruszając prawa arystokracji rzymskiej? Naruszając prawa ojców? Chcąc rozgromić patrycjuszy i zaszkodzić ich pozycji? Piękne rzeczy mi tu wygadujesz, Marku Tulliuszu! Doprawdy! obrońca uciśnionych się znalazł! Trzeba blokować każdą ustawę, powiadam. Nie dopuszczać do głosowań.

- Wówczas będzie zanosił ustawy wprost na zgromadzenie ludowe - mruknął posepnie Lukullus.

- Chyba wcześniej zgłoszę veto - odezwał się Bibulus. - Nie zapominajcie, że mam to święte prawo.

Katon zerknął w bok, gdzie Cezar rozmawiał właśnie z młodym Markiem Antoniuszem. Człowiek ten miał dwadzieścia cztery lata i znany był już w tak młodym wieku z hulanki i pijatyk, jakie urządzał w rodzinnym majątku. Był dość dalekim krewnym Cezara ze strony matki. O tym pokrewieństwie zbyt dużo się nie mówiło. Cezar zresztą sam niewiele o nim wspominał. Obaj wydawali się Katonowi odrażający. Cezar przez swe awanturnicze pomysły i całkowitą beztroskę, jak się wydawało, demonstrowaną na tym posiedzeniu senatu, a Antoniusz ze względu na swój hulaszczy tryb życia.

- Mnie niepokoi inna sprawa - zaczął ostrożnie Cynceron. - Mianowicie fakt, że Pompejusz i Krassus jakby się od nas odsunęli i nie mają zamiaru przeszkadzać Cezarowi w jego poczynaniach.

- Co to ma niby znaczyć? - zapytał młody Kurion, który dopiero dostał się do grona senatorów.

- Czy oni przypadkiem nie zawiązali potajemnie jakiegoś spisku? - zastanawiał się Cynceron.

Katon spojrział na swego rozmówcę wyblakłymi niebieskimi oczami. Człowiek ten w ogóle nie grzeszył urodą. Twarz miał toporną, o pospolitych rysach, włosy rudawe, cerę białą z tendencją do oparzeń słonecznych i piegów. Sprawy nie poprawiał fakt, że Katon, stosując się do mody sprzed stu lat, obcinał włosy krótko i zaczesywał do przodu.

- Co za nonsens! - oburzył się. - Nasz drogi przyjaciel Pompejusz miałby trzymać stronę tego tam? Sam kiedyś nazywał Cezara fircykiem w źle przepasanej todze i wyśmiewał się z jego długów.

- Tak, a teraz sypia z jego córką - skomentował Bibulus cierpko. - Mnie też nachodzą obawy z jego powodu, drogi Katonie. Nie wiem, czy oni faktycznie zawiązali jakiś tajny spisek, ale już sam fakt, że są spowinowaceni, powinien nas niepokoić.

- Och, dajcie spokój - prychnął Lukullus. - Przesadzacie.

- No, nie wiem - mruczał Cynceron. - Pisałem ostatnio do mojego przyjaciela Attyka...

- Tak, i cóż on ci ciekawego odpisał? - zakpił Katon. - Niech siedzi w swoich Atenach i zbiera dla ciebie dzieła sztuki. Nie ma go w Rzymie od wielu lat, więc się kompletnie nie orientuje w polityce i sprawach państwowych.

- Nie byłbym taki pewien - odparł Cynceron, ale zrozumiał już, że z Katonem nie ma co rozmawiać na ten temat.

Katon jeszcze raz obrzucił nienawistnym spojrzeniem Cezara.

- Zastanawia mnie tylko, jakim cudem on wygrał w wyborach - indyczył się. - Powinien był przepaść, a dostał więcej głosów nawet niż nasz zacny Marek Bibulus! Głupi lud, jak zwykle dał się omamić chlebem i widowiskami.

Cynceron nic na to nie odpowiedział. Pamiętał, co ludzie mówili o zdaniu Sulli na temat Cezara sprzed wielu, wielu już lat. W tym człowieku drzemie wielu Mariuszów. Cynceron miał niedobre przeczucie, że ten konsulat może nie jest niebezpieczny sam w sobie, ale ludzie pokroju Katona będą Cezara niepotrzebnie prowokować. A on wiedział, że prowokacja jest najgorszą motywacją, jaka popycha ludzi do działania i podejmowania pochopnych decyzji.

Teraz patrząc na uśmiechniętego, pogrążonego w rozmowie Cezara, przypomniał sobie tamten upalny lipcowy dzień, kiedy ogłaszano listy kandydatów na urząd konsula na rok obecny. Katon gadał i gadał, doskonale wiedząc, kto czeka za bramami miasta, aby wysłać swego emisariusza. Prawo tego nie zabraniało. Jednak Katon miał inne zdanie na ten temat.

I Cynceron był święcie przekonany, że nigdy nie zapomni tego widoku, kiedy Cezar w wojskowym stroju, pancerzu i czerwonym płaszczu wodza wkroczył do kurii z takim wyrazem twarzy, jakby chciał pozabijać wszystkich zgromadzonych tam senatorów. Niewiele w nim zostało z tamtego młodzieńca przechadzającego się po Forum w luźnej todze i z utrefionymi włosami. To był wódz, żołnierz, imperator, ale na pewno nie fircyk, za jakiego kiedyś uważali go politycy.

Dopiero wtedy Cynceron uświadomił sobie, że senat czyni niewłaściwie. Być może gdyby mu nie rzucali kłód pod nogi, Cezar reagowałby inaczej. Zostałby bez problemu konsulem,

przeprowadziłby swoją reformę, którą potem można by w jakiś sposób obalić, ale nie byłby wtedy w stanie nikomu zarzucić przemocy ani gwałtu. Wilk byłby syty i owca cała. Jednak tego właśnie Katon, zadufany w sobie ponad wszelkie granice, nie chciał zauważyć.

Cyceron był bardziej bystry, niż się Cezarowi zdawało. Jednak za bardzo zależało mu na aprobachie kolegów optymatów, by mógł się wybić na ich tle. Za mocno związał się z senatem, by teraz nagle stanąć po stronie Cezara. I zbyt wielu ludzi z wyższych sfer widziało w Cezarze uzurpatora, by Cyceron mógł otwarcie temu zaprzeczyć.

Tak, bo lud rzymski Cezara kochał. Prości plebejusze uwielbiali go za jego hojność, nawet wówczas, gdy sam tonął w długach. Kochali go za igrzyska i widowiska, jakie urządzał za swego edylatu i trybunatu. Bo Cezar nie szczędził pieniędzy na pokazy, gdy był trybunem ludowym. Jeżeli chodzi o spektakle, uważał, że należy się nawet zapożyczyć, ale wyrzucić niezapomniane wrażenie na ludziach. Bo oni będą długo pamiętać i opowiadać sobie nie o jego mowach w senacie, lecz właśnie o popisach na arenie za jego pieniądze.

A lud rzymski, ta biedota mieszkająca na ulicach, na Zatybrzu, na Celusie i Kwirynale właśnie z braku możliwości nie uczestniczyła na co dzień w igrzyskach i pokazach. Trybunowie ludowi umożliwiali jej tę rozrywkę, zresztą jedyną, jaką miała.

Tak, Cezar rozumiał plebejuszy i sympatyzował z nimi, chociaż sam wywodził się z arystokracji. Jego projekt ustawy agrarnej miał na celu pomóc właśnie najbiedniejszym. Dlatego też nobilem patrzyli na niego jak na jakiegoś potwora, jak na hydrę, jak na idiotę, krótko mówiąc. Nie dość, że zamiast trzymać ze swoim stanem, stawał po stronie plebsu, to jeszcze nie ukrywał wcale swoich romansów i wygłaszał szokujące opinie.

Jednak Cyceron w głębi duszy uważał, że Cezar wcale nie jest taki głupi, jak o nim mawiają, i ma znacznie bardziej bystry umysł, niż mogłoby się wydawać. Ale nawet lew przyciśnięty do ściany na arenie miotał się bezsilnie, co powodowało jego

gniew, i gotów był zabić, by wydostać się z pułapki. Wiele razy Cynceron widział w cyrku, jak dzikie zwierzęta zdesperowane zabijały swoich dwunożnych przeciwników. Kipiąc niepokonanym gniewem, rzucały się na nich i rozszarpały na strzępy.

Cezar wydawał mu się podobny do lwa na arenie. Zewsząd spychany do klatki, szczuty i kłuty mieczami, a teraz już atakowany zupełnie otwarcie. Ile jeszcze czasu to potrwa, zanim obudzi się w nim wściekłość? Niepokonana chęć zdobycia władzy głównie po to, by udowodnić swoim wrogom, że nie mieli prawa z nim zadzierać? Tkwi w nim wielu Mariuszów. No cóż, nie sposób było Cynceronowi tego oceniać. Jednak widział w Cezarze to, co widział. Lwa cofającego się na razie pod ścianę.

Jeszcze jedno nie podobało się Cynceronowi, chociaż nikt jakoś nie zwrócił na to uwagi. Kiedy Cezar stawał do wyborów i dziwnym trafem wygrał, Pompejusz był już mężem Julii.

- Och, jakąż Julia była piękną panną młodą! - świergotała Terencja na wspomnienie orszaku weselnego. - Pompejusz to szczęściarz! Ale co go skłoniło do poślubienia córki Cezara? Przecież ci dwoje się nie znoszą!

Cynceron nie zwrócił wtedy uwagi na słowa żony, przekonany, że to uroda Julii skłoniła Pompejusza ku niej. I faktycznie, mało kobiet w Rzymie mogło się równać z córką Cezara. Julia ze swoją smukłą figurą, z jedwabistymi czarnymi włosami, z południową oliwkową karnacją i dużymi ciemnymi oczami, pełnymi smutku i melancholii, wzbudzała zachwyt każdego człowieka w mieście. Kiedy szła ulicami, plebs padał jej do stóp, traktowano ją jak boginię, co przyjmowała ze skrępowaniem i wzruszeniem. Cynceron pamiętał, że jej matka była piękna, ale Julia przewyższała urodą nawet ją. Była zachwycająca niczym Wenus.

Jednak później zaczęły go nachodzić wątpliwości. A co, jeśli Julia miała stanowić przynętę do niewiadomych celów? Cezar zerwał przecież jej poprzednie zaręczyny i dziewczyna musiała boleśnie to przeżyć. Pompejusz był od niej starszy o dwadzieścia cztery lata! Był starszy nawet od Cezara! Nikt

nie wmówi Cynceronowi, że perspektywa dzielenia łoża ze starszym od siebie dwukrotnie człowiekiem, w dodatku wdowcem i rozwodnikiem, była kusząca i wspaniała. Coś innego musiało tu decydować.

Cynceron drgnął, bo oto Cezar stanął tuż przed nim. Zupełnie jakby poczuł na sobie jego wzrok. Czarne oczy konsula w półmroku wydawały się jeszcze bardziej niezgłębione. Jego uśmiech przypominał grymas drapieżnika. Cynceron był mężczyzną i nie zwracał uwagi na męską urodę, ale w tym wypadku musiał przyznać, że Cezar w wieku lat czterdziestu wyglądał znacznie lepiej niż dwadzieścia lat temu. Wiek dodał mu powagi, a także niezaprzeczalnego uroku. Jeżeli on w taki sposób patrzył na kobiety, z tym przeciągłym uśmiechem, z tym błyskiem w oczach, to nic dziwnego, że padały przed nim plackiem.

- Stoisz tak i rozmyślasz, Marku? - odezwał się Cezar. - Mam nadzieję, że nie o mnie samym, lecz o moim przemówieniu.

- W rzeczy samej - wyjąkał Cynceron.

- Krótkie było, nie sądzisz?

- Dość krótkie.

Cezar patrzył na niego badawczo. Wydawało się, że jest rozbawiony.

- Czy ty się mnie boisz, Marku Tulliuszu? - zapytał. - Wyglądasz na zdenerwowanego. A może nie chcesz, żeby ta ponura wrona w kącie zobaczyła, że ze mną rozmawiasz?

Kpina w jego głosie była wyraźna. Cezar gardził Katonem tak bardzo, że bardziej już się chyba nie dało.

- Skąd przychodzą ci do głowy takie myśli, Cezarze? - uśmiechnął się Cynceron. - Jestem wolnym człowiekiem i rozmawiam, z kim chcę.

Konsul zerknął w stronę Katona.

- Ten proces wtedy po skandalu w moim domu... - zaczął powoli. - Byłeś znakomitym świadkiem, Marku Tulliuszu. Szkoda, że ten bawidamek, który uwiódł mi żonę i skompromitował mnie w oczach całego miasta, nie został skazany.



- Do czego zmierzasz? - zaniepokoił się Cynceron.

- W zasadzie do niczego. Jednak mam oczy i uszy szeroko otwarte. Nie stawaj z Klodiuszem więcej w szranki, Marku Tulliuszu, bo to człowiek zawistny i mściwy. Nienawidzi cię już za to, jak oczerniasz, według niego, jego siostrę Klodię.

- Tę dziwkę! - Cynceron niemalże wypluł imię kobiety.

- Nie przeczę. Moja była żona przyjaźniła się z nią. Wiem o niej różne ciekawe rzeczy, za których rozgłaszanie tak bardzo nienawidzi mnie nieszczęsny Katullus. Czy wiesz, że ten młody człowiek pisze o niej wiersze i nazywa Lesbiami? - uśmiechnął się Cezar.

- Wiem. A co to ma wspólnego z Klodiuszem?

- To, że ten chłopak nie jest takim idiotą, jak mogłoby się wydawać. Teraz mówię z tobą jak osobą prywatną. Wiem, powtarzam ci, wiem z dobrego źródła, że on na ciebie czyha, Marku Tulliuszu. Już cię obserwuje. Będzie czekał na okazję, żeby ci zaszkodzić.

- Skąd możesz to wiedzieć? - przestraszył się Cynceron. - Chyba nie od niego?

- Mam informatorów - odparł Cezar wymijająco. - Nie sądzisz chyba, że ci sprzedam moje informacje? Jednak w tym wypadku jedynie cię ostrzegam, bo nie zasługujesz na to, żeby taki prostak wyrządził ci krzywdę.

- Myślałem, że z nim trzymasz - wyznał Cynceron.

- No wiesz co! To, że należymy do jednego ugrupowania i w sytuacjach koniecznych musimy sobie pomagać, nie oznacza, że darzę tego smarkacza szacunkiem. I powtarzam ci, Marku Tulliuszu, dopóki jestem w Rzymie, on będzie w miarę spokojny. Jednak prędzej czy później pojedę na prowincję. Strzeż się go wtedy. Nie wchodź mu w drogę.

Cynceron stał jak wmurowany w posadzkę. Nie miał pojęcia, czy Cezar go ostrzega, czy mu grozi. Ten człowiek pełen był niespodzianek. Cynceron zawsze myślał, że Cezar go nienawidzi i żywi do niego pogardę, lecz wielokrotnie odbierał od niego oznaki szacunku. Chłodnego, rzecz jasna, i na odległość, ale jednak.

- Nie chwal się tą rozmową ze swoimi przyjaciółmi spod

ściany, bo gotowi mnie ukrzyżować – uśmiechnął się Cezar cierpko. – I radzę ci odsunąć się od Katona. On jest takim głupcem, że słów na niego szkoda. A ty możesz razem z nim stracić.

– Katon to mój przyjaciel – odparł Cynceron z godnością.

We wzroku Cezara pojawiła się jawna drwina.

– O, czyżby? Wiesz, może cię pamięć zawodzi, ale ja pamiętam, chociaż byłem ledwie dzieciakiem po wciągnięciu męskiej togi, jak optymaci, z którymi teraz się bratasz, mówili o tobie. Śmiali się z człowieka z Arpinum. Szczerze ci powiem, że gdyby nie twój talent oratorski i wygrana w procesie Werresa, przepadłbyś, mój dobry Marku. W ich łaski nie można się wkupić, do nich trzeba należeć. Robią staranną selekcję w swoich szeregach. Tobie się udało, bo twemu umysłowi nie można nic zarzucić. Jednak gdybym to ja się zdecydował przystąpić do nich, gdyby mój ojciec poszedł za Sullą, gdyby moja ciotka nie była żoną Mariusza, przyjęliby mnie z otwartymi ramionami jak swego. W końcu mój ród od wielu pokoleń należy do najpotężniejszych w Rzymie.

– Chyba nie wierzysz w te brednie o Wenus i Julusie – prychnął Cynceron.

– O, proszę cię! Eneasz i inne bajki... To jest dobre do mydlenia oczu i propagandy. Ale jak nie mogę się pochwalić skarbcem pełnym złota, to muszę wykorzystywać moich rzekomych przodków. Jednak znowu mnie zagadałeś. Pamiętaj, uważaj na Klodiusza. I jeżeli nie chcesz zrywać ze swoimi przyjaciółmi z senackiej ławy, to przynajmniej spójrz na nich trzeźwym okiem. Czy ty myślisz, że oni palcem kiwną, by pomóc ci, jeśli popadniesz w tarapaty? Co zrobili optymaci, kiedy Sulla wydał rozkaz? Zamierzali zmusić mnie do rozwodu z Kornelią, a potem milczeli, gdy skazywał mnie na śmierć. Bogowie chyba to sprawili, o ile jacyś istnieją, że w ostatniej chwili postanowił zmienić wyrok na wygnanie. Gdzie byli optymaci, gdzie był Katon, gdzie był Lukullus, Pompejusz i inni?

Cynceron milczał. Zdawał się teraz lepiej rozumieć niechęć Cezara do nobilew rzymskich, którzy w imię własnej wygody i bezpieczeństwa gotowi byli poświęcić jednego ze swoich.

- Bywaj zdrów, Marku Tulliuszu - rzucił mu na pożegnanie Cezar. - Do zobaczenia na dzisiejszym bankiecie. Nie wątpię, że się na nim pokażesz.

Odszedł. Cynceron patrzył za nim przez jakiś czas. Widział, jak Cezar podchodzi do Pompejusza, a potem rozmawiają, uśmiechając się do siebie. Cezar coś mówił, a Pompejusz kiwał głową, jakby z aprobatą. Z drugiego końca sali spoglądał ku nim Krassus.

Cyncerona przeszył dreszcz. Przymknął oczy z poczuciem nadciągających zmian. Swoimi podejrzeniami, które właśnie okazywały się słuszne, nie mógł się z nikim podzielić, bo nie miał w ręku najmniejszego bodaj dowodu. Ale kiedy tak stał w kurii, odniósł wrażenie, że Republika oddycha ciężko, jakby przeczuwała, że rozpoczęły się jej ostatnie dni. Myśl ta przebiegła Cynceronowi przez głowę jak błyskawica, rozświetliła jego myśli i zgasła.

- Brednie - mruknął.

Cezar i Pompejusz odeszli na drugi koniec sali. Cynceron wrócił do swoich przyjaciół i usiadł wśród nich, oczekując na przemówienie Bibulusa, który szykował się już do zajęcia stanowiska na mównicy. W głowie słynnego mówcy huczało od myśli. Przelatywały mu w umyśle wszystkie epitety, jakimi bywał nazywany Cezar. Królowa bityńska. Materac bityńskiego łoża. Burdel Wschodu. Fircyk w źle przepasanej todze. Elegancik z nawoskowanymi loczkami. Łysiejący gach. Pierwszy kobieciarz Rzymu. Uzurpator. Jednak najwyraźniej dźwięczały mu głosy przekazujące słowa wypowiedziane ongiś przez Sullę na temat osiemnastoletniego Cezara:

- Ten młodzieniec w źle przepasanej todze jest niebezpieczny. W nim drzemie wielu Mariuszów.

Cezar odwrócił się na chwilę i spojrzał Cynceronowi prosto w oczy. Potem spokojnie odwrócił się i pogрузzył w rozmowie z Pompejuszem.

## XIII

Wiadomość o śmierci Scatah dotarła do Gergowii w drugim miesiącu zimy. Uatah i kapłanki skrupulatnie ukrywały ostatnie rewelacje, nie chcąc niepotrzebnie denerwować ani straszyć ludzi. Już sam fakt, że Cynnus został pokonany w walce i zniknął z Gergowii, wywołał mnóstwo mniej lub bardziej niejasnych plotek.

W końcu jednak Uatah doszła do wniosku, że należy zwołać wiec, aby ogłosić Galvana naczelnikiem Gergowii w miejsce jego stryja. Miało nastąpić to, czego młodzieniec oczekiwał i czego Scatah pragnęła od dwudziestu ponad lat.

Oczywiście, Uatah była porażona śmiercią matki. Wydawało jej się zawsze, że Scatah jest nieśmiertelna, że nic nie zdoła wpędzić jej do grobu. Kapłanka była silna, potężna, żaden śmiertelnik nie mógł i nie miał prawa się z nią równać. Jakim więc cudem zmarła? A może należało zapytać: w wyniku jakich okoliczności? O, Uatah bardzo dobrze wiedziała, co się stało. Ofiara dla Disa była zbyt potężna, zbyt silna, rytuał zakazany nawet dla wtajemniczonych, nawet dla kapłanek rangi Scatah, był zbyt wyczerpujący, by móc bezkarnie go odprawiać.

Pierwszą reakcją Uatah był szok. Dopadła do Scatah i zaczęła tarmosić martwe już ciało.

- Matko! - wołała. - Matko, obudź się! Słyszysz mnie? Matko!

Kapłanka, która do tej pory przytrzymywała wierzgające wcześniej ciało Cynnusa, podeszła do nich, pochyliła się nad Scatah i usiłowała wsłuchać w bicie serca, ale nie usłyszała najmniejszego szmeru. Rękami czerwonymi od krwi odsunęła Uatah na bok.

- Ona odeszła - szepnęła. - Dis nie daje niczego za darmo, pani.

Uatah patrzyła z niedowierzaniem to na matkę, to na kapłankę. Jej zielone oczy wypełniły się łzami.

- Ale to niemożliwe - wyszeptała. - To niemożliwe! Ona nie mogła umrzeć. Nie!

Znowu dopadła Scatah, ale tym razem osunęła się tylko na martwe ciało i zanosła gwałtownym płaczem. Sama nie wiedziała później, czy tę reakcję wywołała rzeczywista rozpacz, czy też była ona wynikiem postu i napięcia towarzyszącego składaniu ofiary. Później już do tego nie wracała.

Wstała i wyprostowała się z godnością. Miedzianorude loki opadały w nieładzie na jej ramiona.

- Trzeba sprzątnąć to ścierwo ze stołu - stwierdziła. - Zajmijcie się tym. Ja wyczyszczę ołtarz. A potem trzeba pochować moją matkę, zanim wiadomości dotrą do Gergowii.

Wiedziała, że należy działać szybko. Druid miał wyświęcić ją na nową najwyższą kapłankę, a zakon z Sein utwierdzić w pozycji, jaką wcześniej zajmowała Scatah. Uatah musiała stać się najpotężniejszą kobietą wśród Arwernów, zanim wyjdzie na jaw, że jej matka złożyła Cynnusa w ofierze bogom.

Spoglądała na pobożowisko w sali i ogarnęło ją znużenie. Nie miała najmniejszej ochoty jechać teraz do nemetonu, a już kompletnie odechciało jej się podróżować na Sein. Nie teraz, nie zimą, kiedy nadciągały najgorsze chłody i największa ciemność. Jednak nie było odwrotu.

Pomyślała o Galvanie, który teraz pewnie spędza czas na wesołej uczcie w gronie najbliższych. Przypomniła sobie jego dwie córki, które oficjalnie przebywały u niej na wychowaniu. „Morgwynn trzeba będzie odesłać na Albion, zanim nadejdą Rzymianie” - myślała gorączkowo. „Gwynn pewnie zechce ją zobaczyć ostatni raz przed rozstaniem, zresztą moim obowiązkiem jest poinformowanie jej o decyzji matki. A Aife... Aife zostanie na Sein. Tam żaden Rzymianin nie postawi swojej plugawej stopy. Jeżeli zajdzie potrzeba, okryjemy Sein mgłą nie do przebycia. Ale Morgwynn nie będzie kapłanką. Nie musi zostawać na Sein. Gergowia? Nie, tam nie

będzie bezpieczna. Gergowia jest jednym z naszych największych miast. Rzymianie bez wątpienia tam dotrą. Córka Wercyngetoryksa musi się znaleźć jak najszybciej w bezpiecznym miejscu. Biedne dziecko”.

Uatah z pomocą kapłanek odwiązała wypatroszone ciało Cynnusa i zepchnęła je na przygotowane wcześniej owcze skóry. Należało to wszystko razem spalić w świętym ogniu przed zachodem słońca. A potem przygotować uroczystości związane z pogrzebem najwyższej kapłanki.

Maerin. On musi wiedzieć.

Przetransportowanie nieruchomych zwłok kosztowało niemało wysiłku, ale Uatah była wyszkolona do wielkich bitew, więc nie stanowiło to dla niej zbytnej trudności. Gorzej, że krew sączyła się nawet przez skóry, a resztki wnętrzości wlokły się po korytarzach. Napełniało to Uatah głęboką odrazą. Ilekroć zamykała oczy, widziała przerażone spojrzenie Cynnusa, świadomość swego losu malującą się w jego oczach i napięte mięśnie, zanim Scatah wykonała pierwsze cięcie.

Nie, ona nigdy nie zrobi czegoś takiego. Nie chodziło jej o własną ewentualną śmierć. Nie bała się śmierci, a odkąd straciła Galvana, nie zależało jej już praktycznie na niczym. Nie, Uatah nie byłaby w stanie rozkroić wierzgającego żywego człowieka i wyciągać z niego organów. Zabić – tak, z tym nie miała problemu. Jednak nie potrafiłaby okaleczać w tak potworny sposób. Widać Scatah nie miała skrupułów.

Kiedy jakiś czas później Uatah siedziała w balii i myślała w gorącej wodzie, uświadomiła sobie, jak ogromny przełom nastąpił w jej życiu. Nie była już córką wielkiej kapłanki – miała przejąć jej funkcję. Brzemie odpowiedzialności przytłaczało ją do ziemi. Matka nigdy nie musiała mierzyć się z Rzymianami. Miała wizje, mniej lub bardziej wyraziste, brała udział w bitwach pomiędzy Celtami, między Celtami i Germanami, w mniejszych lub większych konfliktach. Jednak nigdy nie musiała stawać oko w oko z nieznanym przeciwnikiem.

Jak Uatah miała sobie poradzić? Dwudziestotrzyletnia kobieta z dwojgiem dzieci zostawionych pod opieką kapłanek na wyspie na Atlantyku...

Spojrzała w dół na swoje muskularne ciało, na wyrobione mięśnie, na mocne ścięgna rysujące się pod skórą, na dłonie utwardzone od miecza i zaśmiała się. Była do tego przygotowywana przez ostatnich piętnaście lat. Czy zupełnie już zgłupiała? Za kogo ona się uważa, za wiejską dziewczynę spod Lutecji? Za jedną z tych idiotek Rzymianek, które na widok miecza mdlały i wrzeszczały ze strachu? Za jedną z tych wyniosłych dam znad Tybru? Do wszystkich piekieł, była potomkinią wojowniczek z Eire, dzikich i nienasyconych, odważnych do bólu, potomkinią ciemnoskórych, niskich Piktów z północnego Albionu, zza gór, była córką Scatah, najpotężniejszej kapłanki od wielu lat. No, może z wyjątkiem jej babki Aife i prababki Uatah.

Uśmiechnęła się do siebie gorzko. Ona miała się bać? Czego? Wojny? Wojna była wpisana w jej krew. Wojna była jej powołaniem. Wojna i rzeź, a nie niańczenie niemowlaków. Miała prowadzić zastępy na śmierć i ku zwycięstwu, dawać rozkosz wodzom przed bitwą i wprowadzać ich w świat przelewu krwi i ognia. A ona siedzi w wannie i płacze nad swoim losem? Wstyd!

No cóż, z drugiej strony miała prawo być rozbita i zmartwiona. Nie codziennie traci się matkę w wyniku magicznych rytuałów. Scatah wiedziała, czym grozi ten ostatni wyczyn. Była w pełni świadoma ryzyka. Jej własna matka zmarła kilka tygodni po ofierze Disa. I nikt się nie dowiedział, czy to organizm był zbyt wyczerpany, czy bóstwo wyciągnęło po nią rękę później, by mogła przygotować córkę do przejęcia roli.

Jednak Uatah czuła się tak rozpaczliwie samotna! Gdyby chociaż miała przy sobie Galvana! Niestety, nie miała. I nigdy już nie będzie mieć. Spełni swój obowiązek względem niego jeszcze tylko raz, błogosławiąc go przed bitwą. Namaści go wówczas na nowo na wojownika, da mu swoją moc i potęgę, połączy go z bogami, napełni energią kosmosu.

Ciepłe łzy spływały po twarzy Uatah. To był ostatni wieczór, kiedy mogła sobie pozwolić na luksus rozpaczy. Jutro obudzi się silna i twarda, nigdy więcej nie zapłacze, nie pokaże ludziom

swego prawdziwego oblicza. Będzie nosić różne maski uśmiechu, grozy, gniewu czy żalu, ale nigdy już nie wystawi swojego serca na niebezpieczeństwo zranienia.

Galvan. Jej jedyna miłość. Wiedziała, że go straci, matka ostrzegła ją wtedy, a ona sama okazała wyjątkowy brak rozsądku, angażując się w to, co było z góry skazane na śmierć i niepowodzenie. To było jasne jak słońce, że ona i Galvan nigdy nie będą razem. To było przelotne, nietrwałe i bolesne. Jednak kochała go i wiedziała, że on ją też kocha, a w każdym razie nie zapomni o miłości do niej. Prawdę mówiąc, nie było to zbyt pocieszające.

Wieczorem, kiedy ponure cienie kładły się na dolinę, Uatah podpaliła stos, na którym spłonął Cynnus. Zmusiła się, by stać prosto i odmawiać rytualne modlitwy, aby duch męczyzny złożony w ofierze nie wyrwał się Disowi i nie prześladował jej na wieki. Zimowe niebo było zasnuwane chmurami, ciemna smuga dymu niosła się ku górze, a Uatah czuła odrętwienie w całym ciele. Miała ochotę po prostu przestać istnieć, a nie poddawać się kolejnym rytuałom, jakie ją czekały.

Posłaniec do Maerina został już wysłany i Uatah oczekiwała druida lada dzień. Wiedziała, co miało nastąpić później. I wcale nie cieszyła jej perspektywa wyjazdu do Gergowii i spotkania się twarzą w twarz z Galvanem. Bo tym razem mieli się spotkać nie jako przyjaciele, nie jako mąż i żona, nawet nie jako rozwiedzeni małżonkowie. Musieli rozmawiać ze sobą jako naczelnik Gergowii i najwyższa kapłanka, a to wydawało się tego wieczoru Uatah czymś niemożliwym do wykonania.

„Jutro będę twarda” - pomyślała, czując znowu łzy spływające po jej twarzy. „Jutro będę silna i zimna jak stal. Dzisiaj ostatni raz jestem człowiekiem. Jutro już będę jedynie boskim naczyniem, tak jak moja matka”. W głębi ducha wiedziała jednak, że w przeciwieństwie do Scatah nigdy do końca nie zaakceptuje swego gorzkiego losu i do końca życia będzie się miotać między poczuciem obowiązku i posłannictwem a pragnieniami serca. „Ale nikt się o tym nie dowie” - postanowiła. „Nikt nigdy się nie dowie, co tak naprawdę czuję. Tak będzie najlepiej”.



\*

Maerin stał długo nad marami Scatah niezdolny wykrztusić z siebie choćby słowo. Niezwykły spokój malował się na twarzy zmarłej kapłanki. Jej rude włosy, zawsze pełne ognia, ułożono na poduszkach w taki sposób, że przypominały fale złota lub miedzi. Złocistozielone oczy, na co dzień tak pełne życia, siły i mocy, schowane były na zawsze już pod powiekami. Skóra Scatah po śmierci wygładziła się, tak że owe nieliczne zmarszczki, które w ostatnim czasie nękały mistrzynię wojowników, przestały być widoczne.

Maerin czuł piekący ból pod powiekami. Przypomnił sobie, jak pierwszy raz ujrzał Scatah na święcie Beltaine. Była taka młoda i świeża, niewinna i pełna radości. Wziął ją wtedy przy ogniach i prawdopodobnie spłodził z nią córkę, ale o tym nie chciał nawet wiedzieć. Pamiętał jej dziewicze ciało, jej drobne wówczas piersi, smukłe biodra, jej silne ramiona zaciskające się wokół jego szyi, jej gładką skórę.

Potem była jego uczennicą. Wtajemniczał ją w stare prawdy, przekazywał starożytną wiedzę pochodzącą z czasów, gdy Celtowie nie wyodrębnili się jeszcze jako niezależna grupa z wielkiej wspólnoty kulturalnej zamieszkującej nieogószony teren Wschodu. Uczył ją liter greckich, rysunków egipskich, których znaczenia sami Egipcjanie już nie rozumieli, pisma Akadyjczyków, które odeszło w zapomnienie, jednak wtajemniczeni nadal je znali. Pokazywał jej konstelacje na niebie i uczył je odróżniać. Pamiętał, jak raz, jeden jedyny raz zabrał ją do Albionu i zaprowadził do kamiennego kręgu. Scatah miała wtedy mniej niż dwadzieścia lat i jeszcze nie została wyświęcona na kapłankę. Była jedynie uczennicą, adeptką starożytnej wiedzy, ale najbystrzejszą, jaką Maerin miał okazję uczyć. Sam miał wówczas niewiele ponad czterdzieści lat. Był w sile wieku. Moc w kamiennym kręgu była tak potężna, że musieli usłuchać głosu, który do nich przemówił. Jeden raz wtedy Maerin świadomie miał w swoich objęciach Scatah, córkę Aife i nieznanego ojca z linii Albionu. A ona oddała mu się z pożądaniem i namiętnością, jakich nigdy

potem już nie doświadczył, choć jeszcze raz brał ją przy ogniach. Tamto zespolenie otworzyło umysł Scatah na wolę bogów. Jak w przeblysku świadomości, jakby ktoś otworzył duszę Scatah, wykrzyczała wtedy jedno imię. O, Maerin pamiętał bardzo dobrze tamtą chwilę. Twarz dziewczyny jaśniała w mroku letniej nocy. Była wtedy pełnia, lato następnego dnia miało ustąpić jesieni, noc liczyła tyle samo godzin co dzień. Księżyc świecił za plecami Scatah, która wiała się na Maerinie w trudnej do opisanie ekstazie. A potem otworzyła oczy, które zalsniły złoto i zielonkawo jak u zwierzęcia.

- Wercyngetoryks! - wyrwało się z jej ust. - Syn Celtyllusa! Jedyny! Wybrany!

Maerin doszedł do wniosku, że jakiś bóg musiał przez nią przemawiać. Potem, znacznie później, kiedy Aife już umarła, dowiedział się od kapłanek z Sein, że Scatah często nawiedzały wizje. Była znakomitym medium, posiadała moc, jakiej kapłanki nie widziały od wielu pokoleń. Ostatnia taka kobieta żyła wśród Celtów przed ponad trzystu laty, kiedy napadli na Rzym. To ona przestrzegała przed ptakami, krzyczała w transie, że czas na atak jest nieodpowiedni, ale jej nie słuchali. Maerin czytał starożytne księgi i zaczynał rozumieć.

Celtowie nie byli jedynym ludem, który przybył ze Wschodu, z wyżyn Anatolii, znad jeziora Urnia. Ogromna grupa żyjących tam ludzi rozprasała się w miarę upływu lat. W ciągu tysiącleci rozeszła się na cztery strony świata, do Hellady, do Indii, na nieznane stepy Azji i do Persji. Ci, którzy przeszli przez azjatyckie tereny, zatrzymali się na długo na Wschodzie, nad wielkimi rzekami, aby w końcu pójść dalej na Zachód. Celtowie szli pierwsi. Za nimi podążali Germanowie. Na południe powędrowali Italczycy. Było to około tysiąca lat temu. Maerin o tym wiedział. Druidzi znali rzeczy ukryte dla prostych ludzi.

Jednak nie w tym rzecz. Wiedza i dar widzenia rzeczy ukrytych przechodziły z wybranych na wybranych. U Hellenów widzące zwały się Pytiami. Wśród mieszkańców Italii słynne były wyrocznie mieszkające w grotach. W Persji roiło się

od kobiet i mężczyzn naznaczonych przez bogów. Germanowie mieli swoje czarownice, a Celtowie mieli kapłanki z Sein, które kultywowały dawną wiedzę. Scatah była jedną z nich. Należała do tych, które otwierały umysł na boski głos. Maerin, który w swoim czasie otrzymał pozwolenie na podróżowanie w celu uzupełniania wiedzy, dotarł do Aten i do Olimpii. Na własne oczy widział kobiety przemawiające językiem węży. Na wprost szalone, w transie wykrzykiwały jakieś słowa, które biegli kapłani tłumaczyli ludowi.

Maerin widział wielkie piramidy w Egipcie. Pokryte wciąż jeszcze w wielu miejscach złotem, rabowanym co prawda w ciągu minionych tysiącleci, wzbudziły w nim podziw i szacunek.

Kiedy wrócił do Gergowii, Scatah była jak odmieniona. Z dzieckiem na ręku, kolejną córką, wyszła mu na spotkanie, gdy jako kapłan i druid przybył do jej pustelni. Jednak blask w jej oczach zgasł. To już nie była ta żądna wiedzy młoda dziewczyna, lecz kobieta załamana cierpieniem. Widział jej córkę. Dostrzegał w dziewczynce tę samą niezwykłość, która malowała się na twarzy matki, ale w nieco mniejszym natężeniu. Kobiety takie jak Scatah rodziły się raz na wiele stuleci.

Maerin wydobył z niej wreszcie wyznanie. Nie posłuchała ostrzeżenia matki, Aife, która też już nie żyła. Oddała serce naczelnikowi Arwernów, zakochała się w ojcu swojej córki, wiedząc, że nigdy się z nim nie połączy, bo ten człowiek ma inne zadanie do wykonania.

- Ja znam swoją rolę, Maerinie - powiedziała wtedy. - Jestem tu po to, żeby przygotować wybrańca. To dziecko przyjdzie na świat następnej jesieni, na krótko przed Samain. Widziałam tego mężczyznę z mieczem w dłoni na warownym wzgórzu. Dowodził wojskiem. To się stanie za więcej niż jedno pokolenie.

Maerin nie dziwił się wcale jej słowom.

- Mnie już nie ma, Maerinie - wyszeptała tamta dziewczyna. - Teraz jest już tylko Scatah.

Wspomnienia powracały gwałtownie, kiedy widział tę

piękną kobietę na łożu śmierci.

- Co się stało? - zapytał zdławionym głosem.

Uatah patrzyła na niego przez chwilę. Maerina uderzyło olbrzymie podobieństwo między matką i córką. Uatah miała może bardziej delikatne rysy twarzy, bardziej subtelne, nie cechowała jej dzikość, jaka malowała się na twarzy Scatah.

- Złożyła ofiarę Disowi - szepnęła Uatah.

Maerin poczuł falę mdłości. O bogowie!

- Sama tego dokonała? - zapytał przerażony, choć doskonale znał odpowiedź.

- Tak.

Maerin poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Czym prędzej usiadł na rzeźbionym krześle.

- Czy ta szalona dziewczyna nie wiedziała, że ofiarę Disowi można składać tylko i wyłącznie w towarzystwie druida? Musi być drugi kapłan! Musi być drugi celebrant, nie wolno brać na siebie całej mocy boskiej! Czy ona zwariowała? Wiem, że posiadała moc potężniejszą, niż tobie i mnie się śniło, ale za dużo ryzykowała, składając tak silną ofiarę. Uatah! - krzyknął. - Dlaczego nie wybiłaś jej z głowy tego głupiego pomysłu? Mogłaś posłać po mnie, razem byśmy to zrobili! Kto to był?

- Nie wiem, czy matka by sobie życzyła... - zaczęła Uatah, ale Maerin podszedł do niej i potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

- Odpowiadaj!

- Cynnus, syn Brennusa, brat Celtyllusa.

Maerin pobladł na twarzy.

- To było do przewidzenia - wymamrotał. - Jej nienawiść do Cynnusa rosła z każdym rokiem. No tak. Nic dziwnego, skoro widziała w Celtyllusie nadzieję na zjednoczenie Celtów, chociaż doskonale wiedziała, że to jego syna wybrali bogowie - Maerin rozsądnie przemilczał inny powód Scatah do nienawiści. - Bała się, że nie wyrażę zgody? - zapytał.

Uatah zdjęła maskę spokoju. Jej twarz wyrażała udękę i rozpacz.

- Och, nie wiem, co ona sobie myślała! - krzyknęła. -

Nienawidziła Cynnusa ponad wszelkie granice zdrowego rozsądku! Myślę, że kochała Celyllusa i Galvana. Nie mogła wybaczyć temu nędznikowi, że zabił wodza. Wiem, że darzyła Galvana uczuciem takim, jakim darzą matki swoich synów! Przeznaczyła mnie na matkę jego dziecka, nie licząc się z moim uczuciem! Wiedziała, że jest moim bratem. I to, że ja się w nim zakocham!

Maerin podszedł do dziewczyny i objął ją opiekuńczo jak ojciec.

- Uatah - szepnął. - Ona cię kochała. Za nic nie chciałaby widzieć, że cierpisz tak samo jak ona w młodości. Znałem twoją matkę na długo, zanim zakochała się w twoim ojcu. A Galvan... no cóż, on był jej życiowym powołaniem. I skoro uczyniła go wojownikiem i naczelnikiem, jej rola dobiegła końca.

- Ale ona mogła jeszcze żyć - sprzeciwiła się Uatah.

- Kapłanki, moje dziecko, żyją do określonego czasu - odparł Maerin z odcieniem smutku w głosie. - Kiedy już dokonają tego, co im było zapisane w gwiazdach, odchodzą do bogów.

Uatah patrzyła na niego z miną świadczącą o tym, że ma zupełnie inne zdanie na ten temat.

- Dlaczego nie mogłam być z Galvanem? - zaczęła znowu agresywnym tonem. - Dlaczego wymyśliliście takie głupie prawa? To doprawdy idiotyzm, żeby zabraniać kapłankom normalnego życia.

- Uatah, jesteś rozgoryczona i zrozpaczona, dlatego nie wiesz, co mówisz. Nie tylko Celtowie mają takie prawa. Te zasady są starsze niż my sami. To nasi przodkowie na Wschodzie ustanawiali reguły. Gdyby to ode mnie zależało, mogłabyś robić, co ci się żywnie podoba, ale masz ten sam dar, co twoja matka, choć nie tak potężny. Ten, na kogo bóg położy swoją dłoń, nie ma własnego życia ani własnej woli, Uatah. Ulubieńcy bogów postępują wedle ich upodobań. Żyją krótko, a ich los pełen jest cierpienia i rozterek. Zawsze tak było i ty tego nie zmienisz, moje dziecko.

Uatah zagryzła wargi.

- Co teraz będzie? - zapytała.

- Dobrze wiesz. Dzisiaj urządzimy pogrzeb Scatah. Jutro namaszczę cię jako najwyższą kapłankę, a pojutrze pojedziesz na Sein. Przed wiosennymi ogniami musisz zwołać wiec naczelników u Arwernów, obwołać Galvana naczelnikiem Gergowii, a potem będzie Beltaine.

- Nie chcę mieć dziecka - warknęła Uatah.

- Nie masz wyjścia. Pierwszą powinnością najwyższej kapłanki jest urodzenie bogu dziecka.

- A kto będzie bogiem? Ty? - zapytała Uatah.

- Niekoniecznie. Wcale nie się czuję na siłach, by spełniać ten obowiązek. Mam już ponad sześćdziesiąt lat i doprawdy nie interesują mnie tego typu zabawy. Jednak wiem, jakiego boga ty byś sobie życzyła. Wyraż wolę, Uatah, a tak się stanie.

Dziewczyna roześmiała się kpiąco.

- Dziecko kapłanki i najwyższego naczelnika? Mam już córkę z Galvanem. Nie chcę kolejnego dziecka. Jeżeli się z nim położę, nie będę w stanie nad sobą zapanować. Nie. Jeżeli już muszę zachodzić w ciążę, daj mi do tego druida. A potem? Kiedy już urodzę to dziecko? Wrócę na Sein?

Maerin widział w jej oczach wyczekiwanie.

- Nie, Uatah. Nie pojedziesz na Sein. Wrócisz tutaj.

- Matka powiedziała, że Rzymianie przejdą przez Alpy za rok. Nie mogę się wtedy snuć z wielkim brzuchem ani niańczyć niemowlaka. Muszę być na siłach, by im się przeciwstawić.

- Uatah, bądź rozsądna. Zimą nikt przez Alpy nie przejdzie. Chyba jakiś głupiec, który chce ściągnąć na siebie lawinę. Nawet Hannibal szedł przez góry latem. Rzymianie nie są idiotami. Jeżeli Scatah widziała ich nadejście, to znaczy, że trzeba się przygotować. Ale ty musisz spełnić rytuał, Uatah.

Przymknęła oczy. Nie miała ochoty na ciążę i kolejne dziecko. Prawdę mówiąc, noworodek to była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła. Dostyc miała kłopotu z Aife i Morgwynn.

- A co z córkami Galvana? - zapytała jeszcze. - Muszę coś z nimi zrobić do następnej zimy. Nie jestem piastunką do dzieci. Nie mogę się zajmować trójką osesków.

Maerin uśmiechnął się.

- I wcale nie musisz. Co zamierzałaś z nimi zrobić?

- Aife zostanie na Sein. Będzie kapłanką. Jednak Morgwynn nie jest moją córką. Nosi w sobie inną krew. Ona pojedzie do Albionu.

- Aife też pojedzie do Albionu, Uatah - zdecydował Maerin. - Jeszcze nie teraz. Morgwynn miała być zakładniczką Scatah, aby Galvan wypełniał jej rozkazy. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, sam po nią pojedę i zawiozę dziewczynkę na Sein.

Uatah skrzywiła się.

- Co ci naopowiadała moja matka? - zapytała ze złością.

- Nic poza tym, co sam wiem - odparł Maerin. - Myślisz, że nie potrafię odczytywać znaków na niebie i przewidywać przyszłości? Marny byłby ze mnie najwyższy kapłan. Sama im powiesz, że Morgwynn pojedzie na Albion. Jednak Galvan musi o tym wiedzieć. W końcu jest jej ojcem.

Uatah pokiwała głową.

- On robi wszystko, by chronić swoje dziecko - szepnęła. - Kocha je obie, Aife i Morgwynn. Żadnego syna nigdy nie będzie miłował tak bardzo jak te dwie dziewczynki.

Maerin kiwnął głową z uśmiechem.

- A teraz, Uatah, skoro wiesz już, co musisz zrobić, idź i przygotuj się do ceremonii. Oddamy twoją matkę bogom, a potem ty zajmiesz jej miejsce.

Uatah nie pozostało nic innego, jak pochylić głowę przed najwyższym druidem i wyjść. Rozmowa z nim nie przyniosła ukojenia, ale przynajmniej Maerin wskazał jej drogę do pewnego momentu. Potem, kiedy wypełni już wszystkie nakazy, rozkazy i rytuały, będzie mogła skoncentrować się na zadaniu, jakie ją czekało. Na poprowadzeniu Celtów do walki.

\*

Padął śnieg. Zima od samego początku była mroźna i śnieżna. Gwynn cieszyła się, że zniwa tego lata były tak obfite. Zapowiadało się na naprawdę srogą zimę, co w tych rejonach

nie zdarzało się za często.

- Scatah jakoś się nie pojawia - zagadnęła. - Nie widziałam jej od Samain.

Galvan, który właśnie wrócił z dworu, miał zaczerwienioną twarz i rozcierał zmarznięte ręce.

- A wiesz, że masz rację, Gwynn - stwierdził. - Nie było jej tutaj od wielu nocy. Od Samain minęło już wiele tygodni. Niebawem będzie środek zimy.

- No, nie tak zaraz - mruknęła. - Niestety, do środka zimy zostało jeszcze sporo czasu.

Galvan zdjął z siebie okrycie z wilczego futra i przysunął sobie zydel bliżej ognia. Wyciągnął dłonie w stronę paleniska.

- Zagrzać ci piwa? - zaproponowała Gwynn.

- Gdzie matka? - zapytał Galvan. - Chętnie się napiję.

- Wyszła za interesem do sąsiadów. Zastanawiam się, na co ona wychodzi w taką śnieżycę, ale sama chciała. Wiesz, Galvanie, odnoszę wrażenie, że odkąd Cynnus stąd wyjechał, twoja matka jest radośniejsza. A swoją drogą: ludzie zaczynają o niego pytać - dodała cicho.

Galvan spojrzał na swoje stopy w długich futrzanych butach. Cynnus wyjechał razem ze Scatah i już nie wrócił. Ludzie zastanawiali się, oczywiście, co się z nim stało, ale nikt nie śmiał podważać wyroku kapłanki.

- Cynnus już nie wróci, moja droga Gwynn - powiedział cicho. - Wiem o tym doskonale. Jeżeli Scatah go chciała, to znaczy, że wydała na niego wyrok.

Gwynn naląła mu piwa do miedzianego kubka. Patrzyła, jak mąż pije małymi łykami. Od święta Samain niewiarygodnie się do siebie zbliżyli, a kiedy przed kilkoma dniami wyznała mu, że spodziewa się dziecka, wprost oszalał z radości. Zupełnie też zmienił się jego stosunek do niej. Jakby wcześniej krępował się okazywać jej czułość czy troskę.

- Scatah mnie zdumiewa - powiedziała Gwynn po chwili. - Wydaje się czasem, jakby tkwiły w niej dwie osoby.

- Och, nawet więcej, Gwynn - mruknął Galvan. - Znacznie więcej.

Wiedział, że nigdy w życiu nie zapomni tamtych dni



w dolinie Scatah. Podziwiał ją wtedy i bał się jej śmiertelnie. Do dziś nie mógł uwierzyć, że wyszedł zwycięsko z trzech prób. Do dzisiaj nie potrafił pojąć, jak to się stało. Gobannicjon, który pokonał dwie próby, ale nie potrafił opanować miecza, wyjaśnił mu, że wszystko to rozgrywa się na poziomie umysłu.

- Masz te próby w swojej głowie - mówił. - Ogień był iluzją wywołaną przez tę wiedźmę. Most z pewnością istniał, ale się nie kołysał. Nie umiem ci tego dokładnie wyjaśnić. I Scatah pewnie też do końca nie jest świadoma, jakim cudem wyczarowuje te rzeczy.

Galvan jednak był pewien, że ona doskonale wie, na czym polegają próby i w jaki sposób je wywołać. Scatah w jego mniemaniu była wiedźmą w pełnym znaczeniu tego słowa. Nie kapłanką, nie najwyższą wojowniczką, lecz wiedźmą, czarownicą, posłanniczką piekieł. Albo tej drugiej strony. Tak czy owak jej potęga była niezmierną.

Niepokoila go długa nieobecność Scatah w Gergowii. Oczywiście, musiała szkolić nowych wojowników, to jasne, ale nawet kiedy z nimi była, pozwalała sobie raz w miesiącu na opuszczenie doliny i kilkudniowy pobyt w Gergowii czy innych miejscach. Żadna siła nie była w stanie utrzymać jej w dolinie przez cały czas.

Jeździła też do druidów, wiedział o tym. Nie wiadomo tylko było, w jakim celu się tam udaje. Galvan wcale nie był pewien, czy chce to wiedzieć.

Ukradkiem przyglądał się swojej żonie. Odkąd Cynnus odjechał, Gwynn też zdawała się odżyć. Nie musiała udawać potulnej gąski, byleby tylko uniknąć docinków i komentarzy stryja Galvana, który na pozór był jedynie lokatorem domu, a w rzeczywistości zachowywał się jak pan i władca. Kiedy Cynnus się oddalił, w Gwynn wstąpiła nowa energia. Teraz naprawdę była panią tego domu, nie tylko żoną spadkobiercy.

Jednak największa zmiana zaszła w Geillis. Matka Galvana, przygaszona i cicha w ostatnich latach, teraz zdecydowanie odżyła. Stwierdziła, że nie chce już więcej mężów, wystarczy jej dwóch w życiu, ale nie będzie siedzieć z założonymi rękami. Była przecież jeszcze młoda.

- Jeżeli będę chciała mężczyzny, to się o niego postaram - odparła na zapytanie Galvana o ewentualne zamążpójście. - Jednak na razie ani mi się śni wychodzić za mąż. Wystarczą mi Celtyllus i Cynnus. Chcę być wreszcie panią samej siebie i nie musieć słuchać rozkazów męża. Mam tego po dziurki w nosie, prawdę mówiąc.

Tak, Galvan wcale się jej nie dziwił. Kobieta taka jak Geillis nie należała do osób poddających się łatwo woli innych, a Cynnus przez cały czas małżeństwa, przez piętnaście lat, starał się podporządkować sobie żonę we wszystkim. Teraz Geillis odzyskała wolność. Nie była panną, więc miała prawo do samodzielnego rozporządzania swoją osobą. Nie podlegała ani władzy rodziców, którzy zresztą od dawna nie żyli, ani władzy brata. Bądź co bądź miała trzydzieści dziewięć lat i mogła wreszcie być niezależna. Bez męża Geillis była wystarczająco szczęśliwa. Galvan zgadzał się z jej zdaniem, że żaden pan i władca nie jest jej potrzebny.

Na podwórzu zawrzało. Psy zaczęły szczekać, a potem rozległ się stukot końskich kopyt na odsnieżonych kamieniach. Głosy ożywionych służących mieszały się z jednym silnym, mocnym głosem, który Galvan natychmiast poznał. Nie musiał patrzeć na drzwi, by wiedzieć, kto się w nich zaraz pojawi, ale odruchowo wstał i zwrócił się w stronę wchodzącej. Gwynn i niewolnice siedzące przy krosnach także się odwróciły.

W drzwiach ukazała się kobieta odziana w długi płaszcz z wilczej skóry, długie futrzane buty i futrzane rękawice. Jej ognistorude włosy opadały na futra. Była wysoka, a futra czyniły ją postawniejszą, niż w rzeczywistości była.

- Uatah! - wyrwało się Galvanowi, zanim zdążył pomyśleć.

Za kapłanką wszedł gość nieczęsty w domu Galvana. Wysoki, odziany na biało mężczyzna z długimi siwymi włosami i przenikliwym spojrzeniem.

- Maerin? - zdumiał się Galvan. - Co was tu sprowadza?

Jednak Gwynn nie spuszczała wzroku z Uatah, która wyjęła zawiniątko spomiędzy futer. W owczych wełnach i wilczych futrach kryła się mała istota, niespełna półroczne dziecko.

- Morgwynn! - krzyknęła dziewczyna i już przepychała się

w stronę przybyszów, którzy tymczasem zdejmowali z siebie futrzane okrycia.

Twarze gości były zaróżowione od jazdy na mrozie, futra oblepione śniegiem. Gwynn odebrała dziecko z objęć Uatah, jakby do końca nie rozumiejąc, co się stało.

- Nie odmówicie z pewnością poczęstunku! - Galvan przypomniał sobie wreszcie, do czego służy język w ustach. - Ale co was tu, na miłość boską, sprowadza w taką zawieruchę?

- O, pogoda z minuty na minutę się poprawia - odparł Maerin pogodnie. - Pojutrze będzie silny mróz i piękne słońce. Jednak nie w tym rzecz. Przybywamy, aby nadać ci wreszcie tytuł naczelnika Gergowii, synu Celtyllusa.

Gwynn oprzytomniała.

- Co to ma wszystko znaczyć? - zapytała mało uprzejmie, ale ciekawość wprost z niej kipiała.

- Poczekaj, wszystkiego się dowiesz - odparła Uatah. - Zaraz przyjdzie Geillis. Ona też ma prawo wysłuchać całej historii.

Galvan miał ochotę zapytać o coś ważnego, ale milczał. Gwynn kazała podać gościom posiłek. Zapłonęły pochodnie na ścianach i lampy oliwne, sala rozjaśniła się blaskiem ognia. Galvan i Gwynn wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Gwynn poczuła nagle zawroty głowy i oddała córkę jednej ze służek.

Nie mogła tego pojąć. To dziecko, które nosiła w sobie podczas ostatniego święta Beltaine, o którym mówiła jeszcze wcześniej Scatah i które urodziła zaraz po Lughnasadh<sup>I</sup>, które jej wtedy Scatah zabrała, teraz, po pięciu miesiącach, Uatah zamierza jej oddać? Ale dlaczego?

Podano jedzenie. Uatah i Maerin posilali się szybko, najwyraźniej byli głodni i zmęczeni. Gwynn i Galvan siedzieli razem z nimi przy stole, zbyt zdumieni i zaskoczeni, by o cokolwiek pytać.

Kiedy tamci skończyli jeść, w drzwiach stanęła Geillis, do której dotarła już wiadomość o odwiedzinach gości z północy. Przywitała się z nimi z szacunkiem, nie okazując zdumienia ani zaskoczenia, nawet na widok swej wnuczki

leżącej w kołysce razem z bratem bliźniakiem.

Morgwynn była spokojna. Spała, nie wydawszy z siebie choćby westchnienia.

Uatah upiła łyk grzanego piwa i uśmiechnęła się, ale Galvan odnosił wrażenie, że w tym uśmiechu kryła się gorycz.

- A teraz powiem wam, dlaczego przyjechaliśmy tu z Maerinem - odezwała się.

\*

Dla Uatah ta zimowa podróż była najgorszym z możliwych obowiązków do wypełnienia. Po pogrzebie, który odbył się w dolinie Scatah, udała się do nemetonu, gdzie Maerin w obecności druidów i kapłanek z Sein namaścił ją na najwyższą kapłankę. Oczywiście, znalazły się zawistne kobiety, które uważały, że Uatah jest zdecydowanie za młoda na taką godność, ale milczały, wiedząc, że dziewczyna przejmuje obowiązki po swojej matce, babce i prababce. Tylko linia Aife i Scatah mogła dziedziczyć tytuł najwyższej kapłanki.

Ceremonia była długa, poprzedzona postem i modłami, a kiedy Maerin odmawiał rytualne formułki, Uatah czuła pod powiekami pieczenie i bała się, że łzy zaraz popłyną po jej twarzy. Zastanawiała się, czy matka czuła to samo po śmierci Aife, kiedy stała, a inny najwyższy kapłan czynił z niej najwyższą kapłankę.

Potem musiała przejść przez jeszcze gorszy rytuał - jako najwyższa kapłanka miała w obliczu bogów zespolic się z najwyższym kapłanem. Jakkolwiek lubiła i szanowała Maerina, nie uważała, że jest on najlepszym kandydatem do tego rodzaju praktyk. Trzymał się prosto, miał też sprawne i silne ciało jak na swój wiek, ale mimo wszystko to zbliżenie nie należało do zbyt przyjemnych. Jednak Uatah nie miała wyjścia. Podczas gdy kapłani nucili swoje monotonne pieśni, ona i Maerin odbywali akt na oczach wszystkich zgromadzonych. Najwyższy kapłan i najwyższa kapłanka, niebo i ziemia, bóg i bogini. Był to jeden raz, kiedy musiała mu się oddać. No, miała jeszcze taki obowiązek, kiedy zachodziła

ważna potrzeba, ale Uatah miała nadzieję, że do tego czasu ktoś inny zostanie najwyższym kapłanem.

Że też jej matka godziła się na to wszystko! Jednak Scatah zawsze powtarzała, że ciało kapłanki to naczynie bogów. Służy do odbierania, gromadzenia i przekazywania boskiej energii.

Tak czy inaczej zaraz po ceremonii Uatah oddaliła się na Sein, by tam zostać namaszczoną jako największa wojowniczką. Wcielenie bogini wojny. Uatah uśmiechnęła się cierpko na to wspomnienie. Wszystkie kobiety z Sein znały sztukę walki, ale tylko jedna mogła nimi dowodzić.

A potem należało oddać dziecko Galvanowi i zwołać wiec w Gergowii. Po tym wszystkim Uatah miała odjechać do swojej doliny, by tam szkolić nowe zastępy wojowników, a wiosną na ogniach Belenosa oddać się bogu w ludzkiej postaci. Nie chciała tego. Miała nadzieję, że nie zajdzie w ciążę. Nie miała najmniejszej ochoty na dziecko.

Spojrzała na Gwynn, której piersi nabrzmiwały już mlekiem. Tak, tak, musiała być w początku trzeciego miesiąca. I chociaż jej biodra były jeszcze smukłe, stawało się jasne, że niebawem będzie karmić dziecko.

Nagle Utah zrobiło się żal małżonki Galvana. Scatah wyjawiała jej przed śmiercią wiele spraw, między innymi dotyczących Gwynn. Biedna dziewczyna, zasłużyła na odrobinę szczęścia przed tym wszystkim, o czym wiedzieli tylko Uatah i Maerin. Scatah swoje wizje pozostawiała w tajemnicy. Uważała, że nie warto rozgłaszać ich wszem i wobec, bo mogłoby to niepotrzebnie napawać ludzi strachem i doprowadzać do obłędu.

- Morgwynn była gwarancją, że nie będziesz się opierał woli mojej matki, Galvanie - zaczęła teraz. Czy widział, z jakim bólem przychodziło jej zachowywanie obojętnego wyrazu twarzy? - Jednak Scatah nie żyje, więc zwracam ci zakładniczkę, tak jak było uzgodnione.

W izbie zapanował chaos. Nie tylko Galvan i Gwynn powstali - cała służba zerwała się ze swych miejsc.

- Jak to, Scatah nie żyje? - Geillis udało się przekrzyknąć resztę. - To chyba jakiś głupi żart?

- A tobie się wydaje, zacna Geillis, że przybyłabym tu sama, gdyby moja matka żyła? - zapytała Uatah, a matka Galvana dostrzegła, że oczy młodej kobiety lśnią w blasku wielu pochodni.

Geillis usiadła. Uatah była chłodna i pełna godności, ale rana po śmierci matki jeszcze się nie zagoiła.

- Teraz ja jestem najwyższą kapłanką - dodała cicho, jakby się tego wstydziała.

Galvan spojrział jej w oczy. Milczał. Przypomniawszy mu się ostatni dzień spędzony z nią. Nie w dolinie Scatah, lecz tu, pod Gergowią, nad rzeką. Tamten ranek, kiedy Gwynn urodziła bliźniaki...

- A Cynnus? - zapytała Geillis.

- Cynnus też nie żyje - odparła Uatah. - I lepiej nie pytać, w jaki sposób zakończył życie. Skoro Scatah odeszła z tego świata, nikt nie będzie mógł jej o nic oskarżyć. Ja wtedy nie byłam najwyższą kapłanką. Nie ma żyjących, nie ma winnych.

Geillis nic nie powiedziała, ale jej twarz mówiła sama za siebie. Mina matki Galvana doskonale świadczyła o tym, co ta kobieta sądziła na temat śmierci swego małżonka.

- Więc jednak to zrobiła - szepnęła w końcu po dłuższej chwili. - Cynnus sam sobie na to zasłużył. Wobec tego Celtyllus został pomszczony.

Coś na kształt uśmiechu ukazało się na jej ustach, ale poza tym w oczach Geillis malował się żal, że wódz pokroju Celtyllusa musiał czekać piętnaście lat, by ktoś pomścił jego haniebną śmierć. Gdyby jeszcze zginął w bitwie, przełknęłaby żal i upokorzenie. Ale otrucie! Geillis miała wrażenie, że to się zdarzyło wczoraj. Wielka ucztą na cześć Celtyllusa, wino lejące się strumieniami i jej okropne przeczucie, że stanie się coś niedobrego. Ostrzegła go, żeby nie pił wina. Sama nie wiedziała, skąd pojawiło się w niej to przekonanie. A potem Celtyllus leżący na stole, nieżywy, martwy, jego potężne ciało stygnące powoli wśród półmisków i kielichów.

Zacisnęła powieki. Nie chciała jeszcze raz tego oglądać. Gdyby przewidziała to, kiedy prosił o jej rękę!

Spojrzała na Galvana, na tego bosko pięknego młodego

człowieka, na syna jej i tamtego mężczyzny. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że wyszłaby za Celyllusa choćby z chęci urodzenia tak wspaniałego dziecka. Galvan był piękny już w kołysce. Obiecujący dzieciak, śliczny, zachwycający. A teraz miał zostać naczelnikiem Gergowii. Co prawda dotychczas nie odznaczył się w żadnej bitwie, co najwyżej w pojedynku ze stryjem, ale wcześniej zabił spiskowców, morderców swego ojca. I to wystarczyło, by wszyscy nabrali do niego szacunku. Z wyjątkiem Cynnusa, oczywiście.

A zatem jej drugi mąż nie żył. Była wolna, nareszcie, po tych wszystkich latach pełnych upokorzeń. Po miesiącach powtarzania Galvanowi, że czas skończyć z Cynnusem, chociaż doskonale wiedziała, że tego właśnie nie wolno mu uczynić...

Spojrzała na Uatah siedzącą z kubkiem piwa w dłoniach. Najwyższa kapłanka miała wciąż zaczerwienioną twarz, a jej palce wyglądały na zgrabiące z zimna, ale dziewczyna była silna i wytrzymała. Uśmiechała się nieobecny uśmiechem, zupełnie jak jej matka, ale nie budziła takiego przerażenia jak Scatah. Może dlatego, że była młoda? Nie, to coś innego, jakiś cień łagodności w jej usposobieniu, chłód, który tamtej nie znaczył, smutek i melancholia, jakie były Scatah nieznanne. Geillis nie miała wątpliwości, że z biegiem czasu żal po śmierci matki ustąpi z oblicza Uatah, a wówczas również będzie postrzegana jako niosąca strach, przerażająca kapłanka wojny.

- Galvanie - odezwała się Uatah - jutro rano zostanie zwołany wiec. Jako najwyższa kapłanka mianuję cię naczelnikiem Gergowii. Jednak to ostatnia pomoc aż do czasu ostatecznej rozgrywki. Odtąd musisz sobie radzić sam.

- Przecież cały czas radzę sobie sam - odparł Galvan zdumiony.

Uatah uśmiechnęła się.

- No, można tak powiedzieć. W dolinie mojej matki byłeś rzeczywiście najlepszym uczniem. Jednak Scatah miała osobliwy zwyczaj zsyłania na ciebie snów, które ukazywały ci drogę, jaką miałeś podążać. Ja nie posiadam tej umiejętności.

- Właśnie, że posiadasz! - wykrzyknął Galvan. - Pamiętam przecież, jak kiedyś...

- To było kiedyś - głos Uatah był ostry jak nóż. - Jeżeli chcesz być naczelnikiem i wodzem, Galvanie, nie możesz kierować się samymi snami. Powinieneś posługiwać się rozumem - tak jak twój ojciec. On też otrzymywał pomoc od mojej babki Aife. Ale do swojej pozycji doszedł sam. Po tym, jak Aife mianowała go naczelnikiem Gergowii, sam stale umacniał swoją rangę. No, może też czasy bardziej sprzyjały - dodała cicho.

- Mówisz mniej, niż myślisz - stwierdził Galvan. - Coś ukrywasz.

- Przyszłość zostaw bogom, Galvanie - odezwał się Maerin. - Kiedy nadejdzie twój czas, damy ci znać. Uatah nie może ci wyjawić tego, co wie. To zbyt ryzykowne.

Galvan milczał przez chwilę. Patrzył na Uatah. Widział kapłankę i wojowniczkę, kogoś obcego. To nie była ta sama dziewczyna, którą kochał w dolinie. Jej zielone oczy spoglądały na niego chłodno i bez sentymentów. Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że cokolwiek było między nimi, z przyczyn, o których doskonale wiedział, jest już skończone.

- A co z naszą córką? - zapytał w końcu. - Zamierzasz mnie poinformować co do jej przyszłości czy mam zostawić to bogom?

Maerin rzucił Uatah wymowne spojrzenie.

- W zasadzie nie musisz wiedzieć, jakie mam plany wobec niej - stwierdziła. - Aife to dziecko kapłanki z Sein.

- Czyli jest na wyspie - odgadł Galvan. - Dobrze, a co zamierzasz dalej? Zostawisz ją tam czy oddasz komuś za żonę?

- Na razie będzie na Sein - odparła Uatah dziwnie głuchym głosem. - Jednak przyjdzie czas, że pojedziemy z nią na Albion. Kiedy tutaj zapanuje chaos, trzeba będzie przenieść wiedzę w niedostępne miejsca.

Galvan patrzył na nią zdumiony. Widział, że Gwynn także spogląda z niepokojem na kapłankę. Nie podobało jej się wyraźnie sformułowanie Uatah „pojedziemy”.

- Kto pojedzie? - zapytała Gwynn.

Uatah ocknęła się. Na moment zapomniała, gdzie się znajduje. Była gdzieś daleko, gdzie umysły śmiertelników nie



miały wstępu.

- Posłuchaj mnie, Gwynn - zaczęła. - Byłam żoną Galvana, ty jesteś nią teraz. Wiesz, że takie związki mają miejsce i służą pewnym sprawom. Jakkolwiek ja i Galvan nie zejdziemy się więcej, a nasze kontakty będą się ograniczać do relacji między naczelnikiem i kapłanką, to jednak jesteśmy rodzicami naszej córki.

*Nasze relacje, Galvanie, jeszcze się nie skończyły. Przyjdzie czas ponownego namaszczenia, będziesz pił moją krew i dasz mi swoją, kiedy nadejdzie dzień spełnienia obietnic.*

Galvan patrzył na nią i miał wrażenie, że to Scatah siedzi na honorowym miejscu przeznaczonym dla najwyższych rangą gości.

- Jeżeli mówię, że pojedziemy na Albion, to mam na myśli Galvana i mnie - dodała po chwili. - Nasza córka pojedzie tam pewnego dnia, ale nawet ja nie wiem, kiedy to nastąpi.

Gwynn pokiwała głową.

Galvan miał wrażenie, jakby siedział w wielkiej sali inicjacyjnej u Scatah. Kręciło mu się w głowie.

*Bo ty i ja jesteśmy ze sobą zespoleni, Galvanie. Czy tego chcemy, czy nie, nasze losy splatają się i są nierozzerwalne.*

- Uatah, dosyć - odezwał się.

Gwynn spojrzała na niego ze zdumieniem, ale kapłanka uśmiechnęła się pod nosem.

- Czego się boisz? - zapytała na głos. - Dobrze wiesz, że tak jest. I dobrze pamiętasz, co pewnego szczególnego wieczoru powiedziała ci moja matka. To jest prawda, Galvanie.

Oczy Uatah lśniły w blasku ognia i nagle Galvanem targnął strach. Być może jest tak, jak ona mówi. Może Scatah przepowiadała mu przyszłość. Jednak co będzie, jeśli on się nie czuje na nią gotowy?

*Gdy nadejdzie czas, będziesz gotowy. Los sam cię zawiedzie ku przeznaczeniu.*

- Dobrze więc - odezwał się Maerin. - Galvanie, jutro rano w Gergowii odbędzie się zgromadzenie. Już wysłaliśmy emisariuszy. Nie martw się, wszystkie niejasności zostaną omówione, a ty jesteś dostatecznie dobrze obeznany z prawem,

by wiedzieć, co robić. Masz też dwóch braci druidów na wypadek problemów.

- I zawsze możesz po nas posłać, gdybyś czegoś potrzebował - dodała Uatah.

Gwynn spojrzała na nią i nagle współczucie ścisnęło jej serce. Uatah mogła udawać wyniosłą, zimną i niedostępną, ale ona wiedziała, że to nieprawda. Kapłanka była taką samą kobietą jak ona, miała podobne odczucia i kochała przecież Galvana. Nadal był jej bliski, chociaż wiedziała, że z różnych względów musiała się go wyrzec. Gdyby nie twarde prawa, ona i Galvan siedzieliby teraz przy ognisku, to Uatah cieszyłaby się na myśl o kolejnym dziecku, a ona, Gwynn, zostałaby pewnie oddana jakiemuś innemu człowiekowi.

Uatah pochwyciła jej spojrzenie i uśmiechnęła się. Nie było sensu wzniecać między sobą wojny. Po co być nieprzyjaciółkami, skoro można żyć w zgodzie?

Gwynn miała w pamięci słowa Geillis o nałożnicach Celyllusa. I czyż ona nie była przyjaciółką Aman? Tej samej, która dzieliła łóżko z Celyllusem, gdy Geillis była przy nadziei... Matka Galvana była mądrą kobietą. Skoro nie mogła wywalczyć nic w danej kwestii, zostawiała to w spokoju. Celyllusowi prawo pozwalało mieć konkubiny i nałożnice, ale ona, Geillis, musiała być mu bezwzględnie wierna.

Goście wstali. Geillis zaproponowała gościnę i nocleg, ale Uatah pokręciła przecząco głową.

- Zapłaciliśmy już za miejsce w gospodzie w mieście - odparła.

Gwynn jednak wiedziała, o co tak naprawdę chodzi. Uatah nie zniosłaby myśli, że tuż za ścianą Galvan śpi ze swoją żoną i być może korzysta z małżeńskich praw. To byłoby dla niej zbyt wiele. A nawet gdyby chciała i gdyby Gwynn wyraziła zgodę, nie mogłaby połączyć się z Galvanem. Nigdy już nie będzie jej tego wolno. Chyba że w formie rytuału, kiedy zajdzie taka konieczność.

Goście naciągnęli na siebie futrzane okrycia i pożegnawszy się krótko, wyszli. Gwynn rzuciła mężowi pytające spojrzenie, ale Galvan milczał. Zastanawiał się, jak długo ta rana, którą

miał w sercu, będzie szarpana i rozdrapywana. Czy raz nie wystarczy? I czy Uatah naprawdę miała zamiar w przyszłości spotkać się z nim w wiadomych celach?

To było męczące. To była udręka.

- Cholerne wiedźmy - mruknął ze złością. - Mieszają ludziom w życiu, a potem mają pretensje, że wszystko już skończone.

Gwynn miała wrażenie, że ta wizyta była ostatnią rzeczą, jakiej Galvan sobie życzył.

\*

W wielkiej sali w Gergowii panowało zamieszanie, jakie zawsze towarzyszy wiecom. Latem takie zgromadzenie naczelników poszczególnych miast Arwernów odbywałoby się na dworze, ale przyszła zima i był siarczysty mróz. Co prawda wiatr zmienił kierunek i wiał teraz od południowego wschodu, znamionując zmianę pogody. Miało być tak, jak powiedział Maerin: piękne słońce i siarczysty mróz.

Jednak tego dnia śnieg sypał wielkimi płatami, wciskał się wszędzie, oblepiał płaszcze i osadzał się na włosach. W sieni pachniało niewietrzonymi ubraniami i nie był to najprzyjemniejszy zapach. Znacznie miłsza dla nosa była woń pieczonego mięsa, chleba i piwa dochodząca z kuchni.

Galvan siedział już na swoim miejscu w towarzystwie Gobannicjona, Celtillognatosa i Brennusa. Przybył też jego teść Ruten, ale on usadowił się nieco dalej. Celtillognatos, starszy od Galvana o jedenaście lat, powinien właściwie zasiadać wśród druidów, u których zdobył już dość wysoką pozycję, ale wolał tego dnia towarzyszyć bratu. Odziany był w białą szatę z grubej wełny, z którą kontrastowały buty do konnej jazdy. Celtillognatos, jakkolwiek dziecko konkubiny, szczycił się wysokim pochodzeniem. Był pierworodnym synem Celtyllusa, jednak to Galvan dziedziczył dobra i tytuł. Mimo to bracia darzyli się wzajemnym uczuciem i byli sobie szczerze oddani.

Celtillognatos, Galvan i Brennus nie byli do siebie podobni. Pierwszy z nich odziedziczył wygląd po ojcu. Był mocno

zbudowany, potężny, muskularny, co ani trochę nie pasowało do druida, ale dzięki tej postawie Celtillognatos mógł pobierać nauki nieco inne niż większość kapłanów. Najstarszy syn Celtyllusa był również wojownikiem, służył bogom wojny i należał do najlepiej wyszkolonych kapłanów w kraju. Miał regularne, choć może trochę zbyt grube rysy, mocne kości policzkowe, twarz raczej kwadratową, wąskie piwne oczy i ciemnoblond włosy, które zgodnie z zasadami kapłanów sięgały do pasa.

Brennus zaś odziedziczył południową urodę po matce. Był smagły, szczupły i zwinny, miał zupełnie czarne włosy, przywodzące na myśl Hellena albo Egipcjanina, lekko kręcone, również sięgające do pasa. Podczas gdy Celtillognatos wyróżniał się w sztuce wojennej, Brennus był wykształcony w prawie i studiował obce języki. Maerin zdecydował, że ten młodzieniec przyda się jako poseł i tłumacz, bo jego bystremu umysłowi nie można było niczego zarzucić. Czarne wesołe oczy połyskiwały w szczupłej twarzy. Galvan wyróżniał się wśród nich jak bóg słońca wśród innych bogów. Z jasnozłotymi włosami, które gęste i proste opadały mu na ramiona, i intensywnie błękitnymi oczami mógł uchodzić za przybysza z północnych rejonów Galii.

Nikt obcy nie nazwałby tej trójki braćmi. Jednak byli oni rodzeństwem.

Gobannicjon, który siedział przy nich, dobiegający już pięćdziesiątki, nie był podobny do żadnego z braci, nawet do własnego siostrzeńca. Jednak był z nich wszystkich najbardziej doświadczony w boju, w handlu i w innych ważnych dziedzinach, tak więc cała trójka mogła czerpać od niego wiedzę.

- Kiedy już ogłoszą cię naczelnikiem, Galvanie, trzeba będzie rozejrzeć się za stosownym sojuszem - przypomniał Gobannicjon, pociągając łyk piwa.

- Wiem, wspominałeś już o tym - mruknął Galvan.

- Tylko nie idź w ślady naszego ojca i nie manifestuj za bardzo chęci wybicia się nad innych - ostrzegł go Celtillognatos. - Bo jeszcze skończysz tak jak on.

- Pozbyliśmy się Cynnusa - stwierdził Galvan.

- Tak, ale inni zawistni też czyhają na odważnych - powiedział Celtillognatos.

Galvan pomyślał, że brat ma świętą rację. Niemało było zazdrośników, którzy krzywo patrzyli na Galvana choćby z racji jego bogactwa. Najbardziej zazdrościli tacy, co sami mieli niemało, ale ich apetyt na majątek był nienasycony.

- Może rozejrzałbyś się za drugą żoną - zażartował Brennus. - To polepszyło twoją pozycję.

- No pewnie - powiedział kwaśno Galvan. - Dopiero by się Gwynn wściekła.

Celtillognatos i Brennus spojrzeli po sobie z rozbawieniem, ale Galvan nie dał im dojść do słowa.

- Chwilowo mam dosyć przygód po pierwszym małżeństwie i przejściach z Gwynn - powiedział. - Nie zamierzam się na razie żenić. Dziękuję, wystarczy.

Gobannicjon spojrział na podwyższenie, na które właśnie weszła Uatah.

- A skoro mowa o twojej pierwszej małżonce - podchwycił. - To właśnie weszła.

Galvan upił łyk piwa i spojrział we wskazanym dyskretnie kierunku.

Nadejście Uatah i Maerina położyło kres szmerom i rozmowom. Kapłanka ubrana była w białą suknię ze złotym pasem, miała też złoty torques na szyi, oznakę władzy i godności. Zabrała głos, a wszyscy wpatrywali się w nią jak w zjawisko. Galvan uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że posiadała umiejętność skupiania na sobie powszechnej uwagi. Umiała wykorzystywać siłę sugestii.

Uatah powitała wszystkich zgromadzonych dostojników, podkreśliła ich ważną rolę w dzisiejszym wiecu i podziękowała im za przybycie. Następnie poinformowała zebranych o śmierci Scatah, co zostało przyjęte okrzykami zdumienia, pytaniami i ogólną wrzawą. Wszyscy znali matkę Uatah. Nie było człowieka w tych okolicach, a nawet wśród obcych plemion, który nie słyszałby o Scatah. Galvan wcale się nie dziwił zamieszaniu, jakie zapanowało w sali.

Dopiero kiedy Maerin zabrał głos, mężczyźni się uciszyli. Wyjaśnił, że Scatah umarła, wypełniając rytuał, a od chwili jej śmierci minęły dwa pełne miesiące. W tym czasie nową najwyższą kapłanką została mianowana jej córka Uatah, która teraz uosabiać będzie boginię wojny. Mężczyźni siedzieli cicho, oniemieli i zdumieni, ale żaden nie odważył się protestować. Wszyscy naczelnicy Arwernów zgromadzeni w tej sali mieli do czynienia bądź z samą Scatah, bądź z jej matką Aife, a niektórzy nawet byli szkoleni przez jej babkę Uatah. Nawet ci, których uczyły jej adeptki, nie potrafili zapomnieć samej wielkiej kapłanki, potężnej i władczej, tak wspaniale wyszkolonej, że nikt nie był w stanie pokonać jej w walce.

- Dzisiaj zgromadziłam was w tym miejscu, by otrzymać waszą zgodę na mianowanie nowego naczelnika Gergowii - mówiła Uatah. - Funkcję tę przez wiele lat sprawował Celyllus, a po nim Cynnus, który zawiązał spisek mający na celu zgładzenie swojego brata.

W sali znowu rozległy się szmery. Najwyraźniej Uatah powiedziała sensacyjną wiadomość.

Maerin zabrał głos i wyjaśnił, że Scatah i on doszli do tego, kto w swoim czasie zorganizował spisek i był odpowiedzialny za otrucie Celyllusa na uczcie. Mężczyźni mieli w pamięci rzeź, jaką przed rokiem urządził Galvan, kiedy wytropił zabójców swego ojca. Większość domyślała się, że za tym wszystkim stał Cynnus, ale nikt nie miał w ręku dowodów. Słowa Scatah, nawet nieżyjącej, były niepodważalne. Skoro ona uznała, że Cynnus winien był przestępstwa, to tak należało myśleć.

Oczywiście, zapanował szum i hałas. Naczelnicy przekrzykiwali się i kłócili, kto miał rację, a kto mylił się względem Cynnusa.

Uatah czekała. Wiedziała, że nie musi zwracać się o pozwolenie, bo sama może mianować naczelnika Gergowii. Jeżeli jednak zapyta o zgodę, pozna zwolenników i przeciwników syna Celyllusa. Galvan wiedział o tym i milczał, obserwując wyklócających się urzędników. „Bardzo dobrze” - myślał. „Z czasem stłumi się opozycję. Nie pozwolę sobie na luksus życia w ciągłym strachu - jak mój ojciec. Nie będę się

trząsał przed każdą uczcą. Chociaż powiadają, że on niczego się nie bał. Taki był pewny siebie”.

- Mój wybór padł na Wercyngetoryksa, syna Celtyllusa - orzekła wreszcie Uatah, kiedy tłum ucichł. - Jako syn namiestnika Gergowii, potomek znakomitego rodu naczelników, wywodzący się z królewskiego rodu władców Arwernów i kapłanów, ma wszelkie podstawy i prawo zająć miejsce na stanowisku naczelnika najważniejszego miasta w naszym kraju.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Galvan czuł na sobie spojrzenia kilkudziesięciu mężczyzn w różnym wieku, najczęściej jednak byli to osobnicy około czterdziestki. Spoglądali na niego jakby w zamyśleniu, ale nie dostrzegł niechęci na ich twarzach.

- Jeżeli ktoś jest przeciwny mojemu wyborowi, niech podniesie głos teraz - zażądała Uatah.

Nikt się nie odezwał.

O Galvanie opowiadano rozmaite historie, głównie z jego pobytu u Scatah. Był pierwszym człowiekiem od wielu lat, który zwycięsko przeszedł wszystkie trzy próby. Wtajemniczyła go najwyższa kapłanka. Jego ojciec, dziad i pradziad zajmowali stanowisko naczelnika Gergowii, a więc rodzina rządziła miastem od prawie stulecia. Matka Galvana należała do jednego z najznamienitszych klanów w kraju Arwernów. Jego wuj miał szerokie koneksje, wielu klientów i wielkie bogactwa. Sam Galvan nie należał do ubogich, już teraz miał wysoką pozycję, którą z biegiem lat mógł jedynie umacniać. Jego dwaj bracia byli kapłanami z widokami na wysokie rangi. No i Galvan osobiście wyłukł morderców ojca. Jego odwadze nie można było niczego zarzucić. Pokonał swego stryja w walce ustanowionej przez Scatah. Wygrał bez żadnego wysiłku, szybko i sprawnie. Był znakomitym wojownikiem. Nadawał się na wodza, musiał tylko odbyć przedtem kilka bitew.

- Wercyngetoryksie, synu Celtyllusa, wstań i podejdź do mnie! - zawołała Uatah.

Galvan jak w transie wstał i wszedł na podwyższenie. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do imienia, którym go ochrzciła

Scatah. Wielki król wojowników? Przecież on nie był królem, nie wolno mu było nawet śnić o takim tytule. A może jednak?

Głos Uatah był czysty i chłodny, kiedy się do niego zwracała, ale oczy promieniały czymś, co mógł uznać za dumę.

- Wercyngetoryksie, ustanawiam cię naczelnikiem Gergowii z woli bogów i zebranych tutaj możnych - odezwała się. - Na znak twojej władzy przyjmij ten torques, aby wszyscy wiedzieli, kim jesteś, i okazywali ci należyty szacunek.

Wsunęła mu na szyję złotą obręcz, kunsztownie inkrustowaną, zdobioną w zawile wzory, których znaczenia Galvan uczył się kiedyś u druidów. Oznaki władzy, zaklęta potęga i moc. Każdy, kto nosiłby ten kawałek złota na szyi, zostałby napełniony siłą pochodzącą od bogów. Jak przez mgłę Galvan przypomniał sobie, że ten talizman nosiła na szyi Scatah. Więc tak wysoko zaszedł!

Metal był zimny i w zetknięciu z rozgrzaną skórą wywołał dreszcz w ciele Galvana.

- Oby twoje rządy były sprawiedliwe, wyroki słuszne, a władza skupiona w twoich rękach nie była nadużywana ani wykorzystywana w niegodnych celach - powiedziała Uatah na koniec. - Szlachetni mężowie, oto Wercyngetoryks, naczelnik Gergowii, pierwszy wśród naczelników Arwernów.

Naczelnicy zgromadzeni w sali wykrzyknęli na wiwat, po czym wznieśli puchary w toaście. Galvan przez chwilę stał oszołomiony, jakby nie docierał do niego fakt, że stał się właśnie tym, kim przez wiele lat był jego ojciec, a tym samym zajął należne mu miejsce w hierarchii.

„A więc zostałem naczelnikiem” - pomyślał.

*Tak, Wercyngetoryksie. Ale to dopiero początek twojej drogi.*

Zielone oczy Uatah lśniły tajemniczo, a w jej spojrzeniu kryły się sekrety przyszłości. Galvan wiedział jednak, że pozna je dopiero wtedy, gdy zdecyduje o tym los.

---

<sup>1</sup> Jedno z czterech głównych świąt celtyckich, przypadające na 1 sierpnia. Obchodzono je na cześć bóstwa solarnego Lugha. Według wierzeń celtyckich święto przypadało na środek lata,



które trwało od pierwszego maja do pierwszego listopada.

## DODATEK - SPIS POSTACI

### Celtowie:

- Galvan
- Aife - pierwsza córka Galvana
- Aman - nałożnica Celtyllusa, kobieta Gobannicjona
- Ariowist - sprzymierzeniec Galvana
- Brennus - brat Galvana
- Celtillognatos - starszy brat Galvana z nieprawego łoża
- Celtyllus - ojciec Galvana
- Cynnus - stryj Galvana
- Evar - przybrana matka Galvana
- Geilis - matka Galvana
- Gwynn - II żona Galvana
- Gobannicjon - wuj Galvana
- Keran - jeden z zabójców Celtyllusa
- Leaniel - przyrodnia siostra Scatah
- Maral - młodsza siostra Gwynn
- Morgwynn - córka Galvana
- Octus - jeden z zabójców Celtyllusa
- Ruten - przybrany ojciec Galvana
- Scatah - mistrzyni Galvana
- Uatah - pierwsza żona Galvana, córka Scatah

### Rzymianie:

- Gajusz Juliusz Cezar
- Attia - siostrzenica Cezara
- Attiusz - mąż Julii, siostry Cezara
- Aurelia - matka Cezara
- Aureliusz Kotta - ojciec Aurelii

- Bibullus - II konsul
- Cezar - ojciec Gajusza Juliusza Cezara
- Cynceron - polityk rzymski, polityczny przeciwnik Cezara
- Cynna - ojciec Kornelii
- Gajusz Oktawiusz - syn Attii
- Gnejusz Pompejusz - wódz rzymski, mąż Julii
- Julia - córka Cezara
- Julia - siostra Cezara
- Kalpurniusz Pizon - teść Cezara
- Kalpurnia - III żona Cezara
- Katon Młodszy - przeciwnik Cezara w senacie
- Katylina - prowodyr zamachu
- Klodia - przyjaciółka Pompei
- Klodiusz - kochanek Pompei
- Kornelia - I żona Cezara
- Krassus - magnat rzymski
- Laucyda - niewolnica Kalpurnii
- Marek Antoniusz - stronnik Cezara
- Mariusz - przywódca frakcji w wojnie domowej
- Nikomedes - król Bitynii, domniemany kochanek Cezara
- Niobe - niewolnica Julii
- Oktawiusz - mąż Attii, ojciec Oktawiusza
- Pompeja - II żona Cezara
- Serwilla - kochanka Cezara
- Sulla - przywódca frakcji w wojnie domowej

Redakcja i korekta Zuzanna Gościcka-Miotk  
Projekt okładki Paulina Radomska-Skierkowska  
Konwersja do EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

© Karolina Janowska i Novae Res s.c. 2012.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-8083-515-3

NOVAE RES — WYDAWNICTWO INNOWACYJNE  
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia  
tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem  
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



Galvan i Cezar powrócą wkrótce w ostatnim  
tomie z cyklu OPOWIEŚCI CELTYCKIE:

Opowieści celtyckie. Cena przywództwa